

REDUKTIVN

CZŁOWIEK BEZ TWARZY

Masha Gershen

© Wydawnictwo i-idea



PUTIN, CZŁOWIEK BEZ TWARZY

Masha Gessen



SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział pierwszy PREZYDENT Z PRZYPADKU

Rozdział drugi WOJNA PRZEDWYBORCZA

Rozdział trzeci WYZNANIA CHULIGANA

Rozdział czwarty Był SOBIE SZPIEG

Rozdział piąty Pucz I KRUCJATA

Rozdział szósty KONIEC REFORMATORA

Rozdział siódmy Dzień, w którym umarły media

Rozdział ósmy Demontaż demokracji

Rozdział dziewiąty RZĄDY TERRORU

Rozdział dziesiąty BEZGRANICZNA CHCIWOŚĆ

Rozdział jedenasty Powrót ZSRR

Epilog Jeden grudniowy tydzień

Podziękowania

PROLOG

Obudziłam się, czując szarpanie za ramię. Kate patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

- W radio mówią coś o Galinie. - Jej głos był niewiele wyższy od szeptu.

- I o broni. Sądzę... Nie rozumiem...

Wstałam i niepewnym krokiem skierowałam się do małej kuchni, w której

Kate przygotowywała śniadanie, słuchając nadal Echa Moskwy - najlepszej rozgłośni w kraju. Pamiętam tamten sobotni poranek, wyjątkowo świeży i jasny jak na moskiewski listopad. Nie mogę powiedzieć, by rewelacje Kate mną wstrząsnęły; jej strach w ogóle mi się nie udzielił. Cokolwiek wychwyciła z audycji, choć raczej powinnam pewnie powiedzieć: czegokolwiek z niej nie zrozumiała (biorąc pod uwagę jej ograniczoną znajomość rosyjskiego), mogło stać się co najwyżej zaczątkiem kolejnego doskonałego artykułu. Pracowałam wtedy jako główny korespondent największego tygodnika informacyjnego w Rosji, „Itogi”, więc automatycznie wszystkie większe sprawy przypadają mi. A takich wtedy nie brakowało. W kraju, który próbował określić się na nowo, każde miasto, każda rodzina i każde przedsiębiorstwo stanowiły nową, niezbadaną dziedzinę. Był rok 1998. W zasadzie wszystkie artykuły, które napisałam od pierwszych dni lat dziewięćdziesiątych, były historiami niepodobnymi do jakiegokolwiek opowiedzianej przeze mnie wcześniej. Wiele czasu spędzałam poza Moskwą, podróżowałam do obszarów ogarniętych konfliktami zbrojnymi, odwiedzałam kopalnie złota, sierocińce i uniwersytety, trafiałam do opuszczonych wiosek i do rozwijających się przy rafineriach nowych miast, a każde z tych miejsc miało własną historię.

Gazeta, dla której pracowałam, należąca, nawiasem mówiąc, do właściciela Echa Moskwy, nagradzała mnie, nigdy nie kwestionując moich nieco dziwnych tras podróży i umieszczając wiele moich artykułów na pierwszej stronie.

Innymi słowy, zaliczałam się do grupy młodych ludzi, którzy w latach dziewięćdziesiątych zyskali wszystko. Cenę za zmiany przyszło zapłacić innym - tym przede mną i za mną. Hiperinflacja pożarła oszczędności starszego pokolenia, a zlikwidowanie, niewzruszalnych, wydawałoby się, instytucji Związku Radzieckiego pozbawiło tę generację tożsamości. Młodszy dorastali w cieniu strachu rodziców oraz ich porażek, ale dla mnie - w chwili rozpadu Związku Radzieckiego osoby dwudziestoczteroletniej - i moich rówieśników lata dziewięćdziesiąte były czasem rozwoju oraz budowania tego, co uznawaliśmy za podwaliny nowego systemu.

Mimo że przestępczość w kraju osiągnęła w tamtym czasie niespotykany poziom, wszyscy czuliśmy się względnie bezpiecznie. Zdarzało się nam obserwować działania półświatka, czasami nawet je opisywać, ale zawsze z bezpiecznej odległości, bez przeświadczenia, że mogą one w jakikolwiek sposób wpłynąć na nasze życie. Poza tym byłam przekonana, że wszystko zmierza ku lepszemu. Właśnie kupiłam dawne mieszkanie komunalne w centrum Moskwy i przygotowywałam się do remontu w mocno zniszczonym lokalu, do którego planowałam przeprowadzić się z klitki wynajmowanej teraz wspólnie z Kate, angielską redaktorką, pracującą dla jednej z kompanii naftowych. Miałam własny kąpielownię, planowałam rodzinę. Tego dnia byłam umówiona z szefem ekipy budowlanej - mieliśmy wybierać armaturę łazienkową.

Kate wskazała na radiodbiornik z taką miną, jakby ten miał zaraz wybuchnąć, po czym przeniosła na mnie pełne wątpliwości i niezrozumienia spojrzenie. Galina Starowojtowa - nazwisko wciąż powtarzane w relacji - była jednym z najbardziej znanych polityków w Rosji, deputowaną do niższej izby parlamentu i moją bliską znajomą. Pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy imperium radzieckie stało na krawędzi rozpadu, Starowojtowa, z wykształcenia etnograf, dała się poznać jako czynny działacz ruchu na rzecz demokracji. Była też jednym z najzagorzalszych rzeczników praw mieszkańców Górskiego Karabachu - armeńskiej eksklawy leżącej na obszarze Azerbejdżanu, targanej już wtedy zbrojnym konfliktem na tle etnicznym, jednym z wielu, jakie miały wkrótce naznaczyć cały proces rozpadu bloku wschodniego. Starowojtowa niemal natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania wszystkich w kraju; ta cecha zdawała się charakteryzować wszystkich polityków wyrosłych z kręgów akademickich. Choć całe życie spędziła w Petersburgu, właśnie ją obywatele Armenii chcieli widzieć w Radzie Najwyższej, pierwszym zgromadzeniu wybranym na drodze prawie demokratycznego głosowania, w roli swojej reprezentantki, czemu dali wyraz w 1989 roku, wprowadzając Starowojtową do rady przytłaczającą większością głosów.

Stanęła tam na czele tak zwanej Międzyregionalnej Grupy Deputowanych, prodemokratycznej mniejszości, do której należeli między innymi Andriej Sacharow i Borys Jelcyn. Gdy w 1990 roku Jelcyn został wybrany na przewodniczącego Rady Najwyższej RFSRR - wtedy było to stanowisko głównie ceremonialne i co najwyżej prestiżowe - Galina została jego najbliższym doradcą. Oficjalnie zajmowała się wyłącznie sprawami mniejszości etnicznych, nieoficjalnie doradzała Borysowi Nikołajewiczowi we wszystkim, także w obsadzaniu stanowisk rządowych. W roku 1992 Jelcyn rozważał nawet oddanie w jej ręce teki ministra obrony. (Jak napisał „The Economist” z 26 listopada 1998 r., Starowojtowa obróciła

propozycję w żart, mówiąc, że „Rosja nie jest jeszcze gotowa na zaakceptowanie ministra obrony w spódnicy.

Armia nie byłaby zadowolona”). Takie posunięcie - przyznanie władzy nad wojskiem kobiecie, cywilowi i zdeklarowanej pacyfistce - byłoby typowe dla działań Jelcyna na początku lat dziewięćdziesiątych. Stanowiłoby kolejną deklarację, że oto nic w Rosji, a może nawet na świecie, nie pozostanie takie, jak było.

Obalenie starego porządku było zresztą głównym punktem programu Galiny. Jej stanowisko wydawało się skrajne nawet jak na standardy obowiązujące w tamtych czasach w obozie zwolenników ruchu na rzecz demokracji. Starowojtowa, wraz z niewielką grupą prawników i polityków, starała się bezskutecznie doprowadzić do procesu działaczy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Opracowała nawet projekt ustawy lustracyjnej (pochodzące z greki słowo, jakoś dziwnie kojarzące się z czyszkami...) mającej zakazywać działaczom partyjnym i pracownikom tajnej milicji zajmowania stanowisk publicznych (idea ta stała się bardzo popularna we wszystkich krajach dawnego bloku wschodniego). W 1992 roku odkryła, że KGB zrekonstruowało dawne struktury partyjne, co pozostawało w sprzeczności z dekretem prezydenta Jelcyna⁴, wydanym po zakończeniu nieudanego puczu sierpniowego w 1991 roku, delegalizującym KPZR. Podczas publicznego spotkania z prezydentem w czerwcu 1992 roku Starowojtowa spróbowała zapoznać go ze swoimi odkryciami, ale Jelcyn odprawił ją niegrzecznie, dając do zrozumienia, że jej kariera w administracji dobiegła końca. Był to jednocześnie gest pojednania w kierunku tajnych służb i twardogłowych komunistów, którzy utrzymali władzę bądź pozostali w kręgu rządzących. Po zwolnieniu z funkcji doradcy Jelcyna, Galina próbowała jeszcze uzyskać poparcie dla projektu ustawy lustracyjnej, a gdy to się jej nie udało, porzuciła rosyjską scenę polityczną i przeniósła się do Stanów Zjednoczonych, gdzie początkowo udzielała się w U.S. Institute for Peace w Waszyngtonie, a następnie podjęła pracę wykładowcy na Brown University. w czasie pierwszego spotkania z Galiną nie zdołałam jej nawet dokładnie zobaczyć. Otaczał ją tłum ludzi, zebrany na moskiewskim placu Majakowskiego, by 28 marca 1991 roku wyrazić poparcie dla Jelcyna. Zajmujący wtedy urząd prezydenta ZSRR Michaił Gorbaczow nieco wcześniej udzielił Jelcynowi publicznej reprimendy, wydał też dekret zakazujący urządzania protestów w granicach miasta.

(W rzeczywistości dekret Gorbaczowa był uzupełnieniem zakazu zgromadzeń wydanego przez Biuro Polityczne. Powoływał on do życia specjalne oddziały milicji, które miały uprawnienia, by egzekwować zakaz zgromadzeń. Rosyjski rząd uznał obydwie przepisy

za niezgodne z konstytucją. Gorbaczow z kolei stwierdził, że rząd nie ma odpowiednich uprawnień, by podważać praworządność uchwały Politbiura i dekretu prezydenta).

Tego dnia do stolicy wjechały czołgi. Rozstawiono je w taki sposób, by utrudnić ludziom dotarcie na wiec. Organizatorzy zareagowali natychmiast, wyznaczając dwa nowe miejsca zbiórki, by wszyscy zainteresowani mogli pojawić się na jednym bądź drugim spotkaniu. Wszystko to działo się podczas mojej pierwszej wizyty w Moskwie od dziesięciu lat, które spędziłam na emigracji. Zatrzymałam się w mieszkaniu babci, w pobliżu placu Majakowskiego. Gdy po wyjściu z domu odkryłam, że główna arteria miasta, ulica Twerska, jest zablokowana, ruszyłam w swoją stronę podwórkami. Po wyjściu z bramy znalazłam się nagle w zbitym tłumie. Widziałam jedynie głowy stojących przede mną osób, ubranych w identyczne szare bądź czarne wełniane płaszcze. Ponad zbiegowiskiem rozbrzmiewał donośny głos; jakaś kobieta mówiła o nienaruszalności konstytucyjnego prawa do zgromadzeń.

- Kto to? - spytałam stojącego obok mężczyznę. Pamiętam, że w jednej dłoni ścisnął żółtą siatkę, drugą ujmował dłoń dziecka.

- Starowojtowa - odpowiedział. W tym momencie kobieta zaczęła skandować pięciosylabowe hasło, natychmiast podchwyczone przez tłum. Po chwili od murów w całym mieście odbijało się głośnym echem:

- Rossija! Jelcyn!

Niecałe pół roku później Związek Radziecki przestał istnieć, a Jelcyn stanął na czele nowej, rządzonej demokratycznie Rosji. Nieuchronność tego faktu stała się oczywista dla wszystkich - również dla mnie - którzy tamtego marcowego dnia sprzeciwili się reżimowi i zebrali w miejscu publicznym, by mówić o swoich prawach.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy spotkałam Galinę osobiście. Zaprzyjaźniłyśmy się, dopiero gdy przez rok wykładała na Brown University. Bywała wtedy częstym gościem w bostońskim domu mojego ojca. Ja kursowałam pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Moskwą, więc Galina w naturalny sposób stała się moim mentorem i przewodnikiem po świecie rosyjskiej polityki, choć czasem zdarzało się jej jeszcze zarzekać, że teraz zajmuje ją wyłącznie kariera naukowa. Zmieniła stanowisko dopiero w 1994 roku, gdy Jelcyn zarządził zbrojną ofensywę w Czeczenii, zbuntowanej republice dawnego Związku Radzieckiego.

Jego ówcześni doradcy musieli zapewnić go, że powstanie da się stłumić szybko i bezboleśnie dla federacji. Galina już wtedy przepowiadała, że wojna będzie nie tylko ogromną tragedią - to nie podlegało dyskusji - ale też największym zagrożeniem dla świeżej rosyjskiej demokracji. Wiosną udała się na Ural, by przewodniczyć kongresowi mającemu

doprowadzić do odrodzenia zakładanego przez nią niegdyś ruchu, Demokratyczna Rosja, jeszcze nie tak dawno liczącej się siły w kraju. Opisywałam ten zjazd z ramienia zatrudniającej mnie gazety, choć dotarcie do Czelabińska nie było łatwe. W czasie podróży, która wymagała odbycia trzygodzinnego lotu i kolejnych trzech godzin spędzonych w autobusie, dałam się okraść. Do miasta dotarłam około północy, przemarznięta do kości i bez grosza. W holu hotelowym wpadłam na Galinę, która właśnie zakończyła ostatnie z wielu spotkań tego dnia. Nim zdołałam powiedzieć choćby słowo, zaprowadziła mnie do swojego pokoju, nalała kieliszek wódki, posadziła w fotelu i przygotowała cały talerz małych kanapek z salami. Pożyczyła mi też pieniądze, bym miała za co kupić bilet powrotny do Moskwy.

Z całą pewnością Galina nieco mi matkowała - byłam przecież równolatką jej syna, który wyjechał do Anglii z ojcem mniej więcej w tym okresie, gdy jej kariera polityczna nabrała rozpędu - ale te kanapki były też dowodem na coś innego. W kraju, w którym polityka kojarzyła się albo z odzianym w skórzany płaszcz komisarzem, albo ze zniedołężniałym aparaczykiem, Galina starała się wprowadzić zupełnie nową jakość - zbudować obraz działacza, który jednocześnie jest człowiekiem. Na zjeździe rosyjskich feministek zaszokowała zebranych, unosząc spódnicę. Odpowiedziała w ten sposób na krytykę jednego z politykówmężczyzn, który zarzucił jej, że ma krzywe nogi. W wywiadzie, udzielonym jednej z pierwszych kolorowych gazet w Rosji, opowiedziała o trudnościach, jakie mają z doborem ubrań osoby z poważną nadwagą (sama zaliczała się do tej grupy). Jednocześnie nie ustawała w wysiłkach, by realizować swój program polityczny. Pod koniec 1997 roku ponownie usiłowała doprowadzić do przyjęcia ustawy lustracyjnej, ale i ta próba zakończyła się niepowodzeniem. W roku 1998 zaangażowała się w śledztwo mające odkryć szczegóły finansowania kampanii jej przeciwników politycznych, w tym jednego z deputowanych do Dumy, niższej izby parlamentu, z ramienia partii komunistycznej (która znów miała prawo działać i cieszyła się sporą popularnością).

Kiedyś zapytałam Galinę, dlaczego zdecydowała się wrócić do polityki, mimo że nie mogła przecież liczyć na odzyskanie tak znaczącej pozycji, jaką zajmowała kiedyś. Kilkukrotnie usiłowała jakoś to wytłumaczyć, ale ani razu nie udało się jej podać powodu, który zadowoliłby ją samą. Wreszcie zadzwoniła do mnie ze szpitala. Lada moment miała poddać się operacji pod narkozą i ewidentnie starała się uporządkować własne poglądy na życie. Wtedy właśnie zdołała znaleźć wyjaśnienie, które ją satysfakcjonowało.

„W starożytnej Grecji wierzono, że harpie to cienie, które ozywają dopiero po zakosztowaniu ludzkiej krwi. Naukowcy wiedzą żywot cieni. Dopiero gdy człowiek zaczyna uczestniczyć w kształtowaniu przyszłości, choćby w niewielkim stopniu - a przecież tym

właśnie zajmują się politycy - jego życie nabiera barw. Wtedy przestaje się być cieniem. Ale to wymaga picia krwi, także własnej”, usłyszałam.

Popatrzyłam na radioodbiornik, który wskazywała Kate. Radio zatrzeszczało nieco, jakby miało trudności z przekazaniem słów spikera. W wiadomościach nadawali właśnie informację o śmierci Galiny, zastrzelonej przed kilkanaście godzinami na klatce schodowej domu, w którym mieszkała. Tego samego wieczoru przyleciała z Moskwy do Petersburga. Razem z Rusłanem Linkowem, który pomagał jej opracowywać szczegóły ustawy, odwiedzili jeszcze jej rodziców, a potem udali się do mieszkania Starowojtowej, znajdującego się przy Kanale Gribojedowa, jednej z najpiękniejszych ulic miasta. Klatkę schodową kamienicy spowijała ciemność; w toku śledztwa odkryto, że zamachowcy wykręcili żarówki.

Mimo to Starowojtowa i jej współpracownik rozpoczęli wspinaczkę po schodach. Rozmawiali o sprawie, jaką partia nacjonalistyczna wytoczyła Galinie. Nagle rozległ się przypominający kłaśnięcie dźwięk, coś błysnęło i Galina zamilkła w pół słowa. „Co się dzieje?”, krzyknął Rusłan, biegnąc w kierunku dźwięku i rozbłysku. Dwie kolejne kule trafiły go w pierś.

Musiał na moment stracić przytomność. Odzyskał ją na krótką chwilę, która wystarczyła jednak, by zdołał zadzwonić z telefonu komórkowego do znajomego dziennikarza. Ten wezwał milicję.

Teraz zaś głos w radiu informował mnie, że Galina nie żyje, a Rusłan - dobry znajomy - znajduje się w stanie krytycznym w szpitalu.

Gdybym była bohaterką powieści, po usłyszeniu szokującej wiadomości o śmierci przyjaciółki zapewne rzuciłabym wszystko i czując, że nic już nigdy nie będzie takie samo, ruszyłabym do działania, by oddać chwili należną jej cześć. Ale życie to nie powieść. W rzeczywistości rzadko kiedy czujemy, że świat zmienił się nieodwracalnie, nie potrafimy też znaleźć się w obliczu tragedii. Tego samego dnia pojechałam do sklepu po armaturę łazienkową do nowego mieszkania. Dopiero gdy szef ekipy remontowej zagadnął mnie: „Słyszała pani o Starowojtowej?”, straciłam grunt pod nogami. Pamiętam, że długo wpatrywałam się we własne buty i w szary, zdeптany tysiącem stóp śnieg ulicy. „Mieliśmy stawiać jej garaż”, dodał robotnik. Wtedy dotarło do mnie, że moja przyjaciółka nie potrzebuje już żadnego garażu. Poczulałam się nagle bezradna, wystraszona i zła. Wskoczyłam do samochodu, pojechałam na dworzec, a chwilę później siedziałam już w pociągu do Petersburga. Jechałam tam, by dowiedzieć się, co dokładnie przytrafiło się Galinie Starowojtowej, i by przedstawić to światu.

W ciągu kilku kolejnych lat nieraz powracałam do Petersburga; w sumie spędziłam w

tym mieście niezliczone tygodnie. Rzeczywiście, znów trafiłam na przypadek, którego nikt dotąd nie opisał, ale był to temat znacznie bardziej złożony niż wszystko, z czym przychodziło mi się mierzyć do tej pory. Zdarzenia, o których się dowiedziałam, przerastały znacznie historię zabójstwa jednego z najbardziej znanych polityków w kraju. Odkryłam, że Petersburg, drugie co do wielkości miasto w Rosji, to prawdziwe państwo w państwie. Rządziło nim niepodzielnie KGB, organizacja, przeciwko której Starowojtowa prowadziła najbardziej zacieklą i jednocześnie najbardziej beznadziejną kampanię. Tamtejsi politycy i dziennikarze byli przekonani, że ich biura i telefony są na podsłuchu, a wszystko wskazywało na to, że mieli rację. Było to miasto, w którym zabójstwo polityka czy przedsiębiorcy nie dziwiło nikogo. W Petersburgu można było trafić do więzienia z powodu jednego nieudanego interesu. Mówiąc wprost, życie tam dawało przedsmak tego, co miało czekać mieszkańców całej Rosji, gdy rządzący Petersburgiem lat dziewięćdziesiątych ludzie objęli najważniejsze stanowiska w kraju.

Nigdy nie zdołałam odkryć, kto zlecił zabójstwo Starowojtowej (dwaj skazani po latach mężczyźni byli tylko wynajętymi bandytami), nie udało mi się też dowiedzieć, dlaczego wydano na nią wyrok. Zrozumiałam natomiast, że przez całą dekadę, gdy ja i moi rówieśnicy tworzyliśmy nasze życie w nowym państwie, równoległe do naszego świata powstawał inny, w którym udoskonalano i utrwalano struktury znane z czasów Związku Radzieckiego. W tym samym czasie powstał system rządów, który za wszelką cenę starał się usunąć swoich wrogów - zamknięty, paranoidalny twór, który pragnął władzy absolutnej bądź zniszczenia tego, czego nie mógł kontrolować. Ciężko powiedzieć, które z działań Starowojtowej przyczyniło się do jej śmierci, ponieważ całą swoją postawą, wszystkimi podejmowanymi przez siebie krokami definiowała siebie jako wroga tego systemu. A to sprawiło, że stała się niewygodna. Została naznaczona i skazana na śmierć. Nieraz przychodziło mi pisać ze stref działań wojennych, pracowałam pod ostrzałem, ale to sprawa petersburska, próba rozwikłania śmierci Galiny Starowojtowej, stała się najbardziej przerażającą historią, z jaką przyszło mi się do tej pory zmierzyć. Nigdy wcześniej nie musiałam opisywać ludzi tak wyciętych z uczuć, tak okrutnych i pozbawionych wyrzutów sumienia.

W ciągu kilku lat to, czego doświadczyłam w Petersburgu, stało się codziennością całej Rosji. Postaram się opowiedzieć, w jaki sposób do tego doszło.

Rozdział pierwszy

PREZYDENT Z PRZYPADKU

Wyobraź sobie, że masz kraj i nikogo, kto mógłby nim rządzić. W takim właśnie niełatwym położeniu znalazł się w 1999 roku Borys Jelcyn oraz ludzie z jego najbliższego otoczenia.

Jelcyn od dawna był poważnie chory. Miał za sobą kilka ataków serca, a w 1996 roku, krótko po zdobyciu fotela prezydenckiego na drugą kadencję, przeszedł poważną operację kardiologiczną. Większość ludzi wierzyła, że miał poważne problemy z alkoholem, co nie dziwiło nikogo, jako że alkoholizm jest w Rosji nader często spotykaną przypadłością, z kolei najbliżsi prezydentowi utrzymywali cały czas, że nagłe napady braku orientacji czy zamykania się w sobie miały ścisły związek z jego stanem zdrowia. Niezależnie od przyczyn, Jelcynowi kilkakrotnie zdarzyło się zachowywać chaotycznie podczas oficjalnych spotkań (bądź w ogóle na nie nie dotrzeć), co stawiało jego popleczników w bardzo trudnej sytuacji i zdecydowanie przyczyniło się do stopniowego spadku popularności Borysa Nikołajewicza w sondażach.

Badania wykonane w 1999 roku wykazały, że urzędujący prezydent cieszy się poparciem zaledwie kilku procent społeczeństwa. Jelcyn stał się cieniem samego siebie. Wprawdzie nadal uciekał się do pomocy narzędzi, które niegdyś świadczyły o jego wielkości: wprowadzał nieoczekiwane zmiany w kręgach ludzi sprawujących władzę, w zależności od potrzeby sprawował rządy bardzo bezpośrednie bądź stosował mechanizmy silnie liberalne, a gdy trzeba było, zachowywał się w dramatycznie przerysowany sposób, lecz teraz przypominał co najwyżej ślepego boksera, który miota się po ringu, próbując mierzyć się z nieistniejącym przeciwnikiem i nie dostrzegając prawdziwego wroga.

Druga połowa ostatniej kadencji Jelcyna upłynęła pod znakiem częstych i nagłych przetasowań personalnych. Prezydent zdymisjonował premiera, pełniącego tę funkcję przez niemal sześć lat, i zastąpił go nikomu nieznanym trzydziestosześcioletkiem, tylko po to, by i jego zwolnić ze stanowiska po upływie zaledwie czterech miesięcy. Jelcyn namaszczał kolejnych wybrańców, a następnie, gdy zawiedli oczekiwania, odprawiał ich publicznie w sposób upokarzający zarówno dla nich, jak i dla wszystkich, którzy musieli być świadkami ich upadku.

Oczywiście, coraz mniej przewidywalne zachowania prezydenta przysparzały mu nowych wrogów, którzy z czasem zaczęli jednoczyć siły. Rok przed końcem drugiej i

ostatniej kadencji prezydenckiej Jelcyn znalazł się na szczycie bardzo kruchej piramidy. Ustępowali doświadczeni politycy, przez co najważniejsze funkcje w ministerstwach i agencjach federalnych przypadły młodym i niedoświadczonym pracownikom, często zwyczajnie miernym, którzy zostawali zassani na szczyt, by wypełnić panującą tam próżnię. Naprawdę zaufanych pozostało niewielu. Przez ich bliskie powiązania, ze sobą i samym prezydentem, prasa okrzyknęła tę grupę Rodziną. Zaliczano do niej córkę Jelcyna, Tatianę, szefa kancelarii prezydenckiej Aleksandra Wołoszyna, byłego szefa kancelarii i późniejszego męża Tatiany Walentina Jumaszewa, ekonomistę i autora planu prywatyzacji w Rosji Anatolija Czubajsa oraz przedsiębiorcę Borysa Bieriezowskiego. Ten ostatni jako jedyny z sześciu oligarchów, biznesmenów, którzy za czasów prezydentury Jelcyna dorobili się ogromnych fortun i zrewanżowali się, angażując znaczne środki w kampanię prezydencką, nie opuścił prezydenta w trudnych czasach.

Prawo nie zezwalało osobie pełniącej dwukrotnie urząd prezydenta ubiegać się o reelekcję, i nawet gdyby Jelcyn znalazł uzasadnienie dla takiego kroku, nie miał dość sił, by sprostać trudom kampanii i dalszego pełnienia funkcji. Miał natomiast wszelkie powody, by obawiać się odwetu ze strony nieprzychylnego następcy. Należy tu pamiętać, że Jelcyn był kimś więcej niż tylko niepopularnym prezydentem. Zyskał status polityka, któremu zaufali Rosjanie, więc ich rozczarowanie będzie równie wielkie jak pokładane nadzieje.

A Rosjanie byli umęczeni, przerażeni i zawiedzeni. Pod koniec lat osiemdziesiątych po raz pierwszy poczuli siłę i nadzieję płynące z jedności. Na tej fali zdołali powstrzymać puczystów, którzy w sierpniu 1991 roku usiłowali obalić władzę Gorbaczowa. Naród wierzył Jelcynowi, jednemu (jak dotąd) demokratycznie wybranemu przywódcy w historii Rosji. W zamian otrzymał hiperinflację, która w ciągu zaledwie kilku miesięcy zjadła oszczędności ich życia, biurokratów i przedsiębiorców okradających na oczach wszystkich kraj i ludzi oraz nierówności społeczne i ekonomiczne, z jakimi nigdy dotąd nie miał do czynienia. Jednak największym ciosem dla wielu Rosjan, jeśli nie dla większości, był brak pewności jutra. Wraz z brakiem poczucia bezpieczeństwa zniknęła jedność, która pozwoliła społeczeństwu przetrwać trudną końcówkę lat osiemdziesiątych i początek kolejnej dekady.

Ludzie Jelcyna, i on sam, popełnili wielki błąd, odcinając się od bólu i strachu obywateli. W ciągu zaledwie dziesięciu lat Jelcyn, wcześniej prawdziwy populistą (jeżdżący autobusami, a gdy sytuacja tego wymagała - wspinający się na czołgi), stopniowo wycofał się zupełnie do niedostępnego i doskonale strzeżonego świata pancernych limuzyn i zamkniętych dla ogółu spotkań. Wyznaczony przez niego pierwszy premier, młody, błyskotliwy ekonomista Jegor Gajdar, uosobienie zmian, jakie zaszły w pokomunistycznym układzie

społecznoekonomicznym, nie ukrywał, że przeciętny obywatel jest zbyt głupi, by móc stać się równym partnerem dla rządu w dyskusji dotyczącej reform. Można zatem powiedzieć, że Rosjanie, porzuceni w trudnych czasach przez swoich przywódców, zaczęli szukać pocieszenia w nostalgicznych wspomnieniach. Nie sądzę, by komunistyczna ideologia zdołała nagle zawładnąć ich sercami - jej czar wygasł całe dziesięciolecie wcześniej - ale z pewnością tęsknili do czasów, gdy Rosja cieszyła się statusem supermocarstwa. W 1999 roku wyraźnie wyczuwało się wiszące w powietrzu napięcie, nic więc dziwnego, że i Jelcyn, i członkowie Rodziny czuli się zagrożeni.

Poczucie krzywdy i narastająca złość zaślepiły ludzi, co z kolei sprawiło, że dokonania Jelcyna w mijającym dziesięcioleciu popadły w zapomnienie. Pomimo naprawdę licznych nieprawidłowości, jakie miały miejsce podczas prywatyzacji, udało się skutecznie przekształcić większość dotychczasowej własności państwowej w prywatną; największe przedsiębiorstwa stały się konkurencyjne. Choć przepaść pomiędzy najbogatszymi a najbiedniejszymi osiągnęła niespotykane dotąd rozmiary, sytuacja większości Rosjan zmieniła się zdecydowanie na korzyść.

Zwiększyła się liczba gospodarstw domowych, w których korzystano z telewizorów, pralek automatycznych i lodówek, podwoiła się liczba samochodów w posiadaniu osób prywatnych, a liczba turystycznych wyjazdów za granicę w latach 1993-2000 wzrosła niemal trzykrotnie. W roku 1998 Rosja nie zdołała spłacić należności z tytułu zaciągniętych kredytów, co spowodowało gwałtowny skok inflacji, ale od tego czasu notowano już stały wzrost gospodarczy.

Media rozkwitały; w niespotykany krótkim czasie Rosjanie zdołali stworzyć piękną, naprawdę wysokiej klasy telewizję, którą uzupełniały wiadomości przekazywane w licznych gazetach i publikacjach elektronicznych. Zaczynała funkcjonować poprawnie infrastruktura. Choć, oczywiście, nie rozwiązano wszystkich nękających ją problemów, to pociągi międzymiastowe znów kursowały zgodnie z rozkładem, poczta wykonywała usługi należycie, a prywatne numery telefonów stawały się coraz bardziej powszechne. Jedną z prywatnych firm, dostawca telefonii komórkowej, zadebiutowała w 1992 roku z powodzeniem na giełdzie nowojorskiej.

Mimo to rząd nie potrafił przekonać ludzi, że sytuacja w kraju uległa znacznej poprawie w stosunku do warunków, w jakich żyło się jeszcze kilka lat wcześniej, i była nieporównywalnie lepsza od stanu sprzed dekady. Rozpad Związku Radzieckiego sprawił, że Rosjanie stracili grunt pod nogami. Od tamtego czasu ich życiem rządziła narastająca niepewność jutra, a każda porażka stanowiła jedynie kolejny dowód nieuchronności ponurego

końca. Każde zwycięstwo natomiast rodziło strach o to, co zostało zdobyte z takim trudem. Jelcyń mógł odwoływać się jedynie do swoich populistycznych zagrań, a te nie zdołały sprostać oczekiwaniom narodu ani zmienić go w żaden sposób. Jako przywódca nie miał ludziom do zaproponowania ani nowych dróg, ani nowej retoryki. Jedyne, co mu pozostało, to spróbować dać im to, czego pragnęli.

Nikt nie potrafił stwierdzić, o czym marzyli wtedy obywatele Rosji, było natomiast oczywiste, że zdecydowanie nie chcieli widzieć Jelcyna w roli swojego przywódcy. Dziesiątki milionów Rosjan winiły go osobiście za każde niepowodzenie, jakie spotkało ich w ciągu minionych dziesięciu lat, za utracone nadzieje i zniszczone pragnienia, a nawet, choć wydaje się to nieprawdopodobne, za utraconą młodość. Nienawiść obywateli do Jelcyna była ogromna, zatem każdy, kto przejąłby po nim władzę, mógłby z łatwością zyskać poklask. Wystarczyłoby jedynie postawić byłego prezydenta w stan oskarżenia. Schorowany Jelcyń obawiał się najbardziej rosnącego w siłę bloku Otczestwo - Wsja Rossija (Ojczyzna - Wszechrosja; nazwa ugrupowania, będąca połączeniem nazw dwóch tworzących ją partii, nie była zbyt elegancka). Na jego czele stali były premier Rosji oraz kilku merów i gubernatorów. Po dojściu do władzy niechybnie spróbowaliby wziąć odwet na Jelcynie i członkach Rodziny, co oznaczało, że były prezydent spędziłby ostatnie dni życia w więzieniu.

W tym momencie na scenie pojawił się Władimir Putin. Bieriezowski wspomina przebieg prowadzonych przez Rodzinę rozpaczliwych poszukiwań następcy prezydenta. Nie sposób nie zauważyć dysproporcji - niewielka grupa ludzi żyjących w niemal zupełnej izolacji (może nawet należałoby powiedzieć: w oblężeniu) szuka desperacko kogoś, komu można by powierzyć pieczę nad największym krajem świata, kto wziąłby w posiadanie jego potencjał nuklearny i kto poniósłby brzemień jego tragicznej historii. Lista kandydatów nie była długa; mniej pozycji liczył jedynie spis wymagań, jakie im stawiano. Ostatecznie wszyscy, którzy mieli jakiegokolwiek ambicje polityczne czy predyspozycje do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji, dawno już opuścili Jelcyna. Nowi kandydaci wywodzili się z kręgu wpływowych, acz zupełnie nieznanymi ogółowi ludzi. Bieriezowski utrzymuje, że Putin był jego osobistym protegowanym. Wyznanie to usłyszałam w podlondyńskiej willi oligarchy (obiecałam, że natychmiast po powrocie do miasta zapomnę, jak do niej dotrzeć). Bieriezowski i Putin spotkali się w 1990 roku, gdy biznesmen szukał kontaktów, które umożliwiłyby mu rozwinięcie filii firmy w Leningradzie. Był wówczas dilerem Łady, marki tandetnych samochodów produkowanych w Związku Radzieckim na starej licencji Fiata. Jego firma sprowadzała też używane pojazdy z Europy Zachodniej i utrzymywała sieć stacji oferujących naprawę tych aut. Putin był wtedy bliskim współpracownikiem Anatolija

Sobczaka, ówczesnego włodarza miasta. Pomógł Bieriezowskiemu uruchomić stację obsługi pojazdów jeszcze w Leningradzie, odmawiając jednocześnie przyjęcia łapówki; już samo to wystarczyło, by oligarcha go sobie zapamiętał. „Był pierwszym urzędnikiem, który nie brał łapówek”, zapewniał mnie Bieriezowski. „Naprawdę. Zrobiło to na mnie piorunujące wrażenie”. (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Borysem Bieriezowskim w czerwcu 2008 roku).

Bieriezowski zaczął regularnie wpadać w odwiedziny do Putina za każdym razem, gdy pojawiał się w Petersburgu. Chyba potrafię sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę nieco szalony sposób bycia biznesmena, jak wyglądały te wizyty. Zapewne wbiegał do gabinetu Putina, trajkotał jak przekupka i wypadał z pokoju, nie zwróciwszy nawet uwagi na reakcję gospodarza. Podczas naszej rozmowy Bieriezowski nie potrafił przypomnieć sobie czegokolwiek, co miałyby powiedzieć Putin w czasie tych spotkań, „ale wierzyłem, że jest naszym sprzymierzeńcem”, podsumował za to. Zaimponowała mu także postawa Putina, gdy ten odmówił pozostania na stanowisku zastępcy mera po przegranej Sobczaka.

Z chwilą przeprowadzki do Moskwy Putina, który w 1996 roku przyjął posadę w administracji Kremla, spotkania tych dwóch stały się jeszcze częstsze.

Od tej pory odbywały się w luksusowym klubie należącym do Bieriezowskiego. Biznesmen, korzystając ze swoich wpływów, zdołał doprowadzić do ustawienia znaków zakazu wjazdu przy dwóch kolejnych przecnicach ulicy w centrum Moskwy. Wydzielił w ten sposób jej fragment do prywatnego użytku (tym samym pozbawiając pozostałych mieszkańców prawa dojazdu do własnych domów).

Ale na początku 1999 roku ten wszechwładny dotąd człowiek znajdował się w opałach, znacznie większych niż pozostali członkowie Rodziny; jego jednego wyjątkowo dotknęła utrata dotychczasowej pozycji w światku towarzyskim Moskwy. Bieriezowski, uwikłany w desperacką i, jak się wydawało, skazaną na przegraną walkę o władzę z byłym premierem Jewgienijem Primakowem, który stanął na czele antyjelcynowskiej koalicji, stał się wyrzutkiem. „Pamiętam urodziny mojej żony, Leny”, wspominał. „Postanowiliśmy nie zapraszać wielu osób. Nie chcieliśmy, by relacje ewentualnych gości z Primakowem uległy pogorszeniu, więc ograniczyliśmy się do grona najbliższych przyjaciół. W pewnym momencie pojawił się mój ochroniarz i oznajmił: »Borysie Abramowiczu, za dziesięć minut przyjedzie Władimir Władimirowicz Putin«. Pytam zatem: »Co się stało?«, a on odpowiada: »Chciałby złożyć życzenia urodzinowe pani Lenie«. I rzeczywiście, dziesięć minut później Putin stał już w drzwiach z bukietem kwiatów w ręce. Pytam więc: »Wołodia, po co to robisz? I bez tego masz wystarczająco dużo problemów. Robisz to na pokaz?«, a on

odpowiada: »Tak, zdecydowanie robię to na pokaz«.

W ten sposób przypieczętował naszą przyjaźń. Zaczęło się od tego, że nie wziął łąpówki, potem nie opuścił Sobczaka, a tamta wizyta przekonała mnie, że mam do czynienia z dobrym, bezpośrednim człowiekiem. Wywodzącym się z KGB, ale nadal człowiekiem”. Ten obraz na zawsze utkwiał Bieriezowskiemu w pamięci.

Bieriezowski to typowy rosyjski biznesmen z tamtych czasów: nieprzeciętnie inteligentny, doskonale wykształcony i kochający ryzyko. Jak większość jemu podobnych, pochodził z żydowskiej rodziny, przez co od wczesnego dzieciństwa stał zawsze nieco na uboczu. Jak każdy z nich cierpiał na przerost ambicji, a energia dosłownie go rozsadzała. Z wykształcenia doktor matematyki, zajął się prowadzeniem firmy importującej i eksportującej samochody oraz świadczącej usługi serwisowe. Zakupy lewarowane w połączeniu z hiperinflacją pozwoliły mu wyłudzić miliony dolarów od największego producenta samochodów w Rosji. (Hoffman).

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych zajął się bankowością, nie rezygnując wcale z handlu autami, potem wszedł w posiadanie udziałów w rafinerii i co najważniejsze, stanął na czele telewizji publicznej, tak zwanego Kanału Pierwszego - najczęściej oglądanego programu. (Jak dotąd nie udało się ustalić, czy Bieriezowski rzeczywiście był właścicielem 25% Sibneftu i 49% ORT, pierwszego kanału telewizji. W chwili przygotowywania książki do druku nie było jeszcze wyroku sądowego w tej sprawie. Wiadomo natomiast, że był głównym dyrektorem stacji telewizyjnej i że czerpał znaczne korzyści z rafinerii). Dzięki temu mógł docierać do 98 procent domów w Rosji.

Podobnie jak pozostali oligarchowie, Bieriezowski zaangażował się w kampanię reelekcyjną Jelcyna, ale w odróżnieniu od reszty zrobił z tego dobry użytek, wpływając na kilka istotnych nominacji. Kursował po kraju, pośrednicząc w układach politycznych, udzielał się czynnie w negocjacjach pokojowych w Czeczenii, nurzał się w rosnącej sławie. Usilnie kreował się na szarą eminencję, z pewnością wyolbrzymiając swoje wpływy. Jestem też przekonana, że wierzył przynajmniej w połowę tego, co mówił bądź sugerował, widząc pewne sprawy dokładnie takimi, jakimi je przedstawiał. W efekcie kolejni zagraniczni korespondenci pracujący w Rosji żyli w przekonaniu, że w kraju za sznurki pociągał Bieriezowski. najłatwiej JEST manipulować człowiekiem, który przecenia swoją wielkość. Podczas gdy Rodzina zastanawiała się nad wyborem następcy prezydenta, Bieriezowski kilkakrotnie spotkał się z Putinem, w owym czasie szefem rosyjskich służb specjalnych. Czystki Jelcyna nie ominęły żadnej z organizacji rządowych, a więc również w FSB (Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, następczyni KGB) władze zmieniały się kilka razy.

Bieriezowski utrzymuje, że to on wspomniał po raz pierwszy o Putinie ówczesnemu szefowi kancelarii prezydenckiej, Walentinowi

Jumaszewowi. „Powiedziałem: »Mamy jeszcze Putina. On przecież pracował w służbach specjalnych, prawda?«. »Owszem, pracował«, przyznał Wala, na co zareagowałem, mówiąc: »Słuchaj, wydaje mi się, że to jest jakieś wyjście. Zastanów się, ostatecznie on jest po naszej stronie«. »Ale stoi raczej nisko«, zauważył Wala. Wtedy stwierdziłem: »Ostatecznie to rewolucja. Wszystko wywraca się do góry nogami, więc...«,,

Rozmowa ta, przytoczona w kontekście mianowania szefa służb bezpieczeństwa jednego ze światowych mocarstw nuklearnych, brzmi tak absurdalnie, że jestem gotowa w nią uwierzyć. Putin rzeczywiście był pracownikiem niższego szczebla. Z czynnej służby odszedł w stopniu podpułkownika, w siłach rezerwy awansował automatycznie na pułkownika, a podobno z chwilą mianowania go szefem FSB zaproponowano mu przyjęcie generalskich gwiazdek, ale odmówił.

Jego żona stwierdziła później, że „do dowodzenia pułkownikami nie potrzeba generała, tylko człowieka, który będzie w stanie wydawać rozkazy”. Być może Putin potrafił rozkazywać generałom, ale ewidentnie nie czuł się na nowej posadzie bezpiecznie. Bardzo szybko zaczął przyznawać wysokie funkcje w aparacie federalnym ludziom, których znał jeszcze z czasów pracy w leningradzkim oddziale KGB. Do czasu objęcia pełnej kontroli nad FSB unikał nawet własnego gabinetu; wszystkie spotkania z Bieriezowskim odbywały się w znajdującej się za nim nieczynnej windzie. Tylko tam, jak utrzymywał Putin, nie istniało ryzyko nagrania rozmów. Zniszczone ściany nieczynnego dźwigu były jedynymi świadkami codziennych spotkań oligarchy z szefem służb specjalnych, podczas których panowie planowali kampanię przeciwko byłemu premierowi Rosji, Primakowowi, i zastanawiali się, jak umieścić Putina na najwyższym stanowisku w państwie. Bieriezowski utrzymuje, że pierwotnie potencjalny kandydat wyrażał się o planie wyjątkowo sceptycznie, ale słuchał chętnie. Biznesmen wspominał, jak pewnego dnia Putin zatrzaskał bezmyślnie drzwi oddzielające szyb od korytarza przed biurem. Przyszły prezydent musiał mocno łomotać w ścianę, by zwrócić uwagę kogoś, kto wypuścił zamkniętych w windzie konspiratorów.

Ostatecznie Bieriezowski, nieustająco żyjący w przeświadczeniu, że reprezentuje interesy całej Rosji, wystąpił z oficjalną propozycją, można powiedzieć: oświadczył się kandydatowi w imieniu kraju. W lipcu 1999 roku poleciał do znajdującego się na południowym zachodzie Francji Biarritz, gdzie Putin spędzał wakacje. „Wcześniej uprzedziłem go telefonicznie, że chciałbym omówić z nim ważną sprawę”, wspomina biznesmen. „Gdy dotarłem na miejsce, okazało się, że cała rodzina Putinów: Władimir, jego

żona i dwie córki, wtedy jeszcze młodziutkie dziewczyny, wynajmowała bardzo skromne mieszkanie w ośrodku czasowym czy niewielkim apartamentowcu. Mała kuchnia i sypialnia, najwyżej kilka metrów.

Naprawdę bardzo skromnie”. Rosyjscy milionerzy, a Putin niewątpliwie zaliczał się już do tego grona, mieli wtedy w zwyczaju wynajmować na wakacje wielkie wille na Łazurowym Wybrzeżu. To wyjaśnia, dlaczego Bieriezowski był pod tak wielkim wrażeniem nieokazałego lokum Putinów. „Rozmawialiśmy cały dzień. Wreszcie powiedział: »Dobrze, spróbujemy, ale sam rozumiesz, że muszę usłyszeć tę propozycję od samego Borysa Nikołajewicza [Jelcyna]«,.

Przypominało to podchody rodem ze szmoncesu. Swat spotyka się ze starym krawcem, by omówić z nim sprawę małżeństwa jego średniej córki z dziedzicem imperium Rothschildów. Krawiec ma wątpliwości - nie widzi powodów, by wydawać za mąż średnią, skoro najstarsza ciągle jest panną, nie chce, by córka wyprowadzała się zbyt daleko, wreszcie nie ma pewności, czy młody Rothschild jest odpowiednio pobożnym człowiekiem. Swat ma na to jedną odpowiedź - przecież rozmawiają o małżeństwie z dziedzicem fortuny Rothschildów. Wreszcie krawiec ulega. „Doskonale”, stwierdza swat. „Teraz muszę tylko przekonać Rothschildów”.

Bieriezowski zapewnił, że Jelcyn wie o wszystkim. „Powiedziałem: »Ależ, Wołodia, o czym ty mówisz? Przecież to on przysłał mnie do ciebie, żeby później nie wynikły żadne nieporozumienia. Wyobraź sobie, że zaproponowałby ci ten układ, a ty odmówiłbyś, tak jak już wielokrotnie mnie, stwierdzając, że nie chcesz tego stanowiska«. W końcu uległ. Wróciłem do Moskwy i przekazałem szczegóły rozmowy Jumaszewowi. Kilka dni później - trudno mi teraz powiedzieć, ile dokładnie - Putin przyleciał do Moskwy i spotkał się z Borysem Nikołajewiczem.

Reakcja tego ostatniego była co najmniej dziwna. Pamiętam, jak powiedział mi: »Wydaje się być w porządku, ale jest jakiś mały«,.

Córka Jelcyna, Tatiana Jumaszewa, wspomina całą historię zupełnie inaczej. Pamięta, że ówczesny szef kancelarii Jelcyna, Wołoszyn, i jeden z jego poprzedników, Czubajs, dyskutowali na ten temat zażarcie. Obydwaj byli zdania, że Putin jest dobrym kandydatem, ale Czubajs nie wierzył, by parlament mianował go premierem. Gdy szefowie kancelarii przedstawiali swoje argumenty Jelcynowi, Bieriezowski polecał do Biarritz na rozmowę z Putinem; chciał, by wszyscy w kraju wierzyli, że to od niego zależy przyszłość Rosji.

Jednak wszyscy uczestnicy tamtych narad są zgodni co do jednego - myśl o przyszłości kraju napawała ich lękiem. Tatiana Jumaszewa wspomina: „Czubajs był

przekonany, że Duma nie zatwierdzi kandydatury Putina. W takiej sytuacji parlament zostałby rozwiązany po trzech głosowaniach, to zaś oznaczałoby, że [były premier] Primakow i [mer Moskwy Jurij] Łużkow zdobyliby w następnych wyborach bezwzględną większość, a może nawet kwalifikowaną. Kraj znalazłby się wtedy na równi pochyłej prowadzącej wprost do wybuchu wojny domowej.

Najbardziej optymistyczny scenariusz zakładał dojście do władzy neokomunistów, których program odbiegał od dawnej linii partii tylko na tyle, na ile było to absolutnie konieczne we współczesnych warunkach. Oczywiście, wszystkie przedsiębiorstwa zostałyby ponownie znacjonalizowane, granice zamknięte, a wolna prasa zlikwidowana”.

„Każda chwila przybliżała nas do katastrofy”, podsumowuje Bieriezowski. „Straciliśmy mnóstwo czasu oraz przewagę, jaką dawała nam pozycja. Primakow i Łużkow zdołali zadbać o poparcie w całym kraju. Do ich ruchu przyłączyło się blisko pięćdziesięciu gubernatorów [z osiemdziesięciu dziewięciu], A przecież Primakow był potworem i chciał powrotu do starych układów. Zniszczyłby wszystko, czego dokonaliśmy przez te lata”.

Dlaczego, uznawszy, że znajduje się w tak tragicznym położeniu, Rodzina szukała wybawienia w Putinie? Czubajs stwierdził, że Putin jest kandydatem doskonałym, Bieriezowski wyraźnie przyznał, że to genialny wybór. Co takiego widzieli w Putinie? Dlaczego uznali, że będzie potrafił rządzić państwem?

W wyniesieniu Putina do władzy najdziwniejsze wydaje się być to, że ludzie, którzy zadecydowali o jego awansie, naprawdę wiedzieli o nim niewiele więcej niż ty, drogi czytelniku. Bieriezowski wyznał, że nigdy nie uważał Putina za swojego przyjaciela, a jego osobowość wydała mu się mało interesująca. To bardzo radykalna opinia, zwłaszcza jeśli zauważyć, że padła z ust człowieka, który żywiołowością i intelektem potrafi przyciągnąć do siebie każdego i utrzymać zainteresowanie sobą wyłącznie urokiem osobistym. Fakt, że Bieriezowski nie znalazł w Putinie niczego godnego uwagi na tyle, by starać się go do siebie przyciągnąć, świadczy niezbicie, że nigdy nie dostrzegł w nim ani odrobiny oryginalności. Jednak Bieriezowski uznał, że wszystkie cechy, przez które trzymał Putina na dystans, u człowieka wybieranego na następcę Jelcyna będą przymiotami. Wszak Putin wydawał się być wyprany z osobowości, nie przejawiał też najmniejszych oznak interesowności. Wydawało się, że kontrolowanie takiego człowieka - wymuszenie na nim uległości i zdyscyplinowanie go - nie będzie niczym trudnym. Bieriezowski nie mógł mylić się bardziej.

Czubajs znał Putina przelotnie z czasów, gdy obydwoj pracowali w magistracie najpierw jeszcze Leningradu, a później Petersburga - Czubajs na stanowisku doradcy do spraw ekonomii, Putin jako zastępca Sobczaka. Czubajs pamiętał Putina głównie z

pierwszego roku pracy u boku mera. Był to gorący czas i nawet Putin zachowywał się wtedy z niespotykaną u niego żywiołowością, sprawiał wrażenie zainteresowanego wszystkim, stale zadawał pytania. Czubajs wyjechał z Petersburga w listopadzie 1991 roku, by dołączyć do formowanego w Moskwie rządu, więc to pierwsze odczucie pozostało mu już na zawsze.

A co myślał o człowieku, który lada dzień miał zostać namaszczony na jego następcę, sam Borys Jelcyn? Prezydent widział w nim jednego z nielicznych, którzy trwali wiernie u jego boku. Wiedział, że Putin to człowiek innego pokolenia - w odróżnieniu od niego samego, jego przeciwnika Primakowa oraz armii popierających tego ostatniego gubernatorów - nigdy nie torował sobie drogi przez szeregi Partii Komunistycznej, nie musiał więc publicznie deklarować zmiany poglądów po upadku Związku Radzieckiego. Nawet wygląd różnił go od dotychczasowych przywódców, potężnie zbudowanych i jak się wydawało, od zawsze naznaczonych zmarszczkami. Ten niewysoki, szczupły człowiek, który już wtedy miał w zwyczaju ubierać się w dobrze skrojone garnitury najlepszych europejskich firm, sprawiał wrażenie doskonałego przedstawiciela nowej Rosji, którą dziesięć lat wcześniej obiecywał wyborcom Jelcyn. Poza tym prezydent był przekonany, że Putin nie dopuści do postawienia go w stan oskarżenia czy do jego prześladowań. A może po prostu bardzo chciał w to wierzyć? Jeśli ponadto pozostała mu choć cząstka dawnego wyczucia politycznego, wiedział, że Rosjanie nie odrzucą człowieka, którego zostawia im w spadku. Człowieka, który ma przejąć po nim schedę. A szary, niepozorny mężczyzna pozwalał wszystkim widzieć w sobie to, co chcieli w nim zobaczyć.

Dziewiątego sierpnia 1999 roku Borys Jelcyn mianował Władimira Putina premierem Rosji, a tydzień później nominacja została zatwierdzona większością głosów przez posłów Dumy. Przedstawiciele ludu polubili Putina, a przynajmniej nie widzieli powodu, by odrzucać jego kandydaturę. Stało się tak, jak przewidział Jelcyn.

Rozdział drugi

WOJNA PRZEDWYBORCZA

Wiesz, niektórzy uważają, że za tymi zamachami stoi FSB - zagadnął mnie pewnego wrześnieowego popołudnia 1999 roku mój wydawca, jeden z najbardziej przenikliwych ludzi, jakich przyszło mi poznać. - Wierzysz w to?

Moskwa i inne miasta Rosji były od trzech tygodni sparaliżowane strachem w wyniku serii niewyjaśnionych wybuchów. Pierwszy ładunek został zdetonowany 31 sierpnia w zatłoczonym centrum handlowym w sercu Moskwy. Jedna osoba zginęła, a przeszło trzydzieści zostało rannych. Początkowo podejrzewano, że to wyjątkowo makabryczny dowcip lub element rozgrywki grup interesów. Pięć dni później, w wyniku kolejnej eksplozji, zniszczeniu uległa duża część bloku mieszkalnego w znajdującym się na południu kraju Bujnaksu, dagestańskim mieście sąsiadującym z republiką Czeczenii. W zamachu zginęły sześćdziesiąt cztery osoby, sto czterdzieści sześć zostało rannych. Ponieważ jednak budynek zamieszkiwały rodziny oficerów armii rosyjskiej, cywile, zwłaszcza mieszkańcy Moskwy, nie poczuli zagrożenia czy strachu, mimo że wśród ofiar znalazło się dwadzieścioro troje dzieci.

Cztery dni później, czyli 8 września, na dwie sekundy przed wybiciem północy dźwięk eksplozji obudził mieszkańców bloków w dzielnicysypialni na moskiewskim przedmieściu. Jeden z gęsto zaludnionych bloków został rozerwany na pół - dwie klatki schodowe i znajdujące się przy nich siedemdziesiąt dwa mieszkania dosłownie zniknęły z powierzchni ziemi. W wyniku zamachu życie straciło dokładnie sto osób, obrażenia odniosło blisko siedemset. (Liczba ofiar na podstawie wyroku wydanego przez sąd moskiewski w sprawie A.O.

Diekkuszewa i J.I. Krymszamchałowa). Minęło zaledwie pięć dni, a runął kolejny budynek na obrzeżach Moskwy. Ośmiopiętrowa ceglana konstrukcja złożyła się jak domek z kart. Dziennikarze, którzy rano dotarli na miejsce tragedii, zauważyli, że bloki betonowe rozpadają się na zewnątrz, a budynki z cegły zapadają do środka. Do wybuchu doszło około piątej rano, zatem w chwili tragedii większość mieszkańców przebywała wewnątrz. Zginęli niemal wszyscy - w wyniku zamachu zmarły sto dwadzieścia cztery osoby, siedem zostało rannych.

Po kolejnych trzech dniach, 16 września, na ulicy Wołgodońska, miasta na południu Rosji, eksplodowała wypełniona materiałami wybuchowymi ciężarówka. Zginęło dziewiętnaście osób, zostało rannych kilkuset.

W całym kraju wybuchła panika. Mieszkańcy Moskwy i innych większych miast powołali natychmiast patrole obywatelskie. Ludzie woleli sprawdzać okolicę choćby dlatego, że przebywanie na ulicach wydawało się bezpieczniejsze od spędzenia nocy we własnym łóżku. Ochotnicy zatrzymywali wszystkich, którzy wydawali się podejrzeni, co bardzo często oznaczało sprawdzanie każdej osoby nienależącej do patrolu. Przynajmniej jedna z moskiewskich grup zatrzymywała wszystkich ludzi wyprowadzających na kontrolowanym terenie psy i sprawdzała, czy ludziom rzeczywiście towarzyszy zwierzę. Meldunki o podejrzenie wyglądających osobach i dziwnych obiektach służyły w zastraszającym tempie do posterunków milicji.

Dwudziestego drugiego września patrol milicji z Riazania, miasta oddalonego od Moskwy o sto kilkadziesiąt kilometrów, odpowiedział na jedno z takich zgłoszeń. Pod schodami w bloku mieszkalnym funkcjonariusze znaleźli trzy torby z materiałem wybuchowym.

Zastraszeni i pogrążeni w rozpacz Rosjanie nie mieli żadnych wątpliwości, że za zamachami stali Czeczeni; sama nie należałam do wyjątków. Kilka wcześniejszych dni spędziłam, odwiedzając mieszkających w Moskwie Czeczenów, uchodźców, ludzi, którzy przyjechali do pracy w stolicy lata temu, oraz pracowników tymczasowych, pensjonariuszy tanich hotelików. Wszyscy byli przerażeni.

Moskiewska milicja organizowała obławy na młodych Czeczenów; w związku z wybuchami zatrzymano już setki osób. Wielu mężczyzn, z którymi rozmawiałam, podejmowało znacznie bardziej drastyczne środki ostrożności niż pozostawanie w domach - odmawiali wpuszczania obcych do mieszkań i pokoi w noclegowniach. Jedno z czeczeńskich dzieci opowiedziało mi, że nauczyciel napisał obok siebie na tablicy słowa „wybuch” i „Czeczeni”.

Wiedziałam, że milicja przetrzymuje setki niewinnych osób, ale ciężko było mi pozbyć się natrętnej wizji winnego Czeczena czy grupy osób z Czeczenii. Lata 1994-1996 spędziłam w tym ogarniętym konfliktem kraju jako korespondent wojenny. Widziałam jego początek i koniec. Tam po raz pierwszy usłyszałam wybuch bomby z odległości kilkudziesięciu metrów. Znajdowałam się wtedy w klatce schodowej zamieszkanego przez niewidomych budynku na przedmieściach Groznego, stolicy Czeczenii. Było to w styczniu 1995 roku, na samym początku konfliktu. Wybrałam się do tej dzielnicy, ponieważ chciałam sprawdzić zapewnienia dowódców armii rosyjskiej, że nie prowadzą działań zbrojnych przeciwko cywilom. Nie sądzę, by ktokolwiek pasował lepiej do definicji cywila niż mieszkańcy tamtego domu: ślepi, bezradni, niezdolni do opuszczenia miasta.

Gdy wyszłam na zewnątrz, zobaczyłam wszędzie martwe i porozrywane ciała ofiar bombardowania.

Dzieci, które spotkałam tamtego dnia i później na ulicach Groznego, oglądały identyczne widoki. Te same dzieciaki spędziły nadchodzące tygodnie na chodnikach, pod ciągłym ostrzałem, czekając, aż ich matki przygotują jedzenie. Później przez wiele lat cisnęły się w małych klitkach, po kilkoro w jednym pokoju, bo większość domów w stolicy Czeczenii po prostu przestała istnieć. Zabraniano im wychodzić na ulice, by uchronić je przed okaleczeniem przez minę, gwałtem czy zatrzymaniem przez rosyjskich żołnierzy. Mimo to wychodziły i nawet jeśli same zdołały uniknąć przemocy, zatrzymania, tortur czy zniknięcia w niewyjaśnionych okolicznościach, widziały, jaki los spotykał ich siostry, braci i przyjaciół. Tamte dzieci dorosły, a ja naprawdę nie potrzebowałam wiele, by uwierzyć, że któreś z nich zapałało chęcią okrutnej zemsty.

Przeciętny Rosjanin nie był świadkiem okropieństw tamtej wojny, za to wszyscy oglądali reportaże z miejsc zamachów - a każdy kolejny przerażał bardziej niż poprzednie. Pamiętajmy, że wojna w Czeczenii tak naprawdę nigdy się nie skończyła. Porozumienie, które trzy lata wcześniej wypracował Bieriezowski, oznaczało wyłącznie zawieszenie broni. Rosjanie nadal prowadzili wojnę i jak każda strona takiego konfliktu, byli przekonani, że ich przeciwnicy są bardziej nieludscy od nich samych i zdolni do przejawów większego okrucieństwa.

Dwudziestego trzeciego września dwudziestu czterech gubernatorów, czyli przeszło jedna czwarta urzędników tego szczebla w całej federacji, podpisało się pod listem do prezydenta Jelcyna, by ten przekazał władzę Putinowi, który dopiero od miesiąca z okładem piastował funkcję premiera. Jeszcze tego samego dnia Jelcyn wydał tajny dekret, upoważniający armię do podjęcia działań zbrojnych na terenie Czeczenii. Dokument ten był niezgodny z prawem, (z przemówienia członka Dumy Siergieja Juszenkowa, wygłoszonego 24 kwietnia 2002 roku w Kennan Institute w Waszyngtonie), ponieważ konstytucja Rosji zabrania armii podejmowania działań zbrojnych na terytorium kraju. Jeszcze tego samego dnia rosyjskie siły powietrzne przeprowadziły bombardowanie Groznego; najpierw zniszczono lotnisko i rafinerię, następnie osiedla mieszkaniowe. Dzień później również Putin wydał rozkaz zezwalający oddziałom rosyjskim na udział w walkach na terytorium Czeczenii. Według prawa premier Rosji nie ma żadnej kontroli nad siłami zbrojnymi, jednak tym razem nikt nie silił się nawet na utajnianie dokumentu.

Tegoż dnia premier wystąpił po raz pierwszy w telewizji. „Wytropimy ich i zniszczymy, gdziekolwiek ich znajdziemy. Jeśli akurat będą w kiblu, dorwiemy ich tam i

potopimy”, obiecał Rosjanom. (Wystąpienie telewizyjne Putina z 24 września 1999 roku).

Retoryka Putina odbiegała znacząco od wystąpień, do jakich przyzwyczaił obywateli Jelcyn. Nowy premier nie obiecywał nikomu postawienia winnych przed obliczem sprawiedliwości, nie wyrażał ubolewania dla rodzin zmarłych w wyniku eksplozji i poszkodowanych w zamachach. Przemawiał w sposób niepozostawiający wątpliwości, jak zamierza kierować losami państwa. Przed kamerami stanął przywódca, który planował sprawować władzę żelazną ręką. Wulgarny język, często naszpikowany ciężkimi żartami, stał się cechą charakterystyczną wystąpień Putina. Popularność premiera zaczęła rosnąć.

Ani Bieriezowski, doktor nauk, ani jego armia propagandzistów, składająca się głównie z wykształconych ludzi, zdawali się nie dostrzegać sprzeczności pomiędzy celem, jaki chcieli osiągnąć - zapewnieniem przyszłości demokratycznej Rosji - a działaniami człowieka, który miał to zagwarantować. Niestrudzenie wprowadzali swój plan w życie, wykorzystując do tego potęgę Kanału Pierwszego, stacji telewizyjnej, którą de facto rządził Bieriezowski. Telewizja bezustannie nadawała programy oczerniające byłego premiera Primakowa i jego popleczników, często w wyszukany sposób. W jednej z bardziej zapadających w pamięć audycji wyjaśniano nadzwyczaj dokładnie, w raczej odrażający sposób, anatomiczne szczegóły operacji biodra, jaką przeszedł wcześniej lider opozycji. W innej skupiono się na rzekomym podobieństwie mera Moskwy, Jurija Łużkowa, do Mussoliniego. (Niepublikowana notatka służbowa przekazana mi przez zespół Bieriezowskiego w listopadzie 1999 roku)

Poza dyskredytowaniem przeciwników sojusznicy Putina (mający się w gruncie rzeczy nie tyle za jego stronników, ile za stwórców) budowali i promowali odpowiadający im wizerunek premiera.

Nie można powiedzieć, by w tamtym czasie Putin prowadził kampanię - wybory prezydenckie miały odbyć się dopiero za rok, a praktyka prowadzenia wydłużonej agitacji nie była w Rosji znana - ale ludzie, którzy chcieli go widzieć na najwyższym stanowisku w państwie, zachowywali się tak, jakby wyścig do fotela prezydenckiego już się rozpoczął. Zadanie stworzenia odpowiedniego obrazu przyszłego kandydata na prezydenta, czyli przedstawienie Putina jako młodego, pełnego zapału polityka, gotowego wprowadzać tak bardzo potrzebne reformy, powierzono agencji doradczej Fundacja Polityki Efektywnej, mieszczącej się w jednym z najpiękniejszych historycznych budynków Moskwy, dokładnie naprzeciwko Kremla. Kobieta, która odegrała w przygotowaniu tej kampanii zasadniczą rolę, powiedziała mi: „Wszyscy mieli już tak dość Jelcyna, że nie musieliśmy się nawet zbytnio wysilać”. (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Mariną Litwinowicz 1 czerwca

2008 roku).

Moja rozmówczyni, Marina Litwinowicz, jak większość ówczesnych pracowników Fundacji Polityki Efektywnej, była bardzo młoda i choć doskonale wykształcona (ukończyła właśnie jedną z najlepszych uczelni w kraju), nieobyta ze światem polityki. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że cechowała ją pewna naiwność. Pracę w fundacji podjęła jeszcze w czasie studiów, udzielając się w niepełnym wymiarze godzin, a trzy lata później kierowała już pracą zespołu odpowiedzialnego za przeprowadzenie prezydenckiej kampanii. Mimo że całą sobą popierała demokratyczne idee, nie widziała niczego złego w sposobie wyznaczenia następcy prezydenta i promowania go tak, by sposób ten zadowolił wyborców; po prostu zaufała ludziom, którzy obmyślili cały plan. Kilka lat po tamtych wydarzeniach powiedziała mi: „W prasie wydrukowano kilka artykułów wspominających, że Putin wywodzi się z KGB, ale w centrali pojawiali się sami liberałowie, więc byliśmy przekonani, że to oni znajdą się później w najbliższym otoczeniu prezydenta”.

Jak się okazało, wierzyli w to nie tylko młodzi i naiwni. Późnym latem 1999 roku byłam na obiedzie ze starym znajomym, dysydem z lat siedemdziesiątych, Aleksandrem Goldfarbem. Spotkanie to dało mi wiele do myślenia. Goldfarb był tłumaczem Andrieja Sacharowa, później wyemigrował i lata osiemdziesiąte spędził w Nowym Jorku. W latach dziewięćdziesiątych zasłynął jako działacz społeczny. Doradzał w sprawach związanych z Rosją filantropowi George'owi Sorosowi, później zajął się nagłaśnianiem sprawy epidemii gruźlicy opierającej się dotąd skutecznym lekiem, która wybuchła w Rosji, i niemal samodzielnie zorganizował akcję walki z chorobą. Siedzieliśmy zatem razem w restauracji. Podczas obiadu rozmowa zeszła na Putina. „To człowiek KGB”, rzuciłam od niechcienia, bardziej by sprawdzić tę teorię, niżby wywołać polemikę. „Ale Czubajs twierdzi, że to człowiek zdolny, skuteczny i słowny”, padła natychmiastowa riposta.

Czarowi legendy wykreowanej przez Fundację Polityki Efektywnej uległ nawet były opozycjonista!

Wraz z eskalacją konfliktu w Czeczenii złudzeniu ulega! stopniowo cały kraj. W tym samym czasie Bieriezowski wpadł na pomysł utworzenia nowej partii, która byłaby całkowicie wolna od ideologii. Gdy opowiada mi o tym dziewięć lat później, nadal sprawia wrażenie przekonanego, że było to genialne posunięcie. „Gdybyśmy posłużyli się słowami, nikt by ich nie usłyszał.

Dlatego zdecydowałem się zastąpić program twarzami”. Jego ludzie wszczęli więc gorączkowe poszukiwania, ostatecznie decydując się na wizerunki kilku znanych osób i jednego ministra. Jednak najważniejsze oblicze należało do człowieka, który jeszcze kilka

tygodni wcześniej w ogóle nie istniał w świadomości społeczeństwa. Dzięki zaangażowaniu w kampanię jego własnego wizerunku wzrost popularności premiera przekładał się na wyższe notowania nowej siły politycznej. Niemal jedna czwarta głosów oddanych w wyborach parlamentarnych 19 grudnia 1999 roku przypadła liczącemu sobie zaledwie dwa miesiące ugrupowaniu, nazywanemu Jedinstwo (Jedność) lub Miedwied' ((Niedźwiedź), - (Od skrótu pełnej rosyjskiej nazwy: Mieźregionalnoje dwiżenije - Jedinstwo) czyniąc go tym samym drugą pod względem liczby mandatów frakcją w izbie niższej parlamentu.

Ktoś z Rodziny (dziś już nikt nie potrafi sobie przypomnieć, kto dokładnie) wpadł na genialny pomysł, który musiał zapewnić Putinowi przewagę w wyścigu do prezydenckiego fotela: na wcześniejszą rezygnację Jelcyna z pełnionej funkcji. Wtedy, zgodnie z prawem, Putin jako urzędujący premier przejąłby obowiązki prezydenta do czasu rozpisania nowych wyborów, a po nich stałby się formalnie urzędującym prezydentem. Takie posunięcie zaskoczyłoby jego przeciwników politycznych i jednocześnie skróciło czas prowadzenia kampanii wyborczej. Rodzina uznała, że najlepszym dniem na ogłoszenie rezygnacji będzie 31 grudnia. Wiadomość o ustąpieniu prezydenta Rosji przyćmi bowiem wszystko inne: zbliżający się koniec tysiąclecia, tak zwany problem pluskwy milenijnej czy dowolne inne wydarzenie gdziekolwiek na świecie. Byłoby to posunięcie iście w jalcynowskim stylu. Ogłoszenie decyzji w przeddzień zwyczajowego dwutygodniowego okresu świątecznego miało dodatkowo utrudnić rozpoczęcie kampanii oponentom Putina.

Nowy rok to od lat najważniejsze świeckie święto w Rosji. Ostatniego dnia roku wszyscy Rosjanie spotykają się w kręgu rodziny i najbliższych przyjaciół, a tuż przed wybiciem północy włączają telewizory, by obserwować, jak zegar na wieży Kremla odlicza ostatnie sekundy. Wznoszą wtedy toast i dopiero po dopełnieniu tej tradycji zasiadają do wspólnej kolacji. Przyjęło się, że tuż po północy człowiek stojący na czele państwa wygłasza orędzie do narodu. Borys Jelcyn podjął ten wywodzący się jeszcze z czasów Związku Radzieckiego zwyczaj, pojawiając się w telewizji 31 grudnia 1992 roku (ostatniego dnia 1991 roku, w którym ZSRR przestał oficjalnie istnieć, przed narodem wystąpił aktor). (Za symboliczną datę rozpadu ZSRR przyjmuje się dzień 25 grudnia 1991 roku, kiedy pierwszy i ostatni prezydent tego państwa Michaił Gorbaczow podał się do dymisji. Według oficjalnej historiografii, ZSRR przestał istnieć 26 grudnia 1991 roku, kiedy to wyższa izba parlamentu przyjęła stosowną deklarację).

Tym razem Jelcyn pojawił się w telewizji dwanaście godzin przed spodziewanym wystąpieniem. „Przyjaciele”, powiedział. „Najdrożsi, dziś po raz ostatni zwracam się do was w wigilię Nowego Roku. To jednak nie wszystko. Dziś też po raz ostatni przemawiam do was

jako prezydent Rosji. Podjąłem wreszcie decyzję, choć nie była ona łatwa. Dziś, ostatniego dnia starego wieku, składam urząd... odchodzę... Rosja powinna powitać nowe tysiąclecie z nowymi politykami, nowymi twarzami, nowymi, błyskotliwymi, silnymi i pełnymi zapału ludźmi...

Dlaczego miałbym pozostawać na stanowisku przez następnych sześć miesięcy, skoro jest w tym kraju silny człowiek, który zasługuje na ten urząd i z którym wszyscy wiążemy nadzieje na lepszą przyszłość?”.

Następnie przeprosił Rosjan. „Przykro mi, że tak wiele z naszych marzeń się nie spełniło. Sprawy, które miały być proste, okazały się boleśnie skomplikowane. Przepraszam, że nie zdołałem spełnić oczekiwań tych, którzy marzyli, że jednym zdecydowanym ruchem zdołamy wyrwać się z szarej, niezmiennej rzeczywistości ustroju totalitarnego i przejść natychmiast do promiennego, dostatniego życia w cywilizowanym kraju. To był także mój sen... Nigdy dotąd nie mówiłem wam tego, lecz chcę, byście wiedzieli, że czułem wasz ból. Spędziłem bezsennie niejedną noc, bezsilnie biłem się z myślami, szukając sposobu, by uczynić wasze życie choć odrobinę bardziej znośnym... Odchodzę. Zrobiłem wszystko, co mogłem... Nadszedł czas nowego pokolenia - oni mogą działać więcej i zrobić to lepiej niż ja”. (Odezwa Borysa Jelcyna do narodu wygłoszona 31 grudnia 1999 roku).

Jelcyn przemawiał przez dziesięć minut. W pamięć zapadła jego nalana twarz oraz ciężka, nieruchoma sylwetka. Wyglądał na mocno przygnębionego, prawie jak uczestnik własnego pogrzebu na oczach milionów ludzi. Podczas trwania wystąpienia wyraz jego twarzy nie zmienił się niemal w ogóle, ale gdy żegnał się z Rosjanami, jego głos wyraźnie się załamał.

O północy w telewizji pojawił się Władimir Putin. Widać było, że przed kamerą czuje się niepewnie, nawet zająknął się na początku, ale po chwili oswoił się z sytuacją. Odezwa trwała zaledwie trzy i pół minuty. Co ciekawe, Putin nie skorzystał z okazji, by wygłosić mowę wyborczą. Nie składał żadnych obietnic, nie powiedział też niczego, co można było uznać za podnoszące na duchu. Zapewnił natomiast, że nic nie ulegnie zmianie i że prawa obywateli nie są w żaden sposób zagrożone. Kończąc, zaproponował wzniesienie toastu za „Rosję w nowym wieku”, choć nie miał kieliszka, którym mógłby go spełnić.

Od tej chwili Putin pełnił obowiązki prezydenta, a kampania prezydencka została oficjalnie rozpoczęta. Bieriezowski utrzymuje, że w tamtym okresie Putin zachowywał się w sposób zdyscyplinowany, można nawet powiedzieć: uległy. Robił to, co mu kazano - a kazano niewiele. Cieszył się już tak dużym poparciem, że w zasadzie odbyła się kampania bez agitacji, która doprowadziła do wyboru oczywistego faworyta. Jedynym zadaniem Putina

było zachowywać się w sposób jak najbardziej zbliżony do oczekiwań wyborców.

Dwudziestego szóstego stycznia 2000 roku, czyli dokładnie dwa miesiące przed wyborami, moderator grupy rosyjskiej na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos zapytał: „Kim jest pan Putin?”. Pytanie padło, gdy przy mikrofonie znajdował się Czubajs - człowiek, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej z takim zapałem przedstawiał Putina jako idealnego następcę urzędującego prezydenta. Teraz zaczął wiercić się niespokojnie w fotelu, po czym spojrzał pytająco na siedzącego po jego prawej stronie byłego premiera Rosji, ten jednak również zwlekał z odpowiedzią. Wszyscy czterej członkowie grupy zaczęli zerkać na siebie, wyraźnie zaniepokojeni. Trwało to może pół minuty, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Największy terytorialnie kraj świata, bogaty w zasoby ropy i gazu, posiadający arsenał jądrowy zyskał właśnie nowego przywódcę, a elity polityczne i ekonomiczne Rosji nie miały pojęcia, komu właśnie oddano władzę. Rzeczywiście, wysoce zabawne.

Tydzień później Bieriezowski wybrał troje dziennikarzy pracujących dla gazety, której był właścicielem, i zlecił im napisanie historii życia Putina. W zespole znaleźli się: młoda, urocza blondynka, która przez kilka lat relacjonowała wydarzenia na Kremlu, ale nie wybiła się znacząco na tle bardziej zauważalnych kolegów po fachu, i równie młody dziennikarz słynący z lekkiego, zabawnego sposobu pisania, lecz niezajmujący się wcześniej polityką. Trzecim członkiem zespołu okazała się prawdziwa gwiazda, weteranka reportażu politycznego, która na początku lat osiemdziesiątych opisywała konflikty zbrojne trwające w najprzeróżniejszych zakątkach globu, a pod koniec tamtej dekady (na zlecenie „Moskowskich Nowosti”, flagowego tygodnika okresu pieriestrojki) przygotowała serię artykułów o polityce, a w szczególności o działaniach KGB. Natalia Geworkian zaliczała się do elity - była najlepszą z najlepszych - zatem naturalną kolejną rzeczą to ona nadawała ton zespołowi. Ją też Bieriezowski znał najlepiej.

Kilka lat później tak wspominała tamten okres. „Bieriezowski ciągle do mnie wydzwaniał i pytał: »No, sama powiedz, czy on nie jest cholernie niesamowity?«. Powiedziałam mu wtedy: »Boria, twój problem polega na tym, że nigdy wcześniej nie spotkałeś pułkownika KGB. On nie jest cholernie niesamowity. Jest zupełnie przeciętny«,..

„Oczywiście, chciałam poznać człowieka, który miał od tamtej chwili rządzić krajem” (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Natalią Geworkian w czerwcu 2008

Roku), przyznała. „Po pewnym czasie doszłam do wniosku, że lubi mówić, a zwłaszcza o sobie, ale przyznaję, że w przeszłości przeprowadzałam wywiady ze znacznie ciekawszymi osobami. Po pięciu latach pisania o funkcjonariuszach KGB miałam pewne porównanie. Putin nie był ani lepszy, ani gorszy od nich wszystkich. Może myślał nieco

sprawniej i cechowała go nieco większa przebiegłość, nic ponadto”.

Poza zebraniem materiałów do książki Natalia Geworkian chciała wykorzystać te kilka dni, które spędziła z pełnionym obowiązkiem prezydenta, by poruszyć sprawę swojego przyjaciela. Andriej Babicki, pracownik finansowanego z amerykańskich funduszy Radia Swoboda, zaginął w styczniu gdzieś na terenie Czeczenii. Wiele wskazywało na to, że reporter został zatrzymany przez stronę rosyjską za notoryczne łamanie ścisłego zakazu samotnego przebywania w strefie działań wojennych. Podczas pierwszego konfliktu w Czeczenii poczynania Moskwy były bacznie obserwowane przez korespondentów i niejednokrotnie ostro krytykowane, więc tym razem reporterzy mogli poruszać się po strefie zmilitaryzowanej wyłącznie w towarzystwie osoby umundurowanej. Taka polityka nie tylko utrudniała dotarcie do obydwu walczących stron, ale także narażała życie dziennikarzy - w terenie ogarniętym konfliktem zbrojnym niemal zawsze bezpieczniej jest trzymać się z dala od żołnierzy i samemu nie nosić munduru.

Zatem co bardziej przedsiębiorczy reporterzy starali się obejść ten przepis, a nie - wielu mogło równać się w tym z Babickim, który od lat dostarczał informacje z Północnego Kaukazu.

Przez dwa tygodnie od jego zniknięcia ani rodzina, ani przyjaciele Babickiego nie otrzymali od Andrieja żadnych wieści, jednak w kręgach dziennikarskich bardzo szybko pojawiły się pogłoski, że reportera widziano w cieszącym się złą sławą rosyjskim obozie Czernokozowo w Czeczenii. Trzeciego lutego, dokładnie dzień po tym jak zespół Natalii Geworkian rozpoczął rozmowy z Putinem, by zebrać materiały do jego biografii, władze ogłosiły, że Babicki został wymieniony za trzech rosyjskich żołnierzy przetrzymywanych przez stronę czeczeńską. Rząd utrzymywał, że wymiana została przeprowadzona za zgodą dziennikarza, ale nie dało się ukryć, że armia rosyjska potraktowała go - obywatela własnego kraju - jak wrogię jeńca.

Natalia Geworkian zdecydowała się w końcu poruszyć sprawę Babickiego. Pytanie, które zadała, wywołało - jak opisuje - wybuch „nieskrywanej nienawiści”. Cała wystudiowana obojętność człowieka pełniącego obowiązki prezydenta rozprysła się w jednej chwili. Putin rozpoczął gniewną tyradę. „On działał na rzecz wroga. Nie zajmował się zbieraniem obiektywnych informacji. Pracował dla bandytów... Pracował dla bandytów. Dlatego gdy rebelianci powiedzieli: »Jesteśmy skłonni uwolnić kilku waszych żołnierzy w zamian za dziennikarza«, nasi ludzie pytali go: »Chcesz do nich iść?«, a on odparł: »Chcę«. Chciał... To byli nasi żołnierze, walczyli za Rosję. Rozstrzelaliby ich, gdybyśmy ich nie zabrali.

A Babickiemu nic nie zrobią, przecież to jeden z nich... Babicki, nawet gdyby przyszedł z karabinem maszynowym, byłby mniej niebezpieczny... On miał mapę naszych posterunków z zaznaczonymi trasami patroli. Po co kręcił się tam bez zgody władz? (...) Dlatego go aresztowano i wszczęto śledztwo. A on mówi: »Nie ufam wam. Ufam Czechenom. Jeśli chcą mnie wziąć, przekażcie mnie...«. To odpowiedzieliśmy: »A idźże sobie do nich!« (...) Mówi pani, że to obywatel Rosji. W takim razie powinien działać zgodnie z prawem swojego kraju. Tylko wtedy to prawo będzie go chronić”.

Z każdym słowem monologu Geworkian nabierała coraz większego przeświadczenia, że Putin zna doskonale szczegóły sprawy Babickiego, dlatego zdecydowała się zagrać szczerze. „Przecież on ma rodzinę, ma dzieci”, powiedziała. „Musi pan przerwać tę operację”.

Putin łyknął przynętę. „Niedługo pojawi się samochód”, odparł. „Dostarczy nagranie wideo i zobaczy pani, że Babicki żyje i ma się dobrze”. Natalia Geworkian, która podczas wszystkich dotychczasowych spotkań z Putinem zachowywała się w pełni profesjonalnie, na chwilę straciła panowanie nad sobą. „Jak to?”, jej głos wszedł nagle w wysokie rejestry. „Oddaliście go bandytom. Tyle wam powiedzieli?”.

Przeprosiła i wyszła na moment, by zadzwonić do znajomej z moskiewskiego biura Radia Swoboda. „Powiedz żonie Babickiego, że jej mąż żyje”, oznajmiła.

„Skąd wiesz?”, zapytała rozmówczyni.

„Z pierwszej ręki”, odpowiedziała Geworkian.

„Ufasz mu?”, padło pytanie.

„Nie bardzo”, przyznała dziennikarka.

Ale kilka godzin później znajoma z radia oddzwoniła. „Nie uwierzysz”, powiedziała. „Przyjechał samochód. Tablice miał tak brudne, że nie zdołaliśmy odczytać numerów. Zaproponowali, że za dwieście dolarów sprzedadzą nam kasetę wideo. Zapłaciliśmy”.

Kaseta (udostępniona natychmiast wszystkim mediom) zawierała mocno śnieżące nagranie, na którym błady i wycieńczony brakiem snu Babicki ogłaszał: „Jest 6 lutego 2000 roku. Czuję się względnie dobrze. W tej chwili moim głównym problemem jest czas. Okoliczności złożyły się tak nieszczęśliwie, że niestety nie mogę od razu wyruszyć do domu. Żyję na tyle normalnie, na ile jest to możliwe w kraju ogarniętym wojną. Wszyscy wokół starają mi się pomagać w miarę możliwości. Tyle że naprawdę chciałbym już wrócić do domu, chciałbym, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Nie martwcie się o mnie. Mam nadzieję, że wkrótce będę już w domu”. (Transkrypcja komunikatu nadanego 9 lutego 2000 roku przez telewizję NTW).

Później okazało się, że Babickiego przetrzymywano w domu znajdującym się w jednej

z czeczeńskich wiosek. Rzeczywiście brakowało mu snu, co poważnie nadwątliło jego siły, ale przede wszystkim był przerażony. O swoich strażnikach nie wiedział nic, poza tym, że byli uzbrojonymi Czeczenami, którym z całą pewnością nie brakowało powodów, by nienawidzić Rosjan, natomiast nie mieli żadnego powodu, by mu ufać. Każdej nocy, gdy kładł się do łóżka, bał się zasnąć, nie wiedząc, czy nie obudzą go i nie zabiją. Każdego ranka nienawidził siebie coraz bardziej za to, że nie szukał drogi ucieczki ani nie miał odwagi siłą wyrwać się na wolność. (Andriej Babicki, Na wojnie, transkrypcja z rosyjskiego nagrania odczytu maszynopisu przygotowanego dla francuskiego wydawcy). Dopiero 23 lutego wsadzono go na budę ciężarówki i przewieziono do sąsiedniego Dagestanu. Na odchodnym wręczono mu kiepsko podrobione papiery. Babicki został zatrzymany kilka godzin później przez patrol rosyjskiej milicji i odtransportowany do Moskwy, gdzie postawiono mu zarzut posługiwania się fałszywymi dokumentami. (Zapis konferencji prasowej z udziałem Andrieja Babickiego z 1 marca 2000 roku).

Wkrótce wyszło na jaw, że prawdopodobnie żadna wymiana jeńców w ogóle nie miała miejsca. (Oleg Panfilow, Istorija Andrieja Babickiego, rozdział 3). Nie pozostał po niej ślad w dokumentach, nie udało się także dotrzeć do żołnierzy, których w zamian za reportera jakoby oddała strona czeczeńska. Wydaje się, że aresztowanie Babickiego i transmitowane przez telewizję przekazanie go wrogowi, które ostatecznie doprowadziło do utracenia kontaktu z dziennikarzem, miało na celu wyłącznie przesłanie wiadomości przedstawicielom innych mediów. Ówczesny minister obrony, Igor Siergiejew, wyjaśnił to w następujący sposób: wybrano Babickiego, ponieważ „przekazywane przez niego informacje były, delikatnie mówiąc, nieobiektywne”. Dodał jeszcze: „Z radością oddałbym dziesięciu Babickich za jednego żołnierza”. (Oleg Panfilow, Istorija Andrieja Babickiego).

Putin sprawował urząd dopiero od miesiąca, a ministrowie już podchwycili ton jego wypowiedzi, zupełnie jakby po długim okresie powstrzymywania się mogli wreszcie zachowywać się w upragniony sposób. Putin zapewne nie przewidział jednego. To, co w jego oczach było zwyczajnie zasłużoną karą, wywołało międzynarodowe oburzenie. Przywódcy krajów zachodnich przyjęli pierwszy miesiąc sprawowania władzy przez Putina z ulgą równie wielką co Rosjanie. Następca zenującego i nieprzewidywalnego Jelcyna był tak od niego różny, że bezrefleksyjnie dostrzegano w nim spełnienie marzeń.

Brytyjczycy i Amerykanie zachowywali się dotąd tak, jakby wynik marcowych wyborów był z góry przesądzony, ale teraz Waszyngton nie mógł nie zareagować. Babicki nie był zwyczajnym rosyjskim dziennikarzem - był Rosjaninem zatrudnionym w radiu założonym na mocy aktu Kongresu Stanów Zjednoczonych. (Z działu FAQ (często zadawanych pytań)

na stronie Broadcasting Board of Governors).

Ówczesna sekretarz stanu, Madeleine Albright, podjęła ten temat na mającym miejsce 4 lutego spotkaniu z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Igorem Iwanowem, a pięć dni później Departament Stanu wydał oświadczenie potępiające (Raport Kongresowej Służby Badawczej (CRS), Chechnya Conflict: Recent Developments, zaktualizowany 3 maja 2000) „traktowanie osób nieuczestniczących w konflikcie zbrojnym na równi z zakładnikami lub jeńcami wojennymi”.

Niespodziewane zainteresowanie Zachodu i skandal, jaki wywołała sprawa Babickiego, prawdopodobnie uratowały dziennikarzowi życie. Oczywiście Putin poczuł się rozgoryczony i zagniewany takim rozwojem spraw. Świącie wierzył w słuszność swojego toku rozumowania. Ludzie tacy jak Babicki - zupełnie niezainteresowani uczestnictwem w ogólnonarodowym wysiłku mającym wspomagać prowadzenie działań wojennych i bezwstydnie współczujący wrogowi - nie zasługiwali na to, by żyć, a już na pewno nie pomiędzy porządnymi obywatelami Rosji.

Tym razem spisek demokratów o miękkich sercach zmusił Putina do ustępstw, ale pełniący obowiązki prezydenta jeszcze w Leningradzie nauczył się radzić sobie z ludźmi ich pokroju, więc był przekonany, że i tym razem da sobie z nimi radę.

„Historia Babickiego znacznie ułatwiła mi życie”, zwierzyła mi się później Geworkian. „Zrozumiałam, że tak właśnie będą przebiegać jego rządy. Tak działał ten jego cholerny mózg. Nie miałam już żadnych złudzeń. Właśnie w ten sposób rozumiał znaczenie pojęcia patriotyzmu, (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Natalią Geworkian w czerwcu 2008 roku) dokładnie tak, jak nauczyli go w szkółce KGB: kraj potężny to kraj wywołujący lęk, a media są winne władzom bezwzględnej lojalności”.

Niedługo po tych wydarzeniach wyjechała z Moskwy do Paryża, gdzie żyje do dziś. Andriej Babicki, gdy tylko stało się to możliwe, przeniósł się do Pragi. Pracuje teraz dla tamtejszego oddziału Radia Swoboda. Natalia Geworkian zdecydowała się wreszcie opowiedzieć swoją historię, ale wtedy - na kilka tygodni przed mającymi odbyć się w 2000 roku wyborami prezydenckimi - zachowywała milczenie. Biografia Putina ukazała się dokładnie w takim kształcie, w jakim chciał ją widzieć sam zainteresowany. Wycięto z niej nawet żarliwą i ważką przemowę w sprawie Babickiego, mimo że wcześniej ten fragment ukazał się w artykule zapowiadającym publikację. Rosjanie zostali utwierdzeni w przekonaniu, że powinni zawierzyć swoją przyszłość Putinowi, i tylko nieliczni nie podzielali tego zdania. dwudziestego czwartego marca, dwa dni przed wyborami prezydenckimi, stacja telewizyjna NTV należąca do Władimira Gusińskiego (oligarchy i właściciela zatrudniającej

mnie gazety) nadała godzinny program publicystyczny z udziałem publiczności. Talkshow, bo taką formułę przyjęli jego autorzy, poświęcony był zdarzeniom, jakie miały miejsce we wrześniu ubiegłego roku w Riazaniu, kiedy to odpowiadający na zgłoszenie patrol milicji odkrył pod schodami w bloku mieszkalnym trzy torby materiałów wybuchowych. Czujni mieszkańcy byli przekonani, że zdołali pokrzyżować plany terrorystom. Tamtego wieczoru, 22 września 1999 roku około godziny dziewiętej, Aleksiej Kartofielnikow, kierowca autobusu rizańskiej drużyny piłkarskiej, wracał do swojego domu mieszczącego się w dwunastopiętrowym budynku przy ulicy

Nowosiołow 14. Zauważył, że pod blokiem zatrzymał się nieznany mu samochód produkcji rosyjskiej, z którego wysiadła dwójka ludzi - kobieta i mężczyzna. Obydwoje zniknęli w drzwiach prowadzących do piwnicy, natomiast kierowca pozostał w pojeździe. Po kilku minutach para ponownie pojawiła się na ulicy. Kierujący samochodem podjechał bliżej drzwi, po czym już we troje zaczęli wnosić do bloku torby wyglądające na bardzo ciężkie. Potem wrócili do samochodu i odjechali. (Przedstawiłam tu chronologię wydarzeń, jakie miały miejsce w Riazaniu, bazując przede wszystkim na FSB *wzrywajet Rossiju*, wyd. 2, Nowy Jork, Liberty Publishing, 2004, s. 65-108 Aleksandra Litwinienki i Jurija Felsztyńskiego. Książka przedstawia zestawienie doniesień prasowych z odkryciami poczynionymi przez autorów [na polskim rynku ukazała się pod tytułem *Wysadzić Rosję*] Drugim źródłem, które pozwoliło mi wysnuć takie, a nie inne przypuszczenia był program *Riazanskij sachar: Niezawisimoje rassledowanije s Nikołajem Nikoiajewym*, wyemitowany przez stację NTW 24 marca 2000 roku). Ponieważ do tamtej chwili terroryści zdołali wysadzić już cztery budynki w Moskwie i dwóch innych miastach, i za każdym razem znajdowano świadka, który przypominał sobie, że widział wcześniej torby stojące na klatce schodowej, nie dziwi, że Kartofielnikow starał się zapamiętać numery odjeżdżającego samochodu. Okazało się jednak, że część numeru pozwalająca zidentyfikować miasto, w którym zarejestrowano pojazd, została zasłonięta kartką z umieszczoną na niej liczbą odpowiadającą Riazaniowi. Kartofielnikow wezwał milicję.

Patrol pojawił się prawie czterdzieści pięć minut później. Dwaj funkcjonariusze znaleźli w piwnicy trzy pięćdziesięciokilogramowe worki, ułożone jeden na drugim. Na każdym widniał napis: „Cukier”. Po rozcięciu górnego worka oczom milicjantów ukazała się płatanina kabli i zegar. Wybiegli z piwnicy, by wezwać posiłki, i natychmiast rozpoczęli ewakuację mieszkańców. W budynku znajdowały się siedemdziesiąt dwa mieszkania. Zanim na miejsce dotarli saperzy, milicjanci sprawdzili wszystkie lokale, zapukali do każdych drzwi i kazali ludziom jak najszybciej opuścić blok. Mieszkańcy wychodzili w piżamach, koszulach

nocnych i szlafrokach. Śpieszyli się tak bardzo, że większość nie zamykała nawet drzwi; wszyscy od tygodni słuchali doniesień o eksplozjach, więc traktowali zagrożenie bardzo poważnie. Kilka osób niepełnosprawnych wyprowadzono na zewnątrz na wózkach, ale niektórzy byli zbyt chorzy, by opuścić łóżka. Ci pozostali w środku, przerażeni, czekając na rozwiązanie. Pozostali ludzie spędzili na dworze, na przenikliwym wietrze, większą część nocy. Po pewnym czasie mieszkańców zaprosił do środka dyrektor znajdującego się w pobliżu kina, a nawet zorganizował dla nich gorącą herbatę. Rankiem wielu spośród ewakuowanych udało się do pracy, mimo że milicja nie pozwoliła im wejść do domów, by mogli się umyć bądź przebrać. Później okazało się, że wiele mieszkań splądrowano.

Saperzy zdołali zdemontować zapalnik i sprawdzić substancję znajdującą się w workach, zanim jeszcze zakończono ewakuację. Badania wykazały, że do piwnicy wniesiono heksogen, silnie wybuchowy materiał używany jeszcze w czasie II wojny światowej (na Zachodzie znany jako RDX). Tym samym materiałem posłużono się przynajmniej w jednym z zamachów przeprowadzonych w Moskwie, (Za niepodpisany artykułem 13 sientjabria w Rossii - diert' traura po pogibszym ot wzrywow, opublikowanym 10 września 1999 roku w serwisie Gazeta.ru) więc nazwa substancji była doskonale znana z wystąpienia mera stolicy. Prymitywnie przygotowany zapalnik miał spowodować eksplozję o godzinie 5:30. Wyglądało na to, że terroryści postanowili powielić schemat znany z moskiewskiej tragedii. Ilość zgromadzonego materiału wybuchowego wystarczyłaby do całkowitego zniszczenia budynku (prawdopodobnie uszkodziłaby także sąsiednie bloki).

Wszyscy mieszkańcy zginęliby we śnie.

Gdy saperzy stwierdzili, że w workach znajduje się substancja krusząca, na ulicy Nowosiołow 14 zaroiło się od wyższych stopniem funkcjonariuszy milicji i służb specjalnych. Dyrektor miejscowego oddziału FSB pogratulował mieszkańcom ponownych narodzin, a Aleksiej Kartofielnikow, kierowca autobusu, który zawiadomił milicję o podejrzanych działaniach wciąż nieznanymi ludźmi, natychmiast stał się bohaterem. Władze miasta wychwalały jego czujność i zachwycały się odpowiedzialną postawą wszystkich obywateli. Zastępca gubernatora stwierdził w wywiadzie: „Im większą zachowamy czujność, tym lepiej zdołamy się przeciwstawić złu, które załęgło się w naszym kraju”. (Komunikat agencji ITARTASS przytoczony w FSB wzrywajet Rossiju A. Litwinienki i J. Felsztyńskiego).

Następnego dnia o wypadkach w Riazaniu mówili wszyscy. Wydawały się być one pierwszym względnie pozytywnym doniesieniem od miesiąca, który Rosjanie przeżyli w całkowitym strachu. Ludzie widzieli w nich znak, że jeśli zmobilizują się wystarczająco i będą dostatecznie uważać, być może zdołają ocaleć. Pojawiła się nawet nadzieja, że

zamachowcy zostaną złapani - milicja znała przecież markę i kolor samochodu, którym uciekli, a Kartofielnikow widział twarze osób wnoszących worki do budynku. Dwudziestego czwartego września minister spraw wewnętrznych, Władimir Ruszajło, zwołał konferencję prasową w telewizji. Wyglądał na człowieka mocno zmęczonego i znękanego, ale mógł wreszcie przekazać dziennikarzom jakieś pozytywne wiadomości. „Nastąpił pewien postęp, o czym świadczy choćby fakt, że wczoraj udało się zapobiec katastrofie w Riazaniu”, powiedział.

Ale już pół godziny później nastąpiło coś niespodziewanego i zupełnie niewytłumaczalnego. Szef FSB, Nikołaj Patruszew (człowiek z Leningradu, zastępca dowódcy służb specjalnych w czasach, gdy funkcję tę pełnił Putin, awansowany na jego miejsce natychmiast po przyjęciu przez Putina teki premiera), udzielił wywiadu dokładnie w tym samym budynku, w którym wcześniej miała miejsce konferencja prasowa, wyraźnie stwierdzając, że Ruszajło się myli. „Po pierwsze”, powiedział, „nie było żadnego wybuchu. Po drugie, nie było czemu zapobiegać.

To były ćwiczenia”. (Program Riazanskij sachar).

Kilka dni później FSB wydało oświadczenie, w którym wyjaśniono, że dwóch mężczyzn i kobieta, zauważeni przez Kartofielnikowa, to agenci służby bezpieczeństwa z Moskwy, natomiast worki umieszczone przez nich w piwnicy zawierały niezagrażający nikomu cukier. Wyjaśniono też, że ćwiczenia miały na celu sprawdzenie gotowości bojowej rizańskich sił porządkowych. Rizań początkowo nie przyłączył się do tych zapewnień, jednak dość szybko potwierdził wersję FSB, dodając, że saperzy błędnie zidentyfikowali substancję w workach jako heksogen, ponieważ korzystali ze sprzętu, który uległ zanieczyszczeniu w wyniku nadmiernego użytkowania na czeczeńskim froncie. Wyjaśnienia te nie uspokoiły opinii publicznej, nie przekonały też nikogo, kto miał choćby blade pojęcie na temat metod pracy FSB. Nie chodziło nawet o fakt, że przetrzymywanie kilkuset przerażonych osób nocą na mrozie tylko po to, by przeprowadzić ćwiczenia, może wydawać się działaniem niewspółmiernym do zaistniałej sytuacji; nikt nie wątpił, że służby specjalne mogłyby posunąć się do czegoś takiego. Podejrzenia budziło przede wszystkim to, że o planowanych ćwiczeniach nie został poinformowany miejscowy oddział FSB oraz że wystąpienie ministra spraw wewnętrznych półtora dnia po ćwiczeniach i zorganizowana w tym czasie akcja tysiąca dwustu rizańskich milicjantów, mająca doprowadzić do schwytania terrorystów, wyglądały w świetle rewelacji FSB po prostu śmiesznie.

Dziennikarze pracujący dla FSB poświęcili pół roku, by poskładać fragmenty tamtej historii, co przy wszystkich występujących w niej niespójnościach wcale nie było łatwe. Gdy

mieli już pełny, ich zdaniem, obraz sytuacji, postanowili zaprezentować go widzom. Całość przedstawiano bardzo ostrożnie. Nikołaj Nikolajew, gospodarz programu, rozpoczął wywód od założenia, że zajścia, jakie miały miejsce w Riazaniu, rzeczywiście były ćwiczeniami terenowymi zorganizowanymi przez FSB. Kiedy jeden z widzów w studiu zaproponował, by powiązać wydarzenia w Riazaniu z zamachami z sierpnia i września oraz dowiedzieć się, jaki udział miało w nich FSB, Nikolajew niemalże krzyknął: „Nie. Nie będziemy się dziś zajmować tamtymi sprawami. Chcemy skupić się wyłącznie na wydarzeniach z Riazania”. Niemniej jednak obraz odbierany przez ludzi oglądających tamten program był zatrważający.

Nikolajew zaprosił do studia sporą grupę mieszkańców domu przy ulicy Nowosiołow 14, także Aleksieja Kartofielnikowa, ale żadna z tych osób nie wierzyła w teorię o przeprowadzanych ćwiczeniach. W tym momencie odezwał się inny przedstawiciel publiczności. Przedstawił się jako mieszkaniec rizańskiego bloku i rozpoczął wywód mający na celu przekonanie zebranych, że jednak wszyscy brali nieświadomie udział tamtej nocy w zorganizowanej akcji taktycznej. Prawdziwi mieszkańcy początkowo przyjęli to oświadczenie z niedowierzaniem, ale już kilka sekund później zaczęli dość głośno wyrażać wątpliwości. Stwierdzili, że nie znają tego człowieka i że z całą pewnością nie mieszka on, w ich bloku. Cóż, sprawa rzekomych ćwiczeń w Riazaniu była przygotowana tak samo nieprzekonująco i niestarannie jak próba umieszczenia na widowni fałszywego lokatora.

Obecni w studiu przedstawiciele FSB nie potrafili wyjaśnić, dlaczego analiza chemiczna wykazała początkowo w workach obecność heksogenu ani z jakich powodów ćwiczenia były utrzymywane w tajemnicy przed rizańskim oddziałem służb specjalnych.

Oglądając ten program, powróciłam myślami do rozmowy, jaką pół roku wcześniej przeprowadziłam z naczelnym zatrudniającej mnie gazety. Wystarczyło niespełna sześć miesięcy, bym zmieniła zdanie na temat przyczyny zamachów bombowych. Teraz bez trudu byłam w stanie przyjąć, że najprawdopodobniej wszystkie eksplozje przygotowało FSB, by umożliwić Putinowi dotarcie na szczyt.

Gdy pojawiło się ryzyko, że akcja zostanie wykryta (w końcu w pościg za zamachowcami ruszyło tysiąc dwustu funkcjonariuszy rizańskiej milicji, mając do dyspozycji dokładne rysopisy całej trójki), FSB szybko sprokurowało nieprzekonującą historię o ćwiczeniach polowych. Tyle wystarczyło, by funkcjonariusze służby bezpieczeństwa uniknęły aresztowania, a tajemnicze eksplozje ustały równie niespodziewanie, jak się rozpoczęły.

Borys Bieriezowski potrzebował znacznie więcej czasu, by przyjąć do wiadomości, że to, co uważał za niedopuszczalne, mogło się wydarzyć i najpewniej właśnie się wydarzyło.

Nasza rozmowa miała miejsce dziesięć lat po opisanych w tym rozdziale wydarzeniach. W tym czasie oligarcha zlecił i sfinansował dziesiątki badań, opłacił napisanie licznych książek, a nawet wyprodukował film bazujący na materiałach przedstawionych przez Nikołajewa i rozwijających wstępne wnioski dziennikarzy z NTW. W końcu przyjął do wiadomości, że w 1999 roku

Rosja padła ofiarą terroru zainicjowanego przez FSB, ale mimo obecnej wiedzy trudno mu było zweryfikować ówczesne przekonanie.

„Wierz mi, wtedy nie miałem najmniejszych wątpliwości, że za wszystkim stoją Czeczeni”, powiedział podczas naszej rozmowy. „Dopiero po przyjeździe tutaj [do Londynu] zacząłem się zastanawiać nad minionymi wydarzeniami i po pewnym czasie zrozumiałem, że zamachy musiało zorganizować FSB. Doszedłem do takich wniosków nie tylko na podstawie logicznych przesłanek, lecz przede wszystkim na podstawie faktów. Wtedy jednak nie znałem faktów, a NTW wierzyć nie mogłem, bo przecież stacja należała do Gusińskiego, poplecznika Primakowa. W zasadzie nawet nie zwracałem uwagi na to, co prezentowali jej reporterzy, podobnie jak nie przyszło mi do głowy, że ktoś realizuje własny, równoległy do naszego, plan mający wypromować Putina. Teraz jestem przekonany, że to właśnie miało miejsce”. Tym „kimś” mogło być FSB, a „równoległy plan” polegał na wysadzeniu w powietrze bloków mieszkalnych. Strach zjednoczył Rosjan i zrodził w społeczeństwie potrzebę wybrania nowego przywódcy, który znalazłby w sobie odwagę, by nie oszczędzać wroga.

„Jestem jednak przekonany, że to nie Putin był motorem całego przedsięwzięcia”, stwierdził ku mojemu zaskoczeniu Bieriezowski.

Moim zdaniem takie założenie jest pozbawione podstaw. Zamachy rozpoczęły się trzy tygodnie przed wyznaczeniem Putina na stanowisko premiera, co sugeruje, że przygotowania do akcji trwały jeszcze za czasów jego kadencji na stanowisku szefa FSB. Bieriezowski nie zgodził się w tym miejscu z moim punktem widzenia. „Cały plan był przeprowadzany na szybko, dlatego przecież popełnili tyle oczywistych błędów”. Jednak, nawet jeśli Bieriezowski ma rację w tym względzie, nie wolno nam zapominać, że fotel Putina w FSB zajął jego ówczesny zastępca, Patruszew. Jest bardzo mało prawdopodobne, by ukrywał swoje zamiary przed byłym przełożonym. Jeśli dodać do tego fakt, że Putin był doskonale zorientowany w szczegółach tak drobnej akcji jak zatrzymanie Andrieja Babickiego, wysoce absurdalne wydaje się założenie, że nie wiedział o planowanych zamachach bombowych.

Bieriezowski przyznał mi rację, ale nadal nie był skłonny do obarczania całą odpowiedzialnością Putina. Ostatecznie uznał, że pomysł na takie rozwiązanie sprawy sukcesji po Jelcynie musiał zrodzić się w kręgu najbliższych Putinowi ludzi, ale jego celem

było nie tyle wsparcie kandydatury urzędującego premiera, ile wyniesienie do władzy kogokolwiek, kogo wskazałby Jelcyn. Wydaje mi się, że Bieriezowski skłania się ku takiemu postawieniu sprawy, ponieważ dzięki temu pozostaje we własnych oczach szarą eminencją wydarzeń z 1999 roku, a nie jedynie pionkiem w cudzej rozgrywce. Z drugiej strony muszę przyznać, że seria zamachów mogła wynieść na szczyt władzy każdego nieznanego wcześniej, pozbawionego własnych poglądów i kwalifikacji kandydata; wystarczyło po prostu przelać odpowiednio dużo krwi. Tak stworzone warunki pozwalały na umieszczenie w prezydenckim fotelu zupełnie przypadkowego człowieka.

Moskwa wciąż trwa na stanowisku, że za zamachy bombowe z 1999 roku odpowiada islamskie ugrupowanie terrorystyczne wywodzące się z gór Kaukazu.

Rozdział trzeci

WYZNANIA CHULIGANA

Na napisanie biografii Putina Bieriezowski dał wynajętym ludziom trzy tygodnie. Dziennikarze nie dysponowali bogatym zasobem źródeł: był sam Putin (przeprowadzili z nim sześć obszernych wywiadów), jego żona, najlepszy przyjaciel, dawny nauczyciel i sekretarka pracująca z nim za czasów urzędowania w petersburskim ratuszu, ale przecież nie mieli zamiaru badać historii człowieka. Ich zadaniem było wykreowanie legendy. Jak się okazało, legendy żulika z powojennego Leningradu.

Petersburg to miasto kojarzące się z wielkimi wydarzeniami historycznymi i piękną architekturą, ale radziecki Leningrad, w którym w 1952 roku przyszedł na świat Władimir Putin, był dla mieszkających w nim ludzi przede wszystkim miastem głodu, ubóstwa, zniszczenia, gwałtu i śmierci. Od zakończenia oblężenia upłynęło jednak zaledwie osiem lat.

Blokada miasta rozpoczęła się 8 września 1941 roku, gdy siły niemieckie otoczyły je kordonem, odcinając wszystkie drogi lądowe. Zakończyła się dopiero osiemset siedemdziesiąt dwa dni później. Głód i nieustający przez cały czas trwania oblężenia ostrzał artyleryjski pozbawiły życia przeszło milion mieszkańców miasta. Przynajmniej połowa z nich zginęła, próbując wydostać się z Leningradu.

Istniał tylko jeden niekontrolowany przez Niemców szlak komunikacyjny, pozwalający wyrwać się z oblężenia - tak zwana Droga Życia. (Przez zamrożone jezioro Ladoga). W żadnym innym ze współczesnych miast śmierć nie zebrała tak krwawego żniwa, nigdzie też nie doświadczonego głodu na tak wielką skalę, a przecież wielu spośród ocalałych uważa, że władze po dziś dzień celowo zaniżają liczbę ofiar.

Nikt nie potrafi powiedzieć, ile czasu potrzeba, by dojść do siebie po tak okrutnych doświadczeniach i tak wielkich stratach. „Wyobraź sobie żołnierza, który stara się wieść normalne życie w ścianach, które były mu okopami, wśród przedmiotów, które stanowiły codzienność czasów oblężenia”, napisali po latach ludzie spisujący opowieści z czasów oblężenia Leningradu, starając się przybliżyć czytelnikowi realia czasów blokady. „Spoglądasz w górę i widzisz ślady po pociskach na sztukaterii sufitu. Lśniaca powierzchnia fortepianu jest porysowana szkłem z wybitych w czasie wojny szyb, a na wypolerowanym parkiecie ciągle widać wypalone ślady po nogach opalanego drewnem pieca”.

Mieszkańcy Leningradu w czasie oblężenia ogrzewali mieszkania burżujkami, przenośnymi piecykami żeliwnymi, w których paliło się drewnem. W ich metalowych

brzuchach zniknęły meble i książki z całego miasta. Czarne, opasłe burżujki stały się symbolem rozpaczki i porzucenia; władze, które obiecywały ochronę i utrzymywały, że Niemcy nie mają wrogich zamiarów, pozostawiły mieszkańców drugiego co do wielkości miasta Rosji na pastwę głodu i mrozu.

Po zakończeniu oblężenia rozpoczęły się prace renowacyjne w rozgrabionych przez okupanta, okazałych podmiejskich pałacach, ale domy w centrum, dające schronienie mieszkańcom, nadal stały w ruinie. Władimir Putin wychował się w mieszkaniu, w którym w każdym pokoju wciąż królowała burżujka.

Jego rodzice, Maria i Władimir Putinowie, przetrwali oblężenie miasta.

Ojciec Putina, wcielony do armii w pierwszych dniach wojny radzieckoniemieckiej, został poważnie ranny w jednej z potyczek, jakie miały miejsce w okolicach Leningradu. Przewieziono go do szpitala znajdującego się wewnątrz kordonu blokady, gdzie odnalazła go Maria. Po kilku miesiącach leczenia wypisano go, ale kalectwo dokuczało mu do końca życia; nigdy nie uwolnił się od bólu w trwale oszpeconych nogach. Władimir Putin ojciec został zwolniony z armii i mógł wrócić wraz z żoną do domu. Ich jedyny wówczas syn (musiał mieć wtedy co najwyżej osiem, dziesięć lat) znajdował się w jednym z kilku działających wówczas w mieście domów opieki dla dzieci. Najwidoczniej zrozpaczeni i głodujący rodzice wierzyli, że tego rodzaju instytucja będzie w stanie zapewnić dziecku lepsze warunki.

Chłopiec nie przeżył oblężenia. Maria również otarła się o śmierć; pod koniec blokady nie mogła już nawet samodzielnie chodzić.

Tak oto prezentowali się rodzice przyszłego prezydenta - kaleka i niemal zagłodzona na śmierć kobieta, która straciła wszystkie dzieci (drugi syn pary zmarł w niemowlęctwie kilka lat przed wybuchem wojny). Ale w porównaniu z innymi, którym przyszło żyć w powojennym Związku Radzieckim, Putinowie mogli mówić o ogromnym szczęściu. Nadal mieli siebie. Szacuje się, że po wojnie w kraju żyło dwukrotnie więcej kobiet w wieku produkcyjnym niż mężczyzn. Zostawmy jednak statystyki na boku - nie trzeba znać dokładnych liczb, by stwierdzić, że wojna stała się przyczyną niejednej tragedii w dosłownie każdej leningradzkiej rodzinie: rozdzielała małżonków, niszczyła domy, wymuszała migracje milionów ludzi. Ci, którzy po zakończeniu oblężenia, a potem wojny, nadal byli razem i mieli dach nad głową, naprawdę mogli mówić o cudzie.

Kolejnym cudem były poniekąd narodziny Władimira Putina syna. O tym, jak bardzo było to nieprawdopodobne, najlepiej świadczy fakt, że do tej pory co jakiś czas powraca sprawa rzekomej adopcji. W przeddzień wybrania Putina na prezydenta Rosja usłyszała wyznania pewnej Gruzinki, która twierdziła, że kandydat jest jej biologicznym synem,

oddanym do adopcji, gdy miał dziewięć lat. Napisano na ten temat kilka artykułów, pojawiła się jedna czy dwie książki dowodzące słuszności tej tezy i nawet Natalia Geworkian była skłonna się do niej przychylić; (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Natalią Geworkian w czerwcu 2008 roku) uderzało ją przede wszystkim silne uczucie, jakim darzyli syna rodzice, oraz to, że żadnemu z biografów nie udało się nigdy dotrzeć do nikogo, kto pamiętałby chłopca z czasów wczesnodziecięcych. Teorii tej nie da się ani potwierdzić, ani obalić, jednak nie jest to wcale konieczne. Niezaprzeczalny pozostaje fakt, że młody Władimir, nieważne czy adoptowany, czy urodzony w rodzinie Putinów, był w tamtym okresie prawdziwie cudownym dzieckiem.

Władimir Putin pojawił się w świecie polityki znikąd, a całe dorosłe życie spędził w szeregach tajnej organizacji, nie dziwi więc, że znacznie lepiej niż jakikolwiek inny współczesny polityk kontroluje to, co przedostaje się na jego temat do opinii publicznej. Uderza zwłaszcza porównanie wiedzy na jego temat z wiedzą, jaką dysponujemy o zachodnich politykach. Putin stworzył legendę opisującą jego życie. Z pewnych względów taki stan rzeczy jest dość wygodny, pozwala bowiem na zaprezentowanie światu tych faktów, które wydają mu się istotne, i przedstawienie się w takim świetle, w jakim chciałby być widziany. Niewielu ludzi pełniących funkcje publiczne może pozwolić sobie na taki luksus. Można powiedzieć, że w tej biografii na własny użytek Putin odmalował jednocześnie obraz wszystkich dzieci powojennego Leningradu, które zdołały przeżyć wojnę - okrutnych, głodnych i dzikich istot, wychowanych w mieście podłości, głodu i biedy.

Do kamienicy, w której wychowywał się Putin, wchodzi się przez tak zwaną studnię, czyli podwórko otoczone ze wszystkich stron wysokimi ścianami budynków. Stojąc pośrodku, ma się wrażenie przebywania w ogromnej cembrowinie. Podwórko nie różniło się niczym od innych leningradzkich podwórek - było zaśmiecone, wyboiste i wiecznie ciemne. Podobnie prezentowała się kamienica i jej sypiąca się, nieoświetlona klatka schodowa, która doskonale pamiętała XIX wiek. Brakowało w niej sporych fragmentów poręczy, a same schody chwiały się niebezpiecznie. Putinowie mieszkali na ostatniej kondygnacji pięciopiętrowego budynku, więc codzienna droga po ciemnych schodach stanowiła nie lada wyzwanie.

Lokale w centrum Leningradu były specyficzne, a większość z nich stanowiła niegdyś część mieszkań budowanych dla zamożnych mieszkańców miasta. Później dzielono je na dwie lub trzy części, a w każdej z nich lokowano po kilka rodzin. Mieszkania nie miały osobnych kuchni, więc we wspólnym korytarzu ustawiono jedną kuchenkę gazową i montowano zlew¹⁰; (Słowa Wiktora Borisenki, przyjaciela Putina z dzieciństwa, przytoczone

we Władimir Putin: Istorija żyzni Błockiego, s. 72 i 89) z czterech palników korzystały trzy rodziny. Część klatki schodowej zajmowała prowizoryczna toaleta, oczywiście nieogrzewana. Mieszkańcy, aby się wykapać, musieli grzać wodę na kuchence, wynosić ją do toalety i myć się nad muszlą, cisnąc się w lodowatej klitce.

Mały Władimir Putin był jedynym dzieckiem w całym mieszkaniu. W jednej z maleńkich klitek, pozbawionej okien, którą później uznano za nienadającą się do zamieszkania, żyło starsze małżeństwo, a pokój po drugiej stronie kuchniokorytarza, naprzeciwko pokoju Putinów, zajmowała para bogobojnych Żydów z dorosłą córką. We wspólnej kuchni często wybuchały konflikty, ale wszyscy dorośli dokładali starań, by oszczędzić dziecku stresu związanego z ich kłótniami. Putin często bawił się w pokoju należącym do żydowskiego małżeństwa i jak wyznał swoim biografom, nie traktował ich znacząco różnie od własnych rodziców. (Geworkian i in.)

Rodzina Putinów zajmowała największy pokój w mieszkaniu, liczący sobie niemal dwadzieścia metrów kwadratowych. Jak na ówczesne warunki był to prawdziwy pałac; naprawdę rzadko się zdarzało, by takie lokale pozwalano zajmować rodzinie liczącej tylko trzy osoby. Putinowie mieli także telewizor, telefon i daczę za miastem - w tamtych czasach rzecz niespotykana. Ojciec przyszłego prezydenta pracował jako wykwalifikowany robotnik w fabryce wagonów kolejowych, a jego matka miała się każdego zajęcia, nieważne jak wyczerpującego, które pozwalałoby jej spędzać czas z synem (pracowała między innymi jako stróż nocny, sprzątaczką i ładowacz). Mimo trudnych warunków, w jakich żyli, na tle wszechobecnej nędzy w powojennym Związku Radzieckim musieli sprawiać wrażenie bogaczy. (Jewgienij Putin w książce Błockiego, s. 46.) A ponieważ rodzice Putina mieli w zwyczaju rozpieszczać syna, już w pierwszej klasie chłopiec paradował wszędzie z zegarkiem na rękę. W powojennym Leningradzie zegarek miał ogromną wartość i nie każdy mógł pozwolić sobie na taki luksus.

Szkoła mieściła się w budynku oddalonym od domu Putinów o zaledwie kilka kroków. Na podstawie dostępnych dziś danych można podejrzewać, że nie oferowała ponadprzeciętnego poziomu kształcenia. Pierwsze cztery klasy pozostawały pod opieką młodej nauczycielki, która zdobyła wykształcenie na kursach wieczorowych, jednak w roku 1960, gdy ośmioletni Władimir Putin rozpoczął edukację, wykształcenia nie ceniło się wysoko. Z relacji wynika, że ojciec Putina był zainteresowany przede wszystkim tym, by szkoła chłopaka zdyscyplinowała, poziom nauczania miał znaczenie drugorzędne. Wydaje się także, że i sam Putin nie upatrywał w wiedzy klucza do sukcesu. Za wszelką cenę starał się wyrobić sobie opinię chuligana, w czym wydatnie pomagali mu przyjaciele z lat dziecińczych.

Większość informacji dotyczących młodości przyszłego prezydenta Rosji (udostępnionych za jego pozwoleniem grupie biografów) zawiera opisy licznych bójek z czasów późnego dzieciństwa i wczesnej młodości. w powojennym związku radzieckim podwórko stanowiło centrum życia towarzyskiego, więc w oczywisty sposób legenda Władimira Putina wiąże się bardzo mocno z tą instytucją. Przyjrzyjmy się przez chwilę warunkom, w jakich dorastali Putin i jego rówieśnicy. Dorośli pracowali przez sześć dni w tygodniu, a państwo nie oferowało żadnej formy opieki nad dziećmi, więc młodzi ludzie spędzali cały wolny czas na terenach przyległych do przeludnionych kamienic. Dla Putina oznaczało to dorastanie w otoczeniu ścian miejskiej studni, na podwórku usianym śmieciami i zawsze pełnym oprychów. „To dopiero było podwórko”, wspomina

Wiktor Borisenko, kolega z klasy i wieloletni przyjaciel Putina. „Same bandziory. Niedomyte, nieogolone typy, ćmiące ciągle pety i pociągające tanie wino.

Piciu i bójkom nie było końca... Później, gdy trochę podrośliśmy, widywaliśmy niektórych z nich, jak zapijali się na śmierć na samym dnie. Wielu z nich miało na koncie wyroki. Większość nie dała rady ułożyć sobie życia”. Putin, młodszy i drobniejszy od tych oprychów, starał się im nie ulegać. „Gdy ktoś go obraził, Wołodia natychmiast rzucał się na niego, bił, drapał, wrywał mu garściami włosy. Robił wszystko, byle nie dać się upokorzyć przeciwnikowi”, relacjonuje jego przyjaciel.

W szkole podstawowej Putin stosował te same metody. We wspomnieniach kolegów z klasy dominują opisy bójek i awantur. Różnią się w detalach, ale jeden z nich szczególnie dobrze oddaje temperament przyszłego prezydenta. „Pewnego dnia nauczyciel zajęć praktycznotechnicznych przyciągnął Putina za kołnierz do naszej klasy. Robiliśmy wtedy śmietniczki, a Władimir gdzieś narozrabiał...

Chwilę trwało, zanim się uspokoił, a samo uspokajanie przebiegało dość nietypowo. Wydawało się, że już odzyskał równowagę, że wszystko jest w porządku, gdy nagle znów wybuchał złością i zaczynał się wściekać. Powtórzyło się to kilka razy, zanim wreszcie odzyskał spokój”.

Za karę szkoła wykluczyła Putina z grona pionierów. Była to nietypowa i bardzo rzadko stosowana forma kary, zarezerwowana zazwyczaj dla dzieci, które notorycznie nie zdawały z klasy do klasy i które uznawano za nierokujące nadziei. Przyszły prezydent znalazł się na cenzurowanym - przez trzy lata był jedynym uczniem w szkole, który nie nosił związanej wokół szyi czerwonej chustki, znaku rozpoznawczego organizacji zrzeszającej dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Status wyrzutka, jaki udało mu się osiągnąć, dziwi jeszcze bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę, że w odróżnieniu od innych dzieci

wychowywał się w pełnej rodzinie (statystyki pokazują, że większość z nich była pólsierotami).

Ale dla Putina opinia opryszka stała się wyznacznikiem pewnej pozycji, którą popisywał się przed biografami w 2000 roku.

- Dlaczego przyjęto pana do pionierów dopiero w szóstej klasie? Naprawdę był pan takim nicponiem?

- Oczywiście. Nie nadawałem się do pionierów, byłem chuliganem.

- Nie przesadza pan nieco?

- Chce mnie pani obrazić? Byłem prawdziwym oprychem.

Stosunek Putina do ludzi, polityki i nauki zmienił się, gdy chłopiec skończył trzynaście lat. W szóstej klasie zaczął się uczyć, co natychmiast zaowocowało przyjęciem go w szeregi pionierów, a wkrótce potem jeszcze większym zaszczytemwyborem na przewodniczącego klasy. (Nauczycielka Wiera Gurewicz, tamże).Jedynym, z czego Putin nie zrezygnował, były bójki. Jego przyjaciel przytoczył biografom szereg historii, w których rok po roku powtarzał się ten sam scenariusz. „Ganialiśmy się po ulicy. Wołodia przechodził akurat obok i zobaczył, że goni mnie starszy i większy chłopak, a ja uciekam ile sił. Od razu rzucił się na tamtego, by mnie obronić. Wywiązała się bójka. Oczywiście potem wszystko sobie wyjaśnili”, wspomina kolega z klasy przyszłego prezydenta. (Grigorij Giejlikman w książce Blockiego, s. 160).

Inny przytacza podobną historię (Nikołaj Alechow w książce Blockiego, s. 161). „To było mniej więcej w ósmej klasie. Staliśmy na przystanku, czekając na tramwaj. Wreszcie tramwaj podjechał, ale okazało się, że nie nasz. Wsiadło z niego dwóch pijanych mężczyzn, którzy szukali rozróby. Przeklinali i zaczepiali ludzi. Wowka spokojnie podał mi teczkę, a potem zobaczyłem tylko, jak pierwszy z mężczyzn ląduje twarzą w śnieżnej zaspie. Drugi natychmiast wystartował do Wołodii, krzycząc: »Co to miało być?«. Kilka sekund później mógł się przekonać, bo leżał obok swojego kumpla. Wtedy podjechał nasz tramwaj. O Wowce mogę z całą pewnością powiedzieć jedno - nigdy nie pozwoli, by bydlakom i łotrom, którzy zaczepiają i obrażają innych, uszło to na sucho”.

Nawet po dostaniu się w szeregi KGB młody Putin nie porzucił tego schematu działania.

Kolejny ze znajomych wspomina: „Raz zaprosił mnie na wielkanocną drogę krzyżową. Miał wtedy służbę; otaczali kordonem procesję. Zapytał, czy chcę zobaczyć ołtarz w cerkwi. Pewnie, że chciałem. Taka dziecinada - niby nikomu nie wolno wchodzić do środka, ale nam tak. Po procesji, gdy już wracaliśmy do domów, podeszło do nas na

przystanku kilku ludzi. Nie wyglądali na bandytów, przypominali raczej studentów, którzy może wypili nieco za dużo. Odzywają się: »Macie fajki?«. Wowka na to: »Nie«, a oni: »Jak odpowiadasz? Co ty sobie myślisz?«. On na to: »Nic«. Potem nawet nie dałem rady zobaczyć, co się działo. Któryś z tych chłopaków musiał go popchnąć albo uderzyć. Mignęły mi tylko czyjeś skarpetki i typ dosłownie odleciał. Wowka powiedział spokojnie: »Chodźmy stąd«. Poszliśmy. Naprawdę podobało mi się, jak przylał tamtemu gościowi, który się do nas przyczepił. Jedna chwila i facet leciał w powietrzu».

Ten sam znajomy opowiedział o bójce w metrze, jaka miała miejsce, gdy Putin, który w tym czasie uczył się w szkole KGB w Moskwie, przyjechał z wizytą do domu, do Leningradu. „Ktoś się do niego przyczepił, więc załatwił tę sprawę po swojemu”, usłyszeli biografowie. „Ale Wołodia nie był zadowolony. »W Moskwie mnie za to nie pogłaszczą«, powiedział. »Wyciągną konsekwencje«. (Siergiej Rotdugin w książce Geworkian i in.) Podejrzewam, że rzeczywiście miał potem jakieś kłopoty, chociaż szczegółów nie zdradził. Ale w końcu wszystko jakoś się ułożyło”.

Wygląda na to, że Putin miał w zwyczaju wdawać się w burdy uliczne z byle powodu, nie zważając przy tym na karierę w KGB; gdyby milicja zatrzymała go albo chociaż zwróciła na niego uwagę, służby specjalne nie chciałyby mieć z nim więcej do czynienia. Ciężko stwierdzić, na ile prawdziwe są wszystkie te historie, ale z pewnością można powiedzieć jedno: Putin przedstawia się (bądź też pozwala robić to innym) jako człowiek działający pod wpływem impulsu, gwałtowny i łatwo wpadający w niepohamowaną złość. Wizerunek niezwykle tym bardziej, że pozostaje w jawnej sprzeczności z dyscypliną, jaką narzucił sobie Putin jako nastolatek.

Mając lat dziesięć czy jedenaście, Putin zaczął szukać miejsca, w którym mógłby uzupełnić zapał do walki o niezbędne umiejętności. Boks okazał się być zbyt bolesny - w czasie jednego z pierwszych treningów złamano mu nos. Wtedy natknął się na sambo. Sambo to akronim rosyjskiego określenia, które można tłumaczyć jako „sztuka samoobrony bez użycia broni”. Styl ten powstał w Związku Radzieckim z połączenia dżudo, karate i miejscowej odmiany zapasów. Rodzice nie zgodzili się na nowe hobby syna: Maria jawnie nazywała je głupotą (przypuszczalnie obawiała się o bezpieczeństwo jedyne go syna), a Władimir po prostu zabronił mu uczęszczać na zajęcia. Trener musiał kilkakrotnie odwiedzać rodziców chłopca i przekonywać ich wytrwale, by pozwolili synowi na treningi.

Sambo oraz wymagana w nim dyscyplina przyczyniły się znacznie do przemiany, jaką przeszedł Putin, który z oprycha stał się ciężko pracującym nad sobą młodzieńcem. Trudno nie doszukiwać się powiązań pomiędzy nowym hobby a pragnieniem, które opanowało całe

życie Putina. Chłopak musiał usłyszeć, że KGB wymaga od rekrutów umiejętności walki wręcz.

„Wyobraź sobie chłopaka, któremu marzy się kariera w KGB, podczas gdy wszyscy jego koledzy pragną zostać kosmonautami”, Geworkian starała się wyjaśnić mi, jak dziwna wydała się jej pasja Putina. Mnie aż tak bardzo to nie zastanawiało.

W latach sześćdziesiątych władze radzieckie zaangażowały się bardzo mocno w zbudowanie romantycznego, a nawet szlachetnego wizerunku oficera tajnej milicji. W roku, w którym Władimir Putin ukończył dwanaście lat, bestsellerem stała się książka Tarcza i miecz. Jej głównym bohaterem był pracujący w Niemczech oficer wywiadu. Gdy Putin miał piętnaście lat, na podstawie powieści nakręcono serial, który cieszył się popularnością nie mniejszą niż książkowy pierwowzór.

Czterdzieści trzy lata później Putin, już premier Rosji, spotkał się z jedenastoma szpiegami wydalonymi ze Stanów Zjednoczonych. Odśpiewali wtedy wszyscy, niczym najlepsi druhowie, piosenkę z czołówki tamtego filmu.

„Gdy byłem w dziewiątej klasie, zafascynowały mnie te książki i filmy. Zapraǳiałem pracować dla KGB”, wyznał Putin swojemu biografowi. „Nic w tym ciekawego”. To zapewnienie sprawia, że na usta ciśnie się pytanie, czy coś poza książkami i filmami miało szansę wpłynąć na umysł chłopca tak, by wszystkie swoje wysiłki podporządkował realizacji jednego celu. Wydaje się, że tak, a Putin stara się to ukryć, wzorem najstłynniejszych szpiegów.

Wszyscy chcemy, by nasze dzieci stały się lepszymi, bardziej spełnionymi odbiciami nas samych. Władimir Putin, cudowne dziecko dwójki okaleczonych i poszkodowanych przez II wojnę światową ludzi, urodził się po to, by zostać radzieckim szpiegiem. Więcej, by zostać radzieckim szpiegiem w Niemczech.

Władimir Putin ojciec był w czasie wojny członkiem tak zwanych oddziałów dywersyjnych, złożonych z niewielkich grup, których zadaniem było prowadzenie walki poza linią wroga. Oddziały te wykonywały rozkazy NKWD i składały się przede wszystkim z funkcjonariuszy tej organizacji. Zadania, jakie im stawiano, były typowymi misjami samobójczymi; w ciągu pierwszych sześciu miesięcy wojny zginęło przeszło 75 procent służących w jednostkach ludzi. Oddział starszego Władimira Putina nie wyróżniał się niczym specjalnym - dwudziestu ośmiu żołnierzy zrzuconych na spadochronach poza linie wroga, około stu sześćdziesięciu kilometrów od Leningradu. Zapasów żywności wystarczyło im na tyle, żeby rozeznac się w terenie i wysadzić w powietrze jeden pociąg, potem mieli szukać pomocy wśród ludności cywilnej. Chłopi nakarmili ich, owszem, a następnie wydali

Niemcom. Uciec zdołało jedynie kilku. Niemcy podjęli pościg, więc Władimir Putin ojciec, jeden z uciekinierów, szukał schronienia na bagnach. Zanurzył się cały w mokradłach i oddychał przez uciętą trzcinę, dopóki poszukiwania nie ustały. Z tej misji ocalało jedynie czterech ludzi.

Wojna czasem pisze dziwne historie. Legenda, która towarzyszyła młodości i dorastaniu syna Putinów, nie była ani mniej, ani bardziej prawdopodobna niż inne wojenne opowieści o cudownym ocaleniu czy heroicznym zrywach. Jednocześnie pozwala się domyślać, dlaczego młody Putin, choć w czwartej klasie wciąż jeszcze nie przejmował się nauką, zdecydował się zapisać na dodatkowe zajęcia z języka niemieckiego. Pozwala też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego, ciągle przecież dziecko w wieku szkolnym, trzymał na stole w dacy rodziców zdjęcie założyciela służb specjalnych w Związku Radzieckim. Jego najlepszy przyjaciel mówi o tej fotografii: „To było zdjęcie jakiegoś oficera wywiadu. Wiem, bo Wołod’ka mi powiedział”, sam zaś Putin uzupełnia dane, podając nazwisko swojego idola. Jan Bierzin, bohater rewolucji, założyciel wywiadu radzieckiego, twórca placówek wywiadowczych we wszystkich krajach Europy, został w latach trzydziestych XX wieku aresztowany za udział w spisku antystalinowskim i rozstrzelany. W ten sam sposób skończyło wielu wczesnych bolszewików. W roku 1956 oczyszczono jego imię, ale od tamtej pory o nim nie wspominało. Trzeba było być prawdziwym pasjonatem tematów związanych z KGB, żeby znać to nazwisko i mieć zdjęcie Bierzina.

Nie wiadomo, czy ojciec Władimira Putina pracował dla NKWD przed wojną i czy po jej zakończeniu utrzymał posadę. Wydaje się prawdopodobne, że pozostał członkiem tak zwanej aktywnej rezerwy, olbrzymiej rzeszy funkcjonariuszy tajnej milicji, którzy oficjalnie piastowali niezwiązane ze służbą stanowiska, ale składali regularne raporty i pobierali wynagrodzenie. To zdawałoby się wyjaśniać, dlaczego Putinom żyło się względnie dobrze w powojennych czasach - mogli cieszyć się daczą, telewizorem czy telefonem. Zwłaszcza telefonem!

Rok przed ukończeniem szkoły, w wieku szesnastu lat, Władimir Putin odwiedził leningradzką siedzibę KGB i próbował wstąpić w szeregi służby. Później tak opisywał to zdarzenie: „Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna. Nie znaliśmy się, zresztą nigdy więcej go nie spotkałem. Powiedziałem, że chodzę do szkoły i że chciałbym pracować w przyszłości dla służby bezpieczeństwa. Zapytałem, czy to w ogóle możliwe i co powinienem zrobić, żeby zrealizować marzenie. Mężczyzna stwierdził, że w zasadzie nie przyjmują ochotników, ale jeśli naprawdę zależy mi na pracy w służbach, powinienem pójść na studia albo zaciągnąć się do armii. Zapytałem, jakie studia należy skończyć, a on odpowiedział, że prawo - studium

bądź wydział prawa powinien wydatnie zwiększyć moje szanse”.

„Zaskoczył wszystkich, informując, że będzie zdawać na studia”, wspomina wychowawczyni klasy. „»Jak?«, spytałam, a on odpowiedział: »Sam to załatwię«, „Uniwersytet w Leningradzie był wtedy jedną z dwóch czy trzech najbardziej prestiżowych uczelni w kraju, a z pewnością najbardziej obleganą szkołą wyższą w mieście. Jak przeciętny uczeń z rodziny, która nie miała żadnych układów (nawet wzięwszy pod uwagę moje przypuszczenia, że starszy Putin pracował dla tajnej milicji), planował się tam dostać, pozostanie dla nas tajemnicą. Rodzice widocznie zaprotestowali, sprzeciw wyraził również trener; wszyscy chętnie powitaliby wybór szkoły, do której Putin miałby szansę się dostać, co uchroniłoby go przed odbyciem obowiązkowej służby wojskowej i zatrzymało w domu.

Putin skończył szkołę średnią z oceną celującą z historii, niemieckiego i wychowania fizycznego, dobrą z geografii, rosyjskiego i literatury oraz dostateczną z fizyki, chemii i matematyki. W tamtym czasie o jedno miejsce na leningradzkim uniwersytecie ubiegało się aż czterdzieści osób. Jakim cudem Putin dostał się na studia? Być może z dużym samozaparciem przygotował się do wyczerpujących egzaminów samodzielnie, kosztem gorszych ocen z niektórych przedmiotów?

Taka strategia mogła się sprawdzić, gdyż uczelnia przyjmowała studentów wyłącznie na podstawie ocen z pisemnych i ustnych egzaminów. Oceny ze szkoły średniej w ogóle nie były brane pod uwagę. Nie można też wykluczyć, że sprawy dopilnowało KGB.

NA studiach Putin trzymał się na uboczu, tak samo jak przez kilka ostatnich lat szkoły średniej. Nie należał do Komsomołu (partyjnej młodzieżówki), dbał o wyniki w nauce, a w wolnym czasie trenował dżudo (trener i drużyna zdecydowali się odejść od sambo na rzecz jednej z dyscyplin olimpijskich) lub jeździł po mieście własnym samochodem. Putin był prawdopodobnie jedynym studentem w Leningradzie, który miał swoje auto. W latach siedemdziesiątych w Związku Radzieckim zdecydowanie nie było to powszechne dobro. Przemysł samochodowy praktycznie nie istniał i nawet dwadzieścia lat później liczba pojazdów przypadających na tysiąc obywateli ZSRR nie przekraczała sześćdziesięciu sztuk (w tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych wskaźnik ten wynosił siedemset osiemdziesiąt jeden). Auto kosztowało wtedy tyle co dacza. Rodzice Putina wygrali samochód na loterii, najnowszy model, dwudrzwiowy z motocyklowym silnikiem. Nie skorzystali z możliwości odebrania równowartości nagrody w gotówce (należy tu zaznaczyć, że ta kwota pozwoliłaby im opuścić lokal komunalny, wciąż ten sam, i kupić własne mieszkanie w jednym z nowych bloków na przedmieściach Leningradu). Zamiast tego oddali auto synowi³¹. Tak szczodry gest wobec własnego dziecka oraz naturalność, z jaką chłopak

przyjął ofertę rodziców, dowodzą po raz kolejny, jak bezgranicznym uwielbieniem Putinowie darzyli syna, ewentualnie potwierdzają osobliwy status materialny rodziny. Nie wykluczam, że obydwie teorie są prawdziwe.

Tak czy inaczej, zdaje się, że to właśnie lata studenckie ukształtowały stosunek Putina do pieniędzy. Przyszły prezydent już wtedy zachowywał się ekstrawagancko, a nawet samolubnie, jeśli wziąć pod uwagę tło społeczne. Wakacje spędzał, jak większość młodych ludzi, pracując na budowach w głębi kraju. Pobierał za to sowite wynagrodzenie, bowiem państwo szczerze nagradzało ludzi gotowych na niewygody i niebezpieczeństwa związane z pracą na Dalekiej Północy. W ciągu jednych wakacji Putin zarobił około tysiąca rubli³², rok później pięćset, kwoty, które wystarczały, aby na przykład położyć nowy dach na podmiejskim domku. Rodzina każdego radzieckiego dziecka, którego sytuacja przypominała sytuację Putina - jedynaka całkowicie utrzymywanego przez rodziców, którzy dawno osiągnęli wiek emerytalny - oczekiwałaby od pociechy wsparcia w postaci większości zarobionej w ten sposób kwoty (jeśli nie całości). Putin natomiast po pierwszych spędzonych pracowicie wakacjach dołączył do dwóch kolegów, którzy właśnie podróżowali po Związku Radzieckim. Ruszył zatem z północy do położonej na południu Gagry, gruzińskiego miasta nad Morzem Czarnym. W ciągu kilku dni zdołał przepuścić całe zarobione pieniądze. Rok później wrócił z budowy prosto do Leningradu, ale za wynagrodzenie kupił sobie płaszcz³³. Matka dostała wtedy lukrowany tort.

„Przez całe studia czekałem, by tamten człowiek z KGB, z którym rozmawiałem w leningradzkiej siedzibie służb, przypomniał sobie o mnie”, wyznał biografom Putin. „Ale nikt nie pamiętał uczniaka, który kilka lat wcześniej zgłosił się sam... Ja z kolei miałem świadomość, że do służby nie przyjmują ochotników, więc nie wykonywałem żadnych ruchów. Minęły cztery lata. Cisza. Uznałem, że sprawa jest zakończona, i zacząłem rozglądać się za możliwością znalezienia zatrudnienia... A jednak na czwartym roku ktoś skontaktował się ze mną i poprosił o spotkanie. Nie przedstawił się, choć od pierwszej chwili wiedziałem, z kim mam do czynienia. Do myślenia dały mi przede wszystkim jego słowa. »Chciałbym porozmawiać o twojej karierze. Musimy to przedyskutować, ale nie będę teraz wchodzić w szczegóły«. W tym momencie zyskałem pewność. Skoro nie chciał mówić, gdzie pracuje, musiał pracować dla nich.

Oficer KGB spotyka! się z Putinem trzy czy cztery razy. Oceniał kandydata jako „niezbyt towarzyskiego, ale dynamicznego, elastycznego i odważnego, przede wszystkim zaś łatwo kojarzącego twarz, co w przypadku pracy w KGB, szczególnie w komórce wywiadowczej, będzie mieć kluczowe znaczenie”.

W dniu, w którym Putin dowiedział się, że będzie pracować w KGB, odwiedził Wiktora Borisenkę, swojego najlepszego przyjaciela z czasów szkoły podstawowej. „»Chodźmy«, powiedział, więc zapytałem: »Dokąd? Po co?«. Nie odpowiedział. Wsiadliśmy do jego auta i ruszyliśmy”, opowiadał dziennikarzom Borisenko. „Zatrzymaliśmy się pod kaukaską restauracją; byłem coraz bardziej zaintrygowany. Starałem się zgadnąć, o co może chodzić, ale wtedy nie udało mi się niczego odgadnąć. Wiedziałem tylko, że musiało zajść coś bardzo ważnego, jednak Putin nie chciał niczego zdradzić, nie dawał nawet najmniejszych wskazówek. Jednocześnie był bardzo uradowany; widać było, że w jego życiu zaszło coś niezwykłego. Dopiero później zorientowałem się, że w ten sposób świętowaliśmy przyjęcie go w szeregi KGB”.

Z czasem Putin przestał ukrywać, czym się zajmuje. Wiolonczeliście Siergiejowi Rołoduginowi, który dołączył do grona jego najbliższych przyjaciół, przyznał się do wykonywanego zawodu niemal przy pierwszym spotkaniu. Rołodugin, który nieraz miewał okazję widywać agentów KGB przy pracy (podróżował z orkiestrą po całym świecie), przyznaje, że był jednocześnie pełen obaw i strasznie ciekawy. „Raz starałem się namówić go, by opowiedział co nieco o jakiejś dawno już zamkniętej sprawie, ale nie powiodło mi się”, wspomina muzyk. „Innym razem powiedziałem mu: »Słuchaj, ja jestem wiolonczelistą. Gram na wiolonczeli. Na przykład chirurgiem już nie zostanę, ale ty? Co ty robisz? To znaczy, wiem, że pracujesz dla wywiadu, ale co to oznacza? Kim jesteś? Co potrafisz?«, a on na to: »Jestem specjalistą od relacji międzyludzkich«. (Siergiej Rołodugin w książce Geworkian i in). Koniec rozmowy. On naprawdę sądził, że zna się na ludziach... Byłem pod wrażeniem. Czułem się dumny i bardzo ceniłem sobie fakt, że mam do czynienia ze specjalistą od relacji międzyludzkich” (nie sposób nie zauważyć sceptycznego tonu wypowiedzi Rołodugina w zdaniu: „Naprawdę sądził, że zna się na ludziach...”. Przekład nie przekłamuje tu wydźwięku rosyjskiego oryginału. Wygląda na to, że umknęło to zarówno Rołoduginowi, jak i samemu Putinowi, który autoryzował zebrane przez dziennikarzy wypowiedzi).

Putin sam przyznaje, że komunikowanie się sprawia mu trudność. Zanim poznał swoją obecną żonę, był poważnie zaangażowany w związek z inną kobietą, ale zostawił ją przed ołtarzem. „Takie są fakty. To było naprawdę trudne”, powiedział biografom, nie wyjaśniając tak naprawdę niczego. Na temat tej, którą poślubił, też nie miał wiele do powiedzenia. Wydaje się, że nawet wyznawanie uczuć podczas zalotów nie przychodziło mu łatwo. Spotykali się przez przeszło trzy lata (niezwykle długo jak na radzieckie czy rosyjskie warunki), mimo że obydwójce nie byli najmłodsi. W dniu ślubu Putin miał prawie trzydzieści jeden lat, co oznaczało, że należał do nielicznej i pozostającej w zdecydowanej mniejszości

grupy, jakichś dziesięciu procent społeczeństwa, która przekroczyła trzydziestkę w stanie wolnym. Przyszła pani Putina pracowała jako stewardesa w jednej z krajowych linii lotniczych łączących Wielką Rosję z enklawą kalininradzką. Młodzi poznali się przez wspólnych znajomych. Pierwsza Dama niejednokrotnie przyznawała, że to nie była miłość od pierwszego wejrzenia, bo początkowo Putin zrobił na niej wrażenie człowieka nijakiego i kiepsko ubranego. On sam nigdy nie wspominał publicznie o uczuciach do żony. Wydaje się, że przez cały okres narzeczeństwa to ona wykazywała się większym zaangażowaniem i okazywała swoje emocje. W jej relacji z dnia, w którym Putin zdecydował się wreszcie na oświadczenie, widać wyraźnie ogrom nieporozumienia wynikłego z braku umiejętności mówienia o uczuciach. Naprawdę dziwi, że ci dwoje zdołali się pobrać i doczekać dwójki dzieci.

„Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy u niego w mieszkaniu, zwrócił się do mnie następująco: »Miła przyjaciółko, teraz chyba już wiesz, jaki jestem. Życie ze mną nie należy do najprostszycch«. I brnął w opis własnej osoby. Przyznał, że nie potrafi rozmawiać, bywa oschły, rani uczucia innych i tak dalej. Ogólnie nie jest człowiekiem, z którym warto by spędzić życie. W końcu stwierdził: »Podejrzewam, że przez trzy i pół roku zdołałaś już wyrobić sobie zdanie na mój temat«. Uznałam, że prawdopodobnie właśnie chce ze mną zerwać, więc odpowiedziałam: »Owszem«.

A on zapytał z niedowierzaniem: »Naprawdę?«. W tamtym momencie poczułam, że to już koniec, usłyszałam jednak, jak mówi: »W takim razie wiedz, że cię kocham i chciałbym poślubić cię tego i tego dnia«. To było zupełnie niespodziewane”.

Pobrali się trzy miesiące później. Ludmiła rzuciła pracę i przeprowadziła się do Leningradu, gdzie zamieszkała z Putinem w mniejszym z dwóch pokoi mieszkania, które zajmowali teraz jego rodzice. W 1977 roku starsi państwo Putinowie przeprowadzili się do nowego lokum w jednym z tych ohydnych, betonowych bloków, jakie wyrosły na obrzeżach miasta. Wprawdzie do centrum jechało się stamtąd metrem około czterdziestu minut, ale młody Wołodia po raz pierwszy w życiu, w wieku dwudziestu pięciu lat, miał własny pokój, dwanaście metrów kwadratowych. Z jedynym oknem umieszczonym na tak dziwacznej wysokości, że aby przez nie wyjrzeć, trzeba było wstać. Warunki mieszkaniowe młodej pary nie różniły się niczym od standardów, w jakich żyły miliony innych rodzin w Związku Radzieckim.

Ludmiła zapisała się na uniwersytet leninradzki, gdzie rozpoczęła studia filologiczne. Mniej więcej rok po ślubie zaszła w ciążę po raz pierwszy. Kilka miesięcy później Putin został przyjęty na roczny kurs przygotowujący oficerów wywiadu do pracy za granicą, więc

jego żona niemal całą ciężę i pierwsze miesiące po urodzeniu Marii spędziła samotnie. Jeszcze przed ślubem mąż powiedział jej, że pracuje dla KGB, choć na samym początku znajomości utrzymywał, że w milicji. To była jego przykrywka.

Fakt, że Putin nie trzymał się konsekwentnie legendy, jaką przypisali mu przełożeni, mógł wskazywać na to, że nie był do końca przekonany, co takiego miałby ukrywać przed światem. Jego celem - a może należałoby powiedzieć: marzeniem? - była utajona kontrola nad otoczeniem. „Zawsze fascynowało mnie, że tak nieznaczna siła - jeden człowiek - może dokonać tego, z czym nie radzą sobie całe armie”, opowiadał biografom. „W ręku oficera wywiadu spoczywają losy tysięcy ludzi, a przynajmniej tak widziałem to wtedy”.

Putin chciał władać światem bądź jego częścią, pociągać potajemnie za sznurki. W końcu zrealizował marzenie, ale tuż po wstąpieniu do KGB nie mógł być nawet pewien, czy będzie mieć do czynienia z czymkolwiek ciekawym, o rzeczach znaczących nie wspominając.

Od połowy lat siedemdziesiątych do końca tamtej dekady, czyli dokładnie w okresie, w którym przyjęto Putina do służby, struktury KGB (tajnej bezpieki), wzorem innych instytucji Związku Radzieckiego, były rozdęte do niespotykanych rozmiarów. Coraz liczniejsze wydziały i kolejne powstające departamenty wytwarzały góry papieru wypełnionego informacjami pozbawionymi sensu, zastosowania i znaczenia. Prawdziwa armia kobiet i mężczyzn poświęcała życie na wczytywanie się w wycinki prasowe, zapisy rozmów telefonicznych, raporty i informacje dotyczące śledzonych osób, opracowywała je i przesyłała dalej. Dokumenty te, w zasadzie nieprzeanalizowane i w niezmienionej postaci, trafiały na szczyt struktury KGB, a następnie do władz KPZR. „Tylko Komitet Centralny partii miał prawo wyciągać wnioski w szerszym kontekście politycznym”, napisał później ostatni przewodniczący KGB, człowiek, którego zadaniem było rozwiązanie tej organizacji. „KGB zostało sprowadzone do poziomu narzędzia zbierania informacji i wykonywania decyzji, które zapadały poza jego szeregami.

Sama struktura organizacji uniemożliwiała rozwinięcie tradycji podejmowania inicjatyw o charakterze strategicznopolitycznym, lecz w dostarczaniu danych na zadany temat, i to w żądanych ilościach, nie miała sobie równych”. Innymi słowy: wykonywanie rozkazów przyjęło w KGB postać tak zwyrodniałą, jak tylko pozwalała na to logika. Agenci obserwowali to, czego kazano im wypatrywać, wychwytywali te fragmenty rozmów, których kazano im słuchać, i zgłaszali wyniki dokładnie w takiej formie, jakiej pragnęła władza.

Wewnętrzna ideologia KGB, jak w każdej organizacji policyjnej, zakładała istnienie określonego wyraźnie wroga. Potęga KGB bazowała w znacznym stopniu na syndromie oblężonej twierdzy, który doprowadził w okresie stalinowskim do niezliczonych zbrodni i

czystek. Niestety, Putin wstąpił do służby po pierwsze w czasach, gdy epoka Stalina odchodziła powoli w niepamięć, a po drugie - w jednym z nielicznych okresów pokoju w historii Związku Radzieckiego (po wojnie w Wietnamie, ale przed wojną afgańską). W tym krótkim czasie kraj nie był zaangażowany otwarcie w żaden konflikt zbrojny, nie wspierał też żadnych walczących stron. Jedynymi aktywnymi wrogami byli dysydenci, garstka dzielnych ludzi, tak mała, że aż śmieszna w porównaniu z nieprzelicznymi siłami, jakimi dysponowało KGB. Nowy zapis w kodeksie karnym, tak zwany paragraf 190, uznawał za przestępstwo „szerzenie pogłosek i rozpowszechnianie informacji szkodliwych dla struktur społecznych i rządowych Związku Radzieckiego”. Stał się tym samym narzędziem nieograniczonej władzy w rękach KGB, które mogło bezkarnie ścigać i zwalczać tych, którzy ośmielili się mieć zdanie odmienne od narzuconego odgórnie przez partię. Faktyczni dysydenci, osoby podejrzane o działalność opozycyjną oraz wszyscy, którzy choć trochę skłaniali się ku zajęciom uznawanym za wywrotowe, podlegali nieustannej obserwacji i byli narażeni na ciągłe nękanie ze strony aparatu bezpieczeństwa. Putin utrzymuje, że nigdy nie brał udziału w operacjach organizowanych przeciwko dysydem, ale jedno - cześnie w wielu wywiadach daje dowód doskonałej znajomości tematu i sposobu prowadzenia takich działań, skąd można wysnuć wniosek, że w tej sprawie zapewne kłamie. Jeden z kolegów Putina, który zbiegł na Zachód pod koniec lat osiemdziesiątych, stwierdza wyraźnie w swoich wspomnieniach, że podczas służby w Leningradzie Putin pracował w tak zwanym Wydziale V, którego zadaniem była walka z dysydentami. Należy dodać, że wspomnienia nie mają napastliwego charakteru i w gruncie rzeczy są pochwałą wygłoszoną pod adresem Putina.

Przez pół roku po ukończeniu studiów Putin wykonywał pracę biurową w siedzibie organizacji w Leningradzie, przez następne pół uczęszczał na kurs w szkole oficerskiej KGB. „Szkola mieściła się w jednym z niczym niewyróżniających się budynków w Leningradzie”, powiedział później podczas prowadzonych z biografami rozmów. W całym kraju były dziesiątki takich przybytków, w których absolwenci wyższych uczelni zdobywali wiedzę niezbędną do wykonywania pracy wywiadowczej. Po ukończeniu tej placówki Putin został przydzielony do działającej w jego rodzinnym mieście jednostki kontrwywiadowczej. Była to zsyłka na najgorszą z możliwych posad. Oficerowie kontrwywiadu w Moskwie śledzili osoby podejrzane o działalność wywiadowczą albo zidentyfikowanych już obcych agentów, a wszyscy ludzie będący w naturalny sposób ich obiektami zainteresowania pracowali w ambasadach. Ponieważ w Leningradzie nie było ani jednej ambasady, nie było kogo śledzić.

Po pół roku pracy w jednostce kontrwywiadowczej Putin odbył kolejne szkolenie. Tym razem spędził rok w stolicy, a po powrocie do domu został przydzielony do wywiadu.

Była to kolejna nudna i nieciekawa posada, na której młody oficer utknął jak setki, a może nawet tysiące innych, niepozornych, szarych ludzi marzących niegdyś o karierze szpiegów, teraz zaś czekających, by ktoś ich dostrzegł.

Wchłonęła ich zbiurokratyzowana i przerośnięta instytucja, która nie widziała dla nich żadnego zastosowania, więc oczekiwanie na właściwą okazję mogło trwać bardzo długo, może nawet bez końca.

Dla Putina przełom nastąpił w 1984 roku, gdy wreszcie wysłano go do szkoły szpiegowskiej w Moskwie. Miał to być kolejny roczny kurs w jego karierze. Wydaje się, że na miejscu trzydziestodwuletni wówczas major KGB zrobił wszystko, by pokazać, jak bardzo zależy mu na tej pracy. Potrafił nawet w największym upale nosić trzyczęściowy garnitur, by okazać przełożonym szacunek i zademonstrować samodyscyplinę. Obrana strategia przyniosła spodziewane rezultaty. Trzeba pamiętać, że szkoła szpiegowska to w gruncie rzeczy bardzo długie, wyczerpujące i wymagające ogromnego zaangażowania praktyki, podczas których studentów poddaje się dokładnej inwigilacji, na podstawie której kadra podejmuje decyzje mogące zaważyć na przyszłości uczniów.

Jeden z wykładowców skrytykował Putina za „obniżony próg poczucia zagrożenia”, niewątpliwą wadę u potencjalnego szpiega. Z kolei instruktor sztuki wywiadowczej (dziś powiedzielibyśmy: instruktor sztuki komunikowania się) uznał kursanta za osobę bardzo zamkniętą i niezbyt towarzyską. Ogólnie jednak Putin był dobrym słuchaczem, całym sercem oddanym szkole i pracy. Wyznaczono go nawet na starostę roku - była to jego pierwsza funkcja przywódcza od czasu, gdy w szkole podstawowej wypełniał obowiązki przewodniczącego klasy - i trzeba przyznać, że sprawdzał się w tej roli.

Putin wiedział, że o ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, zostanie skierowany do pracy w Niemczech; większość zajęć szkolnych miała na celu podniesienie jego znajomości niemieckiego (zdołał w końcu opanować biegle język, ale nigdy nie pozbył się wyraźnego rosyjskiego akcentu). Pytanie brzmiało jedynie, czy trafi do Niemiec wschodnich, czy zachodnich. Pierwsza opcja, choć niewątpliwie pociągająca (bądź co bądź to praca za granicą), nie byłaby wcale uwieńczeniem prawie dwudziestoletnich starań. Nie wiązała się przecież z działaniem w terenie.

By zostać szpiegiem z prawdziwego zdarzenia, Putin musiałby trafić do Niemiec zachodnich.

Koniec końców historia nie zakończyła się całkowitym fiaskiem, ale do sukcesu było naprawdę daleko. Przyszły prezydent otrzymał przydział do Niemiec, ale nie wysyłano go na Zachód, nawet nie do Berlina - trafił do przemysłowego Drezna. Tak oto trzydziestotrzyletni

Putin i jego znów ciężarna żona Ludmiła ruszyli z roczną córką Marią w podróż do NRD, gdzie głowa rodziny miała objąć kolejną nic nieznaczącą posesję. Dwadzieścia lat ciężkiej pracy i cierpliwego oczekiwania, a praca nie wymaga od niego nawet działania pod przykrywką! Młodzi Putinowie zamieszkali razem z pięcioma innymi rosyjskimi rodzinami w dużym bloku należącym do hermetycznego świątka Stasi. Ich sąsiadami byli wyłącznie pracownicy służb specjalnych, do biura szło się pięć minut spokojnym spacerem, a dzieci wysyłało do przedszkola mieszczącego się w tym samym kompleksie budynków. Biuro służb znajdowało się tak blisko, że wszyscy pracujący tam ludzie wracali do domów na obiad. Czas wolny spędzali w swoich mieszkaniach lub na wzajemnych wizytach. Ich zadaniem było zbieranie informacji na temat poczynań „wroga”, czyli w tym przypadku Zachodu, a konkretnie Niemiec zachodnich oraz - co było szczególnie ważne - Stanów Zjednoczonych. Niestety, z Dreżna dostęp do rozlokowanych w całych Niemczech zachodnich amerykańskich baz wojskowych był mniej więcej taki sam jak z Leningradu. Oznaczało to, że zadanie Putina i pozostałych pracujących z nim ludzi sprowadzało się do gromadzenia wycinków prasowych, które przekazywano dalej, powiększając i tak monstrualny zbiór danych generowanych przez KGB.

Ludmile Putinie pobyt w Niemczech bardzo przypadł do gustu, polubiła też Niemców. W porównaniu ze Związkiem Radzieckim NRD była krajem dostatku, a niemiecka natura sprawiała, że królowały tam czystość i porządek. Ludmiła czuła się dobrze w otoczeniu Niemek, które codziennie rano o tej samej porze wywieszały na dworze identycznie wyglądające pranie. Wydawało jej się jednak, że niemieccy sąsiedzi żyją na nieco wyższym stopniu. Dlatego Putinowie oszczędzali - nie urządzali zajmowanego tymczasowo lokalu, by móc po powrocie kupić samochód.

Wkrótce urodziła się im druga córka; na imię dali dziecku Jekatierina. Putin polubił piwo i utył. Zarzucił treningi, nie gimnastykował się, więc szybko wskoczyło na niego dziewięć kilo, co przy jego niewielkim wzroście i drobnej posturze dało tragiczny efekt. Wszystko wskazywało, że przechodził wtedy poważną depresję. Jego żona, która pierwsze lata małżeństwa opisywała jako pogodne i pełne radości, wyraźnie unikała tematów związanych z życiem rodzinnym po ukończeniu przez Putina szkoły wywiadowczej. Ograniczyła się jedynie do stwierdzenia, że mąż nigdy nie rozmawia z nią o pracy.

Nie było zresztą o czym opowiadać. Zatrudnieni w Dreźnie ludzie KGB pracowali dla różnych wydziałów; (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Siergiejem Biebrukowem (byłym agentem radzieckim działającym w Berlinie) 17 sierpnia 2011 roku w Dusseldorfie) - Putin podlegał Wydziałowi S, zajmującemu się prowadzeniem nielegalnej

działalności wywiadowczej (wewnętrzna terminologia organizacji określała mianem nielegalnych agentów posługujących się przybranymi nazwiskami i fałszywymi dokumentami, w odróżnieniu od agentów legalnych, nieukrywających swoich związków z KGB). Gdyby nie to, że musiał pracować w Dreźnie, Putin byłby niewątpliwie zachwycony swoimi obowiązkami.

Zajęcie, o którym kiedyś tak bardzo marzył - werbowanie przyszłych tajnych agentów - wykonywane na Wschodzie było zwyczajnie nużące i pozbawione sensu. On i jego dwaj koledzy z jednostki do spraw prowadzenia nielegalnej działalności wywiadowczej, wspierani przez emerytowanego policjanta z Dre - zna, któremu Wydział S wypłacał wynagrodzenie, wyszukiwali zagranicznych studentów na drezdeńskiej politechnice. Uczelnia cieszyła się sporą popularnością w krajach Ameryki Łacińskiej, więc KGB liczyło na nawiązanie współpracy ze słuchaczem i umieszczenie go ostatecznie w Stanach Zjednoczonych. Zespół Putina całymi miesiącami zdobywał zaufanie poszczególnych ludzi, potem zaś najczęściej okazywało się, że nie dysponuje odpowiednimi funduszami, by zachęcić ich do pracy na rzecz ZSRR.

Pieniądze były zresztą powodem nieustannych zmartwień, wiecznego poczucia krzywdy i zawiści. Zagraniczne posady jawiły się mieszkańcom Związku Radzieckiego jako niewyczerpane źródło dochodów. Jeśli delegacja trwała odpowiednio długo, pozwalała stworzyć doskonałą podstawę dla dostatniego życia po powrocie do domu. Niestety, Niemcy wschodnie w oczach zarówno zwykłych obywateli, jak i władz ZSRR nie były wystarczająco „zagraniczne”, a pobory i dodatki wypłacane pracującym tam Rosjanom nie były ani trochę tak imponujące jak na „prawdziwym” Zachodzie, w krajach kapitalistycznych. Tuż przed przyjazdem Putinów do NRD rząd ZSRR wyraził wreszcie zgodę na wypłacanie obywatelom radzieckim pracującym w krajach bloku wschodniego niewielkich kwot w twardej walucie⁵⁶ (równowartości około stu dolarów amerykańskich, obok pensji). Nie poprawiło to jednak sytuacji pracowników KGB w Dreźnie na tyle, by mogli oni przestać odmawiać sobie wszystkiego i odłożyć wystarczającą kwotę, dzięki której mogliby odpowiednio zaprezentować się po powrocie do kraju. Na przestrzeni lat wypracowano mnóstwo sposobów pozwalających odłożyć nieco grosza, jak choćby zaklejanie okien gazetami, by uniknąć kupowania firan. O ile wszyscy pracownicy KGB w drezdeńskiej placówce cierpieli taką samą nędzę, o tyle mieszkający tuż obok nich agenci Stasi żyli na znacznie wyższej stopie - po prostu zarabiali więcej.

A to, czego naprawdę pragnął Putin, było tak blisko, a jednocześnie zupełnie poza zasięgiem jego i jemu podobnych (tylko niektórym obywatelom ZSRR pracującym w

Niemczech wolno było odwiedzać Berlin Zachodni). Dlatego Putin nie krył swoich żądań przed tymi nielicznymi obywatelami Zachodu, z którymi miał kontakt - przed członkami Frakcji Czerwonej Armii (RAF59). Radykałowie ci częściowo podlegali KGB i czasami pojawiali się w Dreźnie na ćwiczeniach.

Jeden z ludzi należących niegdyś do tego ugrupowania tak wspominał kontakty z Putinem: „Zawsze czegoś chciał. Przekazywał komu tylko mógł listę rzeczy z Zachodu, których tak bardzo pragnął”. Człowiek ten utrzymuje, że osobiście przekazał Putinowi najnowocześniejszy model radioodbiornika Grundig Satellit i radio samochodowe marki Blaupunkt. Pierwszy z tych przedmiotów po prostu kupił, drugi wymontował z któregoś z samochodów skradzionych przez RAF na potrzeby przeprowadzanych akcji. Pochodzący z Niemiec zachodnich członkowie grup terrorystycznych zawsze przywozili na Wschód jakieś prezenty, ale jak utrzymuje mój rozmówca, agenci Stasi zawsze mieli do nich inny stosunek niż Putin. „Niemcy ze Wschodu nie oczekiwali, że sami zapłacimy za wszystko, więc choćby przez grzeczność pytali: »Ile jestem wam winien?«. I tak zawsze odpowiadaliśmy: »Nic«. Wowie nigdy nawet nie przeszło przez myśl, by zapytać, ile ma nam oddać”.

Wydawanie rozkazów bojówkarzom Frakcji Czerwonej Armii, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zorganizowali przeszło dwadzieścia zabójstw i zamachów terrorystycznych, było dokładnie tym, o czym za młodu marzył Putin, nie ma jednak dowodów, że był on w jakikolwiek sposób powiązany z działalnością tej organizacji. Wiadomo natomiast, że każdy dzień pracy w Dreźnie spędzał przy biurku w pokoju, który dzielił z jeszcze jednym agentem (wszyscy pozostali pracownicy drezdeńskiego biura Stasi i KGB mieli własne gabinety). Dzień rozpoczynał się od zebrania personelu, potem następowało spotkanie z miejscowym agentem - emerytowanym milicjantem - a na koniec należało wszystko spisać. Każdy agent miał obowiązek zdać relację ze swoich działań i załączyć przekład na rosyjski wszelkich otrzymanych informacji. Byli pracownicy służb specjalnych szacują, że trzy czwarte czasu pracy poświęcali właśnie na pisanie sprawozdań. Największym sukcesem zawodowym Putina w tamtym okresie było zwerbowanie studenta z Kolumbii, który pozwolił Rosjanom nawiązać kontakt z innym studentem, słuchaczem uczelni w Berlinie Wschodnim. Ten przedstawił ich pochodzącemu z kolumbijskiej rodziny sierżantowi armii Stanów Zjednoczonych, od którego zdołali kupić za osiemset marek nieujawnione opisy procedur bojowych. Drezdeńscy pracownicy KGB wiązali z tym kontaktem spore nadzieje, ale gdy podręcznik trafił w ich ręce, dni Putina w Niemczech były już policzone.

Tuż po wyjeździe Putinów na placówkę zagraniczną, w Związku Radzieckim

rozpoczęły się gwałtowne i nieodwracalne przemiany. W marcu 1985 roku do władzy doszedł Michaił Gorbaczow, a dwa lata później nakazał zwolnienie z więzień wszystkich przetrzymywanych w nich dysydentów i rozpoczął proces osłabiania kontroli nad krajami bloku komunistycznego. Władze KGB oraz szeregowi funkcjonariusze tej organizacji uważali, że działania podejmowane przez Gorbaczowa prowadzą do tragedii. Przez kilka kolejnych lat te różnice zapatrywań na kwestie prowadzenia polityki wewnętrznej i zagranicznej powiększały się, by w końcu doprowadzić do nieudanego puczu w sierpniu 1991 roku.

Putin, który obserwował te zmiany z daleka, mając za towarzyszy jedynie innych pracowników wywiadu, musiał czuć straszną złość i bezsilność. Wierchuszka KGB przysięgła wierność sekretarzowi generalnemu partii i zobowiązała się popierać reformy. W czerwcu 1989 roku szef oddziału KGB w Leningradzie wydał nawet oficjalne oświadczenie, w którym potępił zbrodnie popełniane przez tajną milicję w okresie stalinizmu. W Związku Radzieckim i w NRD ludzie zaczęli jawnie protestować, a to, co do tej pory wydawało się zupełnie nie do pomyślenia, z dnia na dzień wyglądało na coraz bardziej możliwe - Niemcy wschodnie i zachodnie dążyły nieuchronnie do połączenia, a to oznaczało, że ziemia, której bezpieczeństwa miał strzec Putin, zostałaby przekazana wrogom.

Wszystko, w co wierzył, czemu poświęcił swoje życie, było teraz kwestionowane i wyśmiewane. Za takie zniewagi już od wczesnej młodości rzucał się bez zastanowienia na przeciwnika i tłukł go dopóty, dopóki furia nie ucichła. Ale Putin w średnim wieku, bez kondycji, reagował inaczej niż mały chłopiec czy młody mężczyzna - siedział beczynnie, w absolutnej ciszy i patrzył, jak wszystko, w czym pokładał nadzieję, rozpada się w gruzy.

Późna wiosna i wczesne lato 1989 roku upływały w Dreźnie pod znakiem pierwszych spontanicznych zgromadzeń. Ludzie zbierali się na miejskich placach, by protestować; początkowo wyłącznie przeciwko sfałszowaniu lokalnych wyborów, które miały miejsce w maju tamtego roku, a potem, idąc za przykładem całych Niemiec, by domagać się prawa wyjazdu na Zachód. W sierpniu dziesiątki tysięcy mieszkańców NRD ruszyły, nieoczekiwanie, na wschód. Wraz ze zniesieniem ograniczeń podróżowania po krajach bloku wschodniego dostanie się do ambasad Niemiec zachodnich w Pradze, Budapeszcie czy Warszawie stało się banalnie proste. W miastach NRD w każdy poniedziałkowy wieczór rozpoczynały się demonstracje, gromadzące z tygodnia na tydzień coraz więcej osób. Wreszcie NRD zamknęła granice, ale było już zbyt późno, by powstrzymać emigrantów czy kontestatorów. Wreszcie zapadła decyzja, by wywieźć protestujących pod ambasadami na Zachód. Zorganizowano transport kolejowy; pociągi miały jechać przez Drezno, jako leżące

najbliżej Pragi miasto wschodnich Niemiec. Rzeczywiście już wkrótce przejechały tędy pierwsze wolne składy po demonstrujących pod praską ambasadą RFN ludzi. W październiku natomiast na dworcu w Dreźnie zaczęły gromadzić się tłumy; niektórzy przywieźli ze sobą dobytek całego życia. Wielu liczyło, że zdołają się dostać do któregoś z przejeżdżających pociągów i dotrzeć nim na Zachód, inni przyszli po prostu popatrzeć na najdziwniejsze zdarzenie w powojennej historii miasta.

Naprzeciwko tłumom wyszły wszystkie miejskie siły porządkowe: do oddziałów milicji dołączyli przedstawiciele służb specjalnych, by zastraszyć, pobić i zatrzymać jak największą liczbę ludzi. Niepokoje trwały przez kilka dni. Siódmego października, dokładnie w dniu trzydziestych siódmych urodzin Władimira Putina w NRD miały odbyć się uroczystości ku czci czterdziestej rocznicy utworzenia państwa.

Rocznica spowodowała wybuch zamieszek w Berlinie; aresztowano przeszło tysiąc osób. Dwa dni później poniedziałkowe demonstracje zgromadziły już setki tysięcy Niemców z całego kraju, a w ciągu następnych dwóch tygodni liczba protestujących wzrosła przeszło dwukrotnie. Dziewiątego listopada runął mur berliński, ale demonstracje we wschodnich Niemczech trwały aż do ogłoszenia pierwszych wolnych wyborów w marcu następnego roku.

Piętnastego stycznia 1990 roku przed głównym budynkiem Stasi w Berlinie zebrał się tłum protestujących, którzy chcieli zapobiec zniszczeniu dokumentów zgromadzonych w archiwach tajnej policji. Demonstrantom udało się pokonać ochronę budynku i wdrzeć na jego teren. W pozostałych miastach NRD szturm na zabudowania należące do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego rozpoczęły się jeszcze wcześniej.

Putin wyznał biografom, że był wtedy jako obserwator w tłumie drezdeńczyków nacierających na budynek Stasi. „Jedna kobieta krzyknęła: »Szukajcie wejścia do tunelu pod Elbą! Trzymają tam więźniów, a w celach jest wody po kolana«. O jakich więźniów mogło jej chodzić? Dlaczego myślała, że ich cele są pod Elbą? Oczywiście, w budynku były cele, ale przecież nie pod rzeką”. Przyszły prezydent wspominał, że wściekłość zgromadzonych była niewspółmierna do okoliczności i dla niego zdecydowanie zdumiewająca. Grożono jego przyjacielom i sąsiadom, jedynym ludziom, z którymi utrzymywał kontakty przez ostatnie cztery lata. Nie potrafił zrozumieć, jak ktokolwiek może uważać ich za tak okrutnych (jak to przedstawiał rozgoryczony tłum). Byli przecież zwyczajnymi, niewyróżniającymi się niczym urzędnikami.

Gdy fala protestujących dotarła do budynku, w którym pracował, i próbowała wdrzeć się do środka, Putin poczuł dogłębne oburzenie. Kilkanaście lat później przedstawiał biografom swoje stanowisko w tej sprawie: „Rozumiem, że Niemcy mogli niszczyć własność

własnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego; to była ich wewnętrzna sprawa. Ale my nie byliśmy ich wewnętrzną sprawą. Ich zachowanie stanowiło poważne zagrożenie. W budynku znajdowały się dokumenty, ale jakoś nikogo nie obchodziło ani bezpieczeństwo ludzi, ani nasza własność”. Strażnicy pilnujący wejścia do kwatery KGB zostali zmuszeni do oddania strzałów ostrzegawczych, jak utrzymuje Putin, wyłącznie po to, by zademonstrować gotowość do chronienia wnętrza budynku. Groźba użycia broni pohamowała zapędy ludzi jedynie na jakiś czas. Podobno gdy tłum znów zaczął się burzyć, Putin osobiście wyszedł na zewnątrz. „Spytałem, czego chcą. Wyjaśniłem, że budynek należy do organizacji Związku Radzieckiego, na co ktoś z tłumu krzyknął: »To dlaczego używacie samochodów z niemieckimi rejestracjami?

Co tu w ogóle robicie?«. Zakrzyknął to takim tonem, jakby miał własną teorię na temat tego, co mogliśmy tu robić. Odparłem, że umowy międzynarodowe pozwalają nam korzystać z samochodów rejestrowanych w Niemczech. »A kim ty jesteś? Mówisz zbyt dobrze po niemiecku«, zaczęli krzyżeć. Powiedziałem, że jestem tłumaczem. Ci ludzie byli bardzo agresywni. Zadzwoiłem do naszej bazy wojskowej i opowiedziałem, co się dzieje. Odparli: »Nie możemy zrobić niczego, dopóki nie dostaniemy rozkazów z Moskwy, a Moskwa milczy«. Wtedy zrozumiałem, że Związek Radziecki toczy choroba, śmiertelne schorzenie zwane paralizem. Paralizem władzy”.

Kraj, któremu Putin służył przez całe życie najlepiej, jak potrafił, którego wolę przyjmował bez słowa dyskusji, opuścił go w chwili potrzeby. Radzieckiego aparacza ogarnął strach i poczucie, że nie zdoła się obronić. A Moskwa milczała. Kilka godzin, jakie dzieliły chwilę przed tłumem od przyjazdu rosyjskiego wojska, siedzący w oblężonym budynku Putin poświęcił na wpychanie do przenośnego piecyka na drewno setek stron dokumentów. W końcu piec rozgrzał się do takiej temperatury, że metal nie wytrzymał i pękł. Putin zniszczył wszystko, nad czym przez lata pracował z kolegami: listy kontaktów, kartoteki ludzi, raporty z prowadzonych obserwacji i prawdopodobnie niezliczone wycinki prasowe.

Żmudny i bolesny proces eliminowania pracowników bezpieki z życia społecznego rozpoczął się, jeszcze zanim do budynków należących do Stasi wdarli się demonstranci. Wszyscy sąsiedzi Putinów stracili pracę, a ponadto zakazano im jej wykonywania w instytucjach prawa i porządku publicznego, zabroniono udzielać się w rządzie i podejmować zajęcia w placówkach edukacyjnych. „Sąsiadka, z którą bardzo się zaprzyjaźniłam, przepłakała cały tydzień”, opowiadała biografom męża Ludmiła Putina. „Żałowała straconych marzeń i upadku wszystkiego, w co wierzyła. Zniszczono im wszystko - życia, kariery... Katia

[młodsza córka Putinów] miała w przedszkolu wspaniałą nauczycielkę. Teraz już nigdy nie będzie jej wolno pracować z dziećmi tylko dlatego, że zatrudniało ją Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego”. Po dwunastu latach, jakie minęły od opisywanych przez nią wydarzeń, przyszła Pierwsza Dama postradzieckiej Rosji nadal nie rozumiała idei lustracji i uznawała ten proces za nieludzki.

Putinowie wrócili do Leningradu. Przywieźli ze sobą dwudziestoletnią pralkę - prezent od niemieckich sąsiadów (mimo że ci ludzie właśnie stracili pracę, i tak mogli liczyć na lepsze warunki życia niż te, które czekały przesiedleńców w Związku Radzieckim) i nieco oszczędności w dolarach, za które mogli kupić samochód radzieckiej produkcji. Tyle mieli po czterech latach spędzonych na zagranicznej placówce, nie licząc oczywiście niespełnionych marzeń Władimira Putina o karierze szpiegowskiej. Mniejszy z pokoiów w mieszkaniu starszych państwa Putinów ponownie zasiedliły cztery osoby. Ludmiła spędzała teraz całe dni, krążąc między pustymi półkami sklepowymi lub stojąc w kolejkach, by kupić niezbędne do życia rzeczy. Oczywiście, tak wyglądały dni każdej przeciętnej kobiety żyjącej w Związku Radzieckim, ale dla przyzwyczajonej do względnego komfortu życia w Niemczech Ludmiła było to doświadczenie nie tylko upokarzające, lecz także przerażające. „Bałam się chodzić do sklepów”, opowie potem w wywiadzie. „Starałam się spędzać w nich jak najmniej czasu, kupić to, co najpotrzebniejsze, a potem prędko do domu. To było straszne”.

Czy można wyobrazić sobie gorszy powrót do Związku Radzieckiego? Siergiej Rołodugin, zaprzyjaźniony z Putinem wiolonczelista, przytoczył jeden z monologów przyjaciela. „Nie wolno im tego robić. Jak mogli? Rozumiem, że mnie zdarzają się błędy, ale im? Jak ludzie, których uważam za najlepszych profesjonalistów, mogą popełniać błędy?”. Potem Putin stwierdził, że odejdzie z KGB. „Nie ma byłych szpiegów. Szpiegiem zostaje się na całe życie”, zauważył, przytaczając popularne rosyjskie przysłowie. Przyszły prezydent poczuł się zdradzony przez kraj i instytucję, w której pracował. Całe życie definiował się poprzez przynależność do nich i do klubu dzudo, a teraz dwa pierwsze, najważniejsze filary jego tożsamości runęły. Nie był zresztą w swoich odczuciach osamotniony - można powiedzieć, że poczucie zdrady, porzucenia i braku kierunku zdominowało w 1990 roku ducha korporacji w całym KGB.

Rozdział czwarty

BYŁ SOBIE SZPIEG

Cała historia Rosji jest związana z Petersburgiem. Przed I wojną światową miasto było stolicą potężnego imperium. Po jej wybuchu jego niemiecko brzmiącą nazwę zastąpiła rosyjska kalka - Piotrogród. Imperium nie przetrwało wojny. Położyły mu kres dwie rewolucje, które dokonały się kolejno w 1917 roku; obydwie rozpoczęły się właśnie w Piotrogradzie. Potem, wraz z przeniesieniem się władz do Moskwy, miasto utraciło status stolicy, utrzymało za to pozycję największego ośrodka kulturalnego, zamieszkanego przez największych rosyjskich poetów i artystów. Nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy tydzień po śmierci pierwszego z rządzących krajem tyranów zostało nazwane Leningradem. Niestety, nieustające czystki, aresztowania i egzekucje, jakie miały miejsce w latach trzydziestych, przetrzebiły znacznie szeregi elit - literaci, artyści, naukowcy, politycy i przedsiębiorcy stali się obiektem ciągłych prześladowań. Kulminacją tego ponurego okresu był wybuch radzieckofińskiego konfliktu zbrojnego (1939-1940), zwanego też wojną zimową, nieprzemyślanego aktu agresji ZSRR na sąsiedni kraj. Leningrad z tamtych dni - z czasów oblężenia i lat powojennych - był miastem duchów. Po świetności zabudowy nie pozostał kamień na kamieniu; bombardowania i ciągły ostrzał pozbawiły okna szyb, a framugi zerwali ludzie, by mieć czym palić w piecach. Ten sam los spotkał większość mebli. Ulicami, pośród podziobanych śladami po kulach budynków, przebiegały procesje setek, może nawet tysięcy dobrze odżywionych szczurów. Potrafiły maszerować całą szerokością chodnika, spychając na boki snujących się niczym cienie ocalałych mieszkańców.

Po wojnie miasto odzyskało wigor, ożywione ściągającymi do niego ludźmi i ich sprawami, z czasem stając się potężnym ośrodkiem przemysłu zbrojeniowego w ZSRR. Setki tysięcy Rosjan napływających ze wszystkich zakątków kraju trafiały do klitek w identycznych szarych blokach, których i tak wznoszono zbyt mało, by zdołały pomieścić wszystkich. W połowie lat osiemdziesiątych populacja Leningradu sięgnęła pięciu milionów. Zapewnienie ludziom godziwych warunków, nawet biorąc pod uwagę niskie standardy życia w Związku Radzieckim, było zwyczajnie niemożliwe. Tymczasem serce miasta, historyczne centrum, niszczało, pozbawione zainteresowania władz. Rodziny, które, jak Putinowie, przetrwały piekło pierwszej połowy XX wieku, żyły teraz w wielkich, pełnych zakamarków mieszkaniach komunalnych, niegdyś świetnych, lecz wskutek dziesiątek lat zaniedbania chylących się nieuchronnie ku ostatecznemu upadkowi.

Okazało się jednak, że podczas pobytu Putina w Niemczech miasto zmieniło się bardziej niż w ciągu czterdziestu lat po wojnie. Ludzie do tej pory trzymani w szachu przez jemu podobnych - dysydenci, niedoszli dysydenci i przyjaciele przyjaciół dysydentów - zachowywali się teraz, jakby Leningrad należał do nich. szesnastego MARCA 1987 roku placem św. Izaaka w Leningradzie wstrząsnął huk eksplozji. Wybuch zburzył budynek hotelu, którego fasada od około stu pięćdziesięciu lat zdobiła najpiękniejszy miejski plac, miejsce nierozzerwalnie związane z historią i kulturą Petersburga. Tam, w pokoju numer 5 zabił się Siergiej Jesienin, wielki rosyjski poeta, wprowadzając tym samym hotel Angleterre do wierszy kilku innych twórców swoich czasów. W kraju, w którym o historycznych faktach mówiło się szeptem, w największej tajemnicy, broniono do nich dostępu, niszczone lub fałszowano, budynek Angleterre urósł do rangi symbolu jako jeden z nielicznych niezaprzeczalnych pomników historii. Prawdopodobnie dlatego tylu mieszkańców miasta Piotra Wielkiego poczuło się zdruzgotanych stratą, która dotknęła ich osobiście. Wyburzenie hotelu starannie zaplanowano, natomiast nie przewidziano narodzin ruchu, który powstał na gruzach zabytku i który, jak się wkrótce okazało, miał odegrać kluczową rolę w obaleniu totalitarnego radzieckiego reżimu.

W marcu 1985 roku na czele Związku Radzieckiego stanął Michaił Gorbaczow. Pierwszy rok urzędowania poświęcił na umocnienie swojej pozycji w Politbiurze, w drugim zaś rozpoczął wprowadzanie w życie zasad, jak sam ją nazwał, pieriestrojki, choć nikt, nawet on sam, nie wiedział do końca, na czym miałyby polegać ta przebudowa. W grudniu 1986 roku nowy sekretarz generalny Komitetu Centralnego KPZR zezwolił najsłynniejszemu radziekiemu opozycjoniście Andriejowi Sacharowowi na powrót do Moskwy z miasta Gorki, gdzie laureat Nagrody Nobla przebywał na zesłaniu od siedmiu lat. Styczeń 1987 roku zapisał się jako czas wprowadzenia drugiej z wielkich inicjatyw Gorbaczowa. Głasnost', czyli otwartość, nie oznaczała wprawdzie całkowitego zniesienia instytucji cenzury (a przynajmniej nikt nie spodziewał się tego w najbliższej przyszłości), ale wprowadziła pewne zmiany w jej funkcjonowaniu - na przykład biblioteki w całym kraju zezwoliły na nieco większy dostęp do materiałów dotychczas całkowicie nieosiągalnych. W lutym tego samego roku gensek zmienił wyroki wydane w sprawach stu czterdziestu dysydentów przetrzymywanych w więzieniach i obozach pracy.

Należy tu wyraźnie zaznaczyć, że Michaił Gorbaczow nie planował upadku Związku Radzieckiego czy odebrania władzy partii komunistycznej, nie miał nawet zamiaru wprowadzać radykalnych zmian w funkcjonowaniu ustroju, choć sam bardzo chętnie posługiwał się określeniem „radykalny” w odniesieniu do własnych działań. Starł się raczej

przeprowadzać łagodną modernizację radzieckiej ekonomii i sposobu funkcjonowania społeczeństwa, tak by nie naruszać podwalin ich istnienia. Lecz proces, który w ten sposób uruchomił, doprowadził nieuchronnie i - co można stwierdzić po czasie - w zastraszającym tempie do załamania systemu.

Pięć lat przed mającym nastąpić tąpnięciem dawało się odczuć lekkie ruchy podziemne. Ponieważ Gorbaczow roztoczył przed ludźmi wizję potencjalnych zmian, wszyscy zaczęli mówić o nich tak, jakby ich wprowadzenie było bezdyskusyjne. Powoli, bardzo ostrożnie rozmowy na takie tematy zostały wyprowadzone i jedenastego marca 1985 r., po śmierci Konstantina Czernienki, Gorbaczow został mianowany sekretarzem generalnym KC KPZR, stając się de facto przywódcą ZSRR.

Zaczęły się kształtować pierwsze, luźne koalicje. Po raz pierwszy od dziesięcioleci rozmowy o polityce i palących kwestiach społecznych wyszły poza kręgi opozycji i sztywne partyjne struktury, dlatego zjednoczone w ten sposób struktury nazwano „nieformalnymi”. Główny trzon ruchu stanowili ludzie należący do pokolenia wychowanego w czasach odwilży, jaka zapanowała za rządów Chruszczowa, czyli pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych - po zakończeniu stalinowskiego terroru, a przed nastaniem stagnacji charakterystycznej dla rządów Breżniewa.

Nieformalnych nie łączyły wspólne korzenie polityczne, język prowadzonych dyskusji czy miejsca, w jakich je organizowano. Jednoczył ich przede wszystkim wstręt wobec ustroju i przemożna chęć ratowania tego, co zachowało się jeszcze w ich ukochanym mieście - kolebce rosyjskiej kultury i państwowości. „Ludzie z naszego pokolenia uznali, że stoją w ślepych zaułku. Można było próbować z niego uciec albo zginąć”, podsumowała wydarzenia sprzed dwudziestu lat Jelena Zielińska, autorka jednego z kilku wydawanych w drugim obiegu pism (tzw. samizdatów), które konsolidowały nieformalnych. „Dusiliśmy się w atmosferze tych kłamstw, hipokryzji i głupoty. Nikt nie czuł lęku. Gdy tylko dostrzeżliśmy pierwsze promienie nadziei, a ludzie, których ręce były dotąd skrępowane, mogli poruszyć wreszcie choćby palcami, zaczęliśmy działać. Nie chodziło o pieniądze czy podnoszenie standardu życia. Chcieliśmy tylko wolności. Pragnęliśmy żyć po swojemu, podróżować. Pragnęliśmy uwolnić się od hipokryzji, nie musieć jej znosić. Mieliśmy dość oszczerstw, nie chcieliśmy dłużej wstydić się własnych rodziców i nade wszystko pragnęliśmy wyzwolić się z lepkich kłamstw, które więziły nas niczym melasa”.

Niezależnie jednak od tego, o czym nieformalni rozprawiali w zaciszu swoich domów, bezmyślna biurokratyczna machina zniszczenia robiła swoje. Szesnastego marca 1987 roku miasto obiegła plotka: mają burzyć hotel Angletterre. Przywódca samozwańczego ruchu

obrony hotelu, Aleksiej Kowalow, udał się do siedziby rady miasta, która szczęśliwie znajdowała się przy tym samym placu co hotel, by rozpocząć negocjacje z jedną z ważniejszych urzędniczek. Kobieta zapewniła, że budynek jest bezpieczny, i błagała, by Kowalow „przestał wprowadzać ludzi w błąd i siać panikę” (Siergiej Wasiliew, wspomnienia opublikowane w „Obwodnom Timesie”, vol. 4, nr 2 (kwiecień 2007), s. 8, przytoczone w *Obszczestwiennoj żyzni*, s. 447). Niecałe pół godziny później wszystkie dźwięki zagłuszył huk, a zajmująca cały kwartał budowla zamieniła się w kupę gruzów. Wtedy właśnie stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Aleksander Winnikow, fizyk, później jeden z ważniejszych działaczy w mieście, wspomina te wydarzenia następująco. „Wydawało się, że gdy pył i kurz po eksplozji osiadły już na ruinie hotelu, nam pozostały tylko wspomnienia. Tak było, ale były to naprawdę niezwykle reminiscencje. Nigdy wcześniej nie mogliśmy nawet marzyć, by zaprotestować przeciwko działaniom władz i wyjść z tego cało; nie trafić do więzienia czy choćby nie stracić pracy. W pamięci pozostało nam niesamowite wspomnienie działania w słusznej sprawie, coś, co czuje każdy, stojąc w grupie ludzi o podobnych poglądach i słuchając osoby wyrażającej na głos myśli wszystkich zebranych. Ale przede wszystkim odczuliśmy, jak bardzo upokarzające jest zupełne lekceważenie głosu społeczeństwa przez władzę. Wtedy w ludziach zaczęło kształtować się poczucie godności i pragnienie, by pokazać, że mają prawo wygłaszać własne racje i że nie powinny one pozostawać bez echa” (Aleksander Winnikow, *Cena swobody*, *Obszczestwiennaja żyzn’*, s. 449).

Ludzie nie rozeszli się do domów. Następnego dnia po południu, w miejscu, gdzie dotąd stał hotel Angleterre, zebrało się kilkaset osób. Parkan otaczający plac rozbiórki pokryły wykonane w domach plakaty, ulotki, wiersze pisane bezpośrednio na deskach czy po prostu nazwiska osób biorących udział w proteście, które miały odwagę się ujawnić.

„Na placu św. Izaaka każdy z nas zdołał odnaleźć siebie”, można było przeczytać w proroczym artykule, który (wtedy) trzydziestotrzyletnia Zielińska przybiła do parkanu. „Wybraliśmy niełatwą drogę (...). Prawdopodobnie popełnimy wiele błędów, niektórym z nas zapewne zostanie odebrany głos. Przypuszczalnie nie zdołamy osiągnąć niczego, co sobie założyliśmy, tak samo jak nie zdołaliśmy ocalić hotelu Angleterre. Jest tyle rzeczy, o których nie wiemy, których nie potrafimy. Czy można się spodziewać, że ludzie, których nikt nigdy nie pytał ozdanie, będą potrafili dowodzić swych racji? Czy ludzie, którzy całe życie byli trzymanym z dala od wszelkich działań społecznych, mogli nauczyć się walczyć w zaciszach swoich domów? Czy można zakładać, że ludzie, których działania nie miały nigdy konkretnego wpływu nawet na ich własne życie, będą w stanie przewidzieć konsekwencje

swoich czynów?”.

Przez trzy dni mieszkańcy Leningradu setkami gromadzili się na miejscu rozbiórki. Protest, któremu nie było końca, został okrzyknięty „bitwą o Angletterre”. W końcu przez plac przestały przewalać się tłumy, ale nawet wtedy z parkanu nie zniknęły plakaty i artykuły; pojawiały się coraz to nowe. Ludzie przychodzili pod dawny Angletterre, by się dowiedzieć, co się dzieje w mieście i w kraju albo by przekazać wieści innym. Wkrótce plac rozbiórki zaczęto nazywać „punktem informacyjnym”. Rozmowy, prowadzone dotychczas po domach, przeniosły się na ulicę, a płot wokół dawnego hotelu zamienił w „żywą stronę”, na której pojawiały się publikacje drugiego obiegu.

W innych zakątkach miasta zaczęły się zbierać grupki dyskutantów. W czerwcu kilkoro młodych leningradzkich ekonomistów założyło klub, którego spotkania odbywały się w Pałacu Młodzieży. Tematami rozmów były nieporuszone dotąd zagadnienia, jak choćby możliwość prywatyzacji. Nim rok dobiegł końca, jeden z jego członków przedstawił ideę przeprowadzenia prywatyzacji przedsiębiorstw poprzez wydanie każdemu dorosłemu obywatelowi Związku Radzieckiego stosownego bonu. Wtedy wprowadził pomysł się nie przyjął, ale już kilka lat później w ten właśnie sposób został sprywatyzowany państwowy majątek, a większość uczestników tamtych spotkań odegrała kluczową rolę w kształtowaniu polityki ekonomicznej kraju po upadku komunizmu.

Ludziom obserwującym te przemiany z zewnątrz wydawało się, że zachodzą one w zastraszającym tempie, ale prawdę powiedziawszy, dwóm krokom do przodu zawsze towarzyszył jeden krok wstecz. W maju zaprzestano zagłuszania zachodnich stacji radiowych, ale jednocześnie ostatniego dnia tego miesiąca władze miasta zlikwidowały punkt informacyjny pod dawnym Angletterre. W czerwcu, podczas wyborów do rady miasta, przeprowadzono niewielki, ale rewolucyjny w wymowie eksperyment - w czterech procentach okręgów wyborczych, zamiast zwyczajowego jednego nazwiska, na kartach do głosowania pojawiły się dwa.

Oczywiście, obydwaj kandydaci byli namaszczeni przez partię komunistyczną, ale i tak po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat nieliczni głosujący mieli prawo wyboru. Dziesiątego grudnia odbył się w Leningradzie pierwszy nierozpędzony przez milicję wiec polityczny. Przynajmniej dwie osoby, które wówczas zabrały głos, miały na koncie wyroki za działalność opozycyjną. zmiany nie ustały wraz z nadejściem nowego roku. Stopniowo zawiązywały się kolejne grupy, z czasem zaczęły wykształcać się w nich pewne struktury, zaistnieli liderzy - osoby stopniowo zdobywające zaufanie poza kręgiem najbliższych znajomych. Kilka lat później stały się one pierwszymi rosyjskimi politykami ery

postradzieckiej.

Wiosną kilkoro mieszkańców Leningradu postanowiło zorganizować regularne mityngi w znajdującym się w centrum miasta Ogrodzie Michajłowskim. Nazwali je „Hyde Parkiem”. Raz w tygodniu każdy, kto pojawił się na takim spotkaniu, miał prawo wygłosić publiczne przemówienie. „Zasady były proste: każdy miał pięć minut na przedstawienie swoich poglądów na dowolnie wybrany temat, o ile nie nawoływał do wojny, używania przemocy ani nie głosił haseł ksenofobicznych”, wyjaśniał po latach Iwan Sosznikow, w owym czasie trzydziestodwuletni taksówkarz, jeden z organizatorów debat na świeżym powietrzu. „Chciałeś mówić o prawach człowieka? Proszę bardzo! Pamiętam, że ktoś przyniósł ze sobą Powszechną Deklarację Praw Człowieka z 1948 roku. Ja znałem ten tekst z drugiego obiegu, ale inni, którzy wcześniej nie mieli do niej dostępu, nie posiadali się z radości. Spotkania organizowaliśmy w każdą sobotę, od dwunastej do szesnastej. Każdy mógł podejść do mikrofonu i mówić, o czym chciał. Pamiętajmy, że wolność prasy wtedy nie istniała, więc choć do parku przychodziło wielu dziennikarzy, żaden z nich nie mógł napisać o tym, co usłyszał”.

Po kilku miesiącach milicja przepędziła uczestników Hyde Parku z Ogrodu Michajłowskiego, więc organizatorzy przedsięwzięcia przenieśli je na Newski Prospekt, czyli główną ulicę miasta, pod Sobór Kazański. Bez osłony drzew i parkowego płotu mówcy i słuchacze stali się jeszcze bardziej widoczni niż przedtem, władze miasta zmieniły więc taktykę: zamiast ponownie przeganiać wiecujących, postanowiono ich zagłuszyć. Pewnego dnia, gdy uczestnicy Hyde Parku pojawili się pod soborem, zastali tam grającą orkiestrę dętą. Oczywiście, razem z orkiestrą pojawiła się też grupa melomanów, którzy przyjęli wolnomysłioci bardzo niechętnie. Mówili: „Słuchajcie, ludzie przyszli tu odpężyć się przy muzyce. Nikt nie chce tu waszych przemów”. Podczas krótkiej przerwy w koncercie Iwan Sosznikow podszedł do dyrygenta, który dość szybko wyjawiał, że orkiestra została przysłana pod sobór przez miejskich włodarzy.

Jekatierina Podolcewa, genialna czterdziestojednoletnia matematyczka, która szybko stała się najbardziej widocznym i niewątpliwie najbardziej ekscentrycznym działaczem ruchu prodemokratycznego w mieście, znalazła sposób na uciszenie orkiestry. Zaproponowała, by wszyscy stali członkowie Hyde Parku pojawili się w następnym tygodniu pod soborem z cytrynami. Gdy tylko orkiestra zaczęła grać, uczestnicy ruchu zaczęli jeść cytryny lub udawać, że to robią, jeśli smak owocu był dla nich zbyt kwaśny. Podolcewa przeczytała gdzieś czy usłyszała, że ludziom patrzącym na kogoś jedzącego cytrynę ślina sama napływa do ust, to zaś skutecznie uniemożliwia grę na instrumentach dętych. Podstęp zadziałał,

muzyka ustała i zgromadzeni wolnomyśliciele mogli podjąć debatę.

Trzynastego czerwca 1988 roku Rada Najwyższa ZSRR uchyliła wydane przed pięćdziesięciu laty wyroki, które rozpoczęły stalinowski wielki terror, a następnego dnia w Leningradzie zorganizowano wiec ku czci pamięci ofiar represji politycznych - pierwsze w historii Związku Radzieckiego legalne zgromadzenie na taką skalę.

Jednak najważniejszymi w 1988 roku wydarzeniami - nie tylko dla mieszkańców Leningradu, ale dla wszystkich obywateli ZSRR - było zawiązanie się tak zwanego Frontu Ludowego¹¹ oraz wybuch konfliktu zbrojnego pomiędzy Armenią i Azerbejdżanem. (Pierwsze spotkanie członków założycieli Frontu Ludowego odbyło się w Leningradzie w sierpniu 1988 roku. Uczestniczyli w nim przedstawiciele dwudziestu różnych organizacji z miast całej Republiki Rosyjskiej oraz dwanaście osób z innych republik Związku Radzieckiego). Poszczególne odłamy Frontu Ludowego powstały mniej więcej w jednym czasie w przeszło trzydziestu miastach ZSRR, co więcej - ich formowanie się było procesem spontanicznym. Front głosił poparcie dla pieriestrojki, która spotkała się z ostrym sprzeciwem wewnątrz partii, ale jego najważniejszą funkcją było przeprowadzenie pewnego zakrojonego na szeroką skalę eksperymentu. Chodziło o utworzenie demokratycznej w charakterze i strukturze organizacji (a w zasadzie jej oddziałów) w kraju, którego społeczeństwo nigdy nie miało do czynienia z nienarzuconymi odgórnie zmianami społecznymi (ani też z żadnym innym przejawem działalności obywatelskiej).

„Organizacja, której celem jest wprowadzenie demokracji do społeczeństwa, musi sama w sobie być demokratyczna”, głosił dokument powołujący Front Ludowy do życia. „Dlatego właśnie wewnętrzne regulacje Frontu Ludowego będą z założenia przeciwdziałać budzeniu się w nim biurokracji i autokracji. W tym celu rada koordynująca działania ruchu będzie wybierana w tajnym głosowaniu, a podczas każdego ogólnego spotkania Frontu Ludowego będzie można zawiązać ją ponownie. Zakłada się dalej, że żaden z członków rady koordynacyjnej nie będzie pełnił stale funkcji jej przewodniczącego, lecz będą się oni kolejno zmieniać. Dalej: żaden z członków Frontu Ludowego nie otrzyma prawa przedstawiania stanowiska organizacji w żadnej sprawie, która nie zostanie omówiona na ogólnym posiedzeniu Frontu Ludowego. Oczekuje się zatem, że wszystkie decyzje podejmowane w trakcie posiedzeń ogólnych oraz głosowań rady koordynacyjnej będą miały charakter zaleceń; członkowie organizacji, którzy znajdują się w mniejszości, nie mają obowiązku podpisywać się pod decyzjami, z którymi się nie zgadzają, ale też nie mają prawa podejmować działań mających zapobiegać wprowadzaniu w życie woli większości w sposób inny niż za pomocą stosownych argumentów”. Mówiąc krótko, Front Ludowy miał przede wszystkim różnić się

zasadniczo od partii komunistycznej.

Ku zaskoczeniu wszystkich eksperyment się powiódł. Dwadzieścia lat później matematyk, który w późnych latach osiemdziesiątych był aktywnym działaczem na rzecz demokracji, podsumował powstanie Frontu Ludowego w następujący sposób. „Spotkali się w Domu Kultury Pracowników Przemysłu Spożywczego. Wstęp był wolny. Część przybyłych miała wyraźne problemy z równowagą psychiczną. Na pierwszy rzut oka spotkanie przypominało dom wariatów; niektóre wypowiedzi były zupełnie pozbawione sensu. Przez godzinę, może półtorej, trwały rozmowy o niczym, ale potem do mikrofonu podeszli inni ludzie (później dowiedziałem się, że to niektórzy przywódcy Frontu). W końcu udało się im poddać pod głosowanie kilka istotnych kwestii. Ustalona w ten sposób rezolucja była całkiem rozsądna - określała jasno cele polityczne i dodatkowo była zapisana porządnym językiem. Ówczesni liderzy organizacji okazali się ludźmi wyważonymi, z którymi można było podjąć jakąś dyskusję”. Sztuka prowadzenia dysputy była ciągle najwyżej cenionym towarem w Związku Radzieckim.

Spontanicznie przywódcą ruchu bardzo szybko stała się pewna kobieta, osoba najbardziej zaufana, którą najczęściej wyznaczano do występowania w imieniu Frontu Ludowego. Marina Salje nie przypominała żadnego z dotychczasowych polityków Związku Radzieckiego ani też, prawdę mówiąc, żadnego z przywódców światowych. Ta pięćdziesięcioletnia, samotna kobieta (od lat mieszkająca z inną kobietą, którą nazywała swoją siostrą) większość dorosłego życia spędziła w najbardziej niedostępnych częściach Związku Radzieckiego, badając tamtejsze skały. Była doktorem geologii. Wybrała ścieżkę typową dla przedstawicieli rosyjskiej inteligencji: znalazła sobie zajęcie niepowiązane w żaden sposób z polityką kraju i pozwalające przebywać możliwie daleko od radzieckiego centrum dowodzenia. Salje, która nigdy nie wstąpiła do partii komunistycznej, nie musiała wstydzić się przynależności do żadnej cieszącej się złą sławą organizacji.

Jednocześnie trudno było wymarzyć sobie lepszą kandydatkę na przedstawiciela obywateli Petersburga - jej prapradziadek był jednym z bardziej znamienitych mieszkańców miasta. Paweł Buhre, dostawca zegarków na carski dwór, stworzył mechanizmy, które działają do dziś i są wysoko cenione przez miłośników zegarmistrzostwa. Jej pradziadkowie przybyli do miasta w XIX wieku z Francji i Niemiec. Sama Salje, zawsze wyrażająca się poprawnie, błyskotliwa i nie lubiąca owijać w bawełnę, wzbudzała zaufanie i sprawiała, że ludzie chcieli podążać jej śladem. Dwadzieścia lat później jeden z jej przeciwników politycznych wspominał ją w następujący sposób: „Z nieodłącznym papierosem w ustach potrafiła poprowadzić tłum Newskim Prospektem, zatrzymując przy tym cały ruch uliczny.

Widziałem kiedyś, jak zrobiła coś takiego, i do tej pory jestem pod wrażeniem. Nikt nie mógł z nią rywalizować”. w lutym 1988 ROKU wybuchł konflikt pomiędzy Azerbejdżanem i Armenią, pierwsza z wielu wojen na tle etnicznym, jakie po dziś dzień nękają obszar byłej Zakaukaskiej Republiki Radzieckiej. Niewielki, zamieszkały głównie przez Ormian, obszar względnie zamożnej muzułmańskiej Azerbejdżańskiej SRR - Górski Karabach - postanowił oderwać się od niej i połączyć z raczej ubogą i niemal całkowicie chrześcijańską Armenią, wówczas wciąż jedną z republik ZSRR. W tamtych czasach w to, że rozpad Związku Radzieckiego jest tak naprawdę kwestią czasu, wierzyli zaledwie nieliczni dysydenci, ale nawet oni nie zakładali, że nastąpi to tak szybko. Sprawa Górskiego Karabachu pokazała, że to, co do tej pory mieliśmy za niewyobrażalne, w gruncie rzeczy jest jak najbardziej możliwe. Co więcej, zdarzenia na Zakaukaziu ujawniły dokładnie mechanizm zmian: Związek Radziecki musiał rozpaść się, prędzej czy później, wzdłuż linii wyznaczających podziały etniczne tworzących go narodów. Można też było podejrzewać, że proces ten będzie długi i bolesny. Jednak w czasach, o których teraz piszę, na ulicach Górskiego Karabachu pojawiły się demonstracje popierające ruch niepodległościowy. Kilka dni później w Sumgaicie, jednym z azerskich miast, zamieszkałych w znacznym stopniu przez Ormian, doszło do ich pogromu. W jego wyniku zmarło przeszło trzydzieści osób, kilkaset zostało rannych.

Na coraz liczniejsze konflikty na tle etnicznym i religijnym patrzyły z wielkim niepokojem elity intelektualne Związku Radzieckiego. W czerwcu 1988 roku, wkrótce po tym, jak rada deputowanych autonomii Górskiego Karabachu ogłosiła oficjalnie chęć odłączenia się od Azerbejdżańskiej SRR, setki mieszkańców Leningradu zgromadziły się na jednym z miejskich placów, by wyrazić swoje poparcie dla Ormian¹⁶. Pod koniec lata leningradzkiemu ruchowi demokratycznemu udało się zorganizować pod miastem wakacje dla ormiańskich dzieci z Sumagitu. Najbardziej zagorzałym w kraju obrońcą praw Ormian stała się pochodząca z Leningradu antropolog Galina Starowojtowa (ta sama, o zamordowaniu której przyszło mi pisać dziesięć lat później). Dziesiątego grudnia 1988 roku w Górskim Karabachu aresztowano dwóch członków Komitetu Karabachskiego, zaangażowanych czynnie w sprawę odłączenia autonomii od republiki azerskiej.

Dwa dni później mieszkania leningradzkich zwolenników demokracji zostały poddane rewizji. Wśród pięciu sprawdzonych wtedy osób znaleźli się były więzień polityczny Julij Rybakow oraz Jekatierina Podolcewa, ta sama, która jakiś czas wcześniej zdołała uciszyć orkiestrę dętą za pomocą cytryn. Wobec całej piątki wszczęto postępowanie karne na mocy paragrafu 70 Kodeksu Karnego ZSRR, który zakładał represje za szerzenie antyradzieckiej

propagandy (od sześciu miesięcy pozbawienia wolności do nawet siedmiu lat; recydywistów czekały dłuższe wyroki). Jak się później okazało, była to ostatnia sprawa przeprowadzona w oparciu o paragraf 70 k.k. w historii kraju.

Jak widać, transformacja Związku Radzieckiego przebiegała dalej ustalonym rytmem: dwa kroki naprzód, krok wstecz. Organizowaniu powszechnych wieców, co jeszcze dwa lata wcześniej było zupełnie niewyobrażalne, towarzyszyły przeszukania i aresztowania za wyrażanie nieprawomyślnych opinii, za głoszenie których można było trafić na długie lata do więzienia. Osłabła nieco cenzura; w 1988 roku opublikowano wreszcie w ZSRR powieść Borysa Pasternaka Doktor Żywago, ale książki Aleksandra Sołżenicyna nadal znajdowały się na indeksie.

Choć Andriej Sacharow mógł powrócić do domu i wieść normalne życie, w pracy stawiano mu przeszkody nie do pokonania. Latem 1988 roku Sacharow odwiedził Leningrad. Wywiad z noblistą przeprowadził najbardziej chyba popularny dziennikarz telewizyjny tamtych czasów, ale cenzorzy nie zgodzili się na emisję programu. Realizatorka zdecydowała się jednak przemycić nagranie w nadawanej późnym wieczorem postępowej audycji publicystycznej, która zyskiwała sobie coraz większą popularność. Usunęła nazwisko dysydenta ze scenariusza, który należało przedstawić cenzurze, więc jej urzędnicy chętnie zaaprobowali coś, co na papierze wyglądało jak niewinne pogaduszki: „Dziś w naszym programie zobaczycie to...”, „Jak to?”, „I to...”, „Niemożliwe! Naprawdę?”, „Słowo daję!”,

„Jak to możliwe?”. Nie wiedzieli jednak, że podczas tej rozmowy kamera co i rusz będzie pokazywać twarz Sacharowa, dzięki czemu widzowie natychmiast zorientowali się w intencjach realizatorów i mieli wystarczająco dużo czasu, by zadzwonić do znajomych i powiedzieć im, co właśnie puszczają w telewizji.

O tym, że zmiany dokonujące się w Związku Radzieckim miały naprawdę poważny charakter i były najprawdopodobniej nieodwracalne, najlepiej chyba świadczy fakt, że nikt nie stracił pracy za oszukanie cenzury. Można było podejrzewać, że to, co na razie dawało się zauważyć wyłącznie w mediach, wkrótce dotknie też niereformowalnych dotąd instytucji politycznych. Pierwszego grudnia 1988 roku wprowadzono nowe prawo wyborcze, początek końca monopolu na władzę partii komunistycznej.

Rok 1989 rozpoczął się dla leningradzkich działaczy na rzecz demokracji od spotkania, podczas którego zajęli się czymś, co jeszcze kilka miesięcy wcześniej byłoby nie do pomyślenia - organizowaniem kampanii wyborczej. Powołano komitet o nazwie Wybory-89, na czele którego stanęła między innymi Marina Salje.

Komitet przygotował ulotki instruujące ludzi, jak należy głosować. „Na karcie do

głosowania znajdziesz dwa, trzy lub cztery nazwiska kandydatów rywalizujących ze sobą o miejsce w ówczesnym ciele ustawodawczym - Zjeździe Deputowanych Ludowych. Wolno ci wybrać tylko jedno nazwisko; resztę należy skreślić”.

System wyborczy był złożony; w całym Związku Radzieckim miano wyłonić dwa tysiące dwustu pięćdziesięciu reprezentantów: siedmiuset pięćdziesięciu wybierano w terytorialnych okręgach wyborczych, kolejnych siedmiuset pięćdziesięciu w narodowoterytorialnych okręgach wyborczych, a siedmiuset pięćdziesięciu wystawiała KPZR i zależne od niej instytucje. Mimo to w większości okręgów wyborczych ludzie mogli po raz pierwszy wybrać spośród przynajmniej dwóch kandydatów.

W Leningradzie przedstawiciele partii komunistycznej zostali dosłownie starci na proch. Galina Starowojtowa dostała się do Rady Najwyższej jako reprezentantka Armenii. Dołączyła do demokratycznej mniejszości około trzystu zupełnie nowych deputowanych, zgromadzonych wokół osoby Sacharowa (dawny dysydent po dostaniu się do parlamentu postawił sobie za cel zakończenie dotychczasowych rządów poprzez uchylenie zapisu w konstytucji, który zapewniał partii komunistycznej supremację w kraju). W międzyregionalnej grupie znaleźli się także: jeden z byłych aparaczyków, Borys Jelcyn, i Anatolij Sobczak, niezwykle przystojny, elokwentny profesor prawa z Leningradu.

Kampania wyborcza była krótka, lecz niezwykle intensywna: pomiędzy uchwaleniem rewolucyjnego prawa a rozpisaniem wyborów nie minęły nawet cztery miesiące. (Zgodnie z nowym prawem wyborczym 750 deputowanych wybierano w terytorialnych okręgach wyborczych, tworzonych na terenie całego ZSRR, kolejnych 750 wybierano w narodowoterytorialnych okręgach wyborczych, tworzonych wg zasady: po 32 okręgi w każdej republice związkowej, po 11 w każdej republice autonomicznej, po 5 w każdym obwodzie autonomicznym i po 1 w każdym okręgu autonomicznym. Okręgi terytorialne i narodowoterytorialne różniły się więc liczbą wyborców. Natomiast pozostałych 750 deputowanych wybierały zjazdy KPZR, Komsomołu, związków zawodowych, organizacji społecznych i związków twórczych). To jednak wystarczyło, by Sobczak dał się poznać jako niezwykle skuteczny mówca. Podczas jednego ze swoich pierwszych wystąpień przed potencjalnymi wyborcami, czując, że publiczność jest zmęczona i znużona, odłożył na bok kartki z przygotowanym przemówieniem, w którym chciał poruszyć sprawy związane z przyszłością kraju i miasta. Zamiast tego postanowił oczarować zebranych oracją. „Marzy mi się, że następnych wyborów nie będzie organizować partia komunistyczna, tylko sami wyborcy. Pragnąłbym, by wolno było im zrzeszać się w dowolny sposób i zakładać wszelkiego rodzaju organizacje. Wiece wyborcze byłyby wtedy otwarte dla wszystkich, więc

każdy, kto chciałby posłuchać kandydatów, mógłby w nich uczestniczyć, a żadne specjalne pozwolenia i wejściówki nie byłyby potrzebne. Każdy obywatel miałby prawo zaproponować na stanowisko siebie bądź wysunąć kandydaturę innej osoby. Kandydaci nie musieliby przechodzić wielostopniowej weryfikacji; ich nazwiska byłyby po prostu umieszczane na karcie do głosowania, pod warunkiem że zebraliby odpowiednią liczbę podpisów”. Była to zdecydowanie utopijna wizja. deputowani LUDOWI, jak oficjalnie nazywano członków tego specyficznego parlamentu, zebrali się na pierwszym posiedzeniu w maju 1989 roku. Na dwa tygodnie ulice wszystkich miast w kraju opustoszały; ludzie siedzieli nieruchomo przed telewizorami, by po raz pierwszy w życiu oglądać transmisję debaty politycznej.

Na ich oczach kształtowała się historia. Wielkie, nieruchawe zgromadzenie bardzo szybko przekształciło się w pole potyczki słownej dwóch osobowości: głowy państwa Michaiła Gorbaczowa i niekwestionowanego autorytetu moralnego tamtych czasów Andrieja Sacharowa. Młody, pełen energii i co najważniejsze wiary w popularność i poparcie, jakim się cieszył, Gorbaczow zachowywał się nad wyraz pewnie. Sacharow, wiecznie przygarbiony, łagodny, któremu język płątał się na równi z nogami, sprawiał wrażenie człowieka znajdującego się zupełnie nie na miejscu, niemogącego wiele zdziałać. Zapewne największym błędem, jaki wtedy popełnił, było wystąpienie w ostatnim dniu zjazdu z długim i zawiłym przemówieniem. Zwracał uwagę na potrzebę uchylenia paragrafu 6. Konstytucji ZSRR, gwarantującego partii władzę w kraju. Zapowiadał zbliżający się nieuchronnie upadek reżimu - rozpad zarówno Związku Radzieckiego, jak i całego bloku wschodniego - i błagał zgromadzonych, by rozpoczęli prace nad rezolucją umożliwiającą przeprowadzenie odpowiednich reform. Zebrani na Sali zaczęli się niecierpliwić i zachowywać coraz bardziej niegrzecznie. Deputowani tupali, starając się uciszyć Sacharowa. Stary dysydent krzyknął w końcu, zrozpaczony, do mikrofonu: „Zwracam się do świata!”.

Michaił Gorbaczow, siedzący zaledwie kilka kroków od mównicy, przy której Sacharow starał się wygłosić swoje przemówienie, gotował się ze złości, słysząc jego słowa, ale też widząc reakcję pozostałych. W pewnej chwili głos starego człowieka umilkł - Gorbaczow wyłączył mikrofon. Sacharow zebrał notatki, podszedł do sekretarza generalnego i trzęsącą się ręką spróbował wręczyć mu papiery.

Gorbaczow spojrział na nie ze wstrętem. „Zabierz pan to ode mnie”, fuknął.

Upokarzając Sacharowa przed kamerami, gensek posunął się za daleko. Sześć miesięcy później, drugiego dnia kolejnego zjazdu deputowanych ludowych, ujrawszy wcześniej upadek muru berlińskiego i radzieckiej strefy wpływów, dokładnie jak to przewidział, Sacharow zmarł na atak serca. Zyskał nimb męczennika, a Gorbaczow opinię

dręczyciela. Pogrzeb noblisty zgromadził dziesiątki, może nawet setki tysięcy ludzi. Władze Moskwy starały się nie dopuścić do zgromadzenia (działały chyba siłą przyzwyczajenia, bo zupełnie nieskutecznie), zamykając stacje metra wokół cmentarza i otaczając samą nekropolię milicją. Ludzie nie zrezygnowali; pokonywali dziesiątki kilometrów w olbrzymim mrozie, a potem, jak gdyby nigdy nic, przeszli przez kordon.

W dniu pogrzebu w Leningradzie zebrał się przeszło dwudziestotysięczny tłum. Władze nie przychyliły się do prośby organizatorów, aby wiec odbył się w centrum miasta, więc ludzie zgromadzili się na jednym z pustych placów, których pełno było w komunistycznych aglomeracjach. Zappełniła się przestrzeń przed salą koncertową im. Lenina, na podium pojawiali się kolejni mówcy wspominający Sacharowa. Mimo siarczystego mrozu tłum nie malał, nawet gdy słońce zaczęło chować się za horyzontem, przeciwnie - wiec pęczniał. Pod wieczór podjęto spontaniczną decyzję, by przemaszerować do centrum. Tysiące osób ustawiło się w pochód i ruszyło w długą, wyczerpującą drogę.

Idący na czele pochodu zmieniali się, przekazując sobie z rąk do rąk zdjęcie Sacharowa i zapaloną świeczkę. Marina Salje przez całą drogę szła za portretem dysydenta, dając wszystkim do zrozumienia, że pragnie kontynuować jego dzieło i że bierze odpowiedzialność za organizację nielegalnego marszu. Niecałe sześć tygodni wcześniej Salje i jej zwolennicy uczestniczyli w innej demonstracji, 7 listopada, w rocznicę rewolucji październikowej; na obchodach święta pojawiło się około trzydziestu tysięcy osób wyrażających swoje poparcie dla demokracji.

Milicja starała się zepchnąć demonstrantów poza zasięg kamer telewizyjnych, lecz ludziom udało się w końcu dotrzeć pod trybunę dla dygnitarzy. Gdy tłum znalazł się pod lożą zajmowaną przez członków leningradzkiego komitetu partii, zatrzymał się i rozpoczął skandowanie: „Front Ludowy! Front Ludowy!”.

Uczestnicy oficjalnego pochodu próbowali go uciszyć, nie gubiąc jednocześnie kroku. Sekretarz oddziału partii uśmiechał się i pozdrawiał zebranych, ignorując zamieszanie pod trybuną honorową. Wtedy zresztą po raz ostatni stał na podwyższeniu, pozdrawiając tłum z okazji listopadowego święta.

Siódmego listopada zwolennicy demokracji starli się z uporządkowanym i zatwierdzonym odgórnie przemarszem komunistów, a teraz po prostu przejęli kontrolę nad miastem. Manifestacja trwała kilka godzin. Tłum nic sobie nie robił z milicyjnych prób przerwania demonstracji. Zatrzymywano się co jakiś czas w miejscach, które dla zgromadzonych miały symboliczne znaczenie, w dłoniach zebranych zapalały się świeczki. Do demonstrantów dołączali kolejni. Dla Salje, pięćdziesięcioletniej kobiety z

nadwagą, było to wyczerpujące doznanie. Tego dnia wyszła z domu w ciężkim, grubym kozuchu. Ponieważ okrycie było na nią nieco za ciasne, musiała je rozpiąć, przez co czuła się jak obnażona i odziana mocno niestosownie. W pewnym momencie poślizgnęła się i upadła i choć nie zrobiła sobie krzywdy, sytuacja bardzo ją zawstydziła. Podczas wielogodzinnego marszu z tyłu kolumny docierały do Salje wiadomości, że milicja znów próbowała rozpędzić manifestację.

Wiele lat później Salje tak opisywała tamte wydarzenia: „Następnego dnia w moim mieszkaniu odbywało się spotkanie ludzi związanych z Frontem Ludowym.

Przygotowywaliśmy się do zjazdu. W pewnym momencie w drzwiach stanął pułkownik milicji z nakazem aresztowania mnie za organizację nielegalnego marszu. Był naprawdę niesamowity. Powiedział: »Wie pani, mogło się okazać, że nie ma pani w domu«. To było urocze, ale odparłam: »Nie, proszę mi to dać«. Przyjęłam nakaz, po czym zaraz zaczęliśmy dzwonić do pracy i adwokatów. Następnego dnia rano zgłosiłam się na posterunek. (...) Próbowali zmusić mnie do powiedzenia, kto zorganizował marsz, ale powtarzałam tylko: »Skąd mam wiedzieć?

Nie pamiętam, było tam tylu ludzi«,,. W rzeczywistości za ideą zorganizowania przemarszu stał jeden z kolegów Salje z Frontu Ludowego.

Salje dodaje: „Nie ustępowali, mimo mojego uporu. Podczas przesłuchania przyszła depesza; w mojej obronie stanął jeden z bardziej znanych przywódców moskiewskich demokratów. Wtedy powiedziano mi, że zostanę przewieziona do sądu. Złapałam się biurka tak mocno, jak tylko mogłam, i powiedziałam: »Będziecie musieli mnie tam zanieść, bo nie ruszę się stąd, dopóki nie przyjedzie mój adwokat«. Cały dzień spędziłam na komisariacie. Milicjanci wciąż dzwonili po instrukcje, nie wiedząc, jak mają ze mną postępować. W końcu zabrali mi wszystkie dokumenty, zaprowadzili do celi i zamknęli. A potem wszystko się skończyło. Pozwolili mi opuścić posterunek, co wszyscy zebrani przed nim znajomi powitali gromkimi brawami i okrzykami radości”.

Następnego dnia zdjęcie aresztowanej znalazło się na pierwszych stronach leningradzkich gazet, tuż pod nagłówkiem: „Aresztowana za opłakiwanie Sacharowa”, wtedy też Salje, i tak jedna z bardziej popularnych osób w mieście, stała się niekwestionowaną przywódczynią polityczną. Około dwóch miesięcy później, gdy w Leningradzie odbywały się wybory do rady miasta, bez trudu zdobyła wymaganą liczbę głosów. Po latach zwierzyła się, że nigdy nie planowała ubiegać się o urząd (chciała po prostu zająć się organizowaniem kampanii dla innych przedstawicieli Frontu Ludowego), ale po udziale w marszu upamiętniającym śmierć Sacharowa potrzebowała immunitetu, by uniknąć oskarżenia.

Ówczesna rada miasta stała się jednocześnie pierwszym wybranym w wyborach powszechnych organem sprawowania władzy w całym Związku Radzieckim. Leningrad, jak wszystkie miasta w kraju, podlegał dotąd miejscowej komórce partii komunistycznej. Nowi politycy, czyli nowi zarządcy Leningradu, zaproponowali, by pozbawić ją statusu ugrupowania politycznego i wprowadzić w mieście rządy demokratyczne. Zmiana sposobu sprawowania władzy odbyła się bardzo szybko, niestety niebezboleśnie, bywało, że w dziwaczny sposób. W marcowych wyborach kandydaci demokratów starli na proch komunistów, zgarniając prawie dwie trzecie miejsc spośród dostępnych w radzie miejskiej czterystu, z czego sto dwadzieścia przypadło przedstawicielom Frontu Ludowego. Po głosowaniu zawiązał się komitet sześćdziesięciu radnych elektów, który miał ustalić zasady pracy rady. Przewodniczący leningradzkiego komitetu partii komunistycznej Borys Gidaspow zaprosił nową władzę do budynku Instytutu Smolnego, dawniej szkoły, obecnie partyjnej siedziby. Świeżo wybrani radni odparli, że jeśli Gidaspow ma potrzebę z nimi rozmawiać, powinien pojawić się w Pałacu Marinskim, monumentalnej budowli przy placu św. Izaaka, gdzie dotąd obradowała komunistyczna rada miasta i gdzie walczący o hotel Angletterre próbowali ocalić zabytek. Teraz pałac objęła w posiadanie nowa władza.

Gidaspow był przedstawicielem starej gwardii. Zawodowo przez całe życie związany był z leningradzkim przemysłem zbrojeniowym, szybko piął się po szczeblach kariery, by w końcu, w 1989 roku, objąć stanowisko przewodniczącego komitetu miejskiego KPZR. Zatem gdy wkroczył do sali konferencyjnej Pałacu Marinskiego, skierował się natychmiast ku miejscu u szczytu stołu. Ledwie zdążył usiąść, kiedy jeden z nowych radnych poinformował go: „To nie pańskie miejsce”. Zmiana warty stała się faktem.

Podobna i równie symboliczna scena rozegrała się kilka dni później w głównej sali Pałacu Marinskiego, na pierwszym posiedzeniu wybranej władzy. Czterystu radnych zajęło miejsca w wielkiej auli i w milczeniu spoglądało na niewielkie biurko z orzecha, przy którym siedziało już dwóch mężczyzn. Obydwaj byli urzędnikami z poprzedniego rozdania; wyglądem i charakterem przypominali Gidaspowa - potężnej budowy, na pierwszy rzut oka kwadratowe kloce o gładko ogolonych, nalanych twarzach, odziane w szare garnitury. W pewnym momencie jeden z nich wstał i zaczął odczytywać standardowy tekst, w którym gratulował zebranym uzyskanego w wyborach poparcia. Przerwał mu jeden z radnych. „Kto powiedział, że to wy poprowadzicie to spotkanie?”. Urzędnik stropił się i wycofał jak niepyszny, a Aleksiej Kowalow, znany jako bohater walki o Angletterre, wystąpił naprzód i zaproponował, by obaj goście oddalili się i przestali zakłócać porządek obrad rady miasta. Miejsca mężczyzn zajęli Kowalow i Salje, którzy poprowadzili pierwsze posiedzenie

pierwszego demokratycznie wybranego organu władzy w Związku Radzieckim.

Sesja rady miejskiej rozpoczęła się, zgodnie z wcześniejszymi założeniami komitetu koordynacyjnego, od podania informacji proceduralnych. Gdy trzech jego członkowie, którzy mieli właśnie przemówić, pojawili się na podwyższeniu, cała aula wybuchła śmiechem, ponieważ wszyscy wyglądali jak typowi przedstawiciele inteligencji: mieli brody i chodzili w golfach. Obecny na sesji socjolog podsumował ją następująco: „To było wspaniałe, atmosfera zmieniła się w jednej chwili. Mordy w garniturach zniknęły, a ich miejsce zajęli nieformalni”.

Chcąc pozostać w zgodzie z (jak określił to potem jeden z nowych radnych) „uporczywym pragnieniem demokracji”, które wprowadziło tych ludzi do Pałacu Marinskiego, w jednym ze swoich pierwszych zarządzeń postanowili oni usunąć z budynku wszystkie posterunki straży, aby każdy mieszkaniec Leningradu miał swobodny wstęp na obrady. „Pałac Marinski szybko zaczął przypominać dworzec z czasów wojny domowej”, wspominał inny. „Przed salą posiedzeń zebrały się dziesiątki bezdomnych. Każdy z nich starał się zwrócić na siebie uwagę kogoś z rady, wepchnąć mu w dłoń kartki maszynopisu. Pamiętam pewnego brodacza, który chciał, by rada zapoznała się z projektem jakiegoś genialnego wynalazku. Przegłosowaliśmy usunięcie straży z pałacu i już następnego dnia musieliśmy wyceniać straty wynikłe z wyniesienia wszystkich wykonanych z brązu ozdób”.

Straż szybko powróciła na swoje miejsce, ale ludzie przychodzili i tak. „Wszyscy mieli głęboką potrzebę bycia wysłuchanym”, mówił jeden z radnych z tamtych dni. „Gdy wyborcy przychodzili do nas, czuliśmy się trochę jak księża w konfesjonalach. Mówiliśmy: »Nie mogę zapewnić ci nowego mieszkania, to wykracza poza zakres moich uprawnień«, a ludzie odpowiadali: »Po prostu mnie wysłuchajcie«. Słuchaliśmy więc z uwagą, cierpliwie, a ludzie mówili i odchodzili usatysfakcjonowani”.

Zrozumienie, że nie chodziło tylko o wylanie żalów, ale o poczucie bezpieczeństwa i pełną miskę, przyszło kilka miesięcy później. zgodnie z najostrzejszymi założeniami demokracji, rada miasta nie miała przywódcy. Szybko się jednak okazało, że jest to po pierwsze niepraktyczne, a po drugie wręcz nieroztropne. Ponieważ nowi miejscy władarze usiłowali zbudować zręby demokratycznych procedur praktycznie od zera (bardzo często sprawdzając je i zmieniając w locie, jeśli zachodziła taka potrzeba, w skrajnych przypadkach nawet pod czujnym okiem kamer telewizyjnych), mieszkańcy Leningradu zaczęli się niecierpliwić. Miasto, kraj i całe ich życie wydawało się rozpadać na kawałki, podczas gdy demokraci sprawdzali reguły demokracji, tak naprawdę nie załatwiając niczego.

Marina Salje, która nadal cieszyła się pozycją najbardziej popularnego polityka w mieście, nie kandydowała na stanowisko przewodniczącego rady. Gdy dwadzieścia lat

później skłoniłam ją, by wyjawiała powody swojego postępowania, odpowiedziała: „Sama chciałabym wiedzieć, dlaczego się nie zdecydowałam - czy to z powodu głupoty, braku doświadczenia, nieśmiałości czy naiwności. Nie wiem, ale faktem pozostaje, że nie podjęłam się tego zadania. I to był błąd”.

Skoro Salje odmówiła, radni zdecydowali się udać po pomoc do jednego z dwóch bohaterów okresu pieriestrojki - Anatolija Sobczaka, profesora prawa, który w Moskwie cieszył się opinią leningradzkiego demokraty. Sobczak w niczym nie przypominał brodatych nieformalnych w ich nieodłącznych golfach.

Oni, skromnie ubrani, cisi, spokojni i refleksyjni, on ostentacyjnie elegancki, często krytykowany przez komunistów za „burżuazyjne” stroje (jego znak rozpoznawczy, marynarka klubowa, jest pamiętany nawet po dwudziestu latach), i niewątpliwie wygadany. Wydawało się, że upaja go brzmienie własnego głosu.

Wspomina go jeden z dawnych kolegów: „Potrafił rozłożyć posiedzenie rady, wygłaszając improwizowaną, czterdziestominutową przemowę na temat korzyści płynących z budowy wymyślonego na poczekaniu mostu”³⁹. Mimo że nie miał nic do powiedzenia, hipnotyzował słuchaczy.

Choć Sobczak należał do międzyregionalnej grupy Sacharowa w Radzie Najwyższej, w rzeczywistości miał znacznie bardziej konserwatywne poglądy niż nieformalni, którzy wezwali go do Leningradu. Wykładowca prawa w akademii milicyjnej był pod wieloma względami mocno związany z ustępującym właśnie reżimem. Nieco wcześniej dołączył do KPZR, wierząc, że po reformach Gorbaczowa zachowa ona władzę w kraju. Przybywszy do podzielonego na dwa obozy miasta, w którym zwolennicy demokracji na każdym kroku podkreślali swoje przywiązanie do korzeni i historycznej nazwy, Sobczak jawnie sprzeciwiał się jej przywróceniu, pozostając na stanowisku, że Leningrad lepiej oddaje znaczenie militarne miejsca.

Sobczak był też, o czym nieformalni nie mieli pojęcia, politykiem z krwi i kości. Miał też niemałe ambicje; bardzo szybko zaczął wokół rozpowiadać, że zostanie następnym prezydentem Rosji. Jednocześnie starał się przewodzić radzie miasta tak, by nie czuć zobowiązań wobec demokratów, którzy zaproponowali mu tę godność. W tym celu w wielkiej tajemnicy rozpoczął rokowania z mniejszością w radzie grupą przedstawicieli partii komunistycznej. Ku zaskoczeniu wszystkich niezorientowanych, mniejszość poparła podczas głosowania kandydaturę

Sobczaka. Demokraci, mimo że wzięci z zaskoczenia, postanowili uznać umowę pomiędzy Sobczakiem a komunistami, więc zgodzili się na Szczerbakowa jako na zastępcę

przewodniczącego rady.

Po zdobyciu stanowiska Sobczak zwrócił się do rady miasta, przedstawiając swoją wizję rządów. Uznał, że pełni funkcję władcy, a nie przedstawiciela. Oceniał, że rada miasta, „chcąc ich dopełnić, zaplątała się w niuansach procedur demokratycznych”, jak to ujął, zatem, aby uregulować sprawnie życie miasta, należało zacząć nim rządzić. Coraz pewniejszy siebie, poinformował radę, że od tej pory wszystko ulega zmianie.

Ówczesni radni tak podsumowali po latach tamto wystąpienie: „Zrozumieliśmy nasz błąd, gdy tylko zakończyliśmy głosowanie”. Sobczak miał zamiar zniszczyć to, co oni uznawali za największy sukces dwóch miesięcy, jakie upłynęły od wyborów - niekomunistyczny sposób załatwiania spraw. Nieformalni wyszli z obrad w głębokim szoku, mocno przygnębieni. Sobczak natomiast udał się na lotnisko, skąd poleciał na kongres prawników w Stanach Zjednoczonych.

„Najmniej dowiedzieliśmy się o jego życiu z petersburskich czasów”, mówi Natalia Geworkian, mając na myśli biografię, jaką stworzyła wraz z dwójką pozostałych dziennikarzy. „Nigdy nie udało mi się dojść do tego, jak zetknął się z Sobczakiem”.

Wszystko wskazywało na to, że pracujący w leningradzkim KGB koledzy Putina nie szukali sposobu zniszczenia nowej rzeczywistości politycznej, ale raczej starali się znaleźć w niej miejsce dla siebie. Wydawało się także, że tę drogę obrał również sam Putin; zamiast obrazić się i odejść ze służby, zdecydował się jedynie nieco nadaśać, poszukać sobie nowych znajomych, mentorów i sposobów wpływania na sprawy zza kulis.

W stwierdzeniu, że szpiegiem zostaje się na całe życie, kryje się bardzo wiele prawdy. KGB nigdy nie spuszczało swoich pracowników ze smyczy. Gdzie zatem podziwiali się wszyscy niepotrzebni już agenci? Służba bezpieczeństwa miała dobrze przygotowane zaplecze, pozwalające lokować tego rodzaju ludzi w społeczeństwie. Była to tak zwana aktywna rezerwa - niezliczona, i najpewniej nigdy nierejestrowana rzesza pracowników bezpieczeństwa, rozsiana po wszystkich instytucjach Związku Radzieckiego.

Rok później liberalny Gorbaczow mianował przewodniczącym KGB Wadima Bakatina, stawiając przed nim zadanie rozwiązania służb specjalnych. Najbardziej kłopotliwe okazało się uporanie właśnie z aktywną rezerwą, ponieważ namierzenie jej członków było z wielu przyczyn praktycznie niemożliwe. Bakatin pisał potem: „Agenci ci byli oficjalnie zatrudnieni przez różne organizacje rządowe i instytucje cywilne. Zazwyczaj większość pracowników zakładów i urzędów miała świadomość, że dana osoba pracowała dla KGB. Członkowie aktywnej rezerwy pełnili różne funkcje - niektórzy zajmowali się sprawami bezpieczeństwa, inni kontrolowali nastroje pracowników, przysłuchiwali się ich rozmowom i

podejmowali odpowiednie działania w stosunku do osób, które uznali za dysydentów.

(...) Z pewnością wszędzie zdarzają się sytuacje, w których służby muszą umieścić swoich informatorów w określonych kręgach, ale zazwyczaj oczekuje się, że ich rola będzie tajna. Jakie służby specjalne potrzebowałyby agenta, o którym wszyscy wiedzieliby, że jest agentem?”.

Bakatin sam udzielił odpowiedzi na to pytanie. „KGB, w takiej postaci, jak istniało, nie mogło nigdy pełnić roli służb specjalnych. Powołano je wyłącznie w celu kontrolowania wszelkich przejawów sprzeciwu wobec władzy i tłumienia ich. Wydaje się, że głównym jego zadaniem miało być organizowanie spisków i przeprowadzanie zamachów stanu - dysponowało przygotowanymi specjalnie do tego siłami oraz zapleczem pozwalającym śledzić i kontrolować środki komunikacji: organizacja ta miała swoich funkcjonariuszy wszędzie i jako jedyna dysponowała monopolem na informacje”. KGB było potworem, którego macki sięgały w każdy zakamarek radzieckiego społeczeństwa. Władimir Putin zdecydował się przyjąć na siebie funkcję jednej z takich macek.

Putin zwierzył się kiedyś zaprzyjaźnionemu wiolonczeliście, że planuje przenieść się do Moskwy, by dołączyć do rozległej armii urzędników KGB w stolicy. Później jednak zdecydował się pozostać w Leningradzie i zapewne dlatego, że cenił sobie poczucie bezpieczeństwa, jakie dają znajomości, zwrócił się do jedynej poza KGB instytucji, z którą miał kiedykolwiek do czynienia - do leningradzkiego uniwersytetu. Został zatrudniony na stanowisku prorektora do spraw współpracy z zagranicą. Uniwersytet w Leningradzie, wzorem innych instytucji państwowych, przekonywał się dopiero, że pojawiła się możliwość nawiązania kontaktów z innymi krajami. Wykładowcy i studenci zaczęli wyjeżdżać, by kształcić się w ramach wymiany międzynarodowej bądź uczestniczyć w konferencjach, mimo że na swojej drodze napotykali liczne przeszkody natury biurokratycznej. Możliwość wyjazdu za granicę, dotąd dostępna jedynie nielicznym, stała się nagle dobrem dla wszystkich. Przepływ ludzi występował oczywiście w obydwie strony; do Leningradu zaczęli napływać wykładowcy i studenci z innych krajów (do tej pory taką opcję mieli wyłącznie obywatele krajów bloku wschodniego, czasem jakiś starannie wybrany student z Zachodu). Uniwersytet leningradzki cierpiał wówczas na ciągły niedobór funduszy, jego władze liczyły więc, że kontakty ze światem - niezależnie od formy, jaką przybiorą - przyniosą także bardzo pożądany napływ twardej waluty. Kontrola nad tego rodzaju działalnością była wymarzoną zajęciem dla członka aktywnej rezerwy. Po pierwsze, takie stanowiska były zwyczajowo przeznaczone właśnie dla pracowników KGB, po drugie, wszyscy wierzyli, że agenci naprawdę radzą sobie lepiej w nawiązywaniu kontaktów z obcymi. Ostatecznie tylko oni

mieli w przeszłości kontakt z obcokrajowcami.

Putin planował napisać pracę doktorską, a być może nawet rozpocząć karierę naukową. Okazało się jednak, że jego zajęcie, jak wiele spraw w ówczesnym Związku Radzieckim, było przejściowe. Na uniwersytecie pracował niecałe trzy miesiące.

Historia nawiązania się współpracy pomiędzy Sobczakiem a Putinem jest doskonale znana i jednocześnie całkowicie nieprawdziwa w większości powtarzanych dziesiątki razy szczegółów.

W najbardziej wątpliwej wersji przedstawia się ją następująco: Sobczak, wykładowca prawa i znany polityk, spotkał Putina na korytarzu uczelni, porozmawiał z nim i zaprosił do współpracy. Putin utrzymuje, że spotkanie zaaranżował jego dawny kolega z roku; miało się ono odbyć w gabinecie Sobczaka. Putin miał jakoby uczęszczać w latach siedemdziesiątych na prowadzone przez Sobczaka wykłady, ale nic z tego nie wynikło.

„Doskonale pamiętam tamto spotkanie”, wyznał Putin biografom. „Wszedłem, przedstawiłem się i powiedziałem mu wszystko. Sobczak był człowiekiem działającym pod wpływem impulsu, więc natychmiast stwierdził: »Porozmawiam z rektorem. Zacznieś pracę od poniedziałku. To wszystko. Formalności związane z transferem pozostaw mnie«, „W systemie komunistycznym takie przenoszenie pracowników pomiędzy instytucjami, zupełnie jakby byli chłopami pańszczyźnianymi, których właściciele dogadali się na nieosiągalnym dla pracownika szczeblu, było na porządku dziennym. „W zasadzie nie miałem wyjścia, musiałem odpowiedzieć: »Anatoliju Aleksandrowiczu, praca dla pana byłaby prawdziwą przyjemnością. Oczywiście, jak najbardziej jestem zainteresowany tą propozycją, więcej, chciałbym dostać tę posadę, ale jest pewien szczegół, który zapewne uzna pan za poważną przeszkodę«. Zapytał: »O co chodzi?«. Odparłem: »Musi pan wiedzieć, że moja rola tutaj nie ogranicza się do pełnienia funkcji prorektora. Jestem też pracownikiem KGB«. Zastanawiał się przez chwilę, bo rzeczywiście takiego obrotu spraw nie przewidywał. W końcu rzucił: »Pieprzyć to!«, „.

Cała przytoczona powyżej rozmowa wygląda na kłamstwo, do tego bardzo mierne. Dlaczego Putin zachował przy orderach informacje o pracy w KGB, dopóki nie usłyszał oferty współpracy, skoro na wstępie zaznacza, że „powiedział mu wszystko”? Dlaczego przedstawia Sobczaka jako niezorientowanego głupca - wszyscy na uniwersytecie wiedzieli, że Putin pracuje dla KGB - a do tego osobę wulgarną? Prawdopodobnie, zanim przedstawił ją biografom, nie przemyślał tej części swojej historii zbyt dobrze, gdyż spodziewał się, że pominą tę delikatną kwestię, choć pytanie nasuwało się samo - w jaki sposób oficer KGB dostał się do kręgu najbardziej zagorzałych w kraju zwolenników demokracji?

Sobczak przedstawiał tę historię inaczej, ale równie mało prawdopodobnie. W wywiadzie udzielonym w tym samym tygodniu, w którym Putin rozmawiał ze swoimi biografami, oświadczył: „Putin zdecydowanie nie został nasłany przez KGB. Sam do niego dotarłem i zaprosiłem do współpracy. Pamiętałem go jeszcze z uczelni. Dlaczego został moim zastępcą? Spotkaliśmy się przypadkowo na korytarzu, na wydziale. Rozpoznałem go i przywitałem się; zaczęliśmy rozmawiać, spytałem, co u niego słychać. Okazało się, że przez kilka lat pracował w Niemczech, teraz zaś został prorektorem. Pamiętam, że był dobrym studentem, chociaż nie lubił się wychylać. To jego cecha charakteru, moim zdaniem świadcząca, że jest człowiekiem wyzbytym wszelkiej próżności, pozbawionym niezdrowej ambicji, choć ma przecież charakter przywódcy”.

Anatolij Sobczak musiał wiedzieć, że Putin pracuje dla KGB, nie ma też wątpliwości, dlaczego wybrał takiego właśnie człowieka. Motywem przewodnim całej kariery politycznej Sobczaka były wprawdzie piękne wypowiedzi na temat demokratycznych idei, ale jednocześnie chciał mieć poparcie solidnej bazy, które pozwoliłoby mu wprowadzać w życie jego wizje. Dlatego na wicemera w radzie miejskiej wybrał sobie byłego komunistę i kontradmirała. W otoczeniu ludzi ze służb mundurowych Sobczak czuł się nie tylko bezpieczniej: stanowili oni również doskonałą przeciwwagę dla przeuczonych, skłonnych do ciągłych dyskusji, postępowych miłośników demokracji jak Salje i jej podobni. W otoczeniu starych towarzyszy Sobczak miał znacznie większy komfort rządzenia. Pamiętajmy, że przez całe życie wykładał prawo w szkole milicyjnej w Leningradzie, miał więc na co dzień do czynienia z ludźmi, jak sądził, pokroju Putina: pewnymi, ale nie nazbyt błyskotliwymi, pozbawionymi większych ambicji i mającymi wpojony szacunek dla hierarchii. Poza tym Putin był mu potrzebny z tych samych powodów, z których zatrudniono go na uniwersytecie: jako jeden z nielicznych w mieście pracował za granicą, a Leningrad potrzebował stamtąd pomocy i pieniędzy. Poza tym Sobczak, który przeszedł całą ścieżkę uniwersyteckiej kariery (był teraz profesorem zwyczajnym) i znał dobrze realia panujące w partii komunistycznej, wiedział doskonale, że lepiej samemu wybrać sobie wtyczkę z KGB, niż czekać na człowieka, którego mu przydzielą.

Jednak nie można stwierdzić z całą pewnością, że Sobczak faktycznie decydował o wyborze „oficera politycznego”. Dawny współpracownik Putina z czasów jego pracy w Niemczech wschodnich wyznał mi, że w lutym 1990 roku, podczas swojej wizyty w Berlinie, generał dywizji Jurij Drozdow, szef wydziału do spraw operacji specjalnych, zawiadującego „nielegalnymi”, spotkał się z Władimirem Władimirowiczem. Siergiej Biezrukow, który w 1991 roku emigrował do Niemiec, stwierdził, że „powodem takiego spotkania mogła być

wyłącznie potrzeba przekazania Putinowi nowego zadania. Po cóż innego szef wydziału miałby spotykać się z agentem, który i tak miał lada dzień powrócić do domu? Takie spotkania po prostu się nie zdarzały”. Biezrukow i pozostali agenci zastanawiali się, co takiego zlecono Putinowi, że polecenie przekazywał ktoś tak wysoko postawiony, i doszli do wniosku, że sprawa wyjaśniła się z chwilą, gdy Putin przyjął stanowisko zastępcy Sobczaka. Przyjaciel Biezrukowa najwyraźniej został wyznaczony do zinfiltrowania kręgu najbliższych współpracowników jednego z najważniejszych przywódców ruchu demokratycznego w kraju. Posada na uniwersytecie była jedynie odskocznią.

Putin poinformował leningradzki oddział KGB, że planuje zmienić pracę. „Powiedziałem: »Anatolij Aleksandrowicz [Sobczak] zaproponował mi przejście z uniwersytetu do kręgu swoich współpracowników. Jeśli jest to niemożliwe, z chęcią złożę rezygnację«. Odpowiedzieli: »Nie ma takiej potrzeby. Proszę przyjąć nową pracę«,». Przynoczoną przez Putina wymiana zdań sprawia wrażenie kolejnej absurdalnej bajki, nawet jeśli się przyjmie, że to nie KGB poleciło mu nawiązać kontakt z Sobczakiem. Putin musiał wiedzieć, że możliwość umieszczenia go w otoczeniu najbardziej wpływowego w mieście demokracji spotka się w firmie z jak najlepszym przyjęciem.

W owym czasie sprawa rozwijającego się ruchu demokratycznego stała się jednym z głównych punktów zainteresowania KGB. Rok wcześniej Gorbaczow powołał do życia nowe ciało prawodawcze, tak zwany Komitet Nadzoru Konstytucyjnego, którego zadaniem było zmodyfikowanie metod działania radzieckich instytucji tak, by pozostawały w zgodzie z nowo powstałą konstytucją. W 1990 roku komitet podjął pierwszą próbę rozprawienia się z nielegalnymi operacjami KGB, zabraniając bezpieczeństwa podejmowania jakichkolwiek działań na podstawie tajnych instrukcji wewnętrznych. Ta zignorowała zakaz, podjęła natomiast akcję dwudziestoczterogodzinnej inwigilacji Borysa Jelcyna oraz innych znaczących działaczy z obozu demokratów. W ich telefonach założono podsłuchy, podsłuchiwane były także rozmowy prowadzone z pokojów hotelowych. Kontrolowano również połączenia wykonywane z domów ich znajomych, krewnych, fryzjerów i trenerów. Dlatego należy przyjąć, że wersja przedstawiona przez Putina biografom - jakoby nie składał w KGB raportów na temat współpracy z Sobczakiem - jest bardzo mało prawdopodobna. Trzeba przecież pamiętać, że przez cały czas sprawowania funkcji zastępcy przewodniczącego rady miejskiej Putin pobierał wynagrodzenie z KGB.

Co ciekawe, to, w jaki sposób, kiedy i czy w ogóle Putin zerwał swoje stosunki z KGB, nie zostało nigdy ujawnione, zainteresowani nie podali też nigdy żadnej spójnej wersji oficjalnej. Putin utrzymuje wprawdzie, że kilka miesięcy po przyjęciu przez niego pracy u

Sobczaka jeden z członków rady miasta posunął się do szantażu, grożąc, że wyjawia powiązania nowego pracownika z KGB. Putin zrozumiał wtedy, że musi odejść. „To była trudna decyzja. Wprawdzie praktycznie od prawie roku nie pracowałem dla tajnych służb, jednak poświęciłem tej organizacji całe życie. Był rok 1990; ZSRR istniał nadal, pucz sierpniowy miał dopiero nadejść, nikt więc nie wiedział, jaka będzie przyszłość kraju. Sobczak miał niewątpliwie niezwykłą osobowość, był też liczącym się politykiem, ale wiązanie własnej przyszłości z jego planami wydawało się wtedy ryzykowne.

Przecież sytuacja mogła w każdej chwili ulec zmianie. Jednocześnie nie potrafiłem wyobrazić sobie, co by się stało, gdybym stracił pracę w ratuszu. Myślałem, żeby jednak wrócić na uniwersytet, napisać pracę doktorską i chwycić się jakiegokolwiek pracy. Naprawdę cierpiałem. Musiałem podjąć najważniejszą decyzję w życiu.

Bardzo długo analizowałem to wszystko, usiłowałem zebrać myśli, w końcu wziąłem się w garść, usiadłem przy biurku i napisałem rezygnację. Od ręki, bez żadnego rękopisu”.

Wyznanie, które miało miejsce dziesięć lat po wspomnianych wyżej wydarzeniach, jest naprawdę niecodzienne. Jeśliby nawet założyć, że Putin rzeczywiście odszedł dobrowolnie z najbardziej przerażającej i zniechęconej organizacji w Związku Radzieckim, trudno nie zauważyć, że nigdy - nawet po tylu latach - nie starał się powiązać swojej decyzji z jakąkolwiek ideologią czy ująć jej w aspekcie politycznym czy moralnym. Dekadę później, przygotowując się do objęcia władzy w nowej Rosji, otwarcie przyznawał, że był gotów służyć każdemu panu. Najlepiej zaś byłoby, gdyby mógł się zaasekurować i służyć wszystkim.

I to właśnie zrobił. Pisemna rezygnacja zaginęła gdzieś w KGB; trudno powiedzieć, czy zostało to zaplanowane, czy też wynikało z faktu, że instytucja ta nie dawała rady przetworzyć napływających dokumentów. Tak czy inaczej, w sierpniu 1991 roku, gdy KGB wreszcie zdecydowało się przeprowadzić zamach stanu, do czego wydawało się być stworzone, Władimir Putin nadal pozostawał w jego szeregach.

Rozdział piąty

PUCZ I KRUCJATA

Namówienie Mariny Salje na rozmowę zajęło mi dwa lata. Później, gdy miałam już jej zgodę, aby do niej dotrzeć, musiałam spędzić dwanaście godzin w podróży w fatalnych warunkach, w tym pół godziny w zupełnie niemożliwych.

Zostałam poinstruowana: „Jedź, jak najdalej zdołasz, potem idź piechotą”. Na końcu drogi miała mi się ukazać trójkolorowa flaga Rosji, powiewająca nad dachem drewnianego domu. Taki znak ciężko przegapić; Rosjanie nie mają w zwyczaju wywieszać flag przed swoimi domami.

Salje mieszkała teraz w wiosce na końcu świata, jeśli można tak wielkim słowem określić skupisko dwudziestu sześciu chat, w których żyło raptem sześć osób.

Wioska ta, jak wiele jej podobnych w Rosji, znajdowała się dziesiątki kilometrów od najbliższego większego miasta i około trzydziestu od najbliższego sklepu. Było to puste miejsce, zapomniane przez Boga i ludzi, pozbawione jakiegokolwiek przyszłości. Siedemdziesięciopięcioletnia Salje mieszkała tam z kobietą, którą przedstawiła jako swoją siostrę, ponieważ, jak uważała, tylko w tak odległym zakątku nikt nie może ich odnaleźć.

Ta druga, nieco młodsza, i jak się wydaje lepszego zdrowia, przyniosła kilka pudeł wypełnionych papierami, które Salje zabrała ze sobą na to dobrowolne wygnanie. Pudła zawierały materiały, do których dotarła po miesiącach poszukiwań, gdy odkryła tajemnicę zaginionego mięsa.

W roku 1990 Świat zadrżał w posadach - jeśli nie cały, to przynajmniej znaczna jego część. Związek Radziecki rozpadł się na kawałki. Trzynastego stycznia 1990 roku na ulicach Baku, stolicy Azerbejdżanu, miasta, które od zawsze było jednym z najbardziej zróżnicowanych etnicznie w całym rosyjskim imperium, doszło do pogromu. Zginęło czterdziestu ośmiu Ormian, a prawie trzydzieści tysięcy, czyli cała mniejszość ormiańska, uciekło z miasta. Urodzony w Baku mistrz szachowy Garri Kasparow, sam z pochodzenia Ormianin, wynajął samolot, żeby ewakuować swoją rodzinę i znajomych. Dziewiętnastego stycznia do miasta wkroczyły oddziały Armii Czerwonej pod pretekstem zaprowadzenia porządku, lecz ta akcja przyniosła kolejne sto ofiar wśród ludności cywilnej - tym razem głównie po stronie azerskiej.

Związek Radziecki rozłaził się w szwach. Centrum dowodzenia nie miało narzędzi, by powstrzymać rozpad, armia była brutalna i nieskuteczna.

Stan gospodarki nie prezentował się lepiej. Brakowało jedzenia i towarów pierwszej potrzeby. O ile Moskwa była w stanie zdobywać minimalne zaopatrzenie dla niektórych sklepów (choć odbywało się to kosztem całego kraju i z ledwością wystarczało), o tyle Leningrad, drugie co do wielkości miasto, odczuł rozmiar klęski w całej pełni. Już w czerwcu 1989 roku władze miasta zaczęły racjonować herbatę i mydło, w październiku 1990 na liście umieszczono także cukier, wódkę i papierosy. W listopadzie 1990 roku demokratycznie wybrana rada miasta stanęła przed koniecznością podjęcia bardzo niepopularnej decyzji, kojarzącej się jednoznacznie z okresem oblężenia miasta podczas II wojny światowej: wprowadzono kartki na żywność. Od tego momentu każdy mieszkaniec Leningradu miał prawo zakupić w miesiącu półtora kilograma mięsa, kilogram przetworów mięsnych, dziesięć jajek, pół kilo masła, około jednej czwartej litra oleju roślinnego, pół kilograma mąki i kilogram ryżu, kaszy lub makaronu. Rada miała nadzieję uchronić miasto przed widmem głodu, klęską znaną dotąd z przeszłości bądź z relacji z dalekich krajów, oraz społecznymi niepokojami.

W mijającym roku miasto dwa razy znalazło się niebezpiecznie blisko wybuchu: po raz pierwszy w sierpniu, gdy w sklepach zabrakło papierosów, i ponownie kilka tygodni później, gdy skończyły się zapasy cukru. Papierosy były towarem deficytowym już od pewnego czasu, ale w wielkich marketach w centrum miasta zazwyczaj udawało się kupić przynajmniej jeden gatunek. Jednak w końcu i one się skończyły, nawet w sklepach wzdłuż Newskiego Prospektu. Pod jednym z nich już od rana ustawiła się kolejka, a w ciągu dnia dołączali do niej nowi ludzie, oczekujący na dostawę, która nigdy nie nadeszła. Lokal zamknięto na czas przerwy obiadowej, otwarto go godzinę później, ale na półkach nadal brakowało towaru, więc około trzeciej po południu tłum kilku tysięcy rozwścieżonych palaczy zablokował ruch na Newskim Prospekcie i szykował się do szturmowania sklepów. Spanikowany komendant milicji zadzwonił do rady miejskiej (gdyby doszło do zamieszek, nie udałoby się uniknąć ani ofiar, ani zniszczenia mienia) i kilku radnych pod kierownictwem Sobczaka ruszyło uspokoić protestujących.

Przybyli w ostatniej chwili. Niezadowolony tłum zdążył już przewrócić sporych rozmiarów kwietnik, połamać ogrodzenie otaczające znajdujące się opodal podwórko i powoli przygotowywał barykadę w poprzek głównej ulicy miasta. Ruch, co oczywiste, nadal był zablokowany. Specjalny oddział milicji, sformowany kilka lat wcześniej, słynący z brutalnego pacyfikowania uczestników nielegalnych wieców (używane przez jego funkcjonariuszy pałki przezwano „demokratyzatorami”), czekał już w pobliżu, gotów w każdej chwili rozpedzić protestujących palaczy.

W przeciwieństwie do zwykłych formacji, te siły nie miały wątpliwości, że poleje się krew, ani rozterek z tego powodu. Sobczak i kilku innych co bardziej znanych radnych próbowali przemówić ludziom do rozsądku, zwracając się do osób, które zdawały się ich rozpoznawać. Jeden z dawnych dysydentów, obecnie członek rady miasta Julij Rybakow, podszedł do obserwujących protest milicjantów, by zapewnić ich, że ciężarówka z papierosami jest już w drodze i że sprawę da się załatwić polubownie.

W tym samym czasie inna grupa radnych z Mariną Salje na czele przeczesywała magazyny w poszukiwaniu zapasów papierosów. W końcu jakieś znaleziono i zorganizowano ich transport na Newski Prospekt. Palacze mogli wreszcie zaciągnąć się dymem, więc uspokojeni rozeszli się do domów, pozostawiając na prowizorycznych barykadach swoich radnych. Poza uprzątnięciem bałaganu, jaki pozostawili po sobie demonstranci, miejscy włodarze musieli zmierzyć się z problemem zapobieżenia kolejnym zamieszkom, które musiały w końcu doprowadzić do rozlewu krwi, jasne było bowiem, że prędzej czy później w mieście skończą się wszelkie zapasy.

Kilka tygodni później, dokładnie w środku sezonu przygotowywania przetworów, z półek zniknął cukier. Radni, obawiając się powtórki z wydarzeń na Newskim, rozpoczęli dochodzenie i odkryli ślady wskazujące na istnienie spisku dawnych komunistycznych władz miasta, mającego na celu zdyskredytowanie demokratycznie wybranych przedstawicieli mieszkańców. Ponieważ w tamtym czasie nie dawało się jasno określić, kto faktycznie rządzi w Leningradzie, członkowie partii komunistycznej, wykorzystując dawne znajomości, zatrzymali dostawy cukru do miasta. Pociągi, które miały być rozładowane, po prostu pojechały dalej. Marina Salje zwołała nadzwyczajne posiedzenie niektórych członków rady i nakazała im osobiście nadzorować przejazdy składów, rozładunek oraz dostawy cukru do sklepów. I tym razem zdołano uniknąć buntu.

W tamtym okresie Marina Salje, z wykształcenia bądź co bądź geolog, została mianowana przewodniczącą komitetu rady odpowiedzialną za zapewnienie miastu zaopatrzenia. Nikt nie miał wątpliwości, że ta kobieta, choć nie miała pojęcia o żywności czy handlu, nigdy nie zajmowała się zawodowo organizowaniem większych akcji, nigdy też nie nadzorowała niczyjej pracy, będzie najlepszym kandydatem na stanowisko osoby odpowiedzialnej za uchronienie mieszkańców Leningradu przed głodem. Któż bowiem nadaje się do tego lepiej niż człowiek z natury uczciwy i nieprzekupny? Tak więc najważniejszą i najtrudniejszą misją została, co logiczne, obarczona osoba publiczna ciesząca się największym zaufaniem.

W maju 1991 ROKU reprezentująca komitet do spraw żywności Salje udała się do

Berlina, by podpisać kontrakty zapewniające dostarczenie do miasta kilku pociągów z mięsem i ziemniakami. Negocjacje były w zasadzie zakończone, a Salje i jej współpracownik z rady miasta mieli już tylko podpisać papiery.

Wiele lat później Salje nadal wspomina tę historię z oburzeniem. „Dotarliśmy na miejsce tylko po to, by usłyszeć, że Frau Rudolf, kobieta, z którą mieliśmy się spotkać, nie może się z nami zobaczyć, ponieważ prowadzi właśnie niecierpiące zwłoki negocjacje z przedstawicielami rady miasta Leningradu w sprawie dostaw mięsa. Otworzyliśmy szeroko oczy ze zdumienia, bo przecież to my byliśmy przedstawicielami rady miasta i to z nami należało prowadzić rozmowy w sprawie importu mięsa!”. (Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Mariną Salje 14 marca 2010 roku).

Salje i jej współpracownik udali się natychmiast do telefonu, by skontaktować się z działającym przy leningradzkiej radzie komitetem zaopatrzenia w żywność, odpowiednikiem jej własnego zespołu. Pomyśleli, że być może w jakiś niewytłumaczalny sposób ciało to zostało zamieszane w rokowania w sprawie kontraktu, jednak przewodniczący komitetu nie wiedział o niczym. Salje wspomina: „Zadzwoiłam zatem do Sobczaka i powiedziałam: »Anatoliju Aleksandrowiczu, poinformowano mnie właśnie, że w tej chwili Leningrad kupuje sześćdziesiąt ton mięsa; odpowiednie dokumenty mam właśnie przed oczami«. Sobczak zadzwonił do Wnieszekonombanku, nie rozłączając się ze mną, więc słyszałam całą rozmowę. Podał nazwę firmy, a bank potwierdził otwarcie dla niej linii kredytowej na dziewięćdziesiąt milionów marek. Sobczak nie powiedział już nic więcej, poza: »Nie mam pojęcia, co się dzieje«,,.

Salje wróciła do domu z pustymi rękami i resztkami nadziei, że zakupione rzekomo przez miasto sześćdziesiąt ton mięsa być może jakimś cudem się zmaterializuje. Oczywiście, nic takiego się nie stało, a radną pochłonęło zbyt wiele innych zajęć, by móc porządnie zająć się sprawą, która bądź co bądź nie dawała jej spokoju. Trzy miesiące później poszukiwania winnego zostały przerwane przez kolejne, znacznie bardziej przerażające i nie mniej tajemnicze wydarzenie. Salje jest zresztą przekonana, że obie sprawy były ze sobą nierozzerwalnie związane.

Najistotniejszy z punktów zwrotnych we współczesnej historii Rosji - najbardziej brzemiennie w skutki dni - nigdy nie został dokładnie opisany. Nigdy też nie zdołano ustalić wspólnego stanowiska w kwestii wydarzeń, które zdecydowały o przyszłości kraju. Cóż, wydaje się, że brak umiejętności osiągnięcia konsensusu jest największą bolączką rosyjskiego narodu...

W sierpniu 1991 roku grupa radzieckich ministrów, dowodzona przez wiceprezydenta

kraju, postanowiła odsunąć od władzy sekretarza generalnego i uchronić ZSRR przed rozpadem. Zamach stanu (tak zwany pucz moskiewski, pucz sierpniowy lub pucz Janajewa) się nie powiódł, Związek Radziecki przestał istnieć, ale Gorbaczow został ostatecznie odsunięty na boczny tor. Właśnie mija dwadzieścia lat, a wciąż nie zdołano ustalić spójnej wersji tamtych wypadków; nie powstała nawet szerzej akceptowana teoria. Co kierowało ministrami? Dlaczego przewrót zakończył się niepowodzeniem tak szybko i w zasadzie która ze stron wygrała?

Nastroje zapowiadające gwałtowny sprzeciw wobec widocznych w ZSRR tendencji dawało się wyczuwać już od początku 1991 roku. Niektórzy utrzymują nawet, że znali datę planowanego przewrotu (sama znam przynajmniej jednego przedsiębiorcę, który dorobił się majątku jako jeden z pierwszych Rosjan i wyemigrował na wieść o zbliżającym się puczu). Nie trzeba było mieć ani wtyczek w KGB, ani nadmiernie rozwiniętej wyobraźni, by spodziewać się próby przejęcia władzy - w powietrzu czuło się ciągle zagrożenie i brak stabilizacji, które mogły prowadzić tylko do zguby. Republiki bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia, postanowiły oddzielić się od Związku Radzieckiego przy pełnym poparciu Borysa Jelcyna, wtedy przewodniczącego Rady Najwyższej, a Gorbaczow wysłał czołgi do litewskiej stolicy, Wilna, by zapobiec wybuchowi powstania. Wydarzenia te miały miejsce w styczniu. W marcu czołgi pojawiły się na ulicach Moskwy. Gorbaczow zdecydował się na taki ruch albo próbując zapobiec rozpadowi kraju, albo w wyniku nacisków ze strony twardogłowych członków partii, albo, być może, z obydwu tych powodów. Tak czy inaczej, zakazał organizowania w Moskwie demonstracji (wtedy właśnie po raz pierwszy ujrzałam Galinę Starowojtową na czele setek tysięcy moskwian sprzeciwiających się dekretem i obecności czołgów w mieście). Również w marcu rozpisano referendum, w którym obywatele mieli zdecydować, czy utrzymać jedność Związku Radzieckiego. Dziewięć z piętnastu republik opowiedziało się za pozostawieniem kraju w obecnej formie, ale w sześciu głosowanie zostało zbojkotowane. Pod koniec miesiąca w Gruzji odbyło się niezależne referendum, w którym obywatele przegłosowali odłączenie ich republiki od ZSRR.

Ostatecznie republiki przestały wpłacać do budżetu centralnego należne podatki, pogarszając i tak tragiczny stan finansów federalnych. Braki w zaopatrzeniu rosły z każdą chwilą, choć ludziom niejednokrotnie wydawało się, że gorzej już być nie może. W kwietniu rząd spróbował ostrożnie osłabić nieco kontrolę nad rynkiem; w efekcie wzrosły ceny, ale nie wpłynęło to na poprawę stanu zaopatrzenia. W sierpniu ogłosiła niepodległość Ukraina, w jej ślady poszła Czeczenia, część Republiki Rosyjskiej w obrębie ZSRR. W czerwcu odbyły się w Rosji wybory prezydenckie, które wygrał Jelcyn. W dwóch największych miastach kraju

reaktywowano urząd mera, nieznanym w czasach Związku Radzieckiego, i jeszcze w czerwcu w Leningradzie objął tę godność Sobczak. To stanowisko zadowalało go o wiele bardziej niż funkcja przewodniczącego rady miasta, chociaż i tak zawsze działał, jak chciał. Putin został jego zastępcą do spraw międzynarodowych, dwa lata ciągłych zmian i burzliwej debaty obywatelskiej uzależniły społeczeństwo Związku Radzieckiego od podawanych w telewizji wiadomości. Tych, którzy rankiem 19 sierpnia 1991 roku włączyli domowe odbiorniki, powitała cisza, a dokładniej powtarzana w kółko transmisja przedstawienia baletowego Jezioro łabędzie. Od szóstej rano radio nadawało wyłącznie odezwy i nowe dekrety.

Godzinę później te same dokumenty zostały odczytane w telewizji. „Rodacy! Obywatele Związku Radzieckiego!”, rozpoczynał się najbardziej napuszony z nich. „Zwracamy się do wszystkich Was w najważniejszej dla Ojczyzny chwili! Nasza wspaniała Ojczyzna jest w wielkim niebezpieczeństwie!

Reformy polityczne zapoczątkowane przez M.S. Gorbaczowa, których celem było zagwarantowanie dynamicznego rozwoju kraju i wprowadzenie demokracji w nasze życie, zaprowadziły nas w ślepy zaułek. To, co rozpoczynaliśmy pełni nadziei i zapału, doprowadziło jedynie do utraty wiary w lepszą przyszłość, apatii i rozpacz. Obywatele przestali ufać przedstawicielom władzy. Politykierstwo opanowało życie publiczne, usuwając w cień szczerą troskę o dobro Ojczyzny i jej mieszkańców. Instytucje państwowe całkowicie się skompromitowały, przez co utraciły możliwość sprawowania rzeczywistej władzy w państwie”.

Powołany na prędko komitet stanu wyjątkowego, w skład którego weszli: premier, minister spraw wewnętrznych, pierwszy zastępca przewodniczącego rady obrony, minister obrony, wiceprezydent, przewodniczący Rady Najwyższej oraz przewodniczący związku rolników i stowarzyszenia przemysłu państwowego, składał ludziom niekończące się obietnice.

„Przywrócimy obywatelom radzieckim dumę i honor”. „Rozwój kraju nie będzie odbywać się kosztem obniżania standardu życia ludności. Stały rozwój i dostatek będą normą w nowym, zdrowym społeczeństwie”.

„Zajmiemy się przede wszystkim znalezieniem rozwiązania problemów związanych z brakiem żywności i mieszkań. Zmobilizujemy wszystkie siły, by zaspokoić te najbardziej podstawowe z potrzeb”.

W tym celu, jak głosił inny z wydanych dokumentów, „w odpowiedzi na potrzeby społeczeństwa i w reakcji na żądanie podjęcia stosownych działań, które zapobiegą katastrofie na skalę krajową, w celu zapewnienia ładu i porządku, w wybranych częściach

ZSRR wprowadza się na pół roku stan wyjątkowy, poczynając od czwartej rano czasu moskiewskiego dnia 19 sierpnia 1991 roku”.

Junta nazwała się Państwowym Komitetem Stanu Wyjątkowego (GKCzP - Gosudarstwiennyj komitetpo czerezwyczajnomu położeniu).

Przez cały czas utrzymywano, że Gorbaczow zachorował i nie jest w stanie dłużej sprawować władzy, podczas gdy on przebywał w tym czasie w areszcie domowym w swoim domu letniskowym, w Foros nad Morzem Czarnym.

Druga połowa sierpnia w Rosji to prawdziwy sezon ogórkowy. Również tamtego roku rady miejskie nie obradowały, większość zaś polityków, działaczy i zwykłych obywateli przebywała poza miastem. Ci, którzy pozostali, natychmiast po usłyszeniu wiadomości udali się do swoich zakładów pracy. Mieli nadzieję, że ktoś udzieli im wyjaśnień bądź podpowie, co robić w tak niespotykanych okolicznościach.

Tamtego dnia po siódmej rano w Pałacu Marinskim pojawiło się troje radnych. Postanowili zwołać posiedzenie rady miasta, więc natychmiast zaczęli dzwonić do pozostałych jej członków. O dziesiątej nadal nie zdołano zebrać kworum, wtedy jednak telewizja nadała wystąpienie generała Wiktora Samsonowa, dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, który ogłosił w mieście stan wyjątkowy.

Z braku wystarczającej liczby radnych Igor Artiemiew¹², jeden z tych brodatych intelektualistów o łagodnym usposobieniu, zdecydował się ogłosić spotkanie robocze rady. Trzydziestoletni doktor biologii, niemający żadnego doświadczenia w prowadzeniu posiedzeń, zupełnie nie był przygotowany na to, co nastąpiło chwilę później. Oddał głos pierwszej osobie, która o to poprosiła, ale okazało się, że był nią kontradmirał Wiktor Chramcow, wyznaczony do tego celu przez GKCzP. Ledwie rozpoczął swoje wystąpienie, gdy Witalij Skojbieda, równie młody jak Artiemiew, lecz radny o znacznie bardziej wybuchowym charakterze, rzucił się na Chramcowa, krzycząc, że należy go aresztować, po czym go uderzył.

Właśnie w tym momencie na salę wkroczył przewodniczący rady Aleksander Bielajew, który zdążył wrócić chwilę wcześniej do miasta. Przywołał zebranych do porządku, po czym podszedł do kontradmirała (wciąż rozciągniętego na wytwornym parkiecie ratusza) i zapytał, czy dysponuje dokumentem wprowadzającym w mieście stan wyjątkowy. Okazało się, że taki dokument w ogóle nie istnieje. W takim razie, uznał Bielajew, żaden stan wyjątkowy nie obowiązuje. Marina Salje stwierdziła, że mają do czynienia z „przewrotem wojskowym”; wprawdzie definicja nie była nazbyt ścisła, jednak wszystkim wydała się wyjątkowo trafiona. Radni zaczęli opracowywać plan oporu, tworzyć komitet koordynujący

działania i układać oświadczenie, jakie należało wygłosić w obliczu niewątpliwego puczu. Pozostawało tylko pytanie, jak przekazać to stanowisko obywatelom Leningradu.

Sobczak akurat przebywał poza miastem i nikt nie wiedział, jak się z nim skontaktować. Późnym rankiem bądź wczesnym popołudniem, mniej więcej w chwili gdy radni zakończyli obrady, mer sam skontaktował się z nimi. Salje zrelacjonowała tamte wydarzenia następująco: „Powiedzieliśmy mu, że zamierzamy udać się do studia telewizyjnego i poinformować mieszkańców, że nastąpiła próba dokonania przewrotu. Odparł: »Nie róbcie tego, wywołacie jedynie panikę. Poczekajcie na mnie«,,. Mimo to kilkoro radnych, w tym również Salje, udało się pod budynek telewizji, ale nie wpuszczono ich do środka. Rozpoczęło się czekanie na Sobczaka.

On natomiast spędził tamten poranek w podmoskiewskiej daczce Borysa Jelcyna; prezydent RFSRR wezwał do siebie wszystkich przebywających wówczas w Moskwie znaczniejszych działaczy demokratycznych. Spotkanie odbywało się w atmosferze strachu i dezorientacji. Logika podpowiadała, że gospodarz powinien trafić do aresztu, ale nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się nie stało. Rzeczywiście, odpowiedni nakaz wydano jeszcze w nocy i gdy tylko prezydent przyleciał rano do Moskwy, miał zostać natychmiast zatrzymany.

Jednak do aresztowania nie doszło¹⁶. Dlaczego? Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć ani wtedy, ani w późniejszym okresie. Następnie polecono agentom KGB otoczyć daczę Jelcyna. Widzieli oni, jak prezydent wchodzi do domu, potem z niego wychodzi, ale ostateczny rozkaz nigdy nie padł (później okazało się, że zatrzymaniu sprzeciwili się dwaj zastępcy dowodzącego akcją). Uzbrojeni agenci czekali bezczynnie przed domem, obserwując, jak prezydent śpieszy na posiedzenie rządu w centrum Moskwy.

Pozostali uczestnicy tamtego spotkania, w tym także Sobczak, udali się na lotnisko, by dostać się do reprezentowanych przez nich miast i tam skoordynować działania mające dać odpór puczystom. Ale jeszcze przed odlotem ze stolicy mer Leningradu Sobczak skontaktował się z miejską milicją i rozkazał, by służby specjalne zablokowały wszystkie wejścia do budynku telewizji oraz uniemożliwiły opuszczenie go przez kogokolwiek. Nie wiadomo, czy zrobił to przed porozumieniem się z radnymi, czy po wspomnianej rozmowie telefonicznej, tak czy inaczej wyjaśnia, dlaczego Salje i inni nie mogli dostać się do siedziby stacji.

Więc czekali, bo Sobczak powinien był pojawić się już jakiś czas temu. Rzeczywiście, przyleciał z Moskwy, ale zanim udał się na spotkanie z radą - czego zapewne oczekiwali wszyscy w mieście, bo tłum przed Pałacem Marinskim rósł z godziny na godzinę - odwiedził

najpierw dowództwo okręgu wojskowego, by porozmawiać z generałem Samsonowem. Oto jak wyjaśniał tamte wydarzenia w swoich wspomnieniach. „Dlaczego tak postąpiłem? Nadal nie potrafię tego uzasadnić. Podejrzewam, że zadziałała intuicja. Kiedy pojawiłem się w siedzibie dowództwa przy placu Pałacowym, w gabinecie Samsonowa trwało właśnie spotkanie komitetu GKCzP. (...) Ostatecznie Samsonow obiecał mi, że o ile nie dojdzie do niespodziewanych czy ekstremalnych zachowań, wojsko nie wkroczy do miasta”.

Naprawdę zaś Sobczak zdecydował się podążyć inną ścieżką niż jego koledzy ze stolicy i innych rosyjskich miast. Po raz kolejny uznał, że należy zwiększyć swoje szanse na utrzymanie się przy władzy i zapalić Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Zagrał tak, by w razie zwycięstwa twardogłowych jego pozycja nie była zagrożona, a w razie ich przegranej - nadal cieszyć się zaufaniem demokratów.

Rada Miejska w Moskwie, która zebrała się rankiem, również ustaliła, że sprzeciwi się puczowi. Jednak w przeciwieństwie do leningradzkich radnych, ci stołeczni cieszyli się pełnym poparciem mera miasta Gawriła Popowa. Rozkazał on, między innymi, służbom miejskim odciąć wodę, zasilanie i telefony we wszystkich budynkach, w których ulokowali się zwolennicy GKCzP. Jednocześnie nakazał bankom zablokować fundusze GKCzP i powiązanych z nim organizacji. Rada miasta i pracownicy biura mera stworzyli wspólny komitet mający koordynować działania grupy stawiającej opór. Ponieważ 19 sierpnia oddziały wojska wkroczyły do miasta w kilku miejscach, ochotnicy zbrali się bezpośrednio pod Białym Domem, wieżowcem w centrum Moskwy, miejscem pracy rządu. Gdy przedstawiciele GKCzP skontaktowali się telefonicznie z zastępcą mera Jurijem Łużkowem, by rozpocząć negocjacje, Łużkow - przede wszystkim urzędnik, a dopiero później demokrata - skłął ich i odłożył słuchawkę.

W tym czasie Sobczak zakończył rozmowy z generałem Samsonowem i udał się wreszcie do biura w Pałacu Marinskim, gdzie czuwał kontrolujący siły specjalne Putin. W południe przed ratuszem zebrały się już dziesiątki tysięcy ludzi, liczące na uzyskanie jakichś informacji bądź instrukcji, jak postępować.

Sobczak w końcu pojawił się w oknie gabinetu i odczytał oświadczenie (nie własne, lecz to, które ułożyli Borys Jelcyn i członkowie rządu). „Zwracamy się do obywateli Rosji, by zareagowali stosownie na postępowanie puczystów i domagali się przywrócenia normalnego kierunku rozwoju, zgodnego z uchwaloną konstytucją”. Po dwudziestej pierwszej udał się wreszcie ze swoim zastępcą kontradmirałem do siedziby leningradzkiej telewizji, gdzie przeczytał własne orędzie - jak zawsze natchnione i przekonujące. Wystąpienie miało szczególną wagę, ponieważ sygnał nadawany z leningradzkiego ośrodka dociera do wielu

miast w kraju i choć GKCzP bardzo starało się przerwać transmisję, Leningrad wytrwał. Sobczak zachęcał mieszkańców miasta do stawienia się następnego dnia na wiecu. Wyglądało to na arogancką prowokację, ale było nią tylko pozornie - wszystko zostało dokładnie omówione z generałem Samsonowem.

Sobczak obiecał mu, że demonstracja nie wyjdzie poza ściśle określony teren.

Po przemówieniu i Sobczak, i Putin ukryli się na następne dwa dni w bunkrze pod największą w mieście fabryką. Pojawili się tylko raz, by wystąpić na konferencji prasowej. Sobczak był przerażony.

Drugiego dnia puczu stała się rzecz przedziwna. Marina Salje, przebywająca w prowizorycznej kwaterze głównej opozycjonistów, w budynku rady miasta, wykonywała właśnie różne telefony, gdy zadzwonił zastępca Jelcyna, wiceprezydent Aleksander Ruckoj i natychmiast zaczął wydzierać się w słuchawkę: „Co on najlepszego zrobił? Przeczytał dekret? Co on w ogóle przeczytał?” (z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Mariną Salje 14 marca 2010 roku; tekst dekretu przygotowanego przez Ruckoja oraz treść wystąpienia Sobczaka dostarczone przez Marinę Salje). Dopiero po kilku minutach Salje zorientowała się, o co chodzi, a wnioski wyciągnęła znacznie później. Okazało się, że Ruckoj wydał dekret, w którym usuwał generała Samsonowa ze stanowiska dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego i przyznawał je zastępcy Sobczaka, kontradmirałowi Szczerbakowowi. Zastąpienie twardego dowódcy, lojalnego wobec GKCzP, kimś wiernym demokratycznie wybranemu merowi wydawało się posunięciem logicznym i powinno być przyjęte przez Sobczaka z wdzięcznością. Niestety, niszczyło starannie uknutą intrygę i zmuszało mera do poparcia Jelcyna czynem, a nie tylko słowem, jak dotychczas.

Zatem Sobczak, z wykształcenia prawnik, tak zmienił niektóre ze sformułowań dekretu Ruckoj a, że dokument odczytany na konferencji prasowej nie miał absolutnie żadnej mocy prawnej.

Obydwie strony konfliktu obrzucały się kolejnymi dekretami, oświadczeniami, odezwami i rozkazami. Moskiewski przewrót miał charakter wojny nerwów, a nie regularnej walki. Ludzie reagowali wyłącznie na dokumenty wydawane przez grupę, którą popierali. Dlatego właśnie Jelcyn nie mógł po prostu wezwać Samsonowa i nakazać mu opuszczenia biura; Samsonow raportował o wszystkim do GKCzP, nie uznając tym samym zwierzchności Jelcyna. Wybrany demokratycznie, rezydujący w Moskwie rząd miał nadzieję, że jeśli Sobczak odczyta dekret, zdoła we właściwy sobie sposób dotrzeć do świadomości stacjonujących w Leningradzie oddziałów i przekonać żołnierzy, że ich dowódcą jest teraz kontradmirał Szczerbakow. Ale mer w swoim wystąpieniu godność nadał Szczerbakowowi

zastąpił sformułowaniem, które można przetłumaczyć jako „główny zwierzchnik wojska”. Ta nic niemówiąca nazwa, fikcyjny tytuł pochodzący jakby z równoległego świata, w żaden sposób nie podważała uprawnień generała Samsonowa. Dzięki temu stanowisko Sobczaka pozostało nieokreślone, a jego sytuacja - stabilna. potem, znienacka, pucz się załamał. Impas w centrum Moskwy utrzymywał się przez dwa dni, w ciągu których wojsko nie zdołało ruszyć na Biały Dom.

Kilku uzbrojonych ludzi podjęło takie próby, ale zostali powstrzymani przez nieliczną grupę nieuzbrojonych ochotników, którzy uformowali barykady z przewróconych trolejbusów i wyrwanych z chodników płyt. Zginęły trzy osoby.

Gorbaczow powrócił do Moskwy. Rozpoczął się postępujący niezwykle szybko proces demontażu Związku Radzieckiego. Jednocześnie rządy Republiki Rosyjskiej i ZSRR przystąpiły do rozprawy z najpotężniejszą organizacją w Kraju Rad, KGB. Później się okazało, że cały ten proces był znacznie bardziej skomplikowany i znacznie mniej skuteczny.

Dwudziestego drugiego sierpnia Rada Najwyższa Republiki Rosyjskiej uchwaliła rezolucję, w której przyjęto nową flagę Rosji - białoniebieskoczerwoną. Czerwony sztandar z sierpem i młotem, symbol władzy komunistycznej, odszedł w zapomnienie. Grupa leningradzkich radnych pod przywództwem Witalija Skojbiedy (tego samego, który trzy dni wcześniej podczas obrad powalił na ziemię twardogłowego Chramcowa) podjęła się zadania zmiany flagi w ich mieście. Jelena Zielińska wspominała to następująco: „Flaga powiewała na rogu Newskiego Prospektu, przed głównym budynkiem KPZR, w najbardziej widocznym punkcie. Grupa ludzi, głównie radni i dziennikarze, zaczęła ją ściągać. Ni stąd, ni zowąd pojawiła się orkiestra dęta szkoły wojskowej. Byli też ludzie z telewizji - kręcili reportaż. Ostrożnie zdjęto czerwony sztandar i przy wtórze orkiestry zaczęto wciągać na maszt trójkolorową flagę. Człowiek, który zdjął czerwoną chorągiew, stał obok nas na Newskim Prospekcie. Trwaliśmy tak przez chwilę, grupka ludzi, orkiestra i człowiek z czerwoną tkaniną w dłoniach, nim dotarło do nas, że nie mamy pojęcia, co robić. Trzymaliśmy przed sobą sztandar, który przez osiemdziesiąt lat był symbolem kraju; nienawidziliśmy go, ale jednocześnie czuliśmy przed nim lęk. Wtedy jeden z radnych powiedział: »Wiem, co zrobimy: oddamy ją im«. Po drugiej stronie ulicy mieścił się miejski komitet partii komunistycznej. Mężczyzna chwycił sztandar i przebiegł przez ulicę; nawet się nie obejrzał. Przystawały samochody, orkiestra grała marsza, a on biegł przez całą szerokość Newskiego. Gdy rozbrzmiała ostatnia nuta melodii, cisnął materiał z całych sił pod drzwi siedziby partii. Przez chwilę nie działo się nic, a potem drzwi rozchyliły się powoli. W szczelinie ukazała się czyjaś ręka, która szybko zwinęła sztandar do środka. Potem drzwi równie szybko się

zamknęły. To był najpiękniejszy moment w całym moim życiu. Widziałam flagę Rosji powiewającą nad Newskim”.

Pięć dni po wybuchu puczu w Moskwie odbył się pogrzeb trzech ofiar, młodych ludzi, którzy stracili życie w starciu z wojskiem. W ceremonii uczestniczyła trójka polityków z Leningradu, wśród nich Marina Salje. Szli na czele konduktu, ramię w ramię z Nikołajem Gonczarem, przewodniczącym moskiewskiej rady miasta i jednym z ważniejszych przedstawicieli ruchu demokratycznego. Wiele lat później Salje opowiedziała mi o tym. „Kondukt zatrzymywał się co chwila, by po minucie, może dwóch, podjąć marsz. Za każdym razem, gdy stawaliśmy, Gonczar odwracał się do mnie i pytał: »Marina Jewgienijewna, co to miało być?«.

Zapytał tak chyba z dziesięć razy”. Pod koniec dnia Gonczar i Salje mieli niemal pewność, że pucz nie był tym, czym się wydawał.

Czym zatem był? Dlaczego przygotowywany przez wiele miesięcy przewrót nie powiódł się, a w zasadzie: dlaczego nigdy porządnie się nie rozpoczął? Dlaczego wszyscy demokraci mogli swobodnie poruszać się po kraju i wykonywać rozmowy telefoniczne? Jedynym zatrzymanym był Gorbaczow. Dlaczego nie aresztowano nikogo poza nim? Dlaczego przez trzy dni pozornego sprawowania władzy w ZSRR twardogłowi nie zdołali opanować głównych węzłów komunikacyjnych? W końcu dlaczego wycofali się bez walki? Czy pucz był jedynie marnie przygotowaną inicjatywą grupy niezorganizowanych nieudaczników? A może za kulisami działo się coś bardziej skomplikowanego, bardziej złowieszczonego? Czy pucz, jak ostatecznie doszła do wniosku Salje, był starannie wyreżyserowanym przedstawieniem, które w efekcie pozwoliło Jelcynowi odsunąć Gorbaczowa i pokojowo przejąć władzę w Związku Radzieckim, a jednocześnie na zawsze związało go długiem wdzięczności z KGB?

Moim zdaniem żadna z tych wersji nie jest słuszna, choć żadna nie mija się z prawdą. Już w czasie trwania puczu różni ludzie po obydwu stronach barykady tworzyli różne historie na jego temat. Gdy przewrót zakończył się formalną wygraną zwolenników demokracji, zwycięzcy zaprzepaścili szansę na stworzenie, czy chociaż zaproponowanie, spójnej wersji wydarzeń tamtych dni, która z czasem zaczęłaby obowiązywać w nowej Rosji. Ta chwila wahania sprawiła, że każdy pozostał przekonany o słuszności własnych poglądów. Ostatecznie dni przewrotu dla jednych stały się dowodem odwagi, heroizmu i zwycięstwa demokracji, dla innych pozostały (bądź przybrały postać) zgrabnie uknutego spisku. O tym, która wersja jest prawdziwa, decydują ludzie trzymający władzę na Kremlu. Rodzi się zatem pytanie: jaką historię o puczu opowiada Władimir Putin? Przez tamte, jakże znaczące, trzy

sierpniowe dni Putin rzucał się w oczy jeszcze mniej niż dotychczas. Przez cały czas trzymał stronę Sobczaka, ale to drugi z zastępców mera, Szerbakow, dawał się zauważyć. Przemawiał, koordynował działania; spędził w biurze mera noc, dzień i kolejną noc. Sobczak i Putin przebywali w tym czasie w bunkrze. Wiemy, że Sobczak grał na dwa fronty, co więcej - linia frontu najprawdopodobniej przebiegała wśród ludzi z jego najbliższego otoczenia. Na początku kryzysu Szerbakow odkrył, że ktoś umieścił pod klapą jego marynarki niewielkie urządzenie namierzające. Zastępca mera tak wspomina ranek 21 sierpnia. „Zsunąłem pięć krzesel w biurze i położyłem się na nich spać. Obudziłem się, czując na sobie czyjś wzrok. Wrócił Anatolij Aleksandrowicz [Sobczak], »Kładźcie się spać, Wiaczesławie Nikołajewiczu«, powiedział.

»Wszystko się udało. Gratuluję«. Natychmiast sprawdziłem, czy pluskwa jest nadal pod klapą, ale już jej nie było. Ten, kto ją tam umieścił, a potem usunął, by jej nie odnaleziono, musiał znajdować się w moim najbliższym otoczeniu. Ktoś z nas pracował dla drugiej strony”.

Dziewięć lat później Putin opowiedział biografom własną wersję sierpniowego puczu. „Opuszczanie budynku rady miasta było naprawdę niebezpieczne, ale mimo to ciągle działaliśmy: pojechaliśmy do zakładów Kirowa, by porozmawiać z pracownikami, odwiedziliśmy kilka innych fabryk, choć nie czuliśmy się do końca pewnie”. W większości są to kłamstwa, bo wielu niezwiązanych ze sobą świadków potwierdza, że Sobczak w towarzystwie Putina skrył się w bunkrze pod fabryką. Czy przed zejściem pod ziemię mer wygłosił mowę - nie wiadomo.

Nie ma podstaw, by twierdzić, że Sobczak i Putin odwiedzili inne fabryki, czy też przejawiali w ostatnich dwóch dniach kryzysu jakąkolwiek działalność, inną niż udział w pojedynczej konferencji prasowej.

„Co zrobiłby pan, gdyby twardogłowi zwyciężyli?”, zapytali biografowie. „Przecież był pan oficerem KGB. I pan, i Sobczak zapewne stanęlibyście przed sądem”.

„Ależ ja nie byłem już wtedy pracownikiem KGB”, oświadczył Putin. „Gdy tylko pucz się rozpoczął, zdecydowałem, po której stronie powinienem stanąć. Wiedziałem, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, do czego posunęli się organizatorzy zamachu stanu; nie mógłbym ich popierać. Wiedziałem też, że w najlepszym razie moja postawa zostałaby potraktowana jako wykroczenie, więc 20 sierpnia napisałem kolejne wymówienie”.

To oświadczenie nie ma sensu. Skoro Putin wiedział, że jego pierwsza rezygnacja, napisana jakoby rok wcześniej, nie dotarła do jego przełożonych, dlaczego nie napisał jej ponownie natychmiast? Przypominam, że postanowił zrezygnować ze służby rzekomo z

powodu szantażu. Poza tym, skąd wiedział, że pierwszy list zaginął? Wydaje się, że na to ostatnie pytanie jest tylko jedna odpowiedź. Putin musiał cały czas pobierać wynagrodzenie z KGB, a to znaczy, że w chwili rozpoczęcia puczu był pełnoprawnym funkcjonariuszem tej organizacji.

Teraz jednak, jak utrzymywał, powziął wszelkie możliwe środki, by z nią zerwać. „Powiedziałem Sobczakowi: »Anatoliju Aleksandrowiczu, rok temu złożyłem wymówienie z KGB, ale sprawa umarła gdzieś po drodze«. Sobczak natychmiast zadzwonił do [przewodniczącego KGB i jednocześnie jednego z przywódców puczu Władimira] Kriuczkowa, który był wtedy szefem mojego wydziału. Następnego dnia poinformowano mnie, że moja rezygnacja została przyjęta”.

Ta część historii wydaje się być całkowicie zmyślona. Arsenij Rogiński, jeden z moskiewskich działaczy na rzecz praw człowieka, historyk, który przez rok po puczu przeczesywał archiwa KGB i analizował działanie tej instytucji, stwierdził: „Nie sądzę, żeby rozmowa, którą opisał, mogła mieć miejsce 20 sierpnia.

Kriuczkow po prostu nie zajmowałby się wtedy sprawami kadrowymi, zwłaszcza że ta nie dotyczyła specjalnie wysokiego rangą funkcjonariusza”. Trudno też sobie wyobrazić, by Sobczak, który był przecież mocno zajęty prowadzeniem gry na dwóch frontach, zdecydował się tak ostentacyjnie odciąć od KGB. Nie wiadomo też, w jaki sposób Putin miałby dostarczyć list (ten, który miał zostać podpisany następnego dnia) do kwatery głównej KGB, skoro tego dnia ani na chwilę nie opuścił Sobczaka. Wreszcie, gdyby nawet przyjąć, że Putin mówi prawdę, z jego słów wynika jasno, że rezygnację przyjęto ostatniego dnia puczu, gdy sytuacja była w zasadzie jasna i nikt nie zakładał już zwycięstwa twardogłowych.

Najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń przedstawia się zatem następująco: przez trzy dni, w ciągu których ważyły się losy zamachu stanu, Putin i jego przełożony nie opowiedzieli się po żadnej ze stron. Jeżeli Putin rzeczywiście zrezygnował w końcu ze służby w KGB, nastąpiło to zapewne dopiero po zakończeniu puczu. Co więcej, w odróżnieniu od Sobczaka i wielu innych, którzy wzorem Borysa Jelcyna wystąpili z partii komunistycznej kilka miesięcy wcześniej, Putin pozostał w niej do końca. Jego członkostwo ustało dopiero dwa tygodnie po przewrocie, gdy Jelcyn ostatecznie rozwiązał partię. Co zatem wynika z opowieści Putina o tych jakże znaczących dla Rosji dniach? Czy to możliwe, żeby właśnie on (niekoniecznie w pojedynkę) był wtyczką twardogłowych w najbliższym otoczeniu Sobczaka? Odpowiedź jest zdecydowanie twierdząca. Mięso warte dziewięćdziesiąt milionów marek niemieckich, na którego ślad Marina Salje wpadła w maju, nigdy nie dotarło do Leningradu, ale ona nie zapomniała o całej sprawie, mimo dramatycznych późniejszych

wydarzeń. Urażona tym, co spotkało ją w Niemczech, lecz także zaintrygowana, rozpoczęła starania, by poznać szczegóły tajemniczej afery mięsnej. Po nieudanym zamachu stanu dostęp do wszelkiego rodzaju archiwów stał się przez chwilę nieco łatwiejszy, co Salje wykorzystwała natychmiast. Dotarła do dokumentów, które wcześniej pozostawały poza jej zasięgiem. Wreszcie, w marcu 1992 roku, poskładała wszystkie elementy łamigłówki.

W maju 1991 roku ówczesny premier Związku Radzieckiego Walentin Pawłow udzielił leningradzkiej spółce Kontinent prawa do prowadzenia negocjacji handlowych w imieniu rządu. W ciągu kilku tygodni Kontinent podpisała kontrakt na dostawę mięsa z jedną z niemieckich firm. Mięso dotarło wprawdzie do Rosji, lecz zamiast do Leningradu trafiło do Moskwy. Przyczyna była bardzo prosta: ludzie, którzy później utworzyli GKCzP, z Popowem na czele, starali się zaopatrzyć moskiewskie magazyny, by móc po przejęciu władzy zalać sklepowe półki jedzeniem.

A kto prowadził rozmowy z Niemcami w imieniu Kontinentu? Władimir Putin.

Gdy Salje miała już pełny, jak uważała, obraz sytuacji, postanowiła podjąć odpowiednie działania. Dlatego w marcu 1992 roku udała się do Moskwy na spotkanie ze starym znajomym z czasów ruchu na rzecz demokracji. Jurij Bołdyriew, przystojny, wąsaty ekonomista, znalazł się razem z Sobczakiem w Radzie Najwyższej, a w 1992 roku pełnił funkcję naczelnego inspektora państwowego. Salje osobiście wręczyła mu list, w którym opisała wstępne wyniki przeprowadzonego śledztwa w sprawie osobliwej historii mięsa, które najwyraźniej trafiło z Niemiec do Moskwy. Bołdyriew skontaktował się wkrótce z innym ekonomistą, który zajmował w owym czasie stanowisko ministra handlu zagranicznego. W swoim liście zażądał ograniczenia władzy Putina. List zignorowano. Można podejrzewać, że Putin dysponował już wtedy odpowiednim majątkiem i kontaktami, więc odsunięcie go od władzy nie było proste.

Na czym dokładnie polegała funkcja Putina w radzie drugiego co do wielkości miasta w Rosji? Kobieta, która pracowała w tamtym czasie w biurze mera, opisuje Putina jako człowieka z pustego gabinetu (znajdowało się w nim tylko biurko i stojąca na nim szklana popielniczka) spoglądającego na wszystkich lodowatym wzrokiem.

W przypisie Masha Gessen podaje datę listu 13 marca 1992, co w świetle informacji, że wręczyła Bołdyriewowi swój list 25 marca 1992, jest nieco dziwne. Ponieważ wcześniej autorka stwierdza, że Salje skończyła pracować nad sprawą mięsa w marcu (ang. by March 1992, dosł.

„do marca 1992”), można założyć, że list Bołdyriewa był datowany na 13 kwietnia 1992 (choć równie dobrze Salje mogła napisać swój list pod koniec lutego, czym

spowodowała działanie Bołdyriewa w marcu).

W pierwszych miesiącach pracy w urzędzie miejskim Putin zrobił na ludziach wrażenie człowieka pełnego zapału, ciekawego i zaangażowanego w sprawy miasta³⁴, później jednak jawił się jako obojętny i wyzuty z uczuć. Jego sekretarka wspomina, że musiała przekazać mu kiedyś dość przykrą prywatną wiadomość. „Putinowie mieli psa, owczarka kaukaskiego, którego nazywali Małysz [Malec]. Mieszkał na terenie ich daczy i ciągle starał się przekopać pod ogrodzeniem, by wydostać się na zewnątrz. Pewnego dnia mu się udało i niestety potracił go samochód. Ludmiła Aleksandrowna zawiozła psa do kliniki weterynaryjnej.

Zadzwoiła do mnie stamtąd i poprosiła, by przekazać jej mężowi, że lekarz nie zdołał uratować psa. Udałam się do Władimira Władimirowicza i powiedziałam: »Zdarzył się wypadek. Małysz nie żyje«. Patrzyłam przy tym na niego, ale na jego twarzy nie dojrzałam żadnych emocji. Brak reakcji zaskoczył mnie do tego stopnia, że nie powstrzymałam się od zapytania: »Czy ktoś już o tym panu powiedział?«, na co on odparł spokojnie: »Nie, jest pani pierwsza«. Wtedy zorientowałam się, że powiedziałam coś niewłaściwego”.

„Coś niewłaściwego” odnosi się zapewne do pytania, czy Putin słyszał już wcześniej o śmierci psa. Cała scena jest niezwykle wymowna, wyraźnie oddaje roztaczany przez właściciela gabinetu nastrój niepewności, a nawet grozy.

Gdy biografowie zaczęli drażnić charakter jego działań podczas jego pobytu w Petersburgu, odpowiedział z bezpośredniością właściwą jego wypowiedziom w delikatnych kwestiach. Przyznał, że starał się przejąć kontrolę nad domami gry. „Uważałem wtedy, że miasto powinno mieć monopol na prowadzenie kasyn.

Moje przekonania pozostawały w sprzeczności z ustawą antymonopolową, którą już uchwalono, mimo to starałem się zapewnić państwu w osobie miasta kontrolę nad domami hazardu”. Powiedział, że w tym celu został utworzony holding, który nabył 51 procent udziałów we wszystkich kasynach w mieście, a następnie miał zgarnąć odpowiednie dywidendy. „To był błąd. Kasyna wyprowadzały zyski w gotówce, formalnie zgłaszając same straty”, skarżył się. „Później nasi przeciwnicy polityczni starali się oskarżyć nas o korupcję, ponieważ mieliśmy udziały w kasynach. To było po prostu śmieszne. (...) Rzeczywiście, z punktu widzenia ekonomii nie było to może najrozsądniejsze posunięcie. Całe przedsięwzięcie nie przyniosło żadnych dochodów, nie osiągnęliśmy też zakładanych celów, więc patrząc na efekty, muszę przyznać, że zapewne nie poświęciliśmy tej sprawie odpowiednio dużo uwagi. Jednak gdybym pozostał w Petersburgu, przydusiłbym kasyna tak, by w końcu musiały się z nami podzielić zyskiem. Pieniądze te miały trafić do ludzi

starszych, do nauczycieli, służby zdrowia”. Innymi słowy, przyszły prezydent Rosji oświadczył, że jeśli prawo sprzeciwiało się jego pomysłom, to tym gorzej dla prawa. Nie miał wiele więcej do powiedzenia na temat lat spędzonych u boku Sobczaka.

Na początku 1992 roku Marina Salje postanowiła dowiedzieć się ostatecznie, czym zajmował się mały człowiek z pustego biura. Rada miasta rozpoczęła prowadzenie zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia. Wkrótce Salje mogła zaprezentować radnym jego efekty - dwadzieścia dwie strony gęsto zapisanego maszynopisu oraz dziesiątki stron załączników. Miało to miejsce niecałe dwa miesiące po wizycie u Bołdyriewa. Odkryła, że Putin podpisał w imieniu miasta dziesiątki umów, których większość (o ile nie wszystkie) w ten czy inny sposób była niezgodna z prawem.

Dział podległy Putinowi nazywał się teraz komitetem do spraw stosunków międzynarodowych, a większość prowadzonych w nim spraw miała rzekomo dotyczyć zaopatrywania miasta w żywność sprowadzaną z innych krajów. Leningrad nie dysponował gotówką, za którą mógłby kupować żywność; rubel nie był w tamtych czasach walutą wymienną, a gospodarce Rosji, odziedziczonej po Związku Radzieckim, daleko było do stabilności. Próby wyprowadzenia jej na prostą doprowadziły do hiperinflacji. Ale jednocześnie Rosja dysponowała ogromnymi złożami zasobów naturalnych, które można było wymieniać pośrednio lub bezpośrednio na żywność. Dlatego rząd w Moskwie zezwolił samorządom federacji na prowadzenie eksportu kopalin. Salje odkryła, że dział Putina podpisał umowy na łączną wartość 92 milionów dolarów. Miasto zgodziło się dostarczać ropę, drewno, metale, bawełnę i inne surowce otrzymane od rządu federacji, a wymienione w umowach firmy zobowiązywały się zająć eksportem tych dóbr i sprowadzeniem za uzyskane pieniądze żywności. W trakcie śledztwa Salje ustaliła jednak, że każda z tych umów zawierała drobne nieprawidłowości, które sprawiały, że prawnie były one do niczego (brakowało na przykład pieczęci lub podpisów). Czasem w umowach pojawiały się znaczne rozbieżności. Salje pisała później: „Putin z wykształcenia jest prawnikiem, musi więc zdawać sobie sprawę z faktu, że w świetle prawa umowy te były nieważne, zatem nie mogłyby stanowić żadnego dowodu podczas postępowania sądowego”. Poza tym Putin złamał zasady importu i eksportu, jakie obowiązywały w Rosji w przypadku prowadzenia handlu wymiennego. Wszystkie firmy zajmujące się sprzedażą zasobów naturalnych za granicę zostały wybrane spod dużego palca, a nie w otwartym przetargu.

Żywność, która na podstawie zawartych umów miała trafić do Leningradu, nigdy do miasta nie dotarła, lecz dobra wymienione w odkrytych przez Salje dokumentach najwyraźniej zostały dostarczone za granicę. Śledztwo radnej zwróciło uwagę na jeszcze

jedną nieprawidłowość. Prowizje pobierane przez spółki zajmujące się handlem wymiennym w imieniu miasta były znacznie zawyżone. Sięgały od 25 do nawet 50 procent wartości kontraktu. Łącznie z tytułu należnych prowizji wypłacono 34 miliony dolarów. Wszystkie dowody wskazywały na to, że zastosowano tu bardzo prostą metodę defraudowania środków państwowych: z wybranymi firmami podpisywano lukratywne kontrakty, nie wymagając od nich wywiązania się z ich części umowy.

Putin, pytany przez biografów o sprawę śledztwa prowadzonego wtedy przez radę miasta, przyznał, że wiele z wybranych wówczas firm nie dopełniło zobowiązań i nie dostarczyło żywności do Leningradu. „Uważam, oczywiście, że miasto nie wyczerpało wtedy wszystkich możliwych środków dochodzenia swoich racji.

Powinniśmy byli skorzystać z pomocy organów ochrony porządku publicznego, wydusić z tamtych przedsiębiorstw należne nam towary, ale zakładanie spraw w sądzie nie miało sensu. Firmy pojawiały się wtedy i znikwały w ciągu kilku dni, zawieszały działalność i wyprowadzały swój majątek. W gruncie rzeczy nie mieliśmy też podstaw, by zgłaszać wobec nich roszczenia. Proszę pamiętać, jakie to były czasy. Szemrane interesy prowadzono wtedy wszędzie, a piramidy finansowe były naszą codziennością”. Słowa te powiedział ten sam człowiek, który jeszcze dzień czy dwa wcześniej podkreślał, jak zaciekle potrafi walczyć o swoje prawa, gdy uzna, że ktoś próbuje go oszukać, ten sam, który tak łatwo wpadał w gniew i tak trudno się uspokajał, ten sam, który, według relacji jego przyjaciół, potrafił w złości wydrapać przeciwnikowi oczy. Dlaczego ktoś taki miałby siedzieć beczynnym i patrzeć, jak firmy, jedna po drugiej, łamią warunki umów, które sam podpisał z nimi w imieniu miasta? Dlaczego ktoś taki miałby pozostawić ludzi bez żywności, której tak bardzo potrzebowali?

Ponieważ - jak przekonuje Salje - wszystko było od początku do końca ukartowane. „Celem całej operacji było podpisanie wadliwych w świetle prawa umów z kimś zaufanym. Tak wybranej osobie bądź firmie wydawano następnie pozwolenie na eksport towarów, które umożliwiało przeprowadzenie przez odprawę celną przekazanych przez miasto dóbr i wysłanie ich za granicę. Tam dokonywano ich sprzedaży, a pieniądze z niej zawłaszczano. Oto jak działał ten mechanizm”.

Ale Salje utrzymuje, że to jeszcze nie koniec całej sprawy. Moskwa wydała władzom Leningradu pozwolenie na eksport towarów o wartości miliarda dolarów, a dwanaście sfałszowanych umów, na jakie się natknęła, dokumentuje zaledwie jedną dziesiątą kwoty, jaka powinna była przepłynąć przez wydział Putina. Jak więc wygląda dalszy ciąg historii? Salje znalazła w końcu dowody potwierdzające, że wszystkie lub prawie wszystkie przyznane Leningradowi przez centralne władze dobra - w tym aluminium, ropa i bawełna - zostały

sprzedane za granicę czy też, jak sama to ujęła, „zniknęły”. W dokumentach nie ma po nich ani śladu. Jednak w sprawozdaniu, jakie przedłożyła radzie miasta, skupiła się wyłącznie na dwunastu kontraktach, których losy mogła w pełni poprzeć stosowną dokumentacją. Dobra o wartości prawie stu milionów dolarów wymieniono na żywność, która nigdy nie dotarła do miasta.

Rada zapoznała się z raportem Salje i przekazała go do biura mera Sobczaka z zaleceniem, by zgłosić sprawę w prokuraturze i natychmiast zwolnić Putina oraz jego zastępcę, którego podpis także widniał na wielu z zakwestionowanych umów.

Salje osobiście dostarczyła prezydentowi Jelcynowi trzystronicowe sprawozdanie, opisujące najważniejsze przypadki złamania prawa, w którym domagała się wszczęcia odpowiedniego postępowania. Nikt nie zareagował. Jediną osobą, która poczuła się w obowiązku podjąć jakieś działania w związku z tą sprawą, był Bołdyriew, naczelny inspektor państwowy. Natychmiast skontaktował się z ministrem handlu zagranicznego i podjął właściwe kroki prawne. Bołdyriew przestudiował dokumenty przedstawione przez Salje i doszedł zasadniczo do tych samych wniosków co ona: ktoś okradał mieszkańców Leningradu. Wezwał do siebie Sobczaka, by wyjaśnić odkryte nieprawidłowości.

W udzielonym później wywiadzie Bołdyriew tak wspomina tamte wydarzenia: „Sobczak pojawił się w asyście wszystkich swoich zastępców. Każdy z nich spisał własną wersję wydarzeń. (...) Wszystkie odkrycia przekazałem Jelcynowi”.

I znowu nic się nie stało. Kancelaria Prezydenta Rosji przekazała te dokumenty swoim przedstawicielom w Petersburgu, a tam sprawa umarła.

„To było zwykłe śledztwo”, wyjaśnił Bołdyriew wiele lat później. „W jego trakcie wyszły na jaw poważne pogwałcenia prawa, ale sprawa nie różniła się niczym od innych tego typu działań mających miejsce w całej Rosji. Wykroczenia dotyczyły, jak zawsze, sposobu uzyskania praw do prowadzenia eksportu towarów cennych strategicznie i sprowadzenia w zamian żywności, która zazwyczaj nigdy nie pojawiała się w Rosji. Typowa sprawa z tamtych czasów”. Nowa elita Rosji poświęcała całą swoją energię na rozdzielanie majątku narodowego. Nie mówię tu, że wszyscy ci ludzie zachowywali się jak Putin; skala defraudacji i bezczelność, z jaką sprzeniewierzono środki w ówczesnym Leningradzie, jest szokująca nawet na tle tego, co działo się w federacji wczesnych lat dziewięćdziesiątych, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę tempo przeprowadzenia całej operacji. Należy jednak zaznaczyć, że wszyscy nowi władcy Rosji traktowali kraj niczym swoją prywatną własność. Niecały rok wcześniej wszystko należało do innych - do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i jej przywódców.

Teraz ZSRR przestał istnieć, a partia komunistyczna skurczyła się do grupki nieznaczących emerytów. Wszystko, co niegdyś należało do tych dwóch podmiotów, teraz pozostawało bezpieczne. Podczas gdy ekonomiści biedzili się nad tym, w jaki sposób przekształcić dotychczasową własność państwa we własność prywatną (proces ten nie zakończył się do dziś, mimo że trwa już dwadzieścia lat).

Sobczak rozdawał mieszkania w centrum Petersburga, trafiały one do rąk znajomych, krewnych czy cenionych współpracowników. Mer miasta, pływający się we wczesnych i wszechobecnych objawach uwielbienia dla jego osoby, nie widział niczego złego w swoim postępowaniu - w końcu dorastał w kraju, w którym prawo własności w zasadzie nie istniało, a władze komunistyczne cieszyły się niemal szlacheckimi przywilejami.

„To są dokumenty potwierdzające prawa własności do parceli, którą Sobczak starał się przekazać firmie budowlanej”, powie mi wiele lat później Marina Salje, wyciągając z przepastnego pudła kolejne kartki. „W tej jednej z nielicznych sytuacji udało nam się zatrzymać bieg sprawy, ale cóż to była za walka”.

Nie mogłam nie zapytać: „Ale przecież zachowywał się dokładnie tak samo jak inni przewodniczący lokalnych komitetów partii, prawda? Oni też ciągle rozdawali mieszkania wybranym osobom”.

„To nie to samo”, odpowiedziała Salje. „Nie to samo, ponieważ on cały czas krył się z tą działalnością. Wiedział, że musi przedstawić się w innym świetle, i robił to doskonale. Odgrywał demokrate, ale naprawdę był jedynie demagogiem”.

Być może to właśnie zdolność kreowania wizerunku zupełnie nowego rodzaju polityka sprawiła, że Salje i pozostali radni tak ochoczo wierzyli, że Sobczak podejmie jakieś działania w sprawie Putina, gdy przedstawią mu twarde dowody.

Ale zastanówmy się, czy rzeczywiście Sobczak miał po temu powód? Dlaczego miałby wprowadzać rozróżnienie pomiędzy własnym rozdawnictwem majątku miasta a sposobem, w jaki Putin wyprowadzał zyski ze sprzedaży należących do Rosji towarów? Dlaczego w ogóle miałby słuchać demokratów z rady miasta?

Nie cierpiał ich serdecznie, najbardziej zaś irytował go ich wojujący idealizm, absurdalne upieranie się przy postępowaniu właściwym, a nie ogólnie przyjętym. To ich uparte czepianie się wymyślonego kodeksu zasad moralnych niezmiennie uniemożliwiało podejmowanie jakichkolwiek działań. Dlatego właśnie Sobczak nie pozbył się Putina. Wolał usunąć radę miasta.

Jesienią 1993 roku czara goryczy się przelała; Borys Jelcyn miał wreszcie serdecznie dość rosyjskiej legislatury. Władza ustawodawcza w Rosji miała rzeczywiście karykaturalny

charakter - Zjazd Deputowanych Ludowych gromadził przeszło tysiąc reprezentantów wybranych na podstawie wyjątkowo skomplikowanej, nie do końca demokratycznej ordynacji. Dwustu pięćdziesięciu dwóch z nich tworzyło tak zwaną Radę Najwyższą; dwuizbowe ciało ustawodawcze, które starało się spełniać funkcję rządu w kraju, w którym zdecydowanie brakowało odpowiednich zapisów prawnych. Federacja Rosyjska nie miała jeszcze nowej konstytucji, a przepisanie na nowo kodeksów cywilnego i karnego zajęłoby całe lata. Formalnie posiadanie twardej waluty czy też różne formy kupna i sprzedaży prywatnej własności były ścigane z mocy kodeksu karnego. Mając na uwadze istniejący stan rzeczy, Zjazd Deputowanych Ludowych przyznał Jelcynowi prawo do wydawania dekretów w sprawach przeprowadzania reform ekonomicznych, które stały w sprzeczności z istniejącym prawem. Z kolei Rada Najwyższa przyjmowała na siebie obowiązek sprawdzania treści dekretów prezydenckich, a w razie potrzeby dysponowała prawem weta. Poza tym z Rady Najwyższej wyłaniano prezydium składające się z około trzydziestu osób, które za czasów ZSRR sprawowały w państwie władzę kolegialnie. Po ustanowieniu w nowym systemie politycznym instytucji prezydentury rola prezydium stała się co najmniej niejasna, ostatecznie jednak Rada Najwyższa dysponowała narzędziami niezbędnymi do opóźnienia bądź zablokowania decyzji prezydenta. Ponieważ wprowadzane przez Jelcyna reformy napędziły hiperinflację (ceny rosły z dnia na dzień nawet po tym, jak w sklepach w magiczny sposób pojawiła się żywność), przez co rządy prezydenta stały się niepopularne, Rada Najwyższa zaczęła się sprzeciwiać wszystkim jego inicjatywom.

Dwudziestego pierwszego września 1993 roku Jelcyn wydał dekret rozwiązujący Zjazd Deputowanych Ludowych i Radę Najwyższą. Jednocześnie dokument ogłaszał konieczność rozpisania wyborów do nowego, właściwego już ciała ustawodawczego. Rada Najwyższa odmówiła rozwiązania się, a jej członkowie zabarykadowali się w Białym Domu, tym samym, z którego ludzie Jelcyna dowodzili dwa lata wcześniej działaniami przeciwko puczystom. Tym razem wojsko otworzyło ogień i ostrzelało budynek parlamentu, zmuszając członków Rady

Najwyższej do opuszczenia go 4 października 1993 roku. (Rada Najwyższa została rozwiązana 21 września, a konstytucja została przyjęta w drodze referendum 13 grudnia. Jeśli więc Sobczak spotkał się z Jelcynem „kilka dni” przed jej przyjęciem, musiało to nastąpić w grudniu (choć „kilka tygodni przed rozpędzeniem” można datować na sierpień). Najprawdopodobniej autorce chodzi o opublikowanie prezydenckiego projektu konstytucji, przygotowanego przez grupę autorów pod kierunkiem Siergieja Aleksiejewa, Anatolija Sobczaka i Siergieja Szachraja (kwiecień 1993), zaakceptowanego przez Naradę

Konstytucyjną w lipcu tegoż roku).

Główni przywódcy ruchu demokratycznego w kraju, w tym także byli dysydenci, oburzeni zablokowaniem inicjatywy politycznej prezydenta, poparli to, co później nazwano „rozpędzeniem Rady Najwyższej”.

Pełna idealistów rada miejska w Petersburgu została na placu boju jako samotne ciało sprzeciwiające się działaniom Jelcyna. Na kilka tygodni przed rozpędzeniem i zaledwie na kilka dni przed uchwaleniem nowej konstytucji, wieszczącej okres względnej stabilizacji władzy, Sobczak udał się do Moskwy, by przekonać prezydenta do podpisania rozwiązującego radę dekretu. (Rada Najwyższa, w reakcji na decyzję Borysa Jelcyna o jej rozwiązaniu, usiłowała pozbawić go władzy. Urząd prezydenta powierzono tymczasowo wiceprezydentowi Aleksandrowi Ruckojowi, co wywołało w Rosji kryzys konstytucyjny. Ruckoj nigdy nie uzyskał ani realnej władzy, ani uznania międzynarodowego jako prezydent Rosji). Nowe wybory w mieście zostały rozpisane dopiero w grudniu następnego roku, przez co władzę w drugim co do wielkości mieście Rosji sprawował do chwili ich przeprowadzenia praktycznie jeden człowiek.

Marina Salje porzuciła lokalny samorząd. Została profesjonalnym politykiem, z czasem zaś przeniosła się do Moskwy.

Sześć lat później, tuż przed wyborem Putina na stanowisko prezydenta Rosji, w zasadzie tylko Marina Salje protestowała przeciwko jego osobie na stanowisku publicznym. Opublikowała artykuł Putin - pierwszy pośród zdeprawowanych oligarchów, w którym ujawniła wyniki śledztwa, jakie przeprowadziła jeszcze w Petersburgu, uzupełniając je o nowe fakty. Na próżno starała się przekonać liberalnych polityków, by nie popierali kandydatury Putina. Boleśnie odczuła, jak bardzo jej zdanie jest bagatelizowane; podczas konwencji prawicowoliberalnej koalicji tylko ona oraz premier Jegor Gajdar sprzeciwili się poparci dla Putina.

Pozostałe z przeszło stu obecnych na sali osób były za. Kilka miesięcy po wyborach Salje umówiła się na spotkanie z jednym z nielicznych polityków, których mogła jeszcze uważać za sprzymierzeńców. Rozmawiali o założeniu nowej organizacji. Siergiej Juszenkow był wojskowym, który w czasie pieriestrojki przekonał się do liberalnych poglądów i od wczesnych lat dziewięćdziesiątych trzymał się raz powziętej decyzji. Spotkanie z Juszenkowem wystraszyło Marinę Salje do tego stopnia, że nawet dziesięć lat później nie chciała ujawnić jego szczegółów. Oto jak przebiegała nasza rozmowa.

- Dotarłam na miejsce, ale okazało się, że nie jesteśmy sami - powiedziała Salje.
- Kto jeszcze był w gabinecie Juszenkova?

- Pewien człowiek. Odbyliśmy rozmowę, która do niczego nie doprowadziła.

Wróciłam do domu i powiedziałam Nataszy, że wyjeżdżam na wieś.

- Groził pani?

- Nikt nie groził mi bezpośrednio.

- Dlaczego więc zdecydowała się pani wyjechać?

- Bo znałam tego człowieka.

- Co wynikło ze spotkania z nim?

- Tyle, że powinnam wynieść się możliwie daleko.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - nalegałam, czując, że Marina Salje jest gotowa wyrzucić mnie ze swojej kryjówki w każdej chwili.

- Wiedziałam, do czego ten człowiek jest zdolny. Czy teraz wyraziłam się jaśniej?

- Tak, dziękuję. Ale co on robił w biurze Juszenkowa? Czy byli ze sobą jakoś powiązani?

- Nie. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął, a przede wszystkim nie wiem, dlaczego Juszenkow nie wyprosił go, gdy przyszłam. Znaczyło to tylko tyle, że nie był w stanie pozbyć się tego człowieka z biura, mimo że sprawy, o których mieliśmy rozmawiać, nie były przeznaczone dla postronnych uszu.

- Rozumiem.

- Więcej nie powiem.

Po tamtym spotkaniu u Juszenkowa Marina Salje spakowała manatki i przeprowadziła się do chatki oddalonej od Moskwy o dwanaście godzin ogromnie uciążliwej podróży, gdzie zgodziła się przyjąć mnie dopiero dziesięć lat później.

Przez lata krążyły pogłoski, że zapewne wyjechała za granicę, prawdopodobnie do Francji (podejrzewam, że dało im początek jej francuskie nazwisko), mówiono też, że dostała życzenia noworoczne od Putina z zawołaną pogroźką. Słyszałam nawet, jak ludzie cytowali treść rzekomej kartki: „Życzę pani szczęścia w Nowym Roku i dużo zdrowia, by móc się nim cieszyć”. Salje utrzymuje, że nie było żadnej kartki. Podejrzewam, że krążąca po Moskwie plotka mówi więcej na temat obrazu Putina, jaki on sam stworzył przez lata, niż na temat losów

Mariny Salje. Tak czy inaczej, Salje była przerażona.

Siergiej Juszenkow nie porzucił kariery politycznej. W 2002 roku odszedł z liberalnego klubu parlamentarnego w proteście przeciwko utrzymywaniu przez partyjnych kolegów poparcia dla polityki Putina, którą nazwał „biurokratycznym reżimem milicyjnym”. Siedemnastego kwietnia 2003 roku, po południu, gdy szedł od samochodu do swojego

mieszkania, strzelono mu w pierś cztery razy.

W nekrologu, jaki pojawił się w jednym z poświęconych polityce portali, napisałam: „Czasami, gdy dziennikarz obawia się opublikować pewne wiadomości pod własnym nazwiskiem, dzwoni do człowieka takiego jak Juszenkow, który bez namysłu nazwie rzeczy po imieniu w krótkich, czasem dosadnych, ale przez to wcale nie mniej znaczących słowach. Takich ludzi jest coraz mniej”.

Rozdział szósty

KONIEC REFORMATORA

Gdy w lutym 2000 roku na rynku ukazała się biografia Putina, odszedł w niepamięć młody, demokratyczny reformator wykreowany przez Bieriezowskiego, a na scenie pozostał chuligan, który zmienił się we władcę trzymającego kraj żelazną ręką. Nie sądzę, by osoby odpowiedzialne za kreowanie wizerunku Putina były tej przemiany świadome.

Jedynym, który nie wyobrażał sobie transformacji Putina we władcę absolutnego, był Sobczak. Tych dwóch połączyła szczerza niechęć do demokracji, ale na początku lat dziewięćdziesiątych okazywanie przywiązania do jej zasad było ceną, jaką należało zapłacić za udział w życiu publicznym; trzeba zresztą przyznać, że ceną niewielką.

Ludzie tworzący wówczas tak zwane elity społeczne i ekonomiczne przystąpili do rozbierania systemu na czynniki pierwsze; działania te dało się zaobserwować w całej Rosji. Niewątpliwie bez najmniejszych skrupułów przystąpili do rozdzielania pomiędzy siebie tego, co pozostało po upadku reżimu. W tym samym czasie co bardziej przedsiębiorczy przystąpili do budowania nowych układów, co nie pozostało bez wpływu na ich własne poglądy. Michaił Chodorkowski, dawniej działacz Komsomołu, później bankier, aż wreszcie potentat naftowy, Michaił Prochorow, który przeszedł drogę od handlarza odzieżą, przez magnata przemysłu metalowego, do międzynarodowego inwestora, czy Władimir Gusiński, najpierw importer, potem bankier, który skończył jako właściciel opiniotwórczych mediów - wszyscy oni byli samozwańczymi przedsiębiorcami, zaczynającymi od szemranych interesów. Jednak z czasem poszerzali swoje horyzonty, wzrastali w ambicję, więc zaczęli postrzegać się nie tylko w rolach biznesmenów, lecz także filantropów, obywatelskich przywódców czy wręcz wizjonerów. Wraz ze zmianą poglądów inwestowali coraz więcej sił i środków w budowę nowego systemu politycznego.

I Sobczak, i Putin czuli do nowej rzeczywistości wyłącznie odrazę, dlatego też Putin, w odróżnieniu od innych ludzi Sobczaka, nie odwrócił się od mera Petersburga ani po nieudanym puczu w 1991 roku, ani po wyjściu na jaw w 1992 skandalu korupcyjnego, ani po rozwiązaniu rady miasta w roku 1993. Nie potrafię do końca wyjaśnić, dlaczego Sobczak, który miał przecież przelotny, lecz namiętny romans z demokracją, tak bardzo zniechęcił ten system. Podejrzewam, że jak każdy megaloman, czuł się do głębi zraniony zawsze wtedy, gdy nie mógł postawić na swoim. Konieczność rywalizowania z przeciwnikami politycznymi czy choćby potencjalna różnica zdań stanowiły zapewne dla niego poważny afront. Poza tym

przez cały czas miał u swego boku Putina, który nie szczędził trudów, by wskazywać swemu mentorowi ułomności demokracji. Wprowadzenie w Leningradzie urzędu mera było jednym z jego pomysłów, do którego przekonał Sobczaka i pewną liczbę członków rady miasta. Wiele lat później Putin wyznał biografom, że takie działanie było konieczne, w przeciwnym razie Sobczak „mógł zostać odwołany ze stanowiska przez członków rady w dowolnej chwili”. Putin traktował demokrację, podobnie jak Sobczak, jak osobistą zniewagę, ale jego niechęć była znacznie głębsza. Putin, jak większość obywateli ZSRR z jego pokolenia, nigdy nie był politycznym idealistą. Jego rodzice mogli wprawdzie wierzyć w sprawę szerzenia komunizmu w świecie, ostateczny triumf sprawiedliwości proletariackiej czy inne frazesy głoszone w czasach, w których dorastał ich syn, ale wcale nie jest powiedziane, że tak właśnie było. Putin też nigdy nie odwoływał się do tych haseł. Sposób, w jaki wypowiadał się na temat pionierów, do których nie został przyjęty w dzieciństwie, Komsomołu czy KPZR (przypominam, że jego członkostwo w niej wygasło dopiero z chwilą rozwiązania tej instytucji) świadczą, moim zdaniem, że żadna z tych organizacji nie miała dla niego większego znaczenia.

Jak wielu innych ludzi tamtej generacji wiarę w komunizm, który nie przekonywał już nikogo, zastąpił wiarą w instytucję. Putin oddał serce i umysł KGB oraz imperium, które miał ochraniać - ZSRR.

W marcu 1994 roku uczestniczył w spotkaniu głów państw Unii Europejskiej w Hamburgu. Podczas spotkania przemówienie wygłaszał między innymi estoński prezydent, Lennart Meri. Estonia, w ślad za pozostałymi dwiema republikami bałtyckimi, została zajęta przez ZSRR na początku II wojny światowej, po czym utracona na rzecz III Rzeszy i ostatecznie odzyskana przez Sowieców w 1944 roku. Trzy kraje zostały zajęte przez ZSRR jako ostatecznie, potem zaś oddzieliły się od niego jako pierwsze, głównie za sprawą faktu, że większość mieszkańców pamiętała czasy sprzed panowania komunistów. Meri, pierwszy demokratycznie wybrany przywódca kraju od pięćdziesięciu lat, był jednym z bardziej czynnie działających zwolenników na rzecz tej idei. Przemawiając w Hamburgu, określił przynależność swojego kraju do Związku Radzieckiego mianem „okresu okupacji”. W tym momencie Putin, który wraz z innymi rosyjskimi dyplomatami słuchał wystąpienia, podniósł się i wyszedł z sali. „Wyglądało to imponująco”, wspominał jeden z moich znajomych z Petersburga, który za kadencji prezydenta Putina objął stanowisko szefa Centralnej Komisji Wyborczej. „Spotkanie odbywało się w Sali Rycerskiej, wysokiej na dziesięć metrów, wyłożonej marmurową posadzką. Odchodził w zupełnej ciszy, a każdy krok odbijał się echem od kamiennych ścian. Na koniec, gdy zatrzasnął za sobą wielkie, żelazne drzwi, w sali rozległ

się ogłuszający grzmot”.

Fakt, że Putin odczuł potrzebę złamania protokołu dyplomatycznego, dosłownie odwracając się plecami do prezydenta sąsiedniego państwa, bardzo ważnego partnera handlowego Petersburga, najlepiej dowodzi, jak bardzo osobiście odbiera pewne sprawy. To, co uznał za atak na ZSRR, zraniło go równie głęboko, jak każda z osobistych zniewag, które w młodości doprowadzały go do podobnej wściekłości. Pełne uniesienia opowieści kolegów Putina, zanotowane przez jego biografów, dają pewien pogląd na to, jak głęboko mogą sięgać korzenie jego nostalgii za minionymi czasami.

Putin kochał Związek Radziecki, kochał też KGB, kiedy więc uzyskał realną władzę i miał okazję podejmować decyzje dotyczące ekonomiki drugiego pod względem wielkości miasta w państwie, postanowił stworzyć strukturę zbliżoną możliwie do tego, co wielbił. Miał to być zamknięty układ opierający się na całkowitej kontroli, zwłaszcza przepływających przezeń informacji oraz funduszy, system wykrywający wszelkie formy sprzeciwu i niszczący je, w razie gdyby się pojawiły. Ale w jednym wymarzony układ byłby lepszy od KGB i ZSRR: nigdy nie zdradziłby Putina. Był zbyt dobrze pomyślany i zbyt solidnie zbudowany, by takie niebezpieczeństwo mogło w nim zaistnieć. Dlatego Putin z pełnym zaangażowaniem przejął kontrolę nad miejskim handlem zagranicznym, a potem spróbował uderzyć w miejscowy biznes - stąd próba przejęcia kasyn, które gdy tylko pojawiły się w Petersburgu, zaczęły rosnać jak grzyby po deszczu.

Na końcu podjął kroki mające zapewnić mu kontrolę nad mediami w mieście - zarówno tymi tradycyjnymi, jak i elektronicznymi. Na przemian to izolował je od napływających z ratusza wiadomości, to narzucał sposób, w jaki należy opisywać wybrane tematy.

Sobczak wybrał sobie odpowiedniego człowieka; Putin nienawidził rozmiękłych demokratów jeszcze bardziej niż jego przełożony, a w szerzeniu strachu i grabieniu miejskiego majątku również przewyższał go pod każdym względem.

Ludzie tacy jak Sobczak zazwyczaj jako ostatni dowiadują się, że ich czar już nie działa. W roku 1996, gdy urzędujący mer rozpoczął starania o ponowną elekcję, wyborcy mieli go już serdecznie dość. Pod jego rządami Petersburg przeszedł tragiczną, ale też żałośnie śmieszoną transformację, choć w zasadzie niewiele było w tym winy włodarza miasta. Gospodarka poszła w rozsypkę - przeszło milion z pięciu milionów mieszkańców pracował dotychczas w zakładach zbrojeniowych, które mocno zredukowały produkcję bądź zupełnie ją wstrzymały.

Jak we wszystkich pozostałych miastach Rosji, również w Leningradzie nieliczna

grupa ludzi wzbogaciła się znacznie w bardzo krótkim czasie, początkowo kupując i sprzedając, co się dało (na przykład sprowadzając chińskie parasolki w zamian za rosyjskie drewno), a następnie stopniowo prywatyzując dawne zakłady państwowe i tworząc w ich miejsce nowe instytucje. Jednocześnie znaczna większość społeczeństwa zbiedniała albo przynajmniej tak odbierała nowy stan rzeczy; w sklepach wprawdzie pojawiło się mnóstwo artykułów, ale ludzi nie było na nie stać. Niemal wszyscy stracili też coś, czego w czasach stagnacji mieli w nadmiarze - niezłomne przekonanie, że dzień jutrzejszy nie będzie różnić się od dzisiejszego. A niepewność jedynie pogłębiła depresję.

Problemy ekonomiczne, z jakimi przyszło borykać się mieszkańcom Leningradu, sprawiły, że w porównaniu z nimi reszta Rosjan wydawała się być wręcz zamożna. Trzy czwarte populacji miasta żyło poniżej granicy ubóstwa. Infrastruktura, która kulą już pod koniec lat osiemdziesiątych (co zresztą napędziło skutecznie ruch nieformalnych, działający na rzecz zachowania zabytków), teraz była w ruinie. Ulic nie naprawiano od tak dawna, że byle deszcz czy śnieg, zjawiska atmosferyczne pojawiające się regularnie w położonym nad morzem północnym mieście, zamieniały je w rwące potoki błota. Komunikacja miejska dogorywała, brakowało środków na wymianę autobusów, które dawno już powinny odejść na zasłużony odpoczynek. W aglomeracji zabudowanej przede wszystkim wieżowcami nie spotykało się w zasadzie działających wind. Prąd w centrum pojawiał się i znikał bez ostrzeżenia. W zestawieniu porównawczym standardów życia w różnych miastach drugi pod względem wielkości Petersburg zajął dwudziestą którąś lokatę.

Tymczasem Sobczak nie przestawał kreować się na światowego i wyrafinowanego polityka: zawsze starannie ubrany, z żoną, piękną blondynką, u boku, przewożony limuzynami, zawsze w towarzystwie ochroniarzy. Aleksander Bogdanow, młody działacz na rzecz demokracji, wspomina, jak ten sam człowiek nieprzyjemnie potraktował go w 1991 roku, zaledwie dwa miesiące po nieudanym puczu, w pierwsze upamiętniające rewolucję święto, jakie miało miejsce w wolnej Rosji. „Na placu Zamkowym odbywał się koncert. Nie wiedzieliśmy w zasadzie, czy należy tego dnia świętować, czy raczej uczcić go jako dzień tragedii. Dlatego w południe zorganizowaliśmy wiec, a wieczorem miały odbyć się tańce. W tym samym czasie Sobczak i [jego żona Ludmiła] Narusowa wydali bal w Pałacu Taurydzkim. Wstęp kosztował pięćset rubli! I to jeszcze przed hiperinflacją, więc kwota była niebagatelna. (...) Chodziliśmy pośród tańczących z transparentami: »Dzień tragedii narodowej«, czując się przy tym jak idioci. W końcu powiedziałem: »Wiecie co? Tracimy tu tylko czas, chodźmy pod Taurydzki, gdzie jest prawdziwy bal«. Pojawiliśmy się pod pałacem dokładnie w chwili, gdy zaczynali już wsiadać do samochodów. Wyszedł Sobczak we fraku,

obok niego Narusowa w pięknej sukni i jakimś fantazyjnym zawoju na głowie. Ochroniarzem Sobczaka był wtedy człowiek, który potem został szefem ochrony Putina. Miał taki nieprzyjemny zwyczaj - podszedł do mnie i zaczął wygrażać: »Wkurzasz mnie! Wynocha! Znikaj, mam cię już dość!«. Pytam więc Sobczaka: »Dlaczego twój ochroniarz zawsze mi grozi?«. Odpowiedziała Ludmiła Borysowna [Narusowa]: »A dlaczego zawsze robisz z siebie pośmiewisko?«. Sobczak - spokojny, odprężony - wsiadając do limuzyny, rzucił do mnie: »Zamknij się, ludzie mnie wybrali!«. Będę to pamiętać do końca życia. To był zwyczajny snob”.

Putin pełnił w biurze Sobczaka funkcje, jakie w minionym systemie były przeznaczone wyłącznie dla aktywnej rezerwy KGB: poza nadzorem nad handlem zagranicznym kontrolował informacje, jakich udzielano ludziom, lecz także decydował o tym, co dociera do władz. Jurij Bołdyriew, który próbował nieskutecznie zbadać sprawę przekrętów odkrytych przez Marinę Salje, był w latach 1994-1995 przedstawicielem Petersburga w Radzie Federacji. „Podczas mojej kadencji ani razu nie pozwolono mi wystąpić na żywo w petersburskiej telewizji.

Dopiero gdy przestałem być senatorem, dopuszczono mnie do głosu, ale nawet wtedy ciągle mi przerywano, więc ostatecznie nie zdołałem powiedzieć nic”.

Zawsze gdy wybierałam się do Petersburga w sprawach zawodowych, zaczynałam od spotkania z Anną Szarogradską. Jej biuro znajdowało się przy Newskim Prospekcie, zaledwie o jedną przecnicę od dworca kolejowego. Anna wiedziała wszystko o wszystkich. Prowadziła ośrodek prasy niezależnej, który zajmował się między innymi udostępnianiem pomieszczeń konferencyjnych każdemu, kto chciał udzielić wywiadu (również osobom, którym odmówiono we wszystkich innych salach miasta). Szarogradska znała każdego i nie bała się nikogo. Gdy rozpadł się Związek Radziecki, była już grubo po pięćdziesiątce, więc pamiętała dobrze czasy, kiedy wszystko było znacznie bardziej przerażające. Pewnego dnia zwołała konferencję, na której ujawniła, że z polecenia Sobczaka dziennikarzom i urzędnikom - także tym pracującym dla mera - zakładane są podsłuchy. Wiele osób wiedziało o tym wcześniej lub chociaż podejrzewało, jak się sprawy mają, ale tylko działająca w mieście anglojęzyczna gazeta, prowadzona przez obcokrajowców, miała odwagę opublikować ten materiał. Szarogradska zawsze utrzymywała, że za przeprowadzenie akcji podsłuchowej w znacznym stopniu odpowiedzialny był Putin - ostatecznie to on odpowiadał za kontakty mera z prasą.

Zgodnie z zasadą panującą dawniej w KGB, informacje trafiające do rąk Sobczaka były solidnie przetworzone. Podejrzewam, że między innymi dlatego Sobczak nie zdawał

sobie sprawy, jak niewielką cieszy się popularnością.

Niektórzy telewidzowie mieli okazję przekonać się, w jaki sposób mer przyjął niepomysłną dla siebie wiadomość. Szarogradzka była jednym z nich. „W telewizji puszczano program pod tytułem Opinia publiczna. Przed wyborami w 1996 roku cieszył się sporą popularnością. Gdy Sobczak dowiedział się, że jego poparcie sięga zaledwie sześciu procent, wykrzyknął tylko: »To niemożliwe!«, poderwał się z fotela i wybiegł ze studia. Program zawieszono, prowadzącą, Tatianę Maksimową, zwolniono. Jej mąż, Władimir, producent tamtej audycji, zadzwonił do mnie i powiedział, że chce zwołać konferencję prasową. Odparłam: »Nie widzę przeszkód«, i ustaliłam termin na następnego dnia w południe. Rano

Władimir zadzwonił ponownie, jakieś trzy czy cztery godziny przed planowaną konferencją, i kazał wszystko odwołać. »Nie mogę wystąpić. Grożono, że naszej córce może stać się krzywda«. Odparłam: »Powiedz o tym dziennikarzom. Muszę przecież jakoś uzasadnić odwołanie konferencji«. Przyszli oboje. Powiedzieli, że im grożono i że się boją. Dziennikarze starali się coś z nich wyciągnąć, ale nie reagowali”.

Gdy Szarogradzka opowiadała mi te historie w latach dziewięćdziesiątych, traktowałam je trochę jak bajki z odległego kraju. Oczywiście, w Rosji panował zamęt, działaniom ludzi i rządu brakowało logiki, ale wykonując mój zawód, nigdy nie czułam się zagrożona, a przynajmniej dopóki nie zaczęłam pisać o Petersburgu i z Petersburga. Na zaproszenie Szarogradzkiej poprowadziłam kiedyś w ośrodku prasy niezależnej kurs dziennikarstwa dla studentów tego kierunku. Dojeżdżałam do Petersburga na weekendy (identyczne zajęcia prowadziłam na Uniwersytecie

Moskiewskim, ale uniwersytet w Leningradzie nie był nimi zainteresowany, za to organizacja Szarogradzkiej - jak najbardziej). W wyborczą niedzielę kazałam studentom udać się pod lokale w centrum i przygotować notatki. Wrócili z porozbijanymi nosami i podbitymi oczami; dwoje potrzebowało opieki medycznej. Byli w dwóch lokalach wyborczych, gdzie przedstawili się jako studenci dziennikarstwa, a straż, która skontaktowała się z centralą, po otrzymaniu instrukcji poturbowała studentów. Oto w jaki sposób elity polityczne traktowały w Petersburgu dziennikarzy.

Sobczak, gdy już uświadomił sobie, że najprawdopodobniej przegra wybory, podejmował desperackie próby odwrócenia sytuacji, ale było już za późno. O prowadzenie kampanii poprosił Aleksandra Juriewa, psychologa politycznego, pracującego na uniwersytecie, który wcześniej próbował uprzedzić mera, jak małym cieszy się poparciem. Kilka dni po wyrażeniu zgody Juriew otarł się o śmierć - ktoś zadzwonił do drzwi jego mieszkania, a następnie chlusnął do środka kwasem siarkowym⁸ (mężczyzna nie został

śmiertelnie poparzony tylko dlatego, że drzwi otwierały się do środka i część kwasu trafiła na ich skrzydło, część zaś odbiła się w kierunku, z którego została wylana). Następnie strzelono do niego, ale ten atak również przeżył. Powrót do zdrowia trwał wiele miesięcy, poprzedziły go dwa przeszczepy skóry.

W okresie przedwyborczym Sobczak starał się kupić sobie lojalność prasy: udzielał pożyczek i przyznawał granty, wpędzając budżet miasta w jeszcze większe długi. Było już jednak za późno. Nienawidzili go przedstawiciele mediów, inni politycy, ale przede wszystkim zwykli ludzie.

Kampanię ostatecznie poprowadził Władimir Putin. Urzędujący mer przegrał wybory.

Kolejnym merem Petersburga został zastępca Sobczaka do spraw gospodarki komunalnej, człowiek, który był żywym zaprzeczeniem swojego byłego przełożonego. Wyglądający przeciętnie, kiepsko ubrany Władimir Jakowlew ledwie potrafił złożyć zdanie, ale zdołał wzbudzić nadzieję w mieszkańcach miasta, w którym komunikacja miejska praktycznie nie istniała, gdzie budynki rozpadały się w oczach, a elektryczność działała jak na początku XX wieku. Być może wystarczyło po prostu, że nie kłamał. Oczywiście, Jakowlew nie zdołał rozwiązać wszystkich problemów Petersburga - bieda, pokłady brudu i poziom przestępczości rosły z dnia na dzień - a mimo to udało mu się bez trudu wygrać wybory również cztery lata później. Miasto najwyraźniej nadal walczyło z widmem znieawidzonego Sobczaka.

Przegrana w wyborach oznaczała dla tego ostatniego nie tylko utratę władzy i wpływów, lecz także koniec ochrony przed oskarżeniami, czego przypuszczalnie Sobczak obawiał się najbardziej. Przez niemal rok specjalny zespół prokuratorów prowadził przeszło czterdzieści dotyczących go spraw, otwartych przez prokuraturę generalną w Moskwie. Wszystkie one dotyczyły zarzutów o korupcję w urzędzie mera. Aresztowano nawet jednego przedsiębiorcę, który zeznawał na niekorzyść władz miasta. Ta część śledztwa dotyczyła nielegalnej przebudowy kamienicy w centrum Petersburga, pokrytej najprawdopodobniej z budżetu miasta. Jej mieszkańcami byli wyłącznie wpływowi lokalni urzędnicy, wśród których znalazła się także bratanica Sobczaka.

Teraz do listy osób podejrzanych miał dołączyć sam Sobczak. Większość popleczników opuściła go, niektórzy - jak dawny zastępca, który zajął teraz jego stanowisko - jeszcze przed wyborami, inni dołączyli do nich po klęsce wyborczej. Putin odmówił przyjęcia posady w nowej administracji, by pokazać wszystkim, jaki jest lojalny (zresztą to właśnie tak bardzo ujęło Bieriezowskiego), a chwilę później, jak przeniesiony niewidzialną ręką, wylądował na posadzie w Moskwie; do dziś utrzymuje, że stary jakiś działacz z Leningradu,

pracujący później na Kremlu, zapamięta! go sobie i załatwi! mu pracę w stolicy. Putin został zastępcą dyrektora prezydenckiego biura do spraw zarządzania majątkiem (stanowisko w sam raz dla członka aktywnej rezerwy). Nieważne, czy stały za tym służby specjalne, opatrność czy może raczej zwyczaj - ostatecznie znów otrzymał posadę dającą dużą władzę i nieniosącą za sobą niemal żadnej odpowiedzialności.

Nowy etat Putina i jego dawne powiązania dla Sobczaka, który w każdej chwili spodziewał się aresztowania, okazały się istnym darem niebios. Byłego mera ściagała prokuratura, która ze wszystkich sił starała się wręczyć mu wezwanie na przesłuchanie, jednak w biurze prokuratora Sobczak stawiał się dopiero 3 października 1997 roku. Towarzyszyła mu żona - deputowana do parlamentu.

Podczas przesłuchania Sobczak stwierdził, że źle się czuje, a Narusowa zażądała wezwania karetki. Śledzony telewizyjnymi kamerami dawny mer został przewieziony bezpośrednio do szpitala, gdzie rzekomo zdiagnozowano u niego atak serca. Dokładnie miesiąc po tych wydarzeniach Narusowa poinformowała prasę, że jej mąż czuje się już na tyle dobrze, by można było umieścić go w wojskowym szpitalu klinicznym, gdzie miał się nim zająć Jurij Szewczenko, przyjaciel Putinów, który kilka lat wcześniej nadzorował leczenie Ludmiły Putiny po poważnym wypadku samochodowym.

Mniej więcej w tym czasie, gdy Sobczaka przewożono do wojskowego szpitala, z Moskwy do Petersburga przyleciał Putin. Odwiedził byłego szefa w szpitalu.

Cztery dni później, 7 listopada, który wprawdzie nie nazywał się już Dniem Rewolucji, ale zachował status święta, karetka przewiozła pacjenta na lotnisko, gdzie czekał już fiński samolot do ewakuacji rannych i ciężko chorych. Sobczak miał trafić do kliniki w Paryżu. Akcję zaplanowano doskonale: dopóki nie zakończył się czterodniowy długi weekend, nikt się nie zorientował, że były mer zniknął.

Rosyjscy korespondenci natychmiast obiegli Szpital Amerykański w Paryżu, gdzie według słów Szewczenki miał trafić Sobczak, jednak władze szpitala zaprzeczyły, jakoby pacjent o takim nazwisku znajdował się pod ich opieką. Tego samego dnia Narusowa oświadczyła, że jej mąż przeszedł już operację i czuje się lepiej. Jednocześnie obsługa petersburskiego lotniska wyjawiała prasie, że były mer przed wejściem na pokład wydawał się być w doskonałej kondycji. Gdy karetka wjechała na pas startowy, oczom pracowników ukazał się nie człowiek na noszach, ale mężczyzna pędzący biegiem do samolotu.

Sobczak wiódł typowy żywot paryskiego emigranta. Mieszkał z rosyjskim znajomym, dużo spacerował po mieście, zdarzało mu się wygłosić wykład na Sorbonie, ale przede wszystkim spisywał wspomnienia, w których odmalował autoportret - człowieka wielokrotnie

zdradzonego. Książka nosiła tytuł Dwanaście noży w moich plecach.

W czerwcu 1999 roku, tuż po niespodziewanym awansie politycznym Putina, Jurij Szewczenko został mianowany ministrem zdrowia.

Czym zajmował się Putin na Kremlu? Wydaje się, że jego nowa posada była wyłącznie synekurą. W tym czasie napisał i obronił pracę doktorską, realizując tym samym cel, który postawił sobie siedem lat wcześniej, gdy przyjął posadę na uniwersytecie. Rozprawa nie dotyczyła, jak można było się spodziewać, prawa międzynarodowego, lecz ekonomii zasobów naturalnych, a Putin obronił ją w niezbyt prestiżowym petersburskim Instytucie Górniczym, nie zaś na uniwersytecie.

Dziewięć lat później pewien badacz z Brookings Institution w Waszyngtonie przyjrzał się tej pracy uważniej i stwierdził, że szesnaście stron tekstu zostało przepisanych dosłownie z amerykańskiego podręcznika. To samo dotyczyło przynajmniej sześciu wykresów¹². Putin nigdy nie przyznał się do plagiatu.

Niezależnie od tego, jakie rzeczywiście były obowiązki Putina na Kremlu, jego wpływy musiały być znaczne. Znalazł się najwyżej i tak blisko wpływowych ludzi, jak tylko mogło się to przydarzyć osobie stale pozostającej w cieniu. To może wyjaśniać, dlaczego śledztwo prowadzone przeciwko byłemu merowi Petersburga i jego najbliższym współpracownikom nigdy nie zaszło zbyt daleko; trzech urzędników uniewinniono, a uwagę prokuratorów skierowano gdzie indziej.

Niewątpliwie oskarżonym pomógł fakt, że mer znajdował się poza zasięgiem prokuratury i nie mógł zeznawać.

Ośmielony nagłym wzrostem znaczenia swojego byłego zastępcy, Sobczak zdecydował się zakończyć paryskie wygnanie i w czerwcu 1999 roku, tuż po objęciu przez Putina funkcji szefa rządu, powrócił do Rosji. Był pełen nadziei, a jego ambicja rozszalała się jak nigdy. Zanim wyjechał z Paryża, spotkał się jeszcze z Arkadijem Waksbergiem, byłym specjalistą w dziedzinie medycyny sądowej, pracującym obecnie jako dziennikarz, który zapytał go, czy planuje powrócić do Paryża jako ambasador. Sobczak odparł: „Mierzę znacznie wyżej”. Waksberg był przekonany, że Sobczak miał na myśli tekę ministerialną; w Moskwie krążyły pogłoski, że stanie na czele Trybunału Konstytucyjnego, najważniejszego sądu w kraju.

Sobczak, z charakterystyczną dla siebie nadmierną wiarą we własne możliwości, wystartował w wyborach parlamentarnych i przepadł z kretesem. Natomiast od razu na początku swojej kampanii Putin mianował byłego szefa swoim „uprawnionym reprezentantem”, powierzając mu tym samym stanowisko pozwalające prowadzić agitację na

jego rzecz (kandydaci mogą namaścić nieograniczoną liczbę takich zaufanych). Sobczak wziął się do roboty, lecz najwyraźniej zapomniał, że jego popularność wynikała w dużej mierze z przynależności do ruchu demokratów.

Ogłosił Putina „nowym Stalinem”, obiecując w ten sposób wyborcom nie tyle powrót do czasów krwawych czystek, ile raczej władzę żelaznej ręki, „jedynego sposobu, by rosyjskie społeczeństwo mogło poprawnie funkcjonować”, jak sam powiedział.

Jednak nie ograniczył się wyłącznie do retoryki, a poza tym, jak zawsze, mówił zbyt wiele. Podczas gdy Putin dyktował dziennikarzom oficjalną wersję własnej biografii, Sobczak w udzielanych wywiadach wspominał dawne czasy, przedstawiając zwrotne momenty w życiu swojego dawnego protegowanego zupełnie inaczej, niż czynił to sam zainteresowany.

Siedemnastego lutego Putin poprosił Sobczaka, by poprowadził kampanię w obwodzie kaliningradzkim - rosyjskiej enklawie leżącej pomiędzy Polską a Litwą. Sprawa była pilna. Trzeba było wylecieć jeszcze tego samego dnia, co rozżłościło żonę Sobczaka, która bardzo nie lubiła puszczać go w podróż samego; utrzymywała, że musi pilnować, by przyjmował lekarstwa, większość znajomych twierdziła jednak, że tleniona blondynka o piskliwym głosie woli dobrze pilnować męża. Nie można też wykluczyć, że po prostu obawiała się o jego bezpieczeństwo. Niestety, tego dnia miała uczestniczyć w posiedzeniu Dumy, nie mogła więc towarzyszyć małżonkowi w drodze na przedwyborcze spotkanie. Były mer poleciał zatem pod opieką dwóch asystentów, pełniących jednocześnie funkcję ochroniarzy. Dwudziestego lutego zmarł w prywatnym hotelu na obrzeżach Kaliningradu.

Dziennikarze szybko odkryli kilka niepokojących faktów, jakie towarzyszyły temu smutnemu wydarzeniu. Po pierwsze, wykonano dwie autopsje: pierwszą w Kaliningradzie, drugą w Petersburgu, w szpitalu wojskowym, którego dyrektorem był Jurij Szewczenko, ten sam, który pomógł zorganizować ucieczkę Sobczaka do Paryża. Teraz piastował stanowisko ministra zdrowia, ale jednocześnie prowadził praktykę w szpitalu. Oficjalną przyczyną zgonu był rozległy, ale spowodowany naturalnymi czynnikami, atak serca.

Mimo to po dziesięciu tygodniach od śmierci Sobczaka prokuratura w Kaliningradzie wszczęła śledztwo w sprawie „morderstwa z premedytacją z okolicznościami obciążającymi”. Zamknięto je po trzech miesiącach, bez podania ostatecznych wniosków.

Dwudziestego czwartego lutego w Petersburgu odbył się pogrzeb Sobczaka.

Putin, siedzący obok żony i córki zmarłego, był szczerze poruszony. Takich emocji Rosjanie nigdy wcześniej nie widzieli na jego twarzy. W jedynym wystąpieniu tego dnia powiedział: „Sobczak nie odszedł normalnie. Zginął gwałtowną śmiercią z powodu prześladowań, jakich padł ofiarą”. Powszechnie uznano, że przyczyną zgonu był stres

spowodowany nieprawdziwymi oskarżeniami o korupcję, z których dawny zastępca próbował go oczyścić, lecz tragiczny finał nie pozwolił mu przywrócić dobrego imienia byłemu przełożonemu.

Natomiast w Paryżu Arkadij Waksberg rozpoczął własne śledztwo w sprawie śmierci znajomego. Nie można tu mówić o wielkiej przyjaźni czy uwielbieniu dla władczego polityka, ale Waksberg był przecież dziennikarzem śledczym, miał też doświadczenie w prowadzeniu spraw kryminalnych oraz nosa do dobrych historii. To właśnie on odkrył najbardziej frapujący element zagadki śmierci Sobczaka. Dwaj ochroniarze, obydwaj młodzi i w świetnym zdrowiu, po śmierci byłego mera leczyli się z powodu lekkiego zatrucia. Waksberg rozpoznał w tym typowe okoliczności zabójstwa na zlecenie dokonanego za pomocą trucizny; nieraz wielu sekretarzy bądź obstawy ofiar skarżyło się na kłopoty ze zdrowiem tuż po śmierci przełożonego. W 2007 roku Waksberg wydał książkę poświęconą politycznym morderstwom popełnianym w ZSRR i Rosji z użyciem trucizny. Wysunął w niej przypuszczenie, że Sobczak został otruty oparami substancji umieszczonej na powierzchni żarówki nocnej lampki. Po włączeniu żarówka nagrzewa się, co z kolei powoduje parowanie związku chemicznego, którym jest pokryta (technikę tę opracowano i stosowano w Związku Radzieckim). Kilka miesięcy po ukazaniu się książki na rynku wybuchł stojący w garażu samochód dziennikarza. Waksberga nie było w środku.

Rozdział siódmy

DZIEŃ, W KTÓRYM UMARŁY MEDIA

Dzień wyborów 26 marca 2000 roku spędziłam w Czeczenii. Chciałam uciec od kwestii udziału w głosowaniu, które po czymś, co w zasadzie należałoby określić mianem parodii kampanii wyborczej, zakrawało w moim przekonaniu na kpinę. W ciągu niespełna trzech miesięcy od rezygnacji Jelcyna Putin nie wygłosił ani jednego oświadczenia o charakterze politycznym. On sam i jego spece od wizerunku uważali to za przejaw cnoty. Putin wychodził z założenia, że zabieganie o głosy jest poniżej jego godności, zatem całą kampanię sprowadzono do wydania książki, w której przedstawiano go jako chuligana z charakterem.

Gdy oprócz tego, na tydzień przed wyborami, Putin w blasku fleszy zasiadł za sterami myśliwca i posadził samolot na lotnisku w Groznm, można było odnieść wrażenie, że jego przesłanie polityczne brzmi: „Nie warto ze mną zadzierać”.

W związku z tym zdecydowałam się skorzystać z zaproszenia wystosowanego przez wojskowe biuro prasowe i przygotować materiał z głosowania w Czeczenii. Zdawałam sobie sprawę, że będę miała ograniczoną swobodę poruszania się i że wszystkie moje poczynania będzie śledził przydzielony rosyjski funkcjonariusz, ale nadarzała się świetna okazja do zebrania nowych informacji o miejscu, które już wcześniej dość dobrze znałam. Ostatni raz byłam w Czeczenii mniej więcej trzy lata temu, wkrótce po ogłoszeniu zawieszenia broni.

Zanim wybuchła pierwsza wojna czeczeńska, w Groznm mieszkało blisko milion ludzi, a tuż po jej zakończeniu - co najmniej pół miliona. O topografii miasta miałam nie najgorsze pojęcie. Aglomeracja obejmowała obszar dający się sprawnie zarządzać, w tym kilka wzgórz i wyraźnie wydzielone dzielnice. Na terenie większości z nich znajdowało się całkiem sporo wysokich budynków, ułatwiających zorientowanie się w przestrzeni. Bezpośrednio po bombardowaniu Groznego podczas pierwszej wojny niektórzy europejscy komentatorzy porównywali stolicę Czeczenii do Drezna, niemieckiego miasta zmiecione z powierzchni ziemi przez brytyjskie i amerykańskie bomby pod koniec II wojny światowej. To porównanie wydało mi się uzasadnione, ale mimo wszystko Grozny zachowywał jeszcze wtedy ogólny zarys urbanistyczny.

Teraz już nie zostało po nim śladu - żadnych wysokich budynków, żadnych pomników, których kiedyś nie brakowało. Wszystkie części miasta wyglądały tak samo i tak samo pachniały: spalonymi ciałami i betonowym pyłem. Panowała przerażająca, ogłuszająca

cisza. Gorączkowo wypatrywałam wokół szyldów, które stanowiły jedyną pozostałość po życiu i ludzkiej aktywności: KAWIARNIA,

INTERNET, CZĘŚCI SAMOCHODOWE, TU ŻYJĄ LUDZIE. Ten ostatni napis umieszczali nad wejściem mieszkańcy, powracający do swoich domów po ostatniej wojnie, z nadzieją, że to uchroni ich majątek przed szabrownikami, a ich samych przed śmiercią od kul.

Pośród tego, co niegdyś było miastem, umieszczono kilkanaście głośników - punktów orientacyjnych, wskazujących lokal wyborczy lub garkuchnię wydającą zupe zorganizowaną na koszt ministerstwa do spraw sytuacji nadzwyczajnych. Ludzie, w przeważającej większości kobiety, chodzili po ulicach dwójkami lub trójkami, w milczeniu kierując się w stronę najbliższego megafonu, raczej z nadzieją na dotarcie do kuchni polowej niż do urny.

Delegowani przez wojsko przewodnicy eskortowali nas, dziennikarzy, do jednego z dziewięciu lokali wyborczych. Dotarliśmy na miejsce około południa i naszym oczom ukazał się tłum (także i w tym przypadku złożony głównie z kobiet), który zgromadził się w oczekiwaniu już o świcie. Ludzie przybyli, gnani nadzieją na uzyskanie pomocy humanitarnej. Być może ktoś im obiecał, że w lokalach wyborczych otrzymają jedzenie i ubrania, a być może przyszli tu, ponieważ dotarła do nich taka plotka. Nad wejściem do niewielkiego budynku widniał napis:

DEMOKRACJA TO DYKTATURA PRAWA, oksymoron autorstwa Putina.

Stanowiło to bezpośrednie naruszenie prawa wyborczego. W pobliżu nie widziałam punktów udzielających pomocy.

Podeszła do mnie starsza kobieta. Poprosiła mnie, abym napisała, że została zmuszona do życia na ulicy.

- Czy pani głosowała? - zapytałam.

- Głosowałam.

- A na kogo pani głosowała?

- Nie wiem - odpowiedziała po prostu. - Nie umiem czytać. Wzięłam kartę i wrzuciłam ją do urny.

Kilka godzin później znalazłam się w lokalu wyborczym w innej części miasta. Zobaczyłam w oddali zbliżających się ludzi, więc ruszyłam w ich stronę, zanim moja eskorta zdążyła mnie powstrzymać; miałam nadzieję porozmawiać z mieszkańcami Groznego bez świadków. Okazało się, że to trzy osoby (w tym dwoje starszusków), które widziałam już w poprzednim lokalu. Cała trójka ciągnęła za sobą puste wózki. Jak się od nich dowiedziałam, gdy tylko spod pierwszego punktu wyborczego odjechał autobus z dziennikarzami, urzędnicy poinformowali zgromadzonych, że pomocy humanitarnej nie będzie, więc ludzie pokornie

wyruszyli w wielogodzinną drogę powrotną do tego, co kiedyś było ich domem.

Ponieważ na krótką chwilę udało mi się wymknąć moim opiekunom, starałam się wypytać rozmówców, dlaczego zdecydowali się wrócić do Groznego. Starsi państwo polecieli młodszej kobiecie opowiedzieć mi ich historię. Ona wprawdzie opierała się ich namowom, twierdząc, że to nie ma sensu, ostatecznie jednak nie śmiała sprzeciwić się swoim towarzyszom. „Wróciliśmy po ciała naszych bliskich.

Zaprowadzono nas do nich. Wszyscy byli związani drutem. Ale jednej głowy nie udało się odnaleźć”, relacjonowała. Ośmioro członków jej rodziny znalazło się wśród tysięcy osób przetrzymywanych, a potem - w trybie przyśpieszonym - rozstrzelanych przez rosyjskie oddziały. Kobieta i jej najbliżsi krewni opuścili Grozny już wiele miesięcy temu i mieszkali teraz kątem u rodziny w małej wiosce. Tamta ósemka nie miała jednak pieniędzy, żeby wyjechać z miasta, a przecież każdorazowe przekroczenie rosyjskich rogatek wiązało się z opłatą.

Podczas rozmowy podeszła do nas inna kobieta. Dwie dziewczynki, blada ośmiolatka i nastolatka, ustawiły się grzecznie za swoją ciotką.

- Ich ojciec zginął podczas bombardowania - powiedziała. - Ich matka nie wytrzymała tego i umarła, umarła również ich babka. Dziewczynki pochowały rodziców na podwórzu. Wczoraj odkopałyśmy ciało ojca i umyłyśmy je, ale mężczyźni boją się wyjść na zewnątrz, żeby je pogrzebać, więc leży w domu. Kobieta poprosiła nastolatkę o potwierdzenie prawdziwości swoich słów, ale ta tylko odsunęła się od nas z płaczem.

Ci ludzie mówili mi, że głosowali na działaczkę walczącą o prawa człowieka (która ostatecznie uzyskała tak niski, jednocyfrowy wynik, że w większości mediów nawet o niej nie wspomiano). Wśród Czeczenów spotykałam jednak również wyborców Putina. „Mam już dość tej wojny”, usłyszałam w Groznym od człowieka w średnim wieku. „Mam dosyć bycia pałeczką przekazywaną sobie z rąk do rąk przez kolejne bandy zbirów”.

Rozejrzałam się dokoła. Znajdowaliśmy się w dawnej dzielnicy domów mieszkalnych. Teraz widziałam wokół tylko metalowe płoty oddzielające jedną opustoszałą nieruchomość od drugiej. „Czy to nie Putin do tego doprowadził?”, zapytałam. „Wojna toczy się od dziesięciu lat”, odpowiedział mężczyzna, lekko przesadzając (pierwsze zbrojne starcia w Czeczenii miały miejsce w 1991 roku).

„Jaki w tym jego udział? Zależy nam na silnej, zjednoczonej władzy. Ludziom tutaj potrzebny jest arbiter”.

W gronie dziesięciu mało znanych kandydatów, którzy stanęli do beznadziejnej walki wyborczej z Putinem, znajdował się Czeczen, mieszkający w Moskwie milioner, deweloper.

Przed wyborami przesłał tony mąki do obozów dla czeczeńskich uchodźców. „Nie ma sensu na niego głosować”, powiedział mi inny Czeczen, zastępca kierownika jednej z takich placówek, położonej w pobliskiej Inguszetii. „Ja mógłbym to zrobić, ale nikt inny w Rosji”. Ten też zamierzał oddać głos na Putina. „To dobry człowiek. Nie miał własnego interesu w tym, co nam zrobił. To innym zależało, żeby to się znowu zaczęło”.

Jego przełożony, zasuszony pięćdziesięciolatek imieniem Hamzat, miał jeszcze inne podejście. „Mówią, żeby głosować na Putina, bo on i tak zostanie prezydentem”. Podczas pierwszej wojny czeczeńskiej Hamzat spędził dwadzieścia dziewięć dni w rosyjskiej niewoli. Po uderzeniach kolbą karabinu pozostały mu dwie blizny na głowie i zniekształcona kość łopatkowa. Pokazał mi zdjęcie swojego syna, szesnastolatka o wydatnych ustach i kręconych włosach, i powiedział, że teraz on z kolei znajduje się w niewoli u Rosjan. Hamzat dowiedział się, w którym obozie jest przetrzymywany, ale strażnicy zażądali tysiąca dolarów okupu (bardzo powszechna praktyka, stosowana zresztą przez obie strony konfliktu).

Reszty dowiedziałam się od przebywających w obozie uchodźców. Zorganizowano zbiórkę, ale udało się zgromadzić zaledwie jedną dziesiątą potrzebnej sumy, więc chłopak wciąż pozostawał za drutami.

Obóz dla wygnańców z Groznego zorganizowano na polu zastawionym namiotami pochodzącymi z wojskowych nadwyżek oraz przyciągniętymi tam dziesięcioma wagonami kolejowymi. W obliczu niedoboru powierzchni mieszkalnej było to dość często stosowane rozwiązanie; mnie samą zakwaterowano w wojskowym eszelonie, w odległości kilku miasteczek stąd. Także biuro Hamzata mieściło się w wagonie kolejowym. Na zewnątrz wywieszono kartkę, na której ręcznie wypisano sześćdziesiąt nazwisk. Nad nimi widniał nagłówek: „Umieszczeni w naurskim więzieniu, następnie przeniesieni do szpitala w Piatigorsku”. Obok nazwisk widniały liczby określające wiek, od szesnastu do pięćdziesięciu dwóch. Wynikało z tego, że lista obejmuje więźniów, którzy zostali przeniesieni do szpitala przed wpuszczeniem dziennikarzy do najbardziej znanego czeczeńskiego więzienia.

Wykaz został sporządzony przez jednego z pozostałych więźniów, który chciał w ten sposób pomóc krewnym osadzonych w odnalezieniu zagubionych bliskich. Obok jednego z nazwisk ktoś dopisał niebieskim długopisem: „Zabity”.

Zgodnie z wojskowymi przepisami, podczas wizyty przez większość czasu towarzyszyli mi Rosjanie w mundurach. Zdecydowanie wolałam pozostawać pod opieką strony czeczeńskiej, i to nawet nie dlatego, że ich sprawa była bliższa mojemu sercu, lecz dlatego, że atmosfera ciągłego strachu panująca po stronie rosyjskiej bardzo mnie męczyła. Ponieważ nie było dnia, w którym jakiś żołnierz nie wpadłby w zasadzkę, młodzi rekruci i ich

dowódcy nie potrafili się rozluźnić, nawet gdy nalewali sobie kieliszek za kieliszkiem - co czynili każdego wieczoru, licząc, że alkohol zagłuszy dźwięk nieustających wystrzałów. A rozlegały się one bez przerwy, nawet wtedy, w dniu wyborów. Chciałam się wybrać do niegdyś gęsto zaludnionej dzielnicy Groznego, ale moich dwóch opiekunów usilnie odwodziło mnie od tego zamiaru. „I tak nikogo tam nie ma”, przekonywał jeden. „Po co chce pani tam iść? Wszystkich nas uciszą”. Chodziło mu o to, że nas zabiją. Te oddziały - których wszyscy członkowie, zgodnie z zaleceniami swojego szefostwa, głosowali na Putina - teoretycznie powinny kontrolować stolicę. Tymczasem Rosjanie mieli jeszcze przez wiele lat codziennie tracić tu ludzi.

Szef administracji w Grożnym, z rosyjskiego nadania, korzystał z okazji, żeby agitować za Putinem. „Dzisiaj do władzy w Rosji dochodzi wspaniały człowiek. Pewny człowiek”. Przed wyborami ludzie odpowiedzialni za ich organizację przeczesali okoliczne piwnice, aby sporządzić spis wyborców; zebrali 3400 nazwisk i tyle też przygotowali kart do głosowania, te jednak skończyły się już w południe.

„Mówiłem, że przyjdzie więcej osób”, narzekał szef rejonu. „Ale mnie nie słuchali. Tylko skąd ci wszyscy ludzie? Bo raczej nie wyleźli spod ziemi”.

A naprawdę mniej więcej tak to właśnie było - nie tylko w tym sensie, że miejscowa ludność żyła w piwnicach zniszczonych budynków, ale również dlatego, że do lokali przybywało sporo wyborców (w większości starszych kobiet) z dwoma lub trzema paszportami. Oprócz własnego dokumentu przynosili również dokumenty członków rodziny, których - jak sądzę - mieli nadzieję jeszcze kiedyś zobaczyć żywych. Kto stracił paszport, mógł zagłosować za pomocą specjalnego formularza, chociaż wiązało się to z ryzykiem, że dokument tej osoby może zostać wykorzystany do głosowania w innym punkcie. Przenosząc się z jednego okręgu wyborczego do kolejnego, miałam okazję sprawdzić słuszność swojej teorii. Mogłam oddać głos w każdym z lokali, bądź legitymując się moskiewskimi dokumentami, bądź wręcz bez okazywania żadnych papierów.

Przed rozpoczęciem drugiej wojny Czechenię zamieszkiwało oficjalnie 380 tysięcy osób. W okresie wyborów liczba uprawnionych do głosowania osiągnęła poziom 460 tysięcy. Do tego wzrostu liczebności głosujących przyczyniły się nie tylko rosyjskie oddziały, ale również martwe dusze, których prawdziwe lub wymaginowane paszporty zostały wykorzystane do uzyskania karty. Na Putina oddano niespełna 30 procent głosów; był to jego najgorszy wynik w całej Rosji.

Ostatecznie jednak „człowiek bez twarzy”, który nie posiadał żadnego politycznego zaplecza i nie prowadził kampanii wyborczej, uzyskał 52 procent głosów.

Druga tura nie była potrzebna.

Władimir Putin objął urząd prezydenta Rosji 7 maja 2000 roku. Gwoli ścisłości należałoby dodać, że była to pierwsza tego typu ceremonia w historii kraju, bo Jelcyn został wybrany na pierwszą kadencję, gdy Rosja wchodziła jeszcze w skład Związku Radzieckiego. W związku z powyższym Putin miał okazję zdecydować o przebiegu uroczystości. Zgodnie z jego życzeniem, ceremonia, która miała się pierwotnie odbyć w modernistycznym Pałacu Zjazdów, gdzie zbierała się na kongresy partia komunistyczna i gdzie organizowały konferencje przedstawiciele administracji Jelcyna, została przeniesiona do historycznego Wielkiego Pałacu Kremłowskiego, niegdysiejszej rezydencji carów. Putin przemaszerował korytarzem po długim czerwonym dywanie, wymachując przy tym lewą ręką i trzymając prawą dziwnie nieruchomo, lekko ugiętą w łokciu. Rosyjscy widzowie mieli się szybko przyzwyczać do tego charakterystycznego chodu; jeden z amerykańskich obserwatorów wysunął nawet przypuszczenie, że Putin mógł doznać urazu przy porodzie albo udaru jeszcze w łonie matki. Mnie osobiście wydaje się, że ten sposób poruszania się nie kryje niczego tajemniczego. To po prostu krok typowy dla osoby, która wszystkie swoje działania publiczne podejmuje mechanicznie, z niechęcią, i której każdy ruch epatuje skrajną czujnością i równie skrajną agresją. Rosjanie interpretowali ten specyficzny sposób chodzenia jako przejaw swego rodzaju młodzieńczej afektacji. Podobnie zresztą traktowano zwyczaj noszenia - przez praworęcznego Putina - zegarka na prawym nadgarstku. Ta moda natychmiast rozpowszechniła się wśród przedstawicieli administracji wszystkich szczebli, a wiodący rosyjski producent zegarków z Tatarstanu w krótkim czasie wprowadził na rynek nowy model, zwany kremłowskim zegarkiem dla mańkutów. Pierwszy zegarek z tej serii został wysłany do Moskwy. Putin nigdy nie wystąpił publicznie z tym niedrogim, krajowym czasomierzem na rękę, w ciągu kolejnych lat uwieczniono go za to na zdjęciach z kilkoma innymi, pośród których najczęściej pojawiał się Patek Philippe Perpetual Calendar z białego złota, wart 60 tysięcy dolarów.

Na ceremonię inauguracyjną zaproszono pięciuset gości, a wśród nich nadzwyczajnie duże grono ludzi w mundurach. Wśród przybyłych szczególną uwagę zwracał Władimir Kriuczkow, były szef KGB i jeden z organizatorów zamachu w 1991 roku. Relacjonujący uroczystość reporter określił go jako „starego człowieka niskiej postury, który stał z trudem i podniósł się z krzesła tylko raz, gdy odgrywano hymn państwowy”. Kriuczkow był ośrodkiem zainteresowania, ponieważ siedział z dala od pozostałych gości i raczej nie można było powiedzieć, że zalicza się do współczesnej rosyjskiej elity politycznej. Niemniej jednak nikt nie zgłosił publicznego sprzeciwu wobec udziału w tej ceremonii człowieka, który do

tłumienia rosyjskiej demokracji usiłował użyć armii. Kriuczok spędził siedemnaście miesięcy w więzieniu, na mocy decyzji parlamentu amnestionowano go w 1994 roku. W większości relacji prasowych z inauguracji po prostu zignorowano jego obecność; wiodący dziennik „Kommiersant” wspominał o tym zaledwie w dwudziestym z trzydziestu czterech akapitów artykułu. Gdyby dziennikarze wykazali się większą dalekowzrocznością, zapewne poświęciliby wydarzeniu zdecydowanie więcej uwagi, ponieważ tamtego dnia Rosja świętowała nie tylko zmianę przywódcy, ale również zmianę reżimu. I Kriuczok przybył, aby ten nowy reżim powitać.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, 18 grudnia 1999 roku - na dwa tygodnie przed przejęciem obowiązków prezydenta - Putin przemawiał podczas bankietu z okazji rocznicy utworzenia radzieckiej tajnej milicji. Była to mroczna środowiskowa uroczystość, która w nadchodzących latach miała dopiero zyskać na znaczeniu (na ulicach zaczęły się pojawiać gratulacyjne transparenty, a media będą relacjonować obchody). „Chciałbym poinformować”, powiedział Putin podczas bankietu, „że grupa tajnych agentów FSB oddelegowana do zadań przy rządzie federalnym z powodzeniem wykonała pierwszy zestaw zadań”. Zgromadzone na sali szefostwo służb specjalnych zaniósł się śmiechem. Putin bagatelizował potem to stwierdzenie, mówiąc, że był to żart. Niemniej jednak tego samego dnia odsłonił jeszcze odnowioną tablicę pamiątkową umieszczoną na ścianie budynku FSB, przypominającą całemu światu o tym, że to właśnie w tym miejscu pracował Jurij Andropow, jedyny szef tajnej milicji, który zajmował stanowisko sekretarza generalnego partii komunistycznej.

Ponieważ można było odnieść wrażenie, że kampania wyborcza Putina i sam Putin funkcjonują jakby niezależnie od siebie, między grudniem a dniem inauguracji prezydent bardzo rzadko brał udział w wydarzeniach publicznych.

Na premiera wybrał sobie człowieka, którego imponująca sylwetka, gromki bas, hollywoodzka aparycja i białozębny uśmiech maskowały brak politycznych ambicji. Można było odnieść wrażenie, że Michaił Kasjanow urodził się biurokratą. Przeszedł przez kolejne szczeble radzieckich urzędów państwowych, bez problemów odnajdywał się w pracy ministerialnej w kolejnych rządach Jelcyna, a tuż przed nominacją został ministrem finansów.

„Zadzwoił do mnie 2 stycznia zaledwie trzy dni po ogłoszeniu przez Jelcyna rezygnacji ze stanowiska”, powiedział mi Kasjanow. „Przedstawił warunki objęcia przeze mnie teki. Stwierdził: »Dopóki nie będziesz wścibiał nosa na moje podwórko, będziemy się dogadywać«,”⁹. Kasjanowa, któremu język ulicy w żadnym razie nie był obcy, zaskoczyła nie tyle sama myśl, ile sposób jej przekazania. Konstytucja przyznaje premierowi szeroką władzę nad służbami mundurowymi, tymczasem Putin dał kandydatowi na swojego pierwszego

ministra do zrozumienia, że jeśli chce objąć urząd, musi się tej władzy zrzec. Kasjanow zgodził się bez wahania, prosząc w zamian o zgodę na realizację planu reform gospodarczych. Targu dobito i Putin powołał go na stanowisko pierwszego wicepremiera, obiecując mu jednocześnie tekę premiera zaraz po objęciu urzędu.

W praktyce to Kasjanow kierował pracami rządu. Putin skupił się na przygotowywaniu tego, co nazywał „swoim podwórkiem”. W pierwszym dekrete wydanym po przejściu obowiązków prezydenta przyznał immunitet Borysowi Jelcynowi.

Drugi dekret zawierał nową rosyjską doktrynę wojskową. Odrzucał stare podejście nieużywania jej do działań zaczepnych, podkreślając prawo do wykorzystania arsenału atomowego, „jeżeli wszelkie inne środki rozwiązania konfliktu zostaną wyczerpane lub zostaną uznane za nieskuteczne”. Wkrótce na mocy kolejnego dekretu przywrócono obowiązkowe szkolenia rezerwistów (czyli wszystkich Rosjan płci męskiej zdolnych do służby wojskowej), których wcześniej zaniechano - ku wielkiej radości rosyjskich żon i matek - po wycofaniu radzieckich wojsk z Afganistanu.

Dwa spośród sześciu paragrafów tego dekretu objęto klauzulą tajności, z czego można było wnioskować, że dotyczą kwestii ewentualnego kierowania rezerwistów do Czeczenii. Kilka dni później Putin wydał zarządzenie, na mocy którego czterdziestu ministrów rządu oraz innych urzędników uzyskało prawo klasyfikowania informacji jako tajnych. Ta decyzja stanowiła jawne naruszenie przepisów konstytucji.

Putin wprowadził ponownie szkolenie wojskowe do szkół ponadpodstawowych, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Z nauczania przedmiotu, obejmującego naukę rozkładania, czyszczenia i składania kałasznikowów, zrezygnowano w okresie pieriestrojki. Podsumowując, sześć z jedenastu dekretów wydanych przez Putina w ciągu pierwszych dwóch miesięcy sprawowania władzy prezydenckiej dotyczyło kwestii wojskowości. W dniu 27 stycznia Kasjanow ogłosił podniesienie wydatków na obronność o 50 procent, mimo że jego kraj nie był w stanie wypełniać swoich międzynarodowych zobowiązań finansowych, a większość mieszkańców z dnia na dzień pograżała się w ubóstwie.

Gdyby ktokolwiek w Rosji, lub poza nią, pochylił się przez chwilę nad tym wszystkim, stałoby się dla niego jasne, jaki reżim ukształtował się w ciągu zaledwie kilku tygodni tymczasowego sprawowania przez Putina najwyższego urzędu w państwie. Kraj był zbyt pochłonięty nadchodzącym wyborem wymyślonego prezydenta, a świat zachodni miał dopiero za kilka lat zwątpić w słuszność tej elekcji.

Gdy Putin przygotowywał SIĘ do objęcia stanowiska prezydenta, ja po raz kolejny odwiedzałam Czeczenię. Zżymałam się z powodu nowej koncepcji polityki i dziennikarstwa

politycznego, czułam, że powinnam zrobić coś naprawdę istotnego. Ustrój kraju walił się na moich oczach i tym bardziej cieszyłam się, że mogę zbierać materiały i pisać o czymś, co wydawało mi się istotne. Tym razem podróżowałam z wojskowymi i ochotnikami, którzy prowadzili poszukiwania zaginionych w Czeczenii rosyjskich żołnierzy. W tamtym okresie ich liczba sięgała mniej więcej tysiąca, przy czym o połowie słuch zaginął już podczas wojny.

Wróciłam z Czeczenii w inauguracyjny weekend. Drugiego dnia po moim powrocie do biura (jednocześnie drugiego dnia oficjalnej kadencji prezydenckiej Władimira Putina) milicja przy użyciu sił specjalnych wkroczyła do siedziby głównej MediaMostu Władimira Gusińskiego, firmy będącej właścicielem mojej gazety. Zakamuflowane hordy w czarnych kominiarkach, tylko z otworami na oczy, uzbrojone w automatyczne karabiny krótkolufowe wtargnęły do biur w nowo wyremontowanym budynku położonym w samym centrum Moskwy, w odległości mniej więcej półtora kilometra od Kremla. Poturbowano kilku pracowników, po czym wrzucono sterty papierów do kartonowych pudeł i załadowano do furgonetek. Prokuratura, przedstawiciele prezydenckiej administracji oraz milicja skarbowa w publicznych oświadczeniach wyjaśniali to zajście w sposób mętny i chaotyczny. Twierdzili, że działali w związku z podejrzeniami o naruszenie przepisów fiskalnych. Mówiło się o możliwych nieprawidłowościach w funkcjonowaniu wewnętrznej ochrony MediaMostu. Wspominano nawet o tym, że gazeta mogła szpiegować własnych dziennikarzy. Ktokolwiek jednak uczestniczył w życiu gospodarczym Rosji w latach dziewięćdziesiątych (lub był choćby obserwatorem), ten nie miał wątpliwości co do prawdziwego charakteru incydentu. Nalot milicji był groźbą. Tego typu akcje przygotowywano na ogół z inicjatywy zorganizowanych grup przestępczych. Stanowiły demonstrację siły, wskazującą, kto ma większe wpływy w milicji. To konkretne przedsięwzięcie było jednak nietypowe, i to z kilku powodów: z uwagi na skalę (zgraja funkcjonariuszy, kilka furgonetek załadowanych po dach dokumentami), lokalizację (centrum Moskwy), moment przeprowadzenia (w biały dzień) i z uwagi na obrany cel (jeden z siedmiu najbardziej wpływowych przedsiębiorców kraju). Nietypowy był również fakt, że jako inicjatora całego zajścia źródła MediaMostu wskazały Władimira Putina. On sam twierdził, że nic nie wie o sprawie. W trakcie nalotu przebywał na Kremlu, gdzie wspominali z Tedem Turnerem jedną z edycji Igrzysk Dobrej Woli, która odbyła się w Petersburgu w latach dziewięćdziesiątych, i rozmawiali o przyszłości mediów.

Miesiące bezpośrednio po najściu milicji na siedzibę główną MediaMostu należą do tych, które ciężko się wspomina i o których trudno się mówi. To czas zawieszenia pomiędzy diagnozą a nieuchronnym rezultatem, między momentem zapoznania się z zakończeniem historii a jej rzeczywistym finałem. Nie minę się chyba z prawdą, jeśli powiem, że około

siedemdziesięciu pracowników mojej gazety oraz setki ludzi pracujących w dzienniku oraz w NTW, czyli stacji telewizyjnej Gusińskiego (tej samej, która nadała reportaż śledczy dotyczący wybuchów w blokach mieszkalnych), doskonale zdawało sobie sprawę, iż są świadkami początku końca największej prywatnej rosyjskiej firmy medialnej.

Mimo wszystko nadal pracowaliśmy tak, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby kłopoty firmy były po prostu materiałem na kolejny reportaż.

Nie pamiętam, w jakich okolicznościach dowiedziałam się o aresztowaniu Władimira Gusińskiego, do którego doszło 13 czerwca. Być może usłyszałam o tym w radiu w samochodzie, choć wydaje się to mało prawdopodobne. Lato 2000 roku było drugim z rzędu, kiedy poruszałam się po Moskwie rowerem. Ta forma transportu miejskiego dopiero zyskiwała sobie popularność (w czerwcu 2000 pracowałam nawet nad reportażem na ten temat). Być może zatem dowiedziałam się o aresztowaniu od kolegów. Być może ktoś ze znajomych przekazał mi tę wiadomość przez telefon. Jakkolwiek było, moją uwagę zwróciło nie tyle to, że aresztowano jednego z najbardziej wpływowych ludzi w kraju, i zarazem mojego pracodawcę, ile to, że postawione mu zarzuty dotyczyły prywatyzacji firmy o nazwie Russkoje Wideo. Postanowiłam opisać tę historię.

Firma Russkoje Wideo zajmowała się produkcją telewizyjną. Kierował nią Dmitrij Roźdiestwienski, petersburzanin, który od dwóch lat siedział wtedy w więzieniu.

Śledziłam jego historię bez zrozumienia już od pewnego czasu, odkąd pojechałam do Petersburga, żeby napisać artykuł o morderstwie Galiny Starowojtowej. Moje tamtejsze źródła, w tym między innymi asystent Starowojtowej, który uszedł z życiem ze strzelaniny, nalegały na wizytę u starszej pary zajmującej przestronny i świetnie wyposażony apartament nad Kanałem Gribojedowa. Spotkałam się z tymi ludźmi parokrotnie podczas kilku miesięcy, a oni opowiedzieli mi historię swojego syna, starannie wykształconego czterdziestoczteroletniego producenta telewizyjnego, który za Sobczaka radził sobie zupełnie nieźle (wspierał nawet reelekcyjną kampanię mera).

Można było odnieść wrażenie, że ktoś obrał go sobie za cel. Najpierw, w marcu 1997 roku, został poddany kontroli skarbowej. Potem, w maju, otrzymał list od funkcjonariusza miejscowych służb specjalnych. Z listu wynikało, że nadajnik wykorzystywany przez stację telewizyjną, w której Roźdiestwienski miał udziały, stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Potem jeszcze Roźdiestwienski został przesłuchany w związku ze sprawą Sobczaka. „Podejrzewali go o pranie pieniędzy Sobczaka”, powiedziała mi jego matka. „Ale Dmitrij miał szczęście.

Sobczak nigdy nie przekazał jego firmie żadnych pieniędzy, nawet tych należnych za

produkcję i emisję spotów wyborczych”. W marcu 1998 roku Dmitrij Roźdiestwienski został w końcu oskarżony o uchylanie się od płacenia podatków. Jeszcze w tym samym miesiącu, na zlecenie prokuratora, grupa specjalna w ciągu jednej nocy dokonała przeszukań w mieszkaniach czterdziestu jeden powiązanych z Roźdiestwienskim osób, w tym współpracujących z jego firmą wolnych strzelcówdziennikarzy.

„Wtedy naprawdę dobrali mu się do skóry”, kontynuowała starsza kobieta. Jej syna wzywano na przesłuchania niemal codziennie; wielokrotnie przeszukiwano jego mieszkanie, biuro i daczę. W sierpniu 1998 roku żona Dmitrija dostała udaru. „Byliśmy wtedy na daczce. On codziennie jeździł na przesłuchania i nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy wróci. Ja sobie z tym radziłam, bo za czasów Stalina mój ojciec trzy razy trafiał do więzienia, ale okazało się, że Natasza [żona Dmitrija] nie miała tyle siły”.

We wrześniu 1998 roku Dmitrij Roźdiestwienski został oskarżony o malwersacje finansowe i aresztowany. Ja poznałam jego rodziców dopiero dwa miesiące później. W ciągu kolejnych dwudziestu odwiedziłam ich kilka razy, kiedy to na bieżąco informowali mnie o przebiegu sprawy. Dmitrija przenoszono z aresztu do aresztu. Trafił do Moskwy, a potem do więzienia służb specjalnych zlokalizowanego poza Petersburgiem. Z czasem zmieniały się też zarzuty.

Najpierw oskarżano go o kradzież samochodu, potem o defraudację pieniędzy z kontraktu reklamowego, a w końcu o przywłaszczenie sobie pieniędzy z zamiarem przeznaczenia ich na budowę posiadłości rekreacyjnej. Z moich obserwacji wynikało, że życie zawodowe Roźdiestwienskigo jest w tak dużym stopniu i tak chaotycznie powiązane z rodzinnym, że prokuratorzy bez trudu znajdują sposoby, aby trzymać go za kratkami przez dowolnie długi czas. Nie potrafiłam tylko pojąć, komu mogło na tym zależeć.

Jego rodzice twierdzili, że Władimir Jakowlew - człowiek, który zajął miejsce Sobczaka - mści się na ich synu za zaangażowanie w kampanię na rzecz reelekcji poprzednika. Rzecz w tym, że nie tylko Roźdiestwienski popierał Sobczaka.

Czyżby jednak on stał się kozłem ofiarnym, ponieważ inni, a zwłaszcza Putin, tak bardzo urosli w siłę, że nie można było ich ruszyć? Być może. A może to wcale nie Jakowlew się mścił, tylko jeden z dawnych partnerów biznesowych? Do ich grona zaliczali się zarówno Putin, jak i kilku innych wpływowych petersburżan, którzy najwyraźniej uczestniczyli w tworzeniu firmy telewizyjnej powiązanej z funkcjonującymi w mieście kasynami. Tego też nie można było wykluczyć.

A może rację miał asystent Starowojtowej, który uważał, że chodzi o straszliwy szantaż ze strony pewnego przedsiębiorcy, który bez powodzenia usiłował nakłonić

Roźdiestwienskigo do sprzedaży firmy? To również było możliwe.

Odwiedzałam państwa Roźdiestwienskich wielokrotnie, ponieważ ciągle nie bardzo wiedziałam, jak przedstawić opinii publicznej historię ich syna. Im bardziej się w nią zagłębiałam, tym była mniej zrozumiała. Rzekomy szantażysta został w końcu aresztowany i oskarżony o zlecenie szeregu zabójstw, w tym zastępcy mera odpowiedzialnego za własność (majątek) miasta, mężczyzny zastrzelonego w biały dzień na Newskim Prospekcie w 1997 roku. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: o cokolwiek chodziło w sprawie Roźdiestwienskigo, miało to co najwyżej bardzo niewiele wspólnego z naruszeniem prawa, za to bardzo wiele wspólnego ze specyfiką petersburskiego życia biznesowego i politycznego.

Tymczasem z jakiegoś powodu ta sprawa i ta firma, o której większość Rosjan nigdy nawet nie słyszała, przyczyniły się do aresztowania Władimira Gusińskiego.

Usiadłam i po raz kolejny (ponieważ w ciągu ostatnich dwóch lat robiłam to już kilkakrotnie) zaczęłam przeglądać niemałą stertę papierów dokumentów, które udało mi się zgromadzić (w większości zażalenia i załączniki do nich). Chociaż, podobnie jak dwóch świetnych prawników MediaMostu, nie potrafiłam odnaleźć w nich argumentów potwierdzających zasadność aktu oskarżenia, wszystko po raz pierwszy zaczynało mieć dla mnie sens. „Nie ma żadnych zarzutów”, mówiła wyraźnie zmieszana, błyskotliwa prawniczka w średnim wieku. „Właściwie nie do końca rozumiem, o jakie przestępstwo tu chodzi. Nie wiem, skąd się wzięły podane tu liczby. Oni twierdzą, że firma została założona nielegalnie, ale powołują się przy tym na przepisy, z których nie wynika nic istotnego dla sprawy.

A nawet jeśli firma powstała z naruszeniem prawa, MediaMost nie miał z tym nic wspólnego”. Russkoje Wideo, wraz kilkunastoma regionalnymi oddziałami produkcyjnymi i spółkami zajmującymi się emisją, kupił większy podmiot gospodarczy, dążący do stworzenia ogólnokrajowej sieci rozrywkowej. Petersburska firma nie miała nawet większego znaczenia dla pozyskiwania reklamodawców.

Nabyto ją przede wszystkim ze względu na ogromną filмотekę produkcji klasy B, które się mogłaby wykorzystywać do zapełniania czasu antenowego, zanim nie przygotuje czegoś własnego. „To byłoby zabawne, gdyby nie było takie smutne.

Szkoda, że cała rosyjska przestępczość tak nie wygląda”, prawniczka wyrażała żal, że nie wszystkie nieprawidłowości są równie wątpliwe.

Rosyjska przestępczość rzeczywiście tak nie wyglądała, ale w kolejnych latach wielu Rosjan miało się zmierzyć z podobnymi oskarżeniami: sformułowanymi pośpiesznie i niedbale, pełnymi wewnętrznymi sprzecznościami. Uświadomiłam sobie, że moja pierwsza teza dotycząca Dmitrija Roźdiestwienskigo była słuszna - chyba faktycznie chodziło o osobistą

zemstę. Jej inicjatorem nie był jednak ani człowiek obecnie sprawujący władzę w Petersburgu, jak twierdzili niektórzy, ani przebywający w areszcie mafijny boss, jak spekulowali inni.

Można było odnieść wrażenie, że Dmitrij Roźdiestwienski poważnie naraził się Władimirowi Putinowi, z którym współpracował podczas nieudanej kampanii na rzecz reelekcji Sobczaka. To by wyjaśniało, dlaczego po blisko dwóch latach prowadzący sprawę prokurator sformułował pod moim adresem bardzo wyraźne ostrzeżenie właśnie podczas mojej ostatniej wizyty w Petersburgu 29 lutego 2000 roku. „Daj sobie z tym spokój”, powiedział. „Wierz mi, Masza, że nie chcesz się w to dalej zagłębiać. W przeciwnym razie pożałujesz”. Od lat pisałam artykuły o sprawach toczących się przed rosyjskimi sądami, ale takie słowa usłyszałam po raz pierwszy (czy to od oskarżonych, czy ich pozbawionych dobrych manier współpracowników). Cóż takiego ważnego i przerażającego kryło się w tej sprawie? Chyba tylko to, że została ona wszczęta z polecenia człowieka, który sprawował obecnie obowiązki prezydenta Rosji. Prokurator Jurij Waniuszyn studiował prawo razem z Putinem. Zaraz po studiach podjął pracę w prokuraturze, a Putin wstąpił do KGB. Jednak kiedy Władimir Władimirowicz na dobre wrócił do Leningradu i rozpoczął współpracę z Sobczakiem, Waniuszyn dołączył do niego w ekipie ratusza. Gdy sześć lat później Putin wyjechał do Moskwy, Waniuszyn powrócił do prokuratury i zaczął się specjalizować w „sprawach bardzo ważnych” (tak właśnie brzmiała oficjalna prawnicza kategoria). Przypadek Roźdiestwienskiego nie spełniał formalnych kryteriów pozwalających na podciągnięcie go pod tę rangę, ale najwyraźniej był bardzo ważny dla bardzo ważnych osób.

Ponieważ sprawa Roźdiestwienskiego zdawała się nie nabierać tempa, do akcji wkroczył inny bliski współpracownik Putina, Wiktor Czerkiesow, mianowany szefem petersburskiej FSB pod wpływem nacisków Putina i wbrew silnym protestom byłych dysydentów. Gdy się okazało, że kontrola skarbowa nie dostarczyła podstaw do wszczęcia postępowania karnego, to właśnie Czerkiesow wysłał Roźdiestwienskiemu pismo informujące, że nadajnik wykorzystywany przez Russkoje Wideo stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Cóż, firma przestała z niego korzystać, a po przejęciu przez inne przedsiębiorstwo sprzęt najwyraźniej przestał stanowić zagrożenie¹⁴. Rok później Czerkiesow dołączył do Putina w Moskwie, zostając jego pierwszym zastępcą w FSB.

Rodzice Roźdiestwienskiego mieli nadzieję, że ich syn zostanie zwolniony z więzienia, skoro jego stary przyjaciel Władimir Putin został najpierw szefem służb specjalnych, potem szefem rządu, a w końcu także głową państwa. Tymczasem, chociaż kolejne zarzuty upadały, Waniuszyn dbał, aby sprawa nie przycichła. Po prostu przedstawiał

kolejne, równie wątpliwe przesłanki i przedłużał odosobnienie. Pod koniec lata 2000 roku sąd w końcu wziął pod uwagę słaby stan zdrowia Roźdiestwienskigo i zwolnił go z aresztu do czasu rozpoczęcia procesu.

Roźdiestwienski zmarł w czerwcu 2002 roku, w wieku czterdziestu ośmiu lat.

Przeglądając dokumenty, które znajdowały się w moim posiadaniu od blisko dwóch lat, uświadamiałam sobie to samo, co Natalia Geworkian podczas rozmowy z Putinem o dziennikarzu Andrieju Babickim: „To mały, mściwy człowiek”. Tak to właśnie ujęła. Sprawa przeciwko Gusińskiemu miała, podobnie jak sprawa przeciwko Roźdiestwienskiemu, charakter osobistej wendety. Gusiński nie poparł Putina w wyborach. Okazywał przyjaźń i prowadził rozległe interesy z merem Moskwy Jurijem Łużkowem, liderem opozycyjnej koalicji „antyrodzinnej”. To telewizja Gusińskiego na dwa dni przed wyborami wyemitowała program o wybuchach w blokach mieszkalnych.

Aresztowanie Gusińskiego nie miało w istocie związku z firmą Russkoe Wideo. Po prostu tak się złożyło, że człowiek, który za nie odpowiadał, dysponował szczegółową wiedzą na temat tamtej sprawy - a ona nadawała się, równie dobrze jak każda inna, aby umieścić jednego z najbardziej wpływowych ludzi Rosji za kratkami. Jeżeli z dokumentami założycielskimi firmy coś było nie tak, Putin dobrze o tym wiedział. Przeglądając zgromadzone materiały, znalazłam dokument zatwierdzający powołanie jej do życia. Widniał na nim podpis Władimira Putina.

Sam Gusiński spędził w areszcie jedynie trzy dni i gdy tylko został wypuszczony za kaucją, opuścił kraj, stając się w ten sposób pierwszym uchodźcą Putinowskiego reżimu. Stało się to zaledwie pięć tygodni po inauguracji prezydentury. w przeciwieństwie DO właściciela mojej firmy, ja pozostawałam w Moskwie.

Można było odnieść wrażenie, że zgodnie z zapowiedziami prokuratora Waniuszyna nad moją głową zbierają się bardzo ciemne chmury. Napisałam o sprawie Russkiego Wideo artykuł, opublikowany kilka dni po wyjeździe Gusińskiego, do którego został dołączony odnaleziony przeze mnie dokument z podpisem Putina. Wkrótce potem przed drzwiami mojego mieszkania pojawiła się drabina - z dwudziestoczęterogodzinną obsadą. Za każdym razem, gdy otwierałam drzwi, pytałam siedzącego na niej człowieka: „Co pan tu robi?”. Odpowiadało mi warknięcie: „Naprawiam”.

Kilka dni później wyłączono mój domowy telefon. Firma telefoniczna twierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego, ale ponowne uruchomienie linii zajęło dobrych kilka dni. Klasyczne zagrywki rodem z KGB - chciano mi dać do zrozumienia, że nigdy nie jestem sama i nigdzie nie mogę czuć się bezpieczna. W tej kwestii nic się nie zmieniło od lat

siedemdziesiątych; wtedy też na klatkach schodowych umieszczano takich właśnie wątpliwych typków, by dać ludziom do zrozumienia, że są obserwowani. Ta świadomość w żadnym razie nie ułatwiała mi życia. Taktyki polegające na wzbudzaniu w ludziach niepokoju działały tak samo skutecznie jak trzydzieści lat wcześniej. Wystarczyło kilka dni, by zaczęły mną targać bliżej nieokreślone obawy.

Korzystając z nadarzającej się okazji, związanej z koniecznością przygotowania reportażu, wyjechałam na kilka tygodni z kraju. Postanowiłam poszukać innej pracy. Miałam najlepszą pracę na świecie; wprawdzie jej wykonywanie nierzadko wiązało się z realnym niebezpieczeństwem, na przykład kiedy jechało się do Czeczenii, byłej Jugosławii czy innych postsowieckich obszarów ogarniętych wojną. Nie miałam jednak zamiaru żyć w stanie nieustannego zagrożenia, choćby nawet najbardziej niedookreślonego. Amerykański tygodnik „U.S. News & World Report” szukał akurat szefa moskiewskiego biura, więc postanowiłam skorzystać z okazji.

Tymczasem Gusiński krążył między Anglią a Hiszpanią, gdzie posiadał dom, i negocjował z przedstawicielami państwa rosyjskiego kwestię przyszłości swojego medialnego imperium. Był właścicielem 60 procent akcji, 30 procent należało do Gazpromu, czyli państwowego monopolu gazowego, a pozostałe 10 procent znajdowało się w rękach osób prywatnych, przede wszystkim czołowych menedżerów firmy. Aby sfinansować rozwój sieci satelitarnej, Gusiński zaciągnął znaczny kredyt w jednym z państwowych banków. Niespełna rok wcześniej żywił jeszcze zupełnie uzasadnioną nadzieję, że jego zobowiązania zostaną anulowane; z uwagi na niegdyś bardzo bliskie relacje z Jelcynem i swoją rolę w jego reelekcji w 1996 roku, Gusiński, przynajmniej we własnym przekonaniu, miał podstawy, by tak sądzić. Tymczasem terminy spłaty niektórych pożyczek minęły, a państwo zażądało wcześniejszego uregulowania pozostałych. Żądano przy tym nie gotówki, ale akcji, aby ułatwić Gazpromowi przejęcie kontroli nad spółkami, podczas gdy Gusiński zabiegał o taką restrukturyzację długu, aby żaden z akcjonariuszy nie uzyskał pakietu kontrolnego. W ten sposób chciał zagwarantować niezależność poszczególnym redakcjom.

Temperatura negocjacji rosła, aż w końcu ktoś - każda ze stron obwiniała za to drugą - przekazał prasie dokument podpisany przez Gusińskiego przed wyjazdem z kraju. Zdawało się z niego wynikać, że główny udziałowiec zgodził się na piśmie przekazać większościowy pakiet akcji firmy Gazpromowi w zamian za wolność osobistą. Co gorsza, dokument został podpisany nie tylko przez Gusińskiego i szefa medialnego oddziału Gazpromu (utworzonego specjalnie na tę okazję), ale również przez ministra prasy Michała Lesina. Innymi słowy, mieliśmy tu do czynienia z umową typową dla świata zorganizowanej przestępczości, na

mocy której ktoś zrzeka się firmy w zamian za niezamknięcie w więzieniu. A stroną tej umowy było państwo. Po ujawnieniu dokumentu Gusiński powiedział publicznie, że minister groził mu osobiście i że zmusił go do przekazania firmy pod przymusem, „na dobrą sprawę przykładając pistolet do skroni”. Określił całe to zdarzenie mianem „wymuszenia okupu przez państwo”.

Putin odmówił komentarza w tej sprawie, nikt jednak nie miał chyba wątpliwości, że rozkaz odebrania medialnego imperium Gusińskiemu pochodził bezpośrednio od niego. Jego premier, białozębny Michaił Kasjanow, wydawał się autentycznie zaskoczony i zszokowany tymi doniesieniami, i udzielił nawet publicznej reprymendy Lesinowi przed kamerami telewizji. Trzy dni później Michaił Gorbaczow przerwał swoją polityczną emeryturę, trwającą de facto od dziewięciu lat. Spotkał się z Putinem i poprosił o uporządkowanie spraw związanych z Gusińskim. Starszy pan opuścił spotkanie przygnębiony, informując media, że Putin nie zgodził się ingerować w tę sprawę. Następnego dnia premier Kasjanow rozpoczął zebranie gabinetu od ponownego udzielenia nagany ministrowi prasy Lesinowi. Rosyjscy dziennikarze i analitycy polityczni odebrali to jako czytelny sygnał świadczący o bezradności premiera wobec sytuacji zaaranżowanej przez samego prezydenta.

W krótkim czasie ta metoda przejmowania dużych i małych prywatnych firm stała się powszechną praktyką. Takie wymuszanie okupu przez państwo nie do końca wpisywało się jednak w system polityczny ukonstytuowany za czasów Borysa Jelcyna. Jego kolejnym rządom nie udało się przekształcić rosyjskich sądów w sprawnie działający aparat sprawiedliwości, ale udało im się zasiać wśród jego przedstawicieli ziarno ambicji. Teraz te sądy, zwłaszcza niższych instancji, odrzucały przynajmniej część roszczeń Gazpromu. W jednym przypadku zdarzyło się nawet, że sąd zdecydował się oddalić sprawę przeciwko Gusińskiemu.

W rezultacie monopol państwowy potrzebował prawie roku na to, żeby przejąć kontrolę nad jego medialnym imperium. W kwietniu 2001 roku, po blisko tygodniowym impasie, w trakcie którego pracownicy NTW relacjonowali na żywo proces przejmowania firmy, stara kadra redakcyjna została zmuszona do odejścia.

Tydzień później, gdy moi dawni koledzy z magazynu „Itogi” przyszli do pracy, zastali zamknięte drzwi. Wszyscy zostali zwolnieni.

Mnie już tam wtedy nie było, ponieważ poprzedniego lata podjęłam pracę w „U.S. News & World Report”. Przedtem jednak pojechałam nad Morze Czarne, na krótkie wakacje. Zdążyłam spędzić zaledwie parę dni na słońcu i już musiałam wracać na północ. Na Morzu Barentsa tonął właśnie atomowy okręt podwodny ze 118 marynarzami na pokładzie.

Spośród wszystkich rozdzierających serce historii, które kiedykolwiek przyszło mi relacjonować, a Rosjanom śledzić, katastrofa „Kurska” była bodaj najbardziej poruszająca. Przez dziewięć dni matki, żony i dzieci przebywającej na pokładzie załogi - a z nimi cały kraj - miały nadzieję, że niektórzy marynarze wciąż jeszcze żyją. Czuwanie w całej Rosji trwało nawet wtedy, gdy wysiłki marynarki i rządu spełzły na niczym. Norwegowie i Brytyjczycy oferowali pomoc, ale ich propozycje zostały odrzucone, rzekomo ze względów bezpieczeństwa. Najgorsze było jednak to, że milczał prezydent. Akurat przebywał na wakacjach na wybrzeżu Morza Czarnego.

„Kursk” może z powodzeniem służyć jako metafora postsowieckiej rzeczywistości. Budowa okrętu rozpoczęła się w 1992 roku, niedługo po upadku Związku Radzieckiego. Okręt rozpoczął służbę w 1994 roku, czyli dokładnie w najgorszym momencie historii rosyjskiej wojskowości. Była to jednak również chwila, w której rosyjskie ambicje supermocarstwowe, odsunięte na dalszy plan w okresie rozpadu imperium, ponownie zaczynały zyskiwać na znaczeniu. Okręt atomowy był ogromny, wielki, na miarę dawnych ambicji, które miały się odrodzić wraz z nadejściem Putina i jego obietnicą potopienia wrogów w kiblu. „Kursk”, którego od momentu opuszczenia stoczni praktycznie nie konserwowano, zrealizował swoją pierwszą misję latem 1999 roku, gdy Putin doszedł do władzy. Pierwsze poważne manewry z jego udziałem miały się odbyć w 2000 roku.

Później stało się jasne, że ani okręt podwodny, ani jego załoga, ani tak naprawdę cała rosyjska Flota Północna nie byli na te ćwiczenia gotowi. W zasadzie należałoby stwierdzić, że oficjalnie ich nie planowano, po części dlatego, że poszczególne statki i ich załogi nie spełniały warunków prawnych i technicznych do udziału w operacji na taką skalę. Oficjalnie więc łódź podwodna i inne okręty zostały 12 sierpnia wezwane na „wspólny przemarsz”. Nigdy wcześniej nikt nie posłużył się tym pojęciem, w związku z czym nie istniały żadne formalne wymagania dotyczące organizacji tego typu zdarzenia. Okręt podwodny wyruszył na morze z załogą bez doświadczenia i niedostatecznie przeszkoloną. Nigdy wcześniej nie pracowała jako zespół, bo jej członkowie służyli do tej pory na różnych okrętach.

Łódź została wyposażona w torpedy szkoleniowe, z których część była już przeterminowana, a reszta niepoprawnie serwisowana. Na korpusach niektórych dawało się gołym okiem zauważyć dziury wyżarte przez rdzę, w innych zamontowano używane gumowe uszczelki, co stanowiło naruszenie przepisów bezpieczeństwa.

„Śmierć płynie z nami na pokładzie”, powiedział do matki jeden z marynarzy na sześć dni przed wypadkiem; miał na myśli torpedy.

I rzeczywiście to właśnie jedna z nich zapaliła się i eksplodowała. Na pokładzie

doszło do dwóch wybuchów. Większość załogi zginęła na miejscu, ale dwudziestu trzech ocalałych przeniosło się do nieuszkodzonej części okrętu, aby tam czekać na ratunek. Dysponowali sprzętem, który pozwalał im przetrwać przez pewien czas. Mieli prawo przypuszczać, że zostaną uratowani - przecież uczestniczyli w manewrach, w pobliżu znajdowało się kilka innych okrętów wojennych, wypadek powinien więc zostać natychmiast zauważony.

Tymczasem, chociaż norweska stacja sejsmologiczna odnotowała wstrząsy wywołane wybuchem, na rosyjskich jednostkach znajdujących się w znacznie mniejszej odległości od „Kurska” podobno niczego niepokojącego nie zauważono.

Dopiero dziewięć godzin później flota poinformowała, że doszło do wypadku.

Mniej więcej tyle czasu musiało jeszcze upłynąć, zanim o sprawie powiadomiono urlopującego się prezydenta. Rozpoczęła się akcja ratunkowa, ale uczestniczące w niej ekipy najwyraźniej nie były odpowiednio przeszkolone do wykonania tego zadania. Nie udało im się nawet połączyć z okrętem kapsuł ratunkowych.

Większość spośród dwudziestu trzech ocalałych prawdopodobnie wydostałaby się z wraku o własnych siłach (do wypadku doszło na względnie płytkich wodach), ale wbrew obowiązującym przepisom w tej części kadłuba zabrakło węża niezbędnego do przeprowadzenia procedury ewakuacji. Dwudziestu trzech członków załogi siedziało w ciemnościach, aż zapaliło się jedno z urządzeń regenerujących powietrze. W rezultacie śmierć marynarzy spowodowały trujące opary.

Przez ponad dwa dni dwudziestu trzech ludzi trwało pod wodą, wystukując sygnał SOS i starając się wesprzeć w wysiłkach ratowników, którzy z początku nie działali wcale, a później nieudolnie. Pod sam koniec sygnał brzmiał chaotycznie i rozpaczliwie; odpowiedzi nie było. Zgodnie z niepisaną zasadą floty, ratownicy zachowali ciszę, teoretycznie po to, aby nie mogły ich zlokalizować wrogie okręty. Z tego samego powodu odrzucono propozycje pomocy złożone na samym początku przez brytyjskich i norweskich nurków. Gdy w końcu, osiem dni po wypadku, Norwegowie otrzymali zgodę na wplynięcie na rosyjskie wody i zejście do okrętu podwodnego, ratownicy już za pierwszym podejściem połączyli batyskaf z wrakiem „Kurska”. Ponieważ nie od razu udało im się otworzyć właz, zastosowali specjalne narzędzie, dzięki któremu - dziewięć dni po wypadku - weszli na pokład i potwierdzili, że nikt nie przeżył katastrofy.

Przez dziesięć dni cały kraj nie spuszczał oka z ekranów telewizorów, oczekując nowych wieści o „Kursku”... Albo choćby od nowego prezydenta, który obiecywał przywrócić militarną potęgę Rosji. Na początku Putin milczał. Potem, ciągle jeszcze

przebywając na urlopie, sformułował mglisty komentarz, z którego można było wywnioskować, że odzyskanie sprzętu znajdującego się na pokładzie „Kurska” uważa za bardziej istotne od ratowania życia załogi. Siódmego dnia po katastrofie prezydent w końcu zgodził się powrócić do Moskwy; ekipa telewizyjna

(najzupełniej słusznie) przyparła go do muru w jałtańskim kurorcie nad Morzem Czarnym. „Postąpiłem właściwie”, powiedział, „ponieważ przybycie na miejsce katastrofy jakichkolwiek ludzi, którzy nie znają się na rzeczy, albo wysokich rangą urzędników w niczym by nie pomogło, a mogłoby nawet utrudniać akcję. Każdy powinien być tam, gdzie jego miejsce”.

Ta uwaga stanowiła jasny sygnał, że Putin uważa się za biurokrate - bardzo ważnego i potężnego, ale jednak biurokrate. „Zawsze sądziłam, że gdy się zostaje prezydentem, nawet jeśli zostaje się po prostu powołanym do tej roli, człowiek się zmienia”, powiedziała mi Marina Litwinowicz, błyskotliwa młoda kobieta, która pracowała nad wizerunkiem Putina przed wyborami. „Jeśli naród płacze, to trzeba płakać razem z nim”.

Gdy doszło do katastrofy „Kurska”, Litwinowicz nie miała jeszcze trzydziestu lat, a mimo to zdążyła już zostać członkiem gremium, które funkcjonowało jako stały departament medialny przy Kremlu. Raz w tygodniu szefowie trzech głównych krajowych stacji telewizyjnych oraz moja rozmówczynie spotykali się z szefem kancelarii Putina, Aleksandrem Wołoszynem, aby omówić sprawy bieżące i sposób ich relacjonowania. W sierpniu 2000 roku w spotkaniu uczestniczyły tylko trzy osoby: Litwinowicz, Wołoszyn oraz szef państwowej firmy telewizyjnoradiowej; pozostali przebywali, zwyczajem moskwian, na sierpniowych wakacjach. „Krzyczałam na Wołoszyna”, wspomina Litwinowicz. „Krzyczałam, że on [Putin] musi tam pojechać.

W końcu Wołoszyn podniósł słuchawkę, zadzwonił do Putina i powiedział: »Niektórzy tutaj uważają, że powinien pan tam jechać«. Ja tymczasem myślałam sobie, że to Putin powinien dzwonić z pretensjami: »Gdzie jest mój samolot?«. Dotarło do mnie, że gdybym nie przyszła na to spotkanie, on nie ruszyłby się na północ”. grupa wydzielonych zmilitaryzowanych miast, które stanowią bazę rosyjskiej Floty Północnej, to inny świat - zamknięty dla ludzi z zewnątrz, a wręcz im wrogi, za to generalnie podporządkowany władzom i darzący je zaufaniem. Dziennikarzom nie przyznano prawa wstępu do Widiajewa, macierzystego portu „Kurska”. Rodziny członków załogi zapakowano do wycarterowanego autobusu, który z kosmiczną prędkością przemknął przez punkty kontrolne. Kilka razy zdarzyło się, że któryś z krewnych zdobył się na odwagę i przebył na piechotę blisko pięciokilometrową trasę (inne środki transportu nie były dostępne) dzielącą Widiajewo od

punktu kontrolnego, przy którym czuwali dziennikarze. Jakaś grupa przybyłych z Widiajewa kobiet chciała nagrać na wideo apel o kontynuowanie akcji ratunkowej.

Jakaś kobieta poprosiła dziennikarzy o transport innej grupy do Murmańska.

Chciano kupić wieńce, aby móc je rzucić w morze.

Okoliczni mieszkańcy przypatrywali się ich zatroskanym twarzom ze współczuciem i strachem jednocześnie. Tutaj, w miastach zabudowanych zniszczonymi, pięciokondygnacyjnymi, betonowymi blokami, w których często w oknach brakuje szyb, a wewnątrz centralnego ogrzewania, wszyscy przywykli do związanego ze zniszczeniem niebezpieczeństwa. „Wypadki się zdarzają”, słyszałam wielokrotnie od marynarzy, ich żon i matek. W tym samym czasie kobiety uzbrojone w szczotki i wiadra szorowały chodniki i place wodą z mydłem w nadziei, że ochronią swoich przed ewentualnym promieniowaniem z „Kurska” - mimo że na oficjalnych afiszach zapewniano o braku jakiegokolwiek zagrożenia.

Dziesięć dni po katastrofie krewnych załóg zgromadzono w końcu w Sali zebrań w Widiajewie; ludzie spodziewali się zobaczyć Putina. Gdy tak czekali (a czekali długie godziny), zwrócił się do nich dowódca marynarki wojennej, admirał Władimir Kurojedow. Ten człowiek o ostrych rysach i szorstkiej cerze umiejętnie unikał odpowiedzi na pytania. Poniżej zamieszczam relację jednego z nielicznych dziennikarzy, którym pozwolono uczestniczyć w tym wydarzeniu (współautora oficjalnej biografii Putina):

- Czy wierzy pan, że oni jeszcze żyją? - padło pytanie.

A co odpowiedział admirał?

- Dobre pytanie! Zatem udzielę równie bezpośredniej odpowiedzi. Nadal wierzę, że mój ojciec, który zmarł w 1991 roku, żyje.

Kolejne pytanie było prawdopodobnie równie dobre.

- Dlaczego od razu nie poprosiliście o pomoc zagraniczną?

- Domyślam się - odpowiedział admirał - że częściej oglądacie Kanał Czwarty niż Kanał Drugi.

- Kiedy poinformowaliście władze, że nie macie niezbędnego sprzętu ratunkowego?

- Trzy lata temu - brzmiała odpowiedź.

Sądziłem, że ktoś go uderzy, tymczasem wszyscy jakby zwiędli i stracili zainteresowanie rozmową.

Kurojedow opuścił sfrustrowanych ludzi. Na miejscu pozostał wicepremier Ilja Klebanow, któremu powierzono kierowanie akcją ratunkową. Na scenę wskoczyła jakaś kobieta, chwyciła Klebanowa za kłapy marynarki i zaczęła krzyżeć: „Ty draniu, musicie się tam dostać i ich uratować!”. Gdy Putin w końcu przybył na miejsce, ubrany w czarny garnitur

i czarną koszulę (chciał w ten sposób zmanifestować żałobę, ale w efekcie wyglądał trochę jak członek mafii), tłum zaatakował także i jego. Z sali wyproszono wszystkich dziennikarzy oprócz oficjalnego biografy prezydenta. Oto fragment jego relacji ze spotkania, opublikowanej w postaci artykułu następnego dnia:

- Proszę natychmiast odwołać żałobę! - przerwał mu ktoś z drugiego końca sali. [Żałoba narodowa miała być ogłoszona następnego dnia],

- Żałobę? - zapytał Putin. - Tak samo jak wy do końca będę żywił nadzieję, nadal żywię nadzieję, że może zdarzy się cud. Fakt jednak pozostaje faktem: zginęli ludzie.

- Zamknij się! - Ktoś wykrzyknął.

- Mówię o ludziach, którzy zginęli z całą pewnością. Mamy pewność co do tego, że na pokładzie okrętu znajdują się ofiary. To właśnie na ich cześć będzie ogłoszona żałoba. Tak to właśnie wygląda.

Ktoś próbował protestować, ale Putin mu nie pozwolił.

- Proszę mnie posłuchać. Proszę posłuchać tego, co mam do powiedzenia. Proszę posłuchać! Na morzu zdarzały się tragedie, nawet wtedy, gdy zdawało się nam, że żyjemy w kraju wielkiego sukcesu. Tragedie będą się zdarzały zawsze. Nigdy jednak nie sądziłem, że sytuacja może być aż tak poważna. (...)

- Dlaczego tak długo zwlekano z wezwaniem zagranicznej pomocy? - zapytała młoda kobieta.

Na pokładzie okrętu znajdował się jej brat. Putin przez dłuższy czas wyjaśniał tę sprawę. Powiedział, że historia konstrukcji okrętu podwodnego sięga lat siedemdziesiątych, podobnie jak całego sprzętu ratowniczego znajdującego się na wyposażeniu Floty Północnej. Oznajmił, że [minister obrony] Siergiejew zadzwonił do niego trzynastego o siódmej rano i że wcześniej nie miał o niczym pojęcia. (...) Powiedział, że propozycja zagranicznej pomocy pojawiła się piętnastego i że od razu została przyjęta. (...)

- Czy my nie mamy takich nurków? - wykrzyknął ktoś rozpaczliwie.

- W tym kraju gówno mamy! - odpowiedział wściekły prezydent.

Z artykułu wynikało, że Putin spędził z rodzinami załóg dwie godziny i czterdzieści minut i że w końcu zdołał uspokoić ludzi - poniekąd dlatego, że przez ponad godzinę przedstawiał szczegóły pakietu kompensacyjnego, który zostanie im przyznany. Zgodził się również odwołać ogłoszenie żałoby narodowej, choć w praktyce - co za makabryczna ironia losu! - obchodzono ją w całej Rosji z wyjątkiem Widiajewa. Putin wyszedł jednak z tego spotkania umęczony i rozgoryczony; nie chciał już nigdy więcej narażać się na kontakt z tego typu publicznością. Już nigdy więcej po żadnej katastrofie (a tych za jego kadencji zdarzyło

się kilka) nie zdecydował się mierzyć publicznie z ludzkim cierpieniem.

W krótkim czasie doszło do dwóch zdarzeń, które utwierdziły Putina w przekonaniu, że jego wizyta w Widiajewie przebiegła fatalnie. Drugiego września, czyli trzy tygodnie po zatonięciu „Kurska”, Siergiej Dorienco, prezenter Kanału Pierwszego, który rok wcześniej wykonał większość czarnej roboty w ramach telewizyjnej kampanii Bieriezowskiego mającej na celu wykreowanie wizerunku Putina, skrytykował w swoim programie reakcję prezydenta na wieść o katastrofie okrętu. Dorienco wszedł w posiadanie nagrań ze spotkań z krewnymi i wyemitował fragmenty, na tle których relacja prezydenckiego biografisty wypadła jak dytyramb.

Można było usłyszeć tyradę Putina: „Widzieliście to w telewizji?”, wrzeszczał.

„To znaczy, że oni kłamią. Oni kłamią! Kłamią! W telewizji pracują ludzie, którzy od dziesięciu lat dążą do zniszczenia armii i marynarki. Teraz wypowiadają się tak, jakby byli największymi obrońcami wojska. A tak naprawdę chcą je wykończyć! Ukradli mu wszystkie pieniądze i teraz wszystkich przekupują, uchwalając prawo wedle własnego uznania”, zakończył przemowę przenikliwym krzykiem.

Dorienco, charyzmatyczny macho o głębokim barytonie, przez blisko godzinę rozkładał zachowanie Putina na czynniki pierwsze, odtwarzając powtórnie niektóre spośród najmniej stosownych uwag prezydenta. Koncentrował się na okresie, gdy Putin przebywał jeszcze na urlopie - opalony i rozluźniony, w jasnych ubraniach, uśmiechnięty i zaśmiewający się ze swoimi wakacyjnymi towarzyszami, przeważnie wysokiej rangi urzędnikami państwowymi. Prezenter raz po raz dowodził, że Putin kłamał. Prezydent twierdził, że przez osiem dni na morzu szalał sztorm, co utrudniało prowadzenie akcji ratunkowej, Dorienco wykazał tymczasem, że pogoda nie sprzyjała tylko przez pierwszych kilka dni, a poza tym nie miała wpływu na warunki panujące na głębokości, na jakiej znajdował się „Kursk”. Porównał Putina do ucznia, który spóźnił się na lekcje. „Nie wiemy, jaki nauczyciel miałby się nabrać na takie wykrety, wiemy natomiast, co nauczyciel mówi w tego typu przypadkach: »Nieważne, co sobie myślałeś. Interesuje mnie tylko to, żebyś pojawił się na czas«,,

Dalej skupił się na materiale nagrany podczas wywiadu Putina dla telewizji państwowej dzień po wizycie w Widiajewie. Z oficjalną i skupioną miną prezydent powiedział, że minęło zaledwie sto dni, odkąd wziął na siebie ciężar kierowania krajem. Dorienco natomiast zauważył, że w istocie upłynęło już 390 dni, odkąd Putin został mianowany premierem i namaszczony na następcę Jelcyna, i że wcześniej kierował FSB, „która przecież powinna mieć admirałów na oku”.

„Reżim nie ma do nas szacunku i dlatego nas okłamuje”, podsumował.

Wydaje mi się, że to właśnie wtedy - przeszło rok po cudownym wzlocie i sto dni po objęciu godności prezydenckiej - Putin uświadomił sobie, że oto ponosi odpowiedzialność za całą tę walącą się konstrukcję, jaką jest dawne supermocarstwo. Już nie ma prawa wściekać się na ludzi, którzy doprowadzili do upadku radzieckiej potęgi wojskowej i utraty dumy imperialnej; wraz z objęciem urzędu dla wielu rodaków stał się bowiem jednym z nich. Przeszedł przeobrażenie dość typowe dla wieloletnich polityków opozycji, którzy nagle dochodzą do władzy.

Rzecz w tym, że Putin nigdy nie był politykiem, w związku z czym jego gniew zawsze miał charakter prywatny, a tymczasem teraz upokorzenie dokonało się publicznie. Prezydent mógł się poczuć oszukany. Ludzie, przeciwko którym skierował swoją tyradę, gdy w Widiajewie puścili mu nerwy (ci sami, którzy znieważali wojsko w telewizji i uchwalali „prawo wedle własnego uznania”), wynieśli go do władzy, żeby zrobić z niego frajera. A teraz wykorzystywali swoje stacje telewizyjne, aby upokorzyć go jeszcze bardziej.

Sześć dni po programie Doriienki Putin pojawił się w telewizji CNN, w Larry King Live. Gdy King zapytał: „Co się stało?”, Putin wzruszył ramionami, uśmiechnął się - jak się zdawało, figlarnie - i powiedział: „Okręt zatonął”. Stwierdzenie to zyskało sobie złą sławę - zostało odebrane jako cyniczne, lekceważące i wysoce obraźliwe wobec wszystkich tych, których dotknęła tragedia. Dopiero dziesięć lat później, podczas przeglądania zapisu tamtej rozmowy, uświadomiłam sobie, co Putin usiłował wówczas wyrazić. Dawał widzom do zrozumienia, że nie ma zamiaru posługiwać się wyjaśnieniem, które podsuwali mu niektórzy marni rosyjscy spin doktorzy, że „Kursk” zderzył się z amerykańskim okrętem podwodnym.

„Nie warto zawracać sobie głowy tą szaloną teorią spiskową”, usiłował przekazać wzruszeniem ramion. - „Okręt po prostu zatonął”.

Świat jednak usłyszał zupełnie coś innego i Putin otrzymał nauczkę. Telewizja, ta sama telewizja, która go wykreowała i która w mgnieniu oka uczyniła z niego prezydenta, mogła zwrócić się przeciwko niemu. Mogła go równie szybko i z jednakową łatwością zniszczyć.

Dlatego też Putin wezwał Bieriezowskiego, niegdysiejszą szarą eminencję i człowieka, który obecnie sprawował kontrolę nad Kanałem Pierwszym, i zażądał od oligarchy przekazania pakietu akcji w spółce. „Odmówiłem, w obecności [szefa kancelarii] Wołoszyna”, powiedział mi Bieriezowski. „Wtedy Putin zmienił ton i powiedział: »W takim razie do zobaczenia później, Borysie Abramowiczu«, po czym wstał, żeby wyjść. Powiedziałem: »Wołodia, już się więcej nie zobaczymy«.

Ten patetyczny akcent stanowił zakończenie rozmowy. Gdy wyszedł, zwróciłem się

do Wołoszyna: »Sasza, co myśmy zrobili? Przekazaliśmy władzę czarnym pułkownikom?«. Wołoszyn podrapał się po głowie i odparł: »Nie wydaje mi się«,.

Wiele lat później, zeznając przed sądem w Londynie, Wołoszyn nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów tamtego spotkania. Powiedział tylko, że miało ono na celu poinformowanie Bieriezowskiego, że „komedia skończona”.

Bieriezowski twierdzi, że zaraz potem usiadł i napisał kilka słów do swojego dawnego protegowanego, a następnie poprosił szefa kancelarii o przekazanie listu.

„Napisałem o amerykańskim dziennikarzu, który powiedział kiedyś, że każdy złożony problem ma zawsze jedno proste rozwiązanie i że to rozwiązanie jest zawsze złe. Napisałem mu, że Rosja to potwornie złożony problem i że popełnia potworny błąd, sądząc, że można go rozwiązać prostymi metodami”. Bieriezowski nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Kilka dni po napisaniu listu wyjechał do Francji, a potem przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie dołączył do dawnego rywala, Gusińskiego, również przebywającego na politycznym wygnaniu.

Wkrótce potem w Rosji na Borysa Abramowicza wydano nakaz aresztowania, a ten zrzekł się swoich udziałów w Kanale Pierwszym.

Nie minęły trzy miesiące od rozpoczęcia prezydenckiej kadencji, a pozbawiono wpływów i praktycznie wygnano dwóch najbogatszych ludzi w kraju. W ciągu niespełna roku od objęcia władzy przez Putina wszystkie trzy federalne stacje telewizyjne znalazły się pod kontrolą państwa.

„zawsze mówiłam ludziom, że nie warto na własne życzenie pakować się do więzienia”, powiedziała Jelena Bonner, wdowa po Andrieju Sacharowie, małej grupie dziennikarzy w listopadzie 2000 roku w Moskwie. Twierdziła, że Bieriezowski zadzwonił do niej latem, żeby poprosić o radę, a ona zasugerowała mu, by pozostał za granicą. „Jeszcze w czasach dysydenckich zawsze namawiałam do emigracji osoby, którym groziło niebezpieczeństwo”, wyjaśniła. Zwołała konferencję prasową, aby poinformować, że Bieriezowski wsparł finansowo zagrożone zamknięciem muzeum im. Sacharowa i Centrum Praw Człowieka w Moskwie.

„Jakich paskudnych czasów dożyliśmy”, oświadczył dyrektor muzeum, były dysydent Jurij Samodurov, „skoro musimy stawać w obronie ludzi, których wcale nie lubimy, takich jak Gusiński czy Bieriezowski. Kiedyś żyliśmy w państwie totalitarnym, które cechowały przede wszystkim dwie rzeczy: wszechobecny terror i wszechobecne kłamstwo. Mam nadzieję, że na wszechobecny terror nie ma już w naszym kraju miejsca, ale właśnie wkraczamy w nową epokę wszechobecnego kłamstwa”.

Rozdział ósmy

DEMONTAŻ DEMOKRACJI

System polityczny zmieniał się tak szybko, że nawet aktywiści i analitycy potrzebowali trochę czasu, żeby się w tym odnaleźć. W grudniu 2000 roku uczestniczyłam w debacie z udziałem politologów, poświęconej analizie wydarzeń, które dokonały się w ciągu roku od objęcia władzy przez Putina. („Rok Putina”, debata przeprowadzona w Moskwie 26 grudnia 2000 roku. Uczestniczyli w niej m.in. Leonid Ionin, dziekan politologii stosowanej w Wyższej Szkole Ekonomii, deputowany do Dumy Wiaczesław Igrunow, doradca polityczny Simon Kordonski, filozof

Aleksander Cypko oraz Andriej Riabow z Carnegie Center).

- Przez niego Rosja pozostaje w zawieszaniu - powiedział jeden z nich, człowiek po pięćdziesiątce o pięknych rysach twarzy i oczach schowanych za szklami w drucianej oprawie. - To niekoniecznie źle. Ludzie mają wrażenie stabilizacji.

Tylko co dalej?

- Można odnieść wrażenie, że rewolucja się skończyła. - Były dysydent o zmierzwionej szpakowatej czuprynie i takiej samej brodzie miał chyba na myśli powrót społeczeństwa do stanu przed postradzieckiego. - Na nowo doceniamy naszą kulturę, tradycje. Kraj stara się przystosować stare zwyczaje do nowej rzeczywistości.

- Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek cokolwiek z tego jeszcze rozumiał - rzekł głębokim głosem trzeci dyskutant, mężczyzna o bardzo wydatnym nosie. Osobiście uważałam go za najmądrzejszego wśród zgromadzonych. Dodatkowo, jako pracownik prezydenckiej administracji, dysponował rzetelną wiedzą.

- Wszystkie zmiany, które dokonały się w ubiegłym roku, dotyczyły sfery świadomości publicznej - odezwał się liberalny politolog, który zyskał rozgłos w czasach pieriestrojki. - Naród wydobył się ze stanu depresji. Jednak najtrudniejszą politycznie epokę mamy dopiero przed sobą, ponieważ nacjonalizmy zawsze pobrzmiwają najmocniej.

- On musi spełnić pokładane w nim oczekiwania - sprzeciwił się naukowiec z młodszego pokolenia, postawny człowiek o czarnych, krzaczastych brwiach.

Ostatni dyskutant najwyraźniej nie wyzbył się jeszcze mentalnych przyzwyczajęń z lat dziewięćdziesiątych, gdy media i parlament mogły wezwać prezydenta do raportu, co zresztą czyniły wielokrotnie (w 1999 roku próbowano nawet przeprowadzić próbę impeachmentu Jelcyna). Jego poprzednik natomiast, który kiedyś pełnił funkcję głównego doradcy

ideologicznego Michaiła Gorbaczowa, trafnie oceniał tamte czasy: jako krótki epizod quasidemokracji, ulotną wizję, szczęśliwy traf. „Oni wygrali, moi drodzy”, powiedział Aleksander Cypko do uczestników dyskusji. „Rosja jest wielkim krajem, krążącym po nieukształtowanej politycznej orbicie, a pustą przestrzeń próbuje się wypełnić hymnem narodowym, dwugłowym orłem i trójkolorową flagą. Symbolami radzieckiego nacjonalizmu”.

Niedookreślenie rosyjskiej tożsamości przejawiało się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku między innymi w trudnościach z utrwaleniem świeżych ikon państwowości. Po zapewnieniu sobie suwerenności, w 1991 roku, kraj niemal natychmiast ogarnęły swego rodzaju rewolucyjne wyrzuty sumienia, w związku z czym usuwanie starej symboliki i wprowadzanie na jej miejsce nowej okazało się bolesnym, a ostatecznie niewykonalnym zadaniem. Miejsce radzieckiej flagi zajęła od razu białoniebieskoczerwona, która wcześniej powiewała nad Rosją zaledwie przez osiem miesięcy - od wybuchu rewolucji burżuazyjnej w lutym 1917 roku do rewolucji bolszewickiej w październiku. W godle państwowym zachowano natomiast czerwoną gwiazdę, sierp i młot oraz kłosa pszenicy, które w czasach radzieckich wcale nie ironicznie oznaczały dobrobyt. Wprawdzie parlament wielokrotnie debatował nad wyglądem godła, ale ostatecznie w połowie 1992 roku udało się ustalić jedynie, że skrót RFSRR (od: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka) zostanie zastąpiony słowami „Federacja Rosyjska”. Pod koniec 1993 roku dekretem Jelcyna zatwierdzono, że odtąd Rosję miał symbolizować dwugłowy orzeł (podobnie jak Albanie, Serbie i Czarnogórę, jeśli chodzi o współczesne państwa), ale dopiero w grudniu 2000 roku, już pod rządami Putina, parlament przyjął w końcu stosowną ustawę wskazującą dwugłowego orła jako godło państwowe.

Jeszcze większym wyzwaniem okazał się hymn państwowy. Pieśń Patriotyczna, żywa melodia przypisywana XIXwiecznemu kompozytorowi Michaiłowi Glince, została uznana za hymn RFSRR w listopadzie 1990 roku, stając się następnie hymnem Federacji Rosyjskiej. Był to hymn bez słów. Co gorsza, okazało się, że trudno je dopisać, ponieważ melodia wymusza zastosowanie wyjątkowo krótkich wersów, których użycie doprowadziłoby do lekko absurdalnych rezultatów (rosyjskie słowa do najkrótszych nie należą). Aby wyłonić jak najlepszy tekst do utworu Glinki, media organizowały liczne konkursy, ale zgłaszane propozycje można było wykorzystać co najwyżej w celach humorystycznych. W związku z powyższym uznanie dla Pieśni Patriotycznej jako hymnu stopniowo malało.

Radziecki hymn, z którego zrezygnowano na rzecz kompozycji Glinki, miał zresztą dość skomplikowaną historię. Muzykę w 1943 roku napisał Aleksander Aleksandrow, a słowa

wyszły spod ręki autora wierszy dla dzieci Siergieja Michalkowa; pieśń wychwalała Lenina, Stalina i marsz ku zwycięstwu komunizmu pod ludowym sztandarem. Po śmierci Stalina, gdy w 1956 roku jego następca Nikita Chruszczow zanegował kult jednostki, zrezygnowano z wykonywania tekstu. Przez dwadzieścia jeden lat hymn pozostawał wyłącznie w wersji instrumentalnej, a w Związku Radzieckim trwały poszukiwania odpowiedniego poety, który opisałby poststalinowską tożsamość kraju. W 1977 roku (byłam wtedy w trzeciej albo czwartej klasie) hymn nagle odzyskał słowa, a uczniowie musieli je sobie czym prędzej przyswoić. Dlatego też na tylnej okładce każdego zeszytu produkowanego tamtego roku w Związku Radzieckim znajdował się nowy tekst do starej melodii (zwykle w tym miejscu umieszczano tabliczkę mnożenia albo reguły odmiany czasowników nieregularnych), napisany przez równie starego, tego samego autora dziecięcej poezji - wtedy już człowieka sześćdziesięcioletniego. Tym razem nie słał konkretnych ludzi, lecz leninowską partię.

Tymczasem zawirowania wokół Pieśni Patriotycznej trwały. Jesienią 2000 roku grupa rosyjskich olimpijczyków podczas spotkania z Putinem poskarżyła się na brak hymnu, który można by śpiewać. Twierdzili, że to odbiera im motywację do rywalizacji i pozbawia zwycięstwa głębi. Ich zdaniem, stary hymn radziecki był pod tym względem znacznie lepszy. W rezultacie stalinowska melodia powróciła do łask, tyle że w kolejnej wersji tekstowej (notabene tego samego poety, teraz już siedemdziesięciosiedmioletniego), podkreślającej ludową mądrość przodków. Prezydent przedłożył parlamentowi projekt ustawy, który został sprawnie zatwierdzony.

Nowy stary hymn odegrano po raz pierwszy na zgromadzeniu Dumy w styczniu 2001 roku. Wszyscy wysłuchali go na stojąco, z wyjątkiem dwóch dysydentów: Siergieja Kowalowa i Julija Rybakowa. „Spędziłem sześć lat w więzieniu, słuchając tej melodii”, powiedział Rybakow (radziecki hymn narodowy odgrywano każdego dnia na rozpoczęcie i zakończenie emisji programu radiowego, który w obozach przez cały czas dobiegał z głośników). „Trafiłem do więzienia, ponieważ walczyłem z reżimem, który go stworzył i który wysyłał ludzi do obozów i wykonywał egzekucje przy jego dźwiękach”.

Rybakow i Kowalow to jednak zaledwie dwóch spośród 450 posłów do Dumy, gdzie dysydenci zawsze stanowili nieliczną mniejszość. Radziecki etos został przywrócony, a ludzie, którzy uważali rewolucję 1991 roku za swój czas, zdecydowanie odsunięci na margines. Niebawem przyszedł czas i na ukonstytuowany w latach dziewięćdziesiątych XX wieku parlament, który w ówczesnym kształcie przestał istnieć. w dniu 15 maja 2000 ROKU, na sześć dni przed oficjalną inauguracją kadencji prezydenckiej, Putin podpisał swój pierwszy

dekret i przedłożył propozycję pakietu ustaw, które wszystkie miały na celu - jak to ujął - „wzmocnienie osi władzy”. Stały się początkiem głębokiej restrukturyzacji porządku federalnej Rosji. Inaczej rzecz ujmując, zapoczątkowały demontaż istniejących w kraju demokratycznych struktur. Jeden z tych aktów prawnych przewidywał rezygnację z wyboru członków wyższej izby parlamentu na rzecz ich mianowania: po dwóch z każdego z osiemdziesięciu dziewięciu regionów Rosji; jednego nominowałby gubernator, drugiego zaś władza ustawodawcza. Inna ustawa pozwalała usuwać z urzędu gubernatorów powoływanych w drodze wyboru, gdyby zaistniało choćby podejrzenie nieprawidłowości (decyzja sądu nie była potrzebna). Na mocy dekretu prezydent delegował swoich przedstawicieli do siedmiu dużych okręgów, z których każdy obejmował kilkanaście regionów zarządzanych przez obieralnych przedstawicieli władzy ustawodawczej i gubernatora. Mianowani przez prezydenta wysłannicy mieli nadzorować ich pracę.

Putin usiłował się w ten sposób uporać z bardzo realnym problemem. W 1998 roku, gdy Rosja straciła zdolność obsługi zadłużenia zagranicznego i pogrążyła się w głębokim kryzysie ekonomicznym, Moskwa zapewniła regionom szeroką autonomię w zakresie zarządzania lokalnym budżetem, wyznaczania stawek podatkowych i pobierania podatków oraz prowadzenia polityki gospodarczej.

Z tych i innych powodów Federacja Rosyjska stała się strukturą tak słabo powiązaną, że w przypadku dalszego rozluźnienia nie można by już, przynajmniej teoretycznie, mówić o istnieniu jednego państwa. W obliczu realnego problemu liberalni politycy rosyjscy, którzy jeszcze wtedy wierzyli, że Putin jest jednym z nich, nie krytykowali tego rozwiązania, chociaż stało ono w jawnej sprzeczności z duchem, a być może nawet i z literą, konstytucji z 1993 roku.

Wśród siedmiu namiestników Putina znalazło się tylko dwóch cywilów, z czego jeden najprawdopodobniej pracował kiedyś jako tajny agent KGB. (Leonid Draczewski, pracował w rosyjskich placówkach dyplomatycznych w Hiszpanii i w Polsce). Wysłannikami zostało dwóch oficerów KGB z Leningradu (Wiktor Czerkiesow i Georgij Połtawczenko), jeden generał milicji (Piotr Łatyszew) oraz dwóch generałów armii, którzy dowodzili oddziałami w Czeczenii (Wiktor Kazancew i Konstantin Pulikowski). Teraz więc nadzór nad pracą gubernatorów, wyłanianych w powszechnych wyborach, sprawowali mundurowi. Mało tego, rząd federalny mógł usunąć ze stanowiska gubernialne władze z byle powodu.

Odosobniony sprzeciw wobec nowych rozwiązań prawnych zgłaszał Borys Bieriezowski, a ściślej rzecz biorąc, mój stary znajomy Aleks Goldfarb, przebywający na emigracji niegdysiejszy dysydent, który jeszcze rok wcześniej gotów był ulec urokowi Putina.

To on napisał błyskotliwą krytykę prezydenckiego dekretu i projektów ustaw, która została opublikowana pod nazwiskiem Bieriezowskiego w „Kommiersancie”. „Chcę podkreślić, że za najważniejszy owoc prezydentury Jelcyna należy uznać zmianę mentalności milionów ludzi: ci, którzy byli kiedyś niewolnikami w pełni zależnymi od woli swoich szefów lub państw, stali się wolnymi ludźmi, decydującymi o własnym losie”, napisał. „W społeczeństwie demokratycznym prawa istnieją po to, aby chronić wolność jednostki. (...) Proponowane ustawy spowodują ograniczenie niezależności i wolności obywatelskich dziesiątek tysięcy rosyjskich polityków wysokiego szczebla, ponieważ zmuszą ich do podporządkowania się jednej osobie i postępowania zgodnie z jej wolą. Już to przerabialiśmy!”. (Borys Bieriezowski, Liczyne swobody - główny zakon diemokraticzeskiego obszczestwa. Odkrytoje pis'mo priezidentu Rossijskoj Fiedieracyi Władimiru Putinu, „Kommiersant”,

31 maja 2000).

Nikt nie zwrócił na ten głos uwagi.

Natomiast ustawy gładko przeszły przez parlament. Powołanie prezydenckich przedstawicieli przyjęto bez protestów. Zaraz potem stało się dokładnie to, co przewidywał w swoim liście Bieriezowski, przy czym zachodzące zmiany daleko wykraczały poza ramy prawne ustanowione przez Putina. Coś się zmieniło, nagle i zauważalnie, jak gdyby dźwięki nowego, starego radzieckorosyjskiego hymnu narodowego zwiastowały wszystkim nastanie nowej ery. W całym kraju w ludziach obudziły się na nowo radzieckie instynkty, w jednej chwili wstąpił w nich radziecki duch.

Ta przemiana wymykała się jednak prostym pomiarom. Pewna genialna doktorantka z Uniwersytetu Moskiewskiego doszła do wniosku, że za pomocą prostych narzędzi badania nieprawidłowości praktyk wyborczych, takich jak rejestry naruszeń (tych odnotowywano coraz więcej; codzienną praktyką stało się głosowanie niejawne czy grupowe, bądź dokumentowanie fałszerstw (zadanie niemal niewykonalne), nie da się ocenić czegoś tak efemerycznego jak kultura. Daria Orieszkina wprowadziła więc pojęcie „szczególnej kultury wyborczej”. (Dla pełnej jasności: kilka lat po obronie pracy na ten temat Daria została moją życiową Partnerką). Dotyczyło ono sytuacji, w której formalnie wolne wybory zostają zaaranżowane przez lokalne władze w taki sposób, aby uzyskany wynik okazał się zgodny z oczekiwaniami ośrodka centralnego. Wskazała statystyczne wyznaczniki tego typu zjawiska, do których zaliczają się w szczególności: nadzwyczajnie wysoka frekwencja wyborcza oraz uderzająco duża przewaga lidera wyścigu. Orieszkina zdołała również udowodnić, że z czasem liczba obszarów, na których „szczególna kultura wyborcza” ma wpływ na wynik głosowania, stopniowo rośnie, i to w szybkim tempie. Innymi słowy, wraz z każdymi

kolejnymi wyborami, niezależnie od szczebla, Rosjanie w coraz większym stopniu zrzekają się prawa do decydowania o sobie na rzecz władzy. (Daria Orieszkina, Kartograficzny miedod w issledowanii elektoralnogo prowadienija nasielenija Rossijskoj Fiedieracyi, rozprawa doktorska obroniona na Uniwersytecie Moskiewskim w 2006 roku). „Geografia zniknęła”, stwierdziła później, chcąc przez to powiedzieć, że cały kraj przekształcił się w niezróżnicowaną, uporządkowaną przestrzeń.

Gdy w marcu 2004 roku Putin ubiegał się o reelekcję, miał do fotela prezydenckiego pięcioro konkurentów. Aby do tego wyścigu dołączyć, jego rywale musieli pokonać szereg istotnych przeszkód. Tuż przed rozpoczęciem kampanii zaczęły obowiązywać przepisy wymagające notarialnego poświadczenia obecności i podpisów wszystkich zgromadzonych podczas spotkania, na którym doszło do nominacji. Ponieważ zgodnie z prawem w takim zebraniu powinno uczestniczyć co najmniej pięćset osób, same czynności wstępne zabierały cztery do pięciu godzin.

Uczestnicy musieli stawić się na miejscu i poświadczyć swoją obecność już w połowie dnia, aby spotkanie mogło rozpocząć się wieczorem. Potem kandydat miał kilka tygodni na zebranie dwóch milionów podpisów, podczas gdy stare prawo wymagało dwukrotnie mniej podpisów i przyznawało dwukrotnie więcej czasu na ich gromadzenie. Co jednak ważniejsze, nowe zasady dokładnie precyzowały, jak taki podpis powinien wyglądać. Centralna Komisja Wyborcza odrzuciła setki tysięcy podpisów z powodu naruszeń, takich jak zastosowanie zapisu „St. Petersburg” zamiast „Sankt Petersburg” albo pominięcie słowa „budynek” czy „mieszkanie” w polu adresowym.

Jeden z kolegów Putina z petersburskiego ratusza powiedział mi wiele lat później, że jako zastępca Sobczaka Putin otrzymał „silną szczepionkę przeciwko procesowi demokratycznemu”. Sobczak i on padli ostatecznie w Petersburgu ofiarą groźnych demokratycznych sił, więc teraz Putin, już jako głowa kraju, przywracał mechanizmy kontroli z późnego okresu radzieckiego. Budował tyranie biurokracji. Radziecka demokracja była tak ociężała, niezrozumiała i nieprzychylna, że aby funkcjonować w jej ramach, trzeba się było uciekać do korupcji, w której jako waluta służyły zarówno pieniądze, jak i osobiste przysługi. W rezultacie system stał się nieskończenie elastyczny, a „szczególna kultura wyborcza” funkcjonowała tak dobrze.

Podczas samego głosowania międzynarodowi obserwatorzy i przedstawiciele rosyjskich organizacji pozarządowych zgromadzili dokumenty poświadczające liczne naruszenia zasad demokracji, w tym: usunięcie z listy ponad miliona ludzi w podeszłym wieku i innych osób, których nie spodziewano się zobaczyć przy urnach (gdy poszłam

głosować, zauważyłam, że na liście nie zostało uwzględnione nazwisko mojej osiemdziesięcioletniej babci; poza tym, dziwnym zbiegiem okoliczności, mój okręg wyborczy miał siedzibę drzwi w drzwi z biurem rządzącej partii Jedna Rosja), dostarczanie wypełnionych kart na oddziały psychiatryczne, odwiedzanie przez członków komisji wyborczych starszych osób uprawnionych do głosowania i opuszczanie w pośpiechu ich mieszkań, jeśli starszycy zamierzali głosować na kogoś innego niż Putin, informowanie pracowników przez menedżerów lub rodziców przez dyrekcje szkół, że ich umowy bądź dalsze finansowanie oświaty zależy od wyniku wyborów. Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że żadne tego typu działania nie zostały bezpośrednio zlecone przez Kreml. Wiedzeni radzieckim instynktem ludzie po prostu robili, co mogli, dla swojego prezydenta.

Podczas kampanii opozycyjni kandydaci nieustannie spotykali się z odmową wydrukowania ich materiałów promocyjnych, emisji spotów wyborczych czy wynajęcia przestrzeni na organizację spotkań czy imprez. Jak dowiedziałam się od Jany Dubiejkowskiej, kierującej kampanią lewicująco-narodowego ekonomisty Siergieja Głaziewa, znalezienie drukarni skłonnej przyjąć od tego kandydata pieniądze zajęło wiele dni. Gdy próbował zorganizować spotkanie wyborcze w Jekaterynburgu, największym mieście na Uralu, milicja nagle wyrzuciła wszystkich z budynku pod pozorem zagrożenia wybuchem bomby. W Niżnim Nowogrodzie, trzecim co do wielkości mieście Rosji, wyłączono prąd, zanim jeszcze rozpoczęło się przemówienie Głaziewa. Wszystkie zresztą kolejne imprezy wyborcze w tym mieście odbywały się na wolnym powietrzu, ponieważ nikt nie chciał wynająć lokalu „niesłusznemu” kandydatowi.

Mniej więcej w okresie tamtych wyborów przeprowadziłam wywiad z jednym z moich dalszych znajomych, trzydziestojednoletnim wicedyrektorem ds. programów informacyjnych Ogólnorosyjskiej Telewizji Państwowej. Osiem lat wcześniej Jewgienij Riewienko został najmłodszym reporterem ogólnokrajowej stacji telewizyjnej, niezależnej NTV Gusińskiego i szybko zasłynął jako jeden z najbardziej przedsiębiorczych i zdeterminowanych. Od tamtego czasu jego podejście do pracy musiało jednak ulec zdecydowanej zmianie. „Kraj taki jak Rosja potrzebuje telewizji, która sprawnie przekazuje płynące z rządu komunikaty”, wyjaśniał. „Państwo rosnące w siłę powinno móc przekazywać swoje przesłanie w sposób bezpośredni, bez jakiegokolwiek interpretacji”. W prosty sposób charakteryzował politykę redakcyjną swojej stacji: „Przedstawiamy negatywne historie - na przykład doniesienia o katastrofie, jeśli do takowej dojdzie - ale ich aktywnie nie szukamy. Nie szukamy też pozytywnych historii, chociaż to właśnie na nich staramy się skupiać uwagę

naszych widzów. Nigdy nie spekulujemy o przyczynach różnych zdarzeń, na przykład zwolnienia urzędnika, nawet jeśli są nam one znane. Informacje czerpiemy wyłącznie z oficjalnych rządowych oświadczeń. Tak czy owak, rządzi tym prosta logika. Jesteśmy telewizją państwową. Nasz kraj to republika prezydencka. A to oznacza, że prezydenta się nie krytykuje”. Siedząc nad szklanką piwa w irlandzkim pubie w centrum Moskwy, Riewienko przyznał, że (wprawdzie sporadycznie) zdarza mu się myśleć, iż musi tłumić własną kreatywność. „Wtedy mówię sobie: »Tak to jest w tej pracy«,.. Cóż, dorastał w wojskowej rodzinie, sam też przeszedł przeszkolenie wojskowe. To mu z pewnością nie zaszkodziło.

Rosja radziecka w końcowym okresie istnienia w znacznym stopniu opierała się wykorzystywaniu mas i karaniu nielicznych; tym ostatnim zajmowało się KGB.

Teraz zaś ten system został - w mniejszym lub większym stopniu - przywrócony.

Zdecydowana większość z entuzjazmem podporządkowywała się nakazom władzy, a pozostali musieli zapłacić za sprzeciw. Marina Litwinowicz, młoda kobieta, która pomogła wykreować wizerunek Putina i zachęcała go do rozmów z rodzinami załogi „Kurska”, teraz kierowała kampanią jego jedyne liberalnego oponenta w osobie byłej posłanki do parlamentu Iriny Hakamady (która cztery lata wcześniej również popierała Putina). Gdy podczas kampanii Litwinowicz odebrała telefon i usłyszała w słuchawce: „Wiemy, gdzie mieszkasz i gdzie twoje dziecko bawi się na podwórku”, natychmiast zatrudniła ochroniarza, który miał czuwać nad jej trzyletnim synkiem. Sama została obrabowana i pobita. Janę Dubiejkowską, szefową kampanii Głaziewa, spotkało dokładnie to samo, a dodatkowo pewnego razu stwierdziła, że przecięto w jej samochodzie przewody hamulcowe.

Do nieco mniej drastycznych metod prześladowań należały włamania do lokali.

W miesiącu poprzedzającym wybory ktoś włamał się do mieszkań opozycyjnych dziennikarzy i aktywistów Komitetu 2008 - grupy stawiającej sobie za cel doprowadzenie do bardziej uczciwej elekcji za cztery lata. Do takich zdarzeń doszło jednocześnie w różnych częściach Moskwy; u mnie nastąpiło to w lutym. Zabrano jedynie laptopa, twardy dysk z komputera stacjonarnego oraz telefon komórkowy.

Na wieczór wyborczy Hakamada zaplanowała wielką uroczystość dla uczczenia przegranej. Jej przedstawiciele wynajęli przestronną restaurację z dekoracjami w stylu meksykańskim. Nie pożałowano pieniędzy na łososie, homary, karczochy i szwedzki stół. W kolejce do mikrofonu ustawiały się znane zespoły muzyczne, a konferansjerkę prowadził popularny dziennikarz rockowy. Nikt nie przyszedł. Kelnerek było więcej niż gości, karczochy marniały na talerzach, a mimo to organizatorzy drobiazgowo sprawdzali, czy wszyscy zaproszeni znajdują się na przygotowanej liście. Rosyjscy liberałowie nie mogli się

pogodzić z zepchnięciem ich na margines.

Obserwując zgromadzonych gości, doszłam do wniosku, że nie ma się co dziwić, w końcu trochę to trwało. Po czterech latach rządów Putina nieliczne grono liberałów, którzy zdecydowali się przejść do opozycji, nadal zachowywało osobiste kontakty z wieloma dawnymi współwyznawcami doktryny, teraz częścią rosyjskiego establishmentu politycznego. Marina Litwinowicz siedziała prawie sama po jednej stronie długiego, dębowego stołu w pustej jadalni przy głównym holu. Miejsce obok niej zajmował Andriej Bystricki, wiceprezes państwowego konglomeratu telewizyjnoradiowego. Rudobrody czterdziestoparolatek, ceniący sobie uroki życia, narzekał na wino. „Jest nie gorsze niż nasz wynik wyborczy”, odparła Litwinowicz. Bystricki natychmiast zamówił do stolika butelkę za sto dolarów, potem kolejną. Można było odnieść wrażenie, że próbuje pozbyć się poczucia winy. Każdemu, kto tylko chciał go słuchać, powtarzał, że głosował na Hakamadę i nawet polecił zrobić to samo dwójce swoich wizażystów. Oczywiście, oprócz tego prowadził też relację z kampanii wyborczej, którą oglądano w mniej więcej czterdziestu pięciu milionach rosyjskich domów, a w relacjach w kółko powtarzał widzom, że powinni wybrać Putina. Tak właśnie postąpiło siedemdziesiąt jeden procent głosujących.

Trzy dni po wyborach spotkałam się z Bystrickim w jego biurze. Zналиśmy się od lat (od połowy lat dziewięćdziesiątych był moim redaktorem w „Itogach”), nie było więc sensu owijać w bawełnę.

„Powiedz mi”, zapytałam, „jak to jest, że prowadzisz propagandę dla reżimu Putina?”.

Bystricki niespokojnie wzruszył ramionami i skupił się na tym, żeby mnie odpowiednio ugościć. Zaproponował herbatę, ciasteczka, czekoladki, ptasie mleczko, a w końcu też płytę CD z nagraniami przemów, zdjęciami oraz relacjami wideo dokumentującymi aktywność prezydenta. Na okładce znajdowało się pięć ujęć Putina: z miną poważną, skupioną i zafascynowaną oraz z oficjalnym i nieoficjalnym uśmiechem. Zdjęcie z miną poważną zostało przedrukowane w wielu materiałach; tylko w dzień wyborów natknęłam się na nie na okładkach szkolnych zeszytów. Jako portret w ramce sprzedawane było na pocztę główną w Moskwie (w atrakcyjnej cenie 1,5 dolara za zdjęcie w formacie pocztówkowym) oraz na różowych, białych i niebieskich balonach oferowanych na placu Czerwonym. Handel takimi gadżetami w dzień głosowania stanowił jawne naruszenie prawa wyborczego.

„Właściwie to nie uprawiamy propagandy”, powiedział Bystricki, rozsiadając się w skórzanym fotelu. „Weźmy choćby wybory”. Po latach dziewięćdziesiątych pozostał w rosyjskim prawie przepis wymuszający na środkach masowego przekazu zapewnienie wszystkim kandydatom równego dostępu do widzów i czytelników. Bystricki miał już pod

ręką odpowiednie liczby, dość zresztą zabawne. Z jego danych wynikało, że prezydent tylko raz podjął działalność wyborczą. Chodziło o spotkanie z aktywistami na rzecz jego kampanii. Co z tego, jeśli relację z dwudziestodwujęciominutowego spotkania trzykrotnie wyemitowano w całości w trakcie standardowego programu informacyjnego, który został w tym celu specjalnie wydłużony. Podczas kampanii co drugi dzień państwowa stacja telewizyjna pokazywała Putina w wiadomościach (zwykle w głównym wydaniu), Bystricki twierdził jednak, że relacje nie dotyczyły jego działalności wyborczej, lecz normalnej aktywności prezydenta. Jak jednak wynikało z prowadzonych na szeroką skalę analiz Rosyjskiego Związku Dziennikarzy, Putinowi poświęcono tam siedmiokrotnie więcej czasu niż Hakamadzie czy kandydatowi partii komunistycznej. W przypadku innych kandydatów statystyki wyglądały nawet gorzej. Jeszcze mniej korzystnie przedstawiała się sytuacja opozycjonistów w przypadku drugiego państwowego kanału telewizyjnego. Stacja NTW, odebrana Gusińskiemu, poświęciła Putinowi czterokrotnie więcej uwagi niż temu spośród pozostałych kandydatów, który na jej ekranach pojawiał się najczęściej.

Właśnie to miał na myśli Riewienko, gdy wspominał o „sprawnym przekazywaniu komunikatów płynących od rządu”. Lokalni urzędnicy dobrze zrozumieli przesłanie i zgodnie z nim zorganizowali wybory.

Dzień 1 września nazywa się w Rosji „Dniem Wiedzy”. We wszystkich szkołach podstawowych, ponadpodstawowych i średnich w kraju rozpoczyna się wówczas rok szkolny. Pierwszy dzień nauki ma uroczysty charakter. Dzieci i młodzież, zwłaszcza zaś uczniowie klas pierwszych i jedenastych (kończących naukę), przybywają do szkoły w odświętnych strojach, z kwiatami, zwykle w towarzystwie rodziców. To dzień przemów, powitań, oficjalnych koncertów, wspólnych modlitw i uroczystych pochodów.

Latem 2000 roku - tego samego lata, gdy po aresztowaniu Gusińskiego musiałam na krótki czas opuścić kraj - adoptowałam dziecko, chłopca imieniem

Wowa (jedenaście miesięcy później urodziłam córkę). W dniu 1 września 2004 roku po raz pierwszy zaprowadziłam Wowę do szkoły, do pierwszej klasy. W błękitnej koszuli na guziki, która ciągle wysuwała mu się ze spodni, wyglądał bardzo poważnie. Wręczył swojej nauczycielce bukiet, wysłuchaliśmy przemówień, po czym dzieci weszły do budynku, a ja wsiadłam do samochodu. Miałam przed sobą długą drogę do pracy, ponieważ Dzień Wiedzy to także największe korki w roku. Włączyłam radio i usłyszałam wiadomość: grupa uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do szkoły w Osetii Północnej, biorąc jako zakładników kilkaset dzieci i ich rodziców.

Chociaż pozostawałam w Moskwie i koordynowałam relacje z przebiegu zdarzeń

(pracowałam teraz jako zastępca redaktora w nowym miejskim tygodniku), trzy kolejne dni należały do najtrudniejszych w mojej karierze zawodowej.

Trzydniowy kryzys w Biesłanie, któremu towarzyszyła atmosfera strachu i chaosu, kilkakrotnie przeplatana przeblyskami nadziei, zakończył się szturmem oddziałów federalnych na budynek szkoły. Zginęło ponad trzysta osób. Po południu 1 września, po przyjeździe do pracy powiedziałam do moich kolegów, młodszych i mniej doświadczonych w prowadzeniu relacji z tego typu zdarzeń:

„Będzie akcja na budynek. To się zawsze tak kończy”. Gdy jednak moje słowa się sprawdziły, usiadłam za biurkiem i schowałam zapłakaną twarz w dłoniach.

Odśloniwszy oczy, zobaczyłam przed sobą puszkę coli. Taki podarek na pocieszenie od młodszego kolegi.

Następny weekend spędziłam z własną rodziną i rodziną moich przyjaciół na swojej daczce. Kiedy ich osiemnastoletnia córka na chwilę zniknęła z ogrodu przed domem, cała czwórka dorosłych wpadła w panikę. Instynkt podpowiadał mi, że podobną traumę przeżywa cały kraj.

Naród, który ciągle jeszcze nie otrząsnął się z osetyńskiego szoku, miał 13 września wysłuchać niezbyt udanego wystąpienia Putina. Prezydent zgromadził cały gabinet, pracowników kancelarii i wszystkich osiemdziesięciu dziewięciu gubernatorów, po czym przez dwie godziny prowadził z nimi rozmowy za zamkniętymi drzwiami. Następnie rozdano dziennikarzom tekst jego wystąpienia.

„Trudno powstrzymać się od płaczu, gdy się mówi o tym, co stało się w Biesłanie”, można było przeczytać w przemówieniu. „Już na samą myśl o tym trudno powstrzymać się od płaczu. Ale współczucie, łzy i słowa ze strony rządu to stanowczo za mało. Musimy działać, musimy zwiększyć skuteczność władzy w walce z całym szeregiem problemów, przed którymi staje ten kraj. (...) Jestem przekonany, że jedność kraju stanowi podstawowy warunek sukcesu w walce z terroryzmem”.

Putin ogłosił, że od tego momentu gubernatorzy nie będą już elektorami pochodzącymi z wyborów bezpośrednich, że zarówno ich, jak i mera Moskwy będzie mianował on sam. Podobnie będzie z posłami do niższej izby parlamentu (dotychczas w ten sposób wyłaniano połowę z nich). Odtąd obywatele Rosji będą oddawać głos na partie polityczne, które następnie obsadzą miejsca w parlamencie swoimi kluczowymi członkami. W porównaniu z nową procedurą rejestracji partii politycznych procedura rejestracji kandydatów w wyborach prezydenckich wydawała się wręcz przyjazna. Na wszystkie partie polityczne nałożono obowiązek ponownej rejestracji, co oznaczało, że większość z nich

przestanie istnieć. Próg uprawniający do udziału w podziale mandatów parlamentarnych podniesiono z 5 do 7 procent. Poza tym projekty nowego prawa miały teraz podlegać wstępnej selekcji, jeszcze przed przedłożeniem ich parlamentowi, a członków tak zwanej izby publicznej, odpowiedzialnej za weryfikację wszystkich projektów ustaw, miał namaszczać Putin.

Gdy zmiany zostały uchwalone, co nastąpiło pod koniec 2004 roku, na szczeblu federalnym pozostał już tylko jeden urzędnik wyłaniany w drodze wyborów bezpośrednich. Prezydent.

Wiosną 2005 roku wypowiedział Putinowi wojnę jeden z najbardziej znanych Rosjan. Garri Kasparow, czempion, najlepszy szachista wszech czasów oraz wieloletni skryty aktywista polityczny, zorganizował konferencję prasową, na której ogłosił, że rezygnuje z kariery szachowej na rzecz pracy nad odbudową rosyjskiej demokracji. Wydawało się, że ma po temu niezłe możliwości: sławę, pieniądze i niesamowicie logiczny umysł, a oprócz tego także zdolności oratorskie, dzięki którym potrafi wytłumaczyć zawiłości polityki społeczeństwu. Miał także determinację do prowadzenia ciągłej kampanii. Całe lato 2005 roku spędził w drodze, usiłując przekonać ludzi do swoich racji, a ja towarzyszyłam mu w części jego podróży.

W Biesłanie, czyli tam, gdzie w poprzednim roku terroryści wzięli zakładników, Kasparow spędził półtorej godziny na cmentarzu. Nowy Cmentarz, jak nazywają go miejscowi, to pole podzielone na 330 prostokątnych kwater, które w zamyśle mają wyglądać identycznie (choć robotnicy ciągle jeszcze nad tym pracują, każdego dnia wykuwając granitowe boksy, wypełniając je żwirem i nakrywając różowymi, granitowymi płytami). Mogiły w przedniej części cmentarza zostały już ukończone, a rodzice i krewni zdążyli poprzyklejać do nagrobków kolorowe fotografie swoich zmarłych dzieci. Poza tym groby różnią się między sobą tylko wielkością. Na cmentarzu znajdują się nagrobki pojedyncze, podwójne i potrójne, a także kilka rodzinnych - dla upamiętnienia choćby matki z trójką bądź czwórką potomstwa albo na pamiątkę dwóch sióstr i piątki ich dzieci. Na wszystkich grobach stały butelki z wodą, napojem gazowanym lub sokiem, w Biesłanie wykształcił się bowiem zwyczaj polegający na przynoszeniu otwartych butelek z napojami dla krewnych, którzy przed śmiercią cierpieli z pragnienia. Kasparow zatrzymywał się przy każdym grobie, odczytywał nazwiska oraz daty urodzin i śmierci, chociaż wszyscy tu pochowani zginęli 3 września 2004 roku. Potem nachylał się i na każdej mogile po kolei kładł czerwony goździk (pojemnik z kwiatami niósł za nim jeden z ochroniarzy). Wizyta przebiegała jak typowe spotkanie polityka z wyborcami, tyle że nie w blasku fleszy.

Potem Kasparow udał się do domu kultury (taki budynek, stanowiący miejsce różnego rodzaju spotkań i wydarzeń rozrywkowych, znajduje się w każdym rosyjskim mieście), gdzie miał wygłosić przemowę. Obiekt okazał się zamknięty, więc pięćdziesięcioro zgromadzonych ustawiło się wokół betonowych schodów prowadzących do środka; znajdowało się wśród nich wiele kobiet w czarnych sukniach i z chustami na głowie, pogrążonych w żałobie, znanych w całej Rosji „Matek Biesłanu”. To one z determinacją walczyły o to, aby toczący się proces jedynego z ocalałych porywaczy stał się przyczynkiem do wnikliwego śledztwa dotyczącego wydarzeń, które rozegrały się w szkole. Coraz bardziej upowszechniało się wśród nich przekonanie, że odpowiedzialność za śmierć ich dzieci ponoszą oddziały federalne, które koncentrując się na wyeliminowaniu porywaczy, a nie na uwolnieniu zakładników, w rezultacie zabijały i jednych, i drugich.

„To kłamstwa zabiły wasze dzieci”, powiedział Kasparow, zwracając się do kobiet w czerni. W trakcie trwania kryzysu władze utrzymywały, że w budynku znajduje się 354 zakładników, podczas gdy w rzeczywistości było ich ponad tysiąc.

Jak wynikało z zeznań ocalałych więźniów, porywacze, którzy oglądali telewizję w pokoju nauczycielskim, zobaczywszy zaniżoną liczbę potencjalnych ofiar, doszli do wniosku, że rząd przygotowuje się do przeprowadzenia szturmu. Zakładnicy twierdzili, że to właśnie wtedy zaprzestano podawania im wody. Inne zeznania podważały oficjalne stanowisko władz, jakoby porywacze nie sformułowali żadnych żądań. Świadkowie twierdzili, że istniała co najmniej jedna kasetka i jeden list z żądaniami, które mogły stać się punktem wyjścia do negocjacji. „To kłamstwa stanowią fundament tego reżimu”, kontynuował Kasparow. „Jeżeli proces sądowy zostanie powstrzymany, jeżeli pozwolicie, żeby cała sprawa rozeszła się po kościołach, Biesłan wydarzy się ponownie. Nie chcę władzy dla siebie, ale chcę, by ludzie u władzy mówili mi prawdę. Zmusiłbym te mendy, żeby tu przyjechały i przeszły się po waszym cmentarzu”. Miał łzy w oczach. „Chciałbym, żeby zobaczyli, do czego doprowadziły ich kłamstwa. Kłamstwa!”.

Dokładnie w tej chwili rozległ się głuchy trzask, bardzo przypominający wystrzał z broni palnej, i krzyk jakiejś kobiety: „Garri! Garri!”. Tłum się rozpieczęścił, a ochroniarze Kasparowa wykonywali dziwaczne ruchy, starając się jednocześnie zasłonić swojego szefa i powstrzymać ludzi przed tratowaniem się podczas ucieczki ze schodów. Okazało się, że młody człowiek potrząsnął gwałtownie trzymaną butelką keczupu, po czym wymierzył w Kasparowa i mocno nadusił plastik. Kasparow był cały brudny - jego głowę, klatkę piersiową i prawy rękaw niebieskiego, sportowego płaszcza pokrywała czerwona, lepka maź. Na schodach przed wejściem do domu kultury zrobiło się zupełnie pusto. Pozostał na nich tylko

przezroczysty plastikowy worek z kilkoma pękniętymi jajkami, które przed upadkiem na ziemię uderzyły w zadaszenie, wydając wspomniany wcześniej trzask.

Stojąca z nami przed budynkiem starsza kobieta usiłowała wytrzeć Kasparowowi twarz chusteczką. „Proszę mi wybaczyć, proszę mi wybaczyć”, szeptał raz po raz, usiłując przeprosić, że swoim przyjazdem wywołał kolejny incydent w pogrążonym w żałobie mieście. Inna kobieta w czerni, nieco po czterdziestce i raczej przysadzista, powiedziała: „Chodźmy do szkoły, tam jest bezpiecznie”.

Kasparow powędrował więc w otoczeniu kobiet w kierunku budynku, który został niemal doszczętnie zniszczony podczas ataku. Przez całą drogę, trwającą mniej więcej dziesięć minut, Kasparow opowiadał o nieuchronności kryzysów, znaczeniu protestów oraz konieczności odłożenia na bok różnic politycznych w imię obalenia obecnego reżimu. Tłum wokół niego stopniowo gęstniał, wchłaniając ludzi ze znajdujących się na jego szlaku domów i bloków.

Wspólnie weszli do środka przez wielkie dziury w ścianach budowli, która była niegdyś salą gimnastyczną. Pod koniec okupacji szkoły zgromadzono w niej mnóstwo dzieci, i właśnie tutaj większość zginęła. Wszystko wskazywało na to, że sala gimnastyczna została zniszczona przez czołgi wystrzeliwujące pociski z bliskiej odległości; tam, gdzie kiedyś znajdowały się zakratowane okna, ziały teraz ogromne otwory przestrzelin. Przestrzeń wewnątrz była osmalona. Matki Biesłanu twierdziły, że to pozostałość po pożarach wywołanych przez rosyjskie miotacze ognia (władze potwierdziły, że użyto tej broni, zaprzeczały natomiast, jakoby doprowadziło to do jakiegokolwiek pożaru).

Wchodząc do sali gimnastycznej, Kasparow ciężko westchnął. „O mój Boże, o mój Boże”, wyszeptał. Kobiety rozeszły się po kątach i zaczęły lamentować; wkrótce całą salę wypełnił tłumiony, przenikliwy dźwięk. Kasparow wyglądał na zdruzgotanego. Miał zaczerwienione oczy, lekko otwarte usta. Kiwał głową.

Stało się zupełnie jasne, że w tym miejscu nie może być mowy o jakiegokolwiek dyskusji, że tę przestrzeń przesycą wszechobecny żal. Kasparow poprosił, by oprowadzono go po szkole. Krocząc pośród tłumu, teraz już mniej więcej stuosobowego, mówił: „Oglądam tę szkołę i myślę: Jak ludzie w Moskwie mogą sobie spokojnie chodzić, coś mówić, nadal kłamać? Pośród nich jest ktoś, kto wydał rozkaz otwarcia ognia. Jeżeli tej osobie ujdzie to na sucho, wszyscy będziemy temu winni!”.

Pozostała część dnia Kasparowa przebiegła dość nietypowo. Pojechał do oddalonej o półtorej godziny drogi stolicy Osetii Północnej, Władykaukazu. Miał tam wygłosić przemówienie, ale szefa jego kampanii powiadomiono, że w auli spadła na scenę kurtyna, w

związku z czym sala jest niedostępna. Przez cztery tygodnie był czas przywyknąć: w wynajmowanych pomieszczeniach nieustannie dochodziło do różnego rodzaju awarii. We Władykaukazie nie udało się zorganizować spotkania nie tylko w auli, ale również przed budynkiem - z uwagi na zorganizowaną naprędce imprezę dla dzieci z bardzo głośną muzyką. Kasparow udał się tam mimo wszystko i krzycząc, mówił do mniej więcej sześćdziesięciu zgromadzonych osób o wydatkach na cele społeczne, które stanowią około 15 procent rosyjskiego budżetu, czyli znacznie mniej niż w Stanach Zjednoczonych. Wokół słuchających krążyło kilku nastolatków; jeden rzucił w mówcę kamieniem, ale nie trafił.

Kasparow mówił dalej. Potem poleciały jajka, które rozbiły się na jego głowie.

Rzucające nimi wyrostki uciekły w stronę milicyjnych pojazdów, po czym szybko zniknęły. Nikt nawet nie starał się ukryć faktu, że zostali sprowadzeni na miejsce przez milicję i że korzystali z jej ochrony. Jeden z niemieckich dziennikarzy, który również został trafiony jajkiem, rzucił się w pościg za chuliganem, zatrzymał go jednak jeden z milicjantów (jak się później okazało, rzecznik prasowy miejscowego ministerstwa spraw wewnętrznych). Chwycił go za rękę i niegrzecznym tonem poinstruował, że nie powinien wtykać nosa w nie swoje sprawy. „Ich reżim boi się słów!”, wykrzyknął Kasparow.

Dwóch jego ochroniarzy szeptało coś do siebie, wyraźnie wstrząśniętych. „To był tylko dzieciak, nie spodziewałem się tego”, powiedział jeden. „Znajdowałem się w nieodpowiednim miejscu”, przyznał drugi, który bezskutecznie próbował ochronić Kasparowa. Jajka same w sobie nie stanowią wielkiego zagrożenia, miały jednak pokazać, jak bezbronny jest ochraniany mimo obecności aż ośmiu ludzi z obstawy.

„Przewidzieliśmy wszystko, co dało się przewidzieć”, powiedział mi Kasparow.

„Ale gdybym się nad tym zbyt głęboko zastanawiał, nie dałbym rady tego ciągnąć”. Jeden z ochraniających go mężczyzn zawsze czuwał nad przygotowywaniem jedzenia. Kasparow pił wyłącznie butelkowaną wodę, którą woził ze sobą, i jadł tylko to, co zostało zamówione dla całego stolika.

Podczas kolacji zorganizowanej na zakończenie jego wyprawy do Osetii Północnej (w trakcie pięciogodzinnej imprezy Kasparow rozegrał trzy partie szachów, z czego dwie z miejscowym siedmioletnim cudownym dzieckiem) Alan Czoczew, osetyński aktywista, który niedawno spędził jedenaście miesięcy w więzieniu za dystrybucję antyrządowych ulotek, wniósł następujący toast: „Nikt nigdy nie próbował tego co pan. W poszczególnych miastach nie apeluje pan do czterystu tysięcy ludzi. Nie zwraca się pan nawet do czterystu zgromadzonych naraz w jednej dużej auli. W kraju zamieszkiwanym przez 145 milionów rozmawia pan jednocześnie z pięćdziesięcioma albo sześćdziesięcioma osobami. To szalone

dzieło. Chciałbym zatem wzniesić toast: Za człowieka, który postanowił dokonać niemożliwego. Niech więc to się stanie teraz możliwe”.

Takie działanie to jednak zaledwie pojedynczy aspekt niemożliwego zadania, którego podjął się Kasparow. Otóż nie ogranicza się on wyłącznie do promowania swoich poglądów, ale stara się również gromadzić i upowszechniać informacje, tym samym czyniąc z siebie jednoosobowy substytut zaanektowanych przez państwo mediów informacyjnych. Szczegółowo wypytywał swoich lokalnych sympatyków o sytuację w regionie, a wiadomości przekazywał dalej; pamięć szachisty okazała się bezcenna. Według jednego z jego asystentów, Kasparow nigdy nie prowadził notesu z telefonami, ponieważ mimowolnie trafiał do jego pamięci każdy numer, z jakim się zetknął. Teraz gromadził i uśredniał w głowie coraz to nowe informacje. Zapamiętywał na bieżąco, jaki odsetek zebranych podatków mogą zatrzymywać poszczególne regiony i z jakimi problemami zmagają się opozycjoniści. Pamiętał ze szczegółami znaczące przemowy oraz symptomatyczne zachowania. Ponieważ lokalne i ogólnokrajowe media zajmowały się wyłącznie rozpowszechnianiem rządowych przekazów, nie było innego wyjścia, jak gromadzić dane w ten właśnie sposób.

W Rostowie, gdzie Kasparow przemawiał przed biblioteką publiczną (miał przemawiać w samej bibliotece, ale została ona zamknięta, rzekomo z powodu pęknięcia rury), do jego asystentki podszedł młody człowiek, podał jej swoją wizytówkę i powiedział, że chciałby uczestniczyć w ruchu jako lokalny działacz.

Gdy zapytałam go o nazwisko, odparł: „Nie mogę powiedzieć. Zostałbym natychmiast zwolniony”. Później dziewczyna powiedziała mi, że człowiek ów był wykładowcą na uczelni.

Kasparow poleciał na południe Rosji wyczarterowanym samolotem, którym miał zamiar przemieszczać się z miasta do miasta. Ponieważ jednak żadne z lotnisk w regionie nie wydało zgody na lądowanie maszyny, przez większość pierwszego dnia trzynastoosobowa grupa z liderem, jego ekipą oraz dwójką dziennikarzy spędziła na oczekiwaniu, po czym ostatecznie musiała skorzystać z samochodów. Gdy dotarliśmy do Stawropola, okazało się, że anulowano nam hotelową rezerwację; jeszcze z lobby menedżer Kasparowa obdzwaniał wszystkie hotele w tym sennym mieście, ale słyszał, że wszędzie mają komplet. W tym momencie pojawił się kierownik. „Przykro mi”, powiedział, wyraźnie zafascynowany tym, że ma do czynienia ze sławną osobistością. „Musi pan zrozumieć moją sytuację.

Pozwoli pan jednak zrobić ze sobą zdjęcie?”. „Przykro i mnie”, odparł Kasparow.

„Ale i pan musi zrozumieć moją sytuację”.

Kierownik hotelu zaczerwienił się jak burak. Był teraz w równym stopniu zażenowany, co wcześniej przestraszony. „Do diabła z tym wszystkim”, powiedział. „Damy

wam te pokoje”.

Tamtego wieczoru pojawił się tylko jeden z kilku gości, którzy wcześniej potwierdzili udział w kolacji. Organizator spotkania, miejscowy przedsiębiorca, twierdził, że wszyscy zaproszeni odebrali telefony z pogrózkami.

W Dagestanie Kasparow miał wręczać nagrody zwycięzcom turnieju szachowego dla dzieci. Jednak gdy całą grupą przybyliśmy na miejsce, czekał na nas tylko lokalny opozycyjny dziennikarz. Wyjaśnił, że do szefa Dagestańskiego Związku Szachowego zadzwonił przedstawiciel władz regionu, grożąc mu zwolnieniem, jeżeli Kasparow weźmie udział w wydarzeniu. Dlatego też kierowcy, jak się okazało - miejscowi milicjanci, zawieźli nas pod niewłaściwy adres.

Gdziekolwiek Kasparow się pojawiał, był śledzony. Zwykle towarzyszyło mu co najmniej dwóch agentów służb specjalnych, których można było bez trudu rozpoznać z uwagi na specyficzny sposób bycia. Niektórzy nagrywali go kamerą wideo, inni udawali dziennikarzy (zawsze zadawali te same pytania i odmawiali podania nazwiska), a jeszcze inni po prostu za nim chodzili. Nie sposób było stwierdzić, czy te nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, nadzoru i ogólnego utrudniania życia podejmowano na zlecenie Moskwy, czy też z inicjatywy lokalnych władz. Tak czy owak, powiększały one tylko determinację Kasparowa, ponieważ wzbudzały w nim przekonanie, że reżim się go boi. Dowodziły doniosłości jego słów, choć jednocześnie marginalizowały jego samego. Nawet światowej sławy geniusz naraża się w pewnym sensie na śmieszność, jeżeli chodzi w ubraniu splamionym keczupem, podróżuje wynajętą rozklekotaną furgonetką i za każdym razem przemawia do przypadkowo zgromadzonego na ulicy tłumu.

Kasparow prowadził swoją kampanię wytrwale i nieustraszenie, jak niegdyś partie szachów. Swego czasu rozegrał jeden z najdłuższych meczów szachowych w historii, a ponieważ nigdy nie należał do radzieckiego establishmentu sportowego, zdążył też przywyknąć do faktu, że nie wszyscy grają zgodnie z zasadami.

Mimo starań jego organizacja polityczna nie rosła w siłę. W ogóle nie mówiło się o nim w telewizji, więc z upływem lat jego głos był coraz słabiej słyszalny.

Ostatecznie jego pieniądze, sława i umysł okazały się w obliczu reżimu bezsilne - choć nie można zaprzeczyć, że reżim darzył przeciwnika respektem. Demokratyczne instytucje zostały rozmontowane i nie można już było organizować się w ich obronie. Było już na to za późno.

Rozdział dziewiąty

RZĄDY TERRORU

W dniu 23 listopada 2006 roku w londyńskim szpitalu zmarł niejaki Aleksander Litwinienko, zaledwie czterdziestojednoletni były funkcjonariusz FSB. Media brytyjskie i niektóre media rosyjskie relacjonowały niemal na żywo ostatnie dni jego życia. „Zaledwie trzy tygodnie temu był szczęśliwym, zdrowym człowiekiem. Miał bujną czuprynę i regularnie biegał pięć mil dziennie”, donosił „Daily Mail” 21 listopada. Do artykułu dołączono zdjęcie wychudzonego, łyszego człowieka w szpitalnej koszuli, z nagą pierśią, do której podłączono liczne elektrody. „Pan Litwinienko ledwie może podnieść głowę, tak słabe ma mięśnie szyi. Ma trudności z mówieniem i walcząc z bólem, wydaje z siebie tylko krótkie zbitki słów”. Następnego dnia Aleksander Litwinienko zapadł w śpiączkę, kolejnego w jego moczu odnaleziono wreszcie śladowe ilości trucizny, która doprowadziła do jego śmierci. Był to polon, niezwykle rzadka, za to bardzo radioaktywna substancja. Kilka godzin później serce mężczyzny zatrzymało się po raz drugi tego dnia. Litwinienko zmarł.

Litwinienko to klasyczny denuncjator, który ujawnił nieprawidłowości w funkcjonowaniu swojej organizacji. W 1998 roku wystąpił wspólnie z czterema kolegami ze służb specjalnych, na oczach kamer, podczas konferencji prasowej relacjonowanej przez telewizję. Funkcjonariusze poinformowali wówczas, że otrzymywali od FSB nielegalne zadania, jak choćby zabicie Borysa Bieriezowskiego. Konferencję zresztą zorganizował sam Bieriezowski, którego Litwinienko poznał jeszcze jako śledczy prowadzący sprawę innej próby zamachu, w 1994 roku. Obaj panowie bardzo się ucieszyli z nowej znajomości, pokładając w sobie wzajemnie nieco nadmierne nadzieje. Borys Abramowicz wierzył, że dzięki znajomości z uczciwym funkcjonariuszem FSB zapewni sobie ochronę, podczas gdy Litwinienko wierzył, że wpływowy miliarder pomoże mu naprawić systemowe błędy. Litwinienko pracował w służbach mundurowych od osiemnastego roku życia. Uzyskał stopień podpułkownika jako najmłodszy człowiek w historii rosyjskich służb specjalnych. Był oddany systemowi, który go ukształtował, ale należał do rzadkiego gatunku ludzi, którzy nie potrafią zaakceptować niedoskonałości tego (ani żadnego innego) reżimu i którzy pozostają głusi na argumenty osób akceptujących bieżącą rzeczywistość.

Władimir Putin został szefem FSB w lipcu 1998 roku, w związku z zarzutami o korupcję sformułowanymi pod adresem poprzedniego kierownictwa. „Gdy został mianowany, zapytałam Saszę, kto to taki”, wiele lat później powiedziała mi Marina, wdowa po

Litwinience. „Usłyszałam, że plotka głosi, iż nigdy nie służył w terenie. To znaczyło, że ludzie go zlekceważą, ponieważ nie przeszedł przez wszystkie szczeble”.

Do spotkania swego protegowanego, stojącego teraz na czele służb specjalnych, oraz swego przyjaciela denuncjatora (był to czas rozmów z Bieriezowskim w szybie nieużywanej windy w siedzibie głównej FSB; Putin mocno wówczas nie ufał otoczeniu) doprowadził Borys Abramowicz, który chciał, aby jego dwaj znajomi zostali sojusznikami. Litwinienko przybył z wykresami pokazującymi nieprawidłowości w powiązaniach między departamentami FSB, a także drogi przepływu nielegalnych instrukcji i pieniędzy, pod pachą. Poinformował też Putina o rozkazie zabicia Bieriezowskiego; najwyraźniej zarówno denuncjator, jak i oligarcha żyli w przekonaniu, że szef FSB o niczym nie ma pojęcia. Jak relacjonował później Litwinienko (swojej żonie i Bieriezowskiemu), Putin nie wykazał zainteresowania.

Spotkanie zakończyło się w ciągu dziesięciu minut, a pułkownik wrócił do domu przygnębiony i pełen obaw o przyszłość, a jednocześnie - co bardzo typowe dla takich ludzi - z mocnym postanowieniem działania.

Jego kolejny krok polegał na przedstawieniu nielegalnej aktywności FSB podczas konferencji prasowej. Twierdził, że oprócz polecenia zabicia Bieriezowskiego otrzymał również rozkaz porwania i pobicia prominentnego biznesmena. W odpowiedzi Putin w telewizyjnym wystąpieniu podważył wiarygodność Litwinienki, zarzucając mu niewywiązywanie się z obowiązku alimentacyjnego względem pierwszej żony (jego druga żona twierdziła, że osobiście co miesiąc dokonuje przelewów i że może przedłożyć stosowne potwierdzenia).

Trzy miesiące później Litwinienko został aresztowany pod zarzutem nieuzasadnionego użycia siły wobec podejrzanego; zdarzenie miało rzekomo miejsce trzy lata wcześniej. Oskarżenie nie przedstawiło jednak wystarczających dowodów i w listopadzie 1999 roku sąd wojskowy uwolnił funkcjonariusza od zarzutów.

Mimo to Litwinienko nie opuścił sali sądowej jako wolny człowiek. Na miejscu pojawili się koledzy z FSB i aresztowali go pod innymi zarzutami. Tę sprawę sąd oddalił bez procesu, jednak bezzwłocznie wszczęto trzecie postępowanie. Wojskowy sędzia wypuścił Litwinienkę za kaucją, do czasu rozpoczęcia nowego procesu. Gdy jednak ten dowiedział się, że rozprawa ma się odbywać w małym mieście, oddalonym mniej więcej o sto kilometrów od Moskwy, gdzie raczej nie należało się spodziewać zbyt wielu dziennikarzy czy zagranicznych obserwatorów, postanowił opuścić Rosję.

We wrześniu 2000 roku powiedział Marinie, że wyjeżdża na południe kraju, w

odwiedziny do swoich nie najmłodszych już rodziców. Jej samej polecił udać się na wakacje za granicę. „Powiedziałam: »To nie jest dobry moment«,,, wspominała w rozmowie ze mną jego żona. „Nasz syn, Tola, rozpoczął właśnie lekcje muzyki. Dlaczego mielibyśmy jechać akurat teraz? A on odparł: »Przecież zawsze chciałaś jechać na wakacje. Powinnaś pojechać teraz«. I wtedy do mnie dotarło. W jego głosie pobrzmiewało coś takiego, że zrozumiałam, że muszę po prostu przestać myśleć i to zrobić”. Marina wykupiła dwutygodniową wycieczkę do Hiszpanii i wyjechała z sześciolatkiem synem za granicę. Pod koniec tych dwóch tygodni Litwinienko polecił jej udać się o północy na lotnisko w Maladze. Zdezorientowana i przerażona przybyła na miejsce, gdzie czekał już na nią znajomy mąż. Ona i Tola zostali przetransportowani prywatnym odrzutowcem, prawdopodobnie należącym do Bieriezowskiego, do Turcji. Aleksander czekał na nich w tureckim kurorcie Antalya.

„Było jak na filmie”, opowiadała Marina. „Nie mogliśmy w to uwierzyć”. Jedyna różnica polegała na tym, że nikt nie dopracował scenariusza tej ucieczki. Pracownik Bieriezowskiego, który towarzyszył Marinie w drodze z Malagi, musiał ich opuścić.

Dwa dni po radosnym spotkaniu całej rodziny do Aleksandra i Mariny zaczęło docierać, że są zbiegami i nie mają dokąd jechać. Borys Abramowicz obiecał im wprawdzie wsparcie finansowe, ale ponieważ nie bardzo jednak wiedział, jak mógłby im pomóc logistycznie, skontaktował się ze swoim przyjacielem, Aleksem Goldfarbem, w Nowym Jorku. Poprosił, aby ten udał się do Turcji i wszystko załatwił.

Goldfarb wyraził zgodę, chociaż zaangażowanie w tę ucieczkę miało go kosztować pracę dla George’a Sorosa. Zabrał ze sobą Litwinienkę do amerykańskiej ambasady w Ankarze, gdzie po przesłuchaniu pułkownika grzecznie odrzucono jego ofertę - był co prawda agentem służb specjalnych, ale nie szpiegiem, w związku z czym Stany Zjednoczone nie wykazały zainteresowania informacjami, które miał do przekazania. Tymczasem udając się do ambasady, Litwinienko zdemaskował się przed agentami rosyjskimi, którzy - jak doskonale wiedział - obserwują budynek. Jeszcze bardziej przerażony gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji.

W końcu Goldfarb opracował błyskotliwy plan: cała czwórka kupi bilety z przesiadką w Londynie, gdzie Litwinienko od razu na lotnisku odda się w ręce tamtejszych władz. Tak też zrobiono, dzięki czemu rodzina w komplecie znalazła się w stolicy Wielkiej Brytanii. Czyny i chesne za szkołę Toli opłacił Bieriezowski. Litwinienko przez kilka miesięcy podomykał różne sprawy, po czym przystąpił do pisania książki. Wspólnie z rosyjskoamerykańskim historykiem Jurijem Felsztyńskim (który przez krótki czas pracował w zespole medialnym Bieriezowskiego w Moskwie i wtedy panowie się poznali) napisał książkę

o zamachach bombowych na budynki mieszkalne w 1999 roku. Litwinienko wykorzystał swoje doświadczenie zawodowe do przeprowadzenia analizy dowodów, którymi wcześniej zajmowała się rosyjska telewizja. Wskazywał na liczne niespójności w oficjalnych raportach FSB na temat udaremnionej eksplozji w Riazaniu. Wspólnie z Felsztyńskim przyjrzeni się też materiałom ujawnionym przez reporterów moskiewskiego tygodnika „Nowaja Gazieta” (Z powodu problemów finansowych gazeta wielokrotnie zmieniała częstotliwość i dni

Wydawania), specjalizującego się w dziennikarstwie śledczym.

Reporterzy tygodnika dotarli do dwóch poborowych, którzy jesienią 1999 roku zakradli się do magazynu sił powietrznych w Riazaniu w poszukiwaniu cukru do herbaty. Znaleźli dokładnie to, czego się spodziewali: dziesiątki pięćdziesięciokilogramowych worków oznaczonych napisem CUKIER. Po wsypaniu ich zawartości do herbaty napój miał jednak tak dziwny smak, że żołnierze zgłosili całą sprawę przełożonym, przyznając się zarówno do włamania, jak i kradzieży.

Ich dowódca poddał substancję analizie i stwierdził, że jest to heksogen, materiał wybuchowy. Litwinienko i Felsztyński zdobyli również dowody, że z magazynów sił powietrznych korzystała FSB. W ich przekonaniu to właśnie siły specjalne umieściły tam worki.

Z czasem pojawiały się kolejne materiały. Opozycyjny parlamentarzysta Julij Rybakow (jeden z dwóch, którzy nie wstali przy odgrywaniu radzieckorosyjskiego hymnu) przekazał Litwinience protokół z posiedzenia Dumy z 13 września 1999 roku. Prowadzący obrady przerwał je słowami: „Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że zeszłej nocy doszło do wybuchu w budynku mieszkalnym w Wołgodońsku”.

Tymczasem w rzeczywistości do eksplozji w Wołgodońsku doszło dopiero trzy dni później. Zdaje się, że człowiek będący wtyczką FSB w biurze przewodniczącego Dumy (Litwinienko zidentyfikował później tę osobę) przekazał prowadzącemu obrady niewłaściwą notatkę w niewłaściwym momencie, a już na pewno wiedział o planowanym wybuchu z wyprzedzeniem.

W śledztwo włączył się inny denuncjator, Michaił Triepaszkina, były agent FSB i uczestnik osławionej konferencji prasowej Litwinienki z 1998 roku. Zdołał on wykazać związek między służbami specjalnymi a budynkami mieszkalnymi, które wybuchły w Moskwie: wskazał biznesmena, którego nazwisko zostało wykorzystane w celu wynajęcia pomieszczeń w obu tych domach, agenta FSB, który pozyskał tego mężczyznę do współpracy, a nawet dwóch ludzi, którym zlecono przygotowanie samej eksplozji. Co jednak najbardziej szokujące, Triepaszkina odkrył również dowody na to, że portret pamięciowy

podejrzanego został podmieniony. Aresztowano dwóch mężczyzn, a Triepaszkina, z wykształcenia prawnik, zamierzał reprezentować przed sądem dwóch ocalałych z katastrofy, aby móc przedstawić swoje dowody na forum publicznym. Tymczasem zaledwie na tydzień przed rozprawą został aresztowany pod pretekstem nielegalnego posiadania broni; miał spędzić w więzieniu pięć lat. Posiedzenia sądu zostały zamknięte dla opinii publicznej. Dwóch podejrzanych skazano na dożywocie, nigdy jednak nie ujawniono jakichkolwiek informacji na temat ich tożsamości ani przyczyn popełnienia zbrodni.

Wieczorem 25 października 2002 roku wpadła do mnie na drinka para przyjaciół. Miałam wtedy pod opieką trzyletnie i roczne dziecko, więc raczej rzadko wychodziłam z domu. Moi przyjaciele, z których jeden był producentem telewizyjnym, zasugerowali, abyśmy obejrżeli odcinek nowego talkshow, którego jeszcze nie znałam. Zaraz po rozpoczęciu program został jednak przerwany i podano wiadomość z ostatniej chwili: w moskiewskim teatrze porywacze wzięli zakładników.

W tamtym czasie redagowałam małą, niezależną stronę zajmującą się analizami politycznymi; w ciągu kolejnych trzech dni przespałam w sumie może około trzech godzin. Moi reporterzy na zmianę dyżurowali pod teatrem, a ja zamieszczałam ich doniesienia na naszej stronie.

Okupacja teatru rozpoczęła się krótko po dziewiątej wieczorem. W wystawianym tamtego dnia musicalu, w jednej ze scen na deski wprowadzano autentyczny samolot z czasów II wojny światowej. I właśnie w tym momencie na scenie i na sali, wśród publiczności, pojawili się zamaskowani ludzie z karabinami maszynowymi; przez kilka chwil widzowie sądzili, że to element przedstawienia. Tamtego wieczoru na widowni znajdowało się około ośmiuset osób. Z wyjątkiem kilkudziesięciorga małych dzieci i obywateli obcych państw, których porywacze szybko uwolnili, a także części aktorów, w tym również wielu dzieci, którym udało się wydostać przez okno w garderobie, zakładnicy spędzili kolejnych pięćdziesiąt osiem godzin w sali widowiskowej - z czasem coraz bardziej zmęczeni, odwodnieni i przerażeni, a w końcu ogarnięci rozpaczą. Chociaż terroryści nakazali wszystkim oddać telefony, kilku zakładnikom udało się w różnych momentach w trakcie trwania kryzysu zadzwonić do stacji radiowych, dzięki czemu zamarłe w strachu i niepokoju miasto, obserwujące rozgrywający się dramat, od czasu do czasu mogło usłyszeć głos ze środka.

Około godziny siódmej rano trzeciego dnia okupacji w auli pobliskiej szkoły wyższej, gdzie od momentu rozpoczęcia kryzysu przez większość czasu przebywali krewni zakładników, pojawiło się kilku rządowych oficjeli. „Byli bardzo zadowoleni i

podekscytowani”, wspominał później jeden z bliskich. „Podeszli do mikrofonu. W sali zapanowała martwa cisza, jednak z ust urzędników padły kojące słowa: »Operacja przebiegła gładko«. Powiedzieli, że wszyscy terroryści zostali zabici i że żaden z zakładników nie ucierpiał. W sali rozległy się oklaski i okrzyki radości. Wszyscy dziękowali władzom za ocalenie krewnych”.

To triumfalne oświadczenie było od początku do końca kłamstwem.

Rozprawa z okupującymi moskiewski teatr to jednocześnie najsprawniej przeprowadzona i najbardziej absurdalnie spartaczona operacja odbicia zakładników w historii. Podczas kryzysu terroryści, sprawiający wrażenie niezorganizowanych i zdezorientowanych, prowadzili negocjacje właściwie z każdym, kto próbował je podejmować - i stopniowo wypuszczali zakładników. Przez budynek przewinał się wielobarwny tłum lekarzy, polityków i dziennikarzy, którzy wchodzili do środka, by negocjować dla ludzi lepsze warunki, a potem bez przeszkód wychodzili.

Krewni zakładników, żywiący wielką nadzieję na pokojowe rozwiązanie sporu, zgromadzili się na wiecu drugiego dnia okupacji i przedłożyli petycję podpisaną przez ponad 250 osób.

Szanowny Panie Prezydencie!

Jesteśmy dziećmi, krewnymi i przyjaciółmi zakładników, którzy znajdują się w teatrze. Apelujemy do Pana o rozsądek i litość. Wiemy, że budynek został zaminowany i że użycie siły spowoduje wysadzenie go w powietrze. Jesteśmy przekonani, że gdy chodzi o życie siedmiuset ludzi, nie ma ustępstw zbyt wielkich.

Prosimy, aby nie dopuścił Pan do tego, żeby zginęli ludzie. Niech Pan kontynuuje negocjacje! Niech Pan przyjmie niektóre ich żądania! Jeżeli nasi bliscy zginą, przestaniemy wierzyć w to, że nasze państwo jest silne, a rząd posiada rzeczywistą władzę. Niech nas Pan nie pozwole osierocić!

Kilka godzin później jeden z naszych reporterów zadzwonił z informacją, że ewakuowano szpital położony tuż obok teatru. Doszłam do wniosku, że wojsko rozpoczyna szturm na budynek i że władze przygotowują miejsca dla potencjalnych ofiar.

O godzinie 5.30 rano w sobotę, trzeciego dnia okupacji, dwóch zakładników zadzwoniło do Echa Moskwy, głównej radiowej stacji informacyjnopublicystycznej.

„Nie wiem, co się dzieje”, płakała do słuchawki jedna z zakładniczek. „Wszędzie jest gaz. Wszyscy siedzą na sali. Prosimy, mamy nadzieję, że nie podzielimy losu »Kurska«,.. Kobieta nie była w stanie mówić dalej, więc przekazała słuchawkę kolejnej osobie. „Zdaje się, że rozpoczęto siłowe działania. Proszę, jeśli jest szansa, nie opuszczajcie nas. Błagamy!”.

Nie ma, niestety, najmniejszych złudzeń co do tego, że ani zakładnicy, ani ich pozostający na zewnątrz bliscy wierzyli, że rosyjskie siły zbrojne kogokolwiek uratują. Odwołanie się do tragedii „Kurska” było aż nadto wymowne. Ludzie doskonale wiedzieli, że rząd nie wykaże poszanowania dla ludzkiego życia.

Trzeba przyznać, że plan akcji ratunkowej był genialny. Siły specjalne wykorzystały podziemne przejścia i wypełniły widownię gazem usypiającym. Dzięki temu miano powstrzymać terrorystów przed detonacją ładunków rozmieszczonych w różnych punktach sali, tam gdzie stały ubrane na czarno kobiety, rzekomo mające na sobie kamizelki wypakowane materiałem wybuchowym. Uśpionych terrorystów można by było zatrzymać, a zakładnicy zostaliby uwolnieni przez wkraczające do środka oddziały, zarówno podziemiami, jak i frontowym wejściem.

Żadnego z punktów planu nie udało się jednak zrealizować. Terroryci zasnęli dopiero po kilku minutach, a nieodpalenie przez nich ładunków wybuchowych stało się przyczyną domniemań, że w ogóle ich nie mieli. Zakładnicy, niewyspani i mocno odwodnieni (po części dlatego, że dwie różne jednostki sił specjalnych na pozycjach wokół teatru nie potrafiły porozumieć się w kwestii przepuszczenia dostaw wody i soków, które terroryci zgodzili się przyjąć), zasnęli bardzo szybko i aby się ocknąć, potrzebowali pomocy medycznej. Zamiast jednak udzielić im jej na miejscu, wyniesiono ofiary z budynku i ułożono na schodach teatru; wiele na plecach, a nie na boku, zgodnie ze sztuką. Ludzie ci podusili się własnymi wymiocinami, zanim jeszcze odzyskali przytomność. Później zarówno zmarłych, jak i ledwie przytomnych ocalałych załadowano do autobusów, gdzie tym razem zostali umieszczeni w pozycji siedzącej, więc tym razem podusili się w wyniku zakrztuszenia, ponieważ głowy opadały im do tyłu. Zamiast zabrać ofiary do pobliskiego szpitala, przetransportowano je, głównie autobusami, do placówek w centrum Moskwy, gdzie lekarze nie mogli im pomóc, ponieważ władze wojskowe i policyjne odmówiły udzielenia informacji na temat rodzaju środka chemicznego zastosowanego podczas akcji. Kilku zakładników zapadło w śpiączkę i zmarło w szpitalu, niektórzy nawet tydzień po zakończeniu okupacji teatru. W sumie śmierć poniosło 129 osób.

Rząd otrąbił wielki sukces. W telewizji wielokrotnie pokazywano zdjęcia terrorystów, którzy wszyscy zostali rozstrzelani bez procesu, we śnie, przez rosyjskie oddziały: fotografie mężczyzn i kobiet w krzesłkach teatralnych i nad stołami, zabitych strzałami w głowę. W trakcie pisania artykułu o braku poszanowania dla ludzkiego życia, którym wykazał się rząd, deklarując sukces w obliczu 129 niepotrzebnych zgonów, mnie samej kilkukrotnie grożono śmiercią. Triumf nad terroryzmem nie podlega przecież dyskusji. Musiało minąć wiele

miesiące, zanim działacze walczący o prawa człowieka odważyli się zwrócić uwagę na fakt, że podejmując decyzję o zastosowaniu gazu i siły, gdy terroryści wciąż wykazywali gotowość do negocjacji, Rosja naruszyła cały szereg międzynarodowych konwencji oraz własne prawo. Tylko nieliczni Rosjanie dowiedzieli się, że terroryści - pod wodzą dwudziestopięcioletka, który nigdy wcześniej nie wyjeżdżał z Czeczenii - sformułowali śmieszne żądania, które można było bez problemu spełnić i być może doprowadzić w ten sposób do uwolnienia wszystkich zakładników.

Porywacze oczekiwali zaledwie, że prezydent Putin publicznie zadeklaruje chęć zakończenia wojny w Czeczenii, a aktem dobrej woli nakaże wycofanie wojsk z jednego, dowolnego okręgu rozłamowej republiki.

Te nadzwyczaj banalne żądania stały jednak w sprzeczności z naturą Putina. Niegdysiejszy żulik, który nigdy nie potrafił przegrywać, uspokajał się tylko pozornie, aby za chwilę ponownie dostać ataku wściekłości i ruszyć do ataku, był teraz prezydentem, który obiecał wszystkim terrorystom „potopić ich w kiblu”.

Ktoś taki z całą pewnością wołał poświęcić 129 własnych obywateli, niż przyznać publicznie, że pragnie pokoju. On go nie pragnął.

Zaledwie dwa tygodnie po zakończeniu okupacji teatru Putin pojechał do Brukseli na szczyt Unia EuropejskaRosja, poświęcony przede wszystkim międzynarodowemu zagrożeniu islamskim terroryzmem. Podczas konferencji prasowej po spotkaniu reporter francuskiej gazety „Le Monde” zadał pytanie o użycie ciężkiej artylerii przeciwko ludności cywilnej w Czeczenii. Zachowując spokój, a nawet lekko się uśmiechając kącikami ust, Putin powiedział: „Jeżeli jest pan skłonny zostać radykalnym wyznawcą islamu i poddać się obrzezaniu, zapraszam do Moskwy. Jesteśmy krajem wielu wyznań. Mamy od tego specjalistów. Polecę przeprowadzić operację w taki sposób, aby już nic tam nie odrosło”. Tłumacz nie odważył się na dosłowną translację, nie trafiła ona nawet do następnego wydania „The New York Times”, gdzie napisano zachowawczo: „Zapraszamy, w Moskwie toleruje się wszystko i wszystkich”. Literalna ostra wypowiedź cieszyła się dużą popularnością na serwisie RuTube jeszcze dziewięć lat po sformułowaniu przez Putina groźby wobec reportera, dowodząc całkowitego braku gotowości prezydenta choćby do zadeklarowania chęci pokojowego rozwiązania konfliktu w Czeczenii.

Aleksander Litwinienko mieszkał teraz w szeregowym domku przy wąskiej ulicy w północnym Londynie, naprzeciwko Ahmeda Zakajewa, byłego aktora z Groznego, który pod koniec lat dziewięćdziesiątych stał się inteligentną i urokliwą twarzą niezależnej Czeczenii. Był jednym z kluczowych członków czeczeńskiego rządu z okresu po zawieszeniu broni,

reprezentował też swój kraj na Zachodzie.

W 2000 roku został ranny i opuścił Czeczenię, aby poddać się leczeniu, a ostatecznie wystąpił z wnioskiem o azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. Żył spokojnie na północy Londynu, korzystając z finansowego wsparcia dawnego partnera w negocjacjach, Borysa Bieriezowskiego - dokładnie tak samo jak Litwinienko, który drugą połowę lat dziewięćdziesiątych też spędził w Czeczenii, tyle że po stronie rosyjskiej. Pozostali przy życiu towarzysze Zakajewa upatrywali w swoim krajanie premiera czeczeńskiego rządu na wygnaniu.

Tymczasem jednak Litwinienko i Zakajew, wspólnie ślęczący nad dokumentami oraz nagraniami z okupacji teatru, poczynili zdumiewające odkrycie: jeden z terrorystów nie został zabity. Wydawało się wręcz, że opuścił budynek na krótko przed tym, jak wtargnęły tam rosyjskie oddziały. Zidentyfikowali tego człowieka jako Chanpaszę Terkibajewa, byłego dziennikarza, który ich zdaniem od dawna pracował dla rosyjskich służb specjalnych¹⁰. W dniu 31 marca 2003 roku Zakajew widział się z Terkibajewem w Strasburgu, dokąd obaj przybyli na sesję Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy jako przedstawiciele narodu czeczeńskiego, Terkibajew za zgodą Rosji, Zakajew bez takiej zgody.

Na początku kwietnia Litwinienko dotarł do Siergieja Juszenkowa, liberalnego pułkownika, z którym Marina Salje współpracowała przed swoją ucieczką z Moskwy, a który teraz uczestniczył w parlamentarnym śledztwie w sprawie okupacji teatru, i przekazał mu wszystkie informacje, jakie posiadał na temat Terkibajewa. Dwa tygodnie później Juszenkow został zastrzelony w Moskwie w biały dzień. Litwinienko był przekonany, że zamach miał bezpośredni związek z jego śledztwem w sprawie tragedii.

Juszenkow jednak zdążył przekazać otrzymane od Litwinienki dokumenty kolejnej osobie. Anna Politkowska, dziennikarka po czterdziestce, przez większość swojego życia zawodowego żyła we względnej nieświadomości, pisząc dobrze udokumentowane i zagmatwane artykuły na temat przeróżnych problemów życia społecznego. W trakcie drugiej wojny w Czeczenii dała się poznać jako brawurowa reporterka. Najwyraźniej niepomna rosyjskich restrykcji wojskowych, spędziła w Czeczenii wiele tygodni, gromadząc materiały potwierdzające nadużycia i zbrodnie wojenne rodaków. W ciągu paru lat zyskała sobie wśród Czeczenów zaufanie, jakim nie cieszył się chyba żaden inny Rosjanin. Siwowłosa kobieta w okularach, matka dwójki dorosłych dzieci, zupełnie nie wyglądała na poszukiwacza sensacji czy wojennego korespondenta, i prawdopodobnie właśnie dzięki temu wielokrotnie udało jej się uniknąć niebezpieczeństwa. W trakcie okupacji teatru pozwolono jej wejść do środka i podjąć próbę negocjacji z terrorystami. Wydaje się, że to właśnie dzięki niej wydali oni zgodę

na dostarczenie do środka wody i soków.

Politkowska odnalazła Terkibajewa - twierdziła, że rozpoznała w nim jednego z ludzi, których widziała w teatrze - i zaproponowała mu przeprowadzenie wywiadu.

A że jej rozmówca okazał się człowiekiem absurdalnie wręcz próżnym, dziennikarka bez trudu nakłoniła go do wynurzeń. Chwalił się, że był w teatrze, że wprowadził tam terrorystów, że zabezpieczył ich przejazd wypełnionymi bronią furgonetkami przez punkty kontrolne w Czeczenii i przez posterunki milicji na rogatkach Moskwy, i że posiadał szczegółowy plan teatru, którego nie mieli ani terroryści, ani oddziały federalne. Dla kogo pracował? Powiedział, że dla Moskwy.

Politkowska zachowała dużą ostrożność przy wyciąganiu wniosków z tego wywiadu. Terkibajew kłamał w wielu sprawach, to nie ulegało wątpliwości, podał jednak kilka faktów: rzeczywiście znajdował się wśród porywaczy, nadal żył i poruszał się swobodnie po terenie kraju, a nawet wyjeżdżał za granicę jako członek oficjalnych delegacji. Wydawało się, że musi pracować dla jednej ze służb specjalnych. Terkibajew powiedział Politkowskiej jeszcze jedną ważną rzecz, a mianowicie podał powód, dla którego terroryści nie zdetonowali ładunków wybuchowych, gdy poczuli, że sala wypełnia się gazem, co przecież musiało stanowić zapowiedź ataku na budynek. Stwierdził, że żadnych materiałów wybuchowych nie było. Kobiety ustawione przy rzędach foteli, pilnujące zakładników i trzymające palec na przycisku detonatora, miały na sobie kamizelki z atrapą ładunków dynamitu. Jeżeli to była prawda - a nie brakuje powodów, żeby tak sądzić - wówczas wszystkie ofiary tej tragedii zginęły na próżno. Zważywszy, że Chanpasza Terkibajew opuścił budynek jeszcze przed szturmem sił specjalnych, Kreml prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę.

W dniu 5 lipca 2005 roku zmarł drugi z członków niezależnego komitetu badającego sprawę wybuchów w blokach mieszkalnych w 1999 roku. Dwa tygodnie wcześniej Jurij Szczekoczichin, jawnie liberalny polityk i dziennikarz zajmujący się tropieniem skandali (był zastępcą redaktora „Nowoj Gaziety”, a jako szef zespołu śledczego również bezpośrednim przełożonym Politkowskiej), trafił do szpitala z tajemniczymi objawami: narzekał na pieczenie całego ciała i wymiotował. Po tygodniu zapadł w śpiączkę, oblaźł ze skóry, wypadły mu włosy. Zmarł wskutek niewydolności wielonarządowej wywołanej działaniem nieznanego czynnika toksycznego. Lekarze z najlepiej wyposażonego szpitala w Moskwie, którzy rozpoznali u niego „zespół alergiczny”, nie potrafili spowolnić biegu choroby.

Szczekoczichin prowadził śledztwa w tak wielu różnych sprawach, że przyjaciele i współpracownicy - którzy w większości, jeśli nie wszyscy, sądzili, że został zamordowany - nie potrafili odgadnąć, która konkretnie z prowadzonych przez niego samobójczych misji

stała się przyczyną śmierci mężczyzny. Zakajew był przekonany, że zamordowanie Szczekoczichina miało zapobiec publikacji znajdujących się w jego posiadaniu informacji na temat okupacji teatru, a konkretnie dowodów na to, że wśród terrorystek znalazły się kobiety skazane za różne przestępstwa, które podczas kryzysu teoretycznie odsiadywały wyroki w rosyjskich więzieniach. Innymi słowy, kobiety zostały prawdopodobnie uwolnione na mocy decyzji osoby dysponującej szczególnego rodzaju władzą, co również wskazywało na możliwe zaangażowanie służb specjalnych w organizację tego aktu terroru. w dniu 1 września 2004 roku, gdy tylko pojawiły się pierwsze informacje na temat okupacji szkoły w Biesłanie, Politkowska oczywiście pośpieszyła na lotnisko, by udać się do Osetii Północnej. Podobnie postąpiło wielu innych dziennikarzy, w tym dobrze znany w Czeczenii reporter Andriej Babicki, człowiek porwany przez rosyjskie oddziały zaraz po przejęciu władzy przez Putina. Tym razem Babicki został zatrzymany na lotnisku w Moskwie z powodu podejrzenia o przewożenie materiałów wybuchowych. Żadnych takich substancji u niego nie znaleziono, więc został zwolniony, ale do Biesłanu nie dotarł. Politkowska odprawiła się na trzy kolejne loty, ale wszystkie zostały odwołane, zanim jeszcze rozpoczęto wpuszczanie pasażerów na pokład.

W końcu znalazła miejsce w samolocie do Rostowa, jednego z większych miast południowej Rosji, oddalonego od Biesłanu o około 650 kilometrów. Resztę drogi planowała pokonać wynajętym samochodem. Miała zamiar działać nie tylko jako reporter, ale w miarę możliwości również jako negocjator, podobnie jak dwa lata wcześniej podczas okupacji teatru. Przed wyjazdem z Moskwy przeprowadziła długą rozmowę z przebywającym w Londynie Zakajewem. Namawiała go, aby zmobilizował czeczeńskich liderów do rozmów z terrorystami i negocjacji w sprawie uwolnienia dzieci. Sugerowała, że przywódcy bojowników powinni wyjść w tym celu z ukrycia, i to bez stawiania jakichkolwiek warunków.

Zakajew się z nią zgodził.

Politkowska zachowywała dużą ostrożność - w tamtym okresie często grożono jej śmiercią, a przecież widziała, jak jej redaktor Jurij Szczekoczichin umierał wskutek zatrucia - więc zabrała do samolotu własne jedzenie. Zamówiła tylko filiżankę herbaty. Dziesięć minut później straciła przytomność. Zanim maszyna zdążyła wylądować, dziennikarka zapadła w śpiączkę. Zdaniem lekarzy, którzy leczyli ją w Rostowie, jej ozdrowienie zakrawało na cud. Dwa dni później przetransportowano ją do Moskwy, gdzie medycy ostatecznie stwierdzili, że spożyła nieokreśloną substancję toksyczną, która spowodowała poważne uszkodzenie nerek, wątroby oraz układu wewnętrzzydzielniczego. annę POLITKOWSKĄ, która pomimo wielu

miesiący rekonwalescencji nigdy w pełni nie powróciła do zdrowia, udało się w ten sposób powstrzymać przed relacjonowaniem biesłańskiej tragedii i gromadzeniem informacji na jej temat. To wyzwanie podjęli jednak inni. Sprawą zajęła się między innymi Marina Litwinowicz, wcześniej odpowiedzialna za wizerunek Putina. Po okupacji teatru zrezygnowała z pracy w charakterze politycznego konsultanta Kremla - nie tyle z powodu sprzeciwu wobec postępowania FSB w tej sprawie, ile raczej ze względu na wyłączenie jej z zespołu zajmującego się kryzysem. Zaangażowała się w działalność opozycyjną dokładnie w momencie, gdy opozycja w istocie przestała istnieć, podjęła pracę dla oligarchy Michaiła Chodorkowskiego na krótko przed jego aresztowaniem, a następnie, poszukując możliwości wykorzystania swoich niebagatelnych umiejętności i koneksji, trafiła do Biesłanu.

„Bałam się tam jechać”, powiedziała. „Nigdy nie byłam na Kaukazie”. Była zbyt zażenowana, żeby opowiedzieć mi, co konkretnie spodziewała się tam zobaczyć. Można było odnieść wrażenie, że jest w znacznej mierze dzieckiem prowadzonej od dziesięciu lat wojennej propagandy, którą zresztą sama pomagała tworzyć. W tak niedużej odległości od Czeczenii z całą pewnością nie spodziewała się spotkać podobnych sobie ludzi. „Jeździliśmy od rodziny do rodziny, od domu do domu, w których ludzie stracili dzieci. Wszędzie nalewano nam kieliszek wódki »ku pamięci«. Wszyscy płakali i ja też płakałam; wyplakiwałam sobie w Biesłanie oczy. A oni po prostu opowiadali mi swoje historie, płakali i prosili o pomoc. Wtedy wydawało się, że Rosja już zapomniała, więc każdy, kto przychodził, prosił o pomoc. Ludzie nie wiedzieli, jakiej pomocy oczekują, z początku ja też nie wiedziałam. Opowiadałam im banały o tym, że powinni się zorganizować. Dziwnie było powiedzieć coś takiego kobietom, które całe życie spędziły na prowadzeniu domu, a jeśli miały pracę poza domem, to co najwyżej w rodzinnym sklepie. W końcu zaczęłam tam spędzać więcej czasu, zajęłam się kilkoma sprawami. Stworzyliśmy organizację. Potem zaczęliśmy gromadzić zeznania naocznych świadków. A potem zaczął się proces”.

Podobnie jak w przypadku okupacji teatru, również w Biesłanie większość napastników została zabita przez rosyjskie oddziały bez sądu. Z oficjalnych danych wynikało, że szturm przeżył jeden z porywaczy, ale tym razem urządzono mu proces. Przesłuchania trwały przez dwa lata. Z zeznań mężczyzny, a także, co ważniejsze, z zeznań naocznych świadków ponownie wyłaniał się przerażający obraz postępowania władz rosyjskich w obliczu kryzysu oraz ich potencjalnego zaangażowania w jego wywołanie. Proces toczył się w małym Biesłanie, a w charakterze publiczności występowali przede wszystkim pogrążeni w żałobie okoliczni mieszkańcy. Gdyby nie proste działanie Litwinowicz, nie zainteresowałby się tym pies z kulawą nogą. To Marina zadbała o przygotowanie nagrań

audio ze wszystkich rozpraw i o to, aby zapis z każdej sesji trafiał na stronę o nazwie Prawda o Biesłanie.

Na podstawie zeznań składanych przed sądem Litwinowicz była w stanie zrekonstruować wydarzenia, które rozegrały się w szkole, godzina po godzinie, a jeśli chodzi o ostatni dzień - nawet minuta po minucie. Odkryła, że zorganizowano dwie akcje ratownicze o wzajemnie sprzecznych celach: jedną kierował północnoosetyjski gubernator Aleksander Dzasochow (noszący oficjalnie tytuł prezydenta Osetii Północnej), drugą zaś prowadziło wprost z Moskwy FSB.

W początkowych godzinach okupacji porywacze wystosowali pismo zawierające ich numery telefonów komórkowych oraz żądania. Wskazali pięć osób, które mogły wejść do środka i podjąć negocjacje - wśród nich Dzasochowa. Dzasochow próbował wejść na teren szkoły, ale uniemożliwiły mu to oddziały przyjmujące rozkazy od FSB. Udało mu się natomiast doprowadzić do tego, że na teren budynku wpuszczono Rusłana Auszewa, byłego przywódcę sąsiedniej Inguszetii. Auszew zdołał wyprowadzić ze środka dwudziestu sześciu zakładników, kobiety z niemowlętami. Przyniósł również list skierowany do Władimira Putina. Porywacze żądali w nim niepodległości dla Czeczenii, wycofania rosyjskich wojsk oraz zakończenia akcji zbrojnej. Drugiego dnia okupacji Dzasochow skontaktował się z przebywającym w Londynie Zakajewem, który nakłonił prezydenta samozwańczej Republiki Czeczeńskiej Asłana Maschadowa do przyjazdu do Biesłanu i podjęcia rokowań z terrorystami (do takiego działania namawiała już wcześniej Poltkowska, ale Dzasochow musiał przedstawić ten postulat ponownie).

Wszystko wskazywało na to, że terroryści są gotowi do rozmów. W większości krajów oznaczałoby to, że nie zostaną podjęte żadne radykalne działania, dopóki będą istnieć szanse na uratowanie któregokolwiek z zakładników. Tymczasem, podobnie jak w przypadku okupacji teatru, Moskwa nie wyczerpała wszystkich możliwości negocjacyjnych. Właściwie wydawało się, że akcja zbrojna została zaplanowana w taki sposób, aby nie dopuścić do spotkania Maschadowa z terrorystami. Maschadowa, który miał spore szanse wynegocjować pokojowe zakończenie kryzysu.

O godzinie pierwszej po południu 3 września, zaledwie kilka minut po tym, jak pracownicy ministerstwa ds. sytuacji nadzwyczajnych zabrali ciała kilku osób zabitych przez terrorystów na początku okupacji (zgodnie z ustaleniami z Auszewem), budynkiem wstrząsnęły dwie eksplozje. W tym momencie większość zakładników już od ponad dwóch dni znajdowała się w szkolnej sali gimnastycznej.

Byli odwodnieni (niektórzy z nich zaczęli pić własny mocz) i przerażeni. Wiedzieli, że

to pomieszczenie zostało zaminowane (materiały wybuchowe umieszczono w widocznych miejscach); na straży stało dwóch terrorystów, trzymając nogi na pedałach detonatorów.

Źródło tych dwóch eksplozji (do drugiej doszło w ciągu zaledwie kilku sekund po pierwszej) znajdowało się jednak poza budynkiem. Litwinowicz zdołała ustalić, że obie były skutkiem wystrzałów z granatników skierowanych przez rosyjskie oddziały bezpośrednio w stronę zatłoczonej sali gimnastycznej. „Wyglądało to tak, jak gdyby coś wpadło do środka, jakaś gigantyczna kula ognia”, zeznawała jedna z ocalałych zakładniczek. Podobnie jak większość dorosłych, była to matka przebywająca w niewoli razem ze swoim dzieckiem. „Spojrzałam”, relacjonowała inna, „i zobaczyłam, że tam, gdzie były kiedyś drzwi na boisko, teraz jest wielka dziura w suficie i że ogień bardzo szybko się rozprzestrzenił”.

„Gdy odzyskałam przytomność, leżały na mnie ciała” (to zeznanie kolejnej zakładniczki). „Wszystko płonęło”, mówił ktoś inny. „Leżałam na stosie martwych ciał. Martwe ciała siedziały też na ławkach”. Trzecia osoba opowiadała:

„Rozejrzałam się i stwierdziłam, że moja córeczka nie ma głowy i ręki, i że jej stopa została całkowicie zmiażdżona”.

Ludzie przeżyli dwudniowy koszmar, który teraz zmieniał się w prawdziwe piekło. Spanikowani terroryści zachowywali się tak, jakby próbowali ratować zakładnikom życie. Tych, którzy byli się w stanie poruszać, zgromadzili w stołówce, która nie ucierpiała bezpośrednio podczas ostrzału. Zakładnikom w Sali gimnastycznej polecono ustawić się przy oknach, żeby rosyjskie oddziały mogły zobaczyć, że strzelają do pozostałych w pomieszczeniu kobiet i dzieci. Wojsko nie zrezygnowało jednak ani z użycia czołgów, ani granatników czy miotaczy ognia. Strzelając z bliskiej odległości, celowano najpierw w salę gimnastyczną, a potem również w stołówkę. Terroryści wielokrotnie próbowali przeprowadzić kobiety i dzieci do sal osłoniętych od ostrzału, na zewnątrz miejscowa milicja bez powodzenia przekonywała dowódców rosyjskich oddziałów do wstrzymania ognia.

W sumie zginęło 312 osób, w tym dziesięciu funkcjonariuszy (ale nie z FSB), którzy ponieśli śmierć w płomieniach podczas próby ratowania więzionych ludzi.

Z okazji drugiej rocznicy tragedii w Biesłanie, przypadającej we wrześniu 2006 roku, Litwinowicz przygotowała broszurę ze swoimi wnioskami. Z powodu choroby Politkowska napisała o Biesłanie stosunkowo niewiele, ale mimo to jej wkład w sprawę był ogromny: dotarła mianowicie do policyjnego dokumentu, z którego wynikało, że zatrzymany na cztery godziny przed atakiem mężczyzna poinformował władze o planach terrorystów. Ostrzeżenie jednak zignorowano, a w Dzień Wiedzy w szkole nie zastosowano dodatkowych środków bezpieczeństwa.

Co można było myśleć o tym wszystkim? Część społeczeństwa żywiła przekonanie, że kryzys w Biesłanie został od początku do końca zaplanowany i zaaranżowany przez służby specjalne, podobnie jak wcześniej wybuchy w blokach mieszkalnych.

Zważywszy, że Putin wystąpił z inicjatywą rezygnacji z wyłaniania gubernatorów w drodze wyborów powszechnych zaledwie dziesięć dni po tragedii i że przedstawił tę propozycję jako odpowiedź na terroryzm, teza zyskuje na wiarygodności.

Do osób absolutnie przekonanych o tym, że FSB nakłoniła jakąś grupę niezorganizowanych Czeczenów do zajęcia gabinetu miejscowego gubernatora (co dałoby Putinowi wymówkę do ustanowienia bezpośredniej kontroli federalnej nad administracją regionalną), ale coś poszło nie tak i w rezultacie terroryści skończyli w szkole, należał Zakajew.

Moim zdaniem rzeczywistość przedstawia się w sposób jeszcze bardziej chaotyczny. Zaangażowanie służb specjalnych w organizację zamachów na budynki mieszkalne prawie nie budzi wątpliwości - prawie, ponieważ nie ma możliwości przeprowadzenia analizy dowodów w sprawie, zarówno tych zebranych, jak i tych, które zebrane nie zostały. Akty terroru w moskiewskim teatrze i w Biesłanie wydają mi się natomiast nie tyle dobrze zorganizowanymi operacjami, ile raczej skutkiem szeregu niewłaściwych posunięć, nieprzemysłanych sojuszy i niezrealizowanych planów. Dowody zdają się wskazywać, że grupa funkcjonariuszy FSB utrzymywała długoterminowe relacje z terrorystami, lub potencjalnymi terrorystami, z Czeczenii, i że przynajmniej niektóre z nich opierały się na wymianie usług za pieniądze. Nie ulega wątpliwości, że ktoś - prawdopodobnie milicja, ale być może również służby specjalne - ułatwiał terrorystom poruszanie się po terenie Rosji. Wreszcie wszystko przemawia za tym, że rząd Putina ani nie podjął próby zapobieżenia atakom terrorystycznym, ani też nie starał się doprowadzić do pokojowego rozwiązania kryzysów, kiedy już do nich dochodziło. Co więcej, prezydent wielokrotnie i z coraz większym zdecydowaniem demonstrował, że zamierza budować swój wizerunek na fundamencie własnej determinacji do bezwzględnej walki z terrorystami, ale także na uświadamianiu narodowi ich bezwzględności.

Czy mamy tu do czynienia z kolejnymi starannie przemyślanymi planami, które miały na celu wzmocnienie pozycji Putina w kraju najlepiej reagującego na politykę strachu? Niekoniecznie, a może nie do końca. Wydaje mi się, że organizatorzy okupacji teatru czy szkoły oraz ich mocodawcy kierowali się pierwotnie nieco innymi przesłankami. Przynajmniej części czeczeńskich bojowników chodziło o to, by nastraszyć Rosjan i pokazać im koszmar toczącej się wojny. Pośród tych, którzy wspierali przygotowania do ataku po

stronie rosyjskiej, najprawdopodobniej znaleźli się ludzie o motywacji czysto finansowej. Po obu stronach nie brakowało takich, którzy mieli do wyrównania osobiste rachunki, jeszcze inni byli rzeczywiście zaangażowani w intrygę polityczną na wielką skalę, sięgającą samej góry lub nieco niżej. Jedno jest pewne: gdy już dochodziło do wzięcia zakładników, siły rządowe działające pod bezpośrednim nadzorem Putina dokładały wszelkich starań, aby kryzys znalazł możliwie tragiczny finał - co doskonale uzasadniałoby kontynuowanie działań wojennych w Czeczenii, dalsze obostrzenia wobec mediów i opozycji w Rosji i wreszcie zdławienie wszelkiej potencjalnej krytyki ze strony Zachodu, który po wydarzeniach z 11 września musiał uznać Putina za sojusznika w walce z islamskim terroryzmem. Zarówno w Moskwie, jak i w Biesłanie oddziały rosyjskie nie bez powodu podejmowały działania prowadzące do znacznego wzrostu liczby ofiar. Chodziło o to, aby wzbudzić jeszcze większe strach i niechęć, jak w klasycznym modus operandi terrorystów. W tym sensie można z całą pewnością powiedzieć, że Putin i terroryści działali ręką w rękę. w dniu 20 marca 2006 ROKU Marina Litwinowicz wyszła z pracy tuż po dziewiątej wieczorem. Pracowała teraz dla Garriego Kasparowa, szachowego czempiona, obecnie zaangażowanego w politykę. Żadne z nich nie afiszowało się ze swoją obecnością w Moskwie, pracowali za nieoznakowanymi drzwiami, za którymi zawsze czuwało dwóch z ośmiu ochroniarzy na stałe pracujących dla Kasparowa. Wieczorami szachista i jego obstawa odjeżdżali suvem, a reszta niewielkiej ekipy rozchodziła się w różne strony - pojedynczo wsiadali do samochodów, szli na piechotę lub jechali metrem.

Litwinowicz mieszkała niedaleko, więc zwykle chodziła spacerem.

Mniej więcej godzinę po wyjściu z biura Marina Litwinowicz otworzyła oczy i stwierdziła, że leży na markizie rozpościerającej się nad wejściem do jakiejś piwnicy; obcy człowiek dopytywał się, czy nic się jej nie stało. Owszem, stało się.

Ktoś musiał ją ogłuszyć uderzeniem lub uderzeniami w głowę. Została poważnie pobita: cała była posiniaczona i nie miała dwóch przednich zębów. Obok leżała jej torebka. Notebook, telefon komórkowy i pieniądze nadal znajdowały się w środku.

Tamtej nocy Litwinowicz spędziła trzy albo cztery godziny na ostrym dyżurze w szpitalu, a następnego dnia kolejne trzy albo cztery na posterunku milicji. Milicjanci zachowywali się niezwykle uprzejmie, ale powtarzali, że nie doszło do żadnego pobicia. Może trzydziestojednoletnia kobieta po prostu szła sobie ulicą i upadła tak nieszczęśliwie, że cała się posiniaczyła? Marina nie przyjęła tego wyjaśnienia, twierdząc, że ma dużego siniaka na jednej nodze i że według opinii lekarza stanowi on prawdopodobnie pozostałość po uderzeniu gumową pałką. Może w takim razie została potrącona przez samochód? Jakim

cudem, skoro jej ubrania zupełnie się nie pobrudziły i mogła dzisiaj włożyć te same spodnie i płaszcz? To zresztą była jedna z kilku rzeczy wskazujących na to, że za atakiem stali profesjonaliści - ktoś musiał ją przytrzymać, a potem ułożyć ostrożnie na markizie, na której się obudziła.

Atak był ostrzeżeniem. Przemawiał za tym sprawny sposób jego przeprowadzenia oraz fakt, że napastnicy nie zabrali cennych rzeczy. Inny młody konsultant polityczny, dawny kolega Litwinowicz, który robił błyskotliwą karierę, pracując dla rządu Putina, jasno sformułował treść tego ostrzeżenia na swoim blogu: „Kobiety nie powinny zajmować się tego typu pracą. (...) Marina ruszyła na wojnę, a nikt nigdy nie mówił, że wojna toczy się zgodnie z zasadami”. Innymi słowy, to właśnie czekało tych, którzy występują przeciwko Kremlowi.

W sobotę, 7 października 2006 ROKU, Anna Politkowska wracała do swojego mieszkania w centrum Moskwy. Została zastrzelona w windzie, w swoim budynku.

Kto mógł zrobić coś takiego? Każdy. Politkowska potrafiła być bardzo nieprzyjemna. Równoległe z nadzwyczajnie empatyczną osobowością zdawała się w niej funkcjonować również inna, wybuchowa, reagująca na najdrobniejszą prowokację. W przypadku dziennikarki, która często poszukiwała informacji u ludzi uzbrojonych po zęby, nawykłych do przemocy, za to nienawykłych do pyskujących kobiet, była to niebezpieczna cecha. Politkowska nierzadko niezyczliwie odnosiła się do swoich źródeł, na przykład do Chanpaszy Terkibajewa, który bardzo starał się jej zaimponować, a którego ona przedstawiła jako próżnego i głupiego człowieka. Poza tym opowiadała się często po jednej ze stron, co przy wojnach klanowych pociąga za sobą pewne niebezpieczeństwo.

Nade wszystko jednak słynęła z krytyki reżimu Putina. Aleksander Litwinienko był pewny, że to właśnie stało się przyczyną jej śmierci. „Annę Politkowską zabił Putin”, tak zatytułował swój nekrolog ku jej pamięci. „Czasami się nie zgadzaliśmy, zdarzało nam się spierać”, pisał o swojej relacji z Politkowską. „Ale w jednej sprawie rozumieliśmy się całkowicie: oboje uważaliśmy, że Putin to zbrodniarz wojenny, odpowiedzialny za ludobójstwo na narodzie czeczeńskim, który powinien zostać publicznie postawiony przed niezależnym sądem. Ania zdawała sobie sprawę, że Putin może ją zabić za jej przekonania, i gardziła nim właśnie z tego powodu”.

Dzień śmierci Politkowskiej zbiegł się w czasie z czterdziestymi czwartymi urodzinami Putina. Dziennikarze natychmiast określili to morderstwo mianem „prezentu urodzinowego”. Prezydent jednak w żaden sposób nie odniósł się do śmierci dziennikarki. Następnego dnia złożył życzenia urodzinowe łyżwiarce figurowej, która akurat kończyła sześćdziesiąt lat, oraz popularnemu aktorowi, który obchodził siedemdziesiąte urodziny,

nadal jednak nie wspominał ani słowem o morderstwie, które wstrząsnęło i stolicą, i krajem. Trzy dni po zabójstwie pojechał do Drezna - miasta, które kiedyś nazywał domem - na spotkanie z kanclerz Angelą Merkel. Gdy wysiadał z samochodu, czekała na niego pikietka zorganizowana przez około trzydzieści osób z transparentami „Zabójca” i „Zabójca nie jest tu już mile widziany”. Podczas konferencji prasowej po spotkaniu z Merkel dziennikarze - i jak się zdaje również sama pani kanclerz - w końcu zmusili go do złożenia publicznego oświadczenia w sprawie śmierci Politkowskiej. Po raz kolejny można było zobaczyć, że Putin nie potrafi nad sobą zapanować, gdy musi pod presją wypowiadać się w sprawach obarczonych ładunkiem emocjonalnym.

Zdawał się kipieć ze złości.

„Ta dziennikarka była rzeczywiście surowym krytykiem obecnego rosyjskiego rządu”, powiedział. „Wydaje mi się jednak, że dziennikarze wiedzą, a już eksperci z pewnością są tego świadomi, że jej polityczne wpływy w kraju były bardzo ograniczone. Była znana w kręgach dziennikarskich i wśród działaczy zajmujących się prawami człowieka, a także na Zachodzie, ale miała minimalną siłę oddziaływania na rosyjską politykę. Zabójstwo takiej osoby, zamordowanie z zimną krwią kobiety, matki, już samo w sobie stanowi atak na nasz kraj. To morderstwo szkodzi Rosji i jej obecnemu rządowi, a także obecnemu rządowi w Czeczenii, bardziej niż którykolwiek z jej artykułów”.

Putin miał rację. Politkowska była lepiej znana w krajach Europy Zachodniej, na przykład we Francji czy w Niemczech, gdzie jej książki tłumaczono i intensywnie promowano, niż w Rosji, gdzie od dawna znajdowała się na telewizyjnej czarnej liście (kiedyś często występowała w talkshow), gdzie pracowała dla gazety uważanej za marginalną i gdzie jej materiały śledcze, które w starej, pseudodemokratycznej rzeczywistości rozpętywałyby wielkie skandale, były po prostu ignorowane. Rząd nigdy nie odniósł się do jej wywiadu z Chanpaszą Terkibajewem ani do jej doniesień o zlekceważeniu przez biesłańską milicję ostrzeżeń ozamachu. Pracy nie stracił żaden szeregowy funkcjonariusz milicji. Nie stało się nic, zupełnie jak gdyby nic nie zostało powiedziane albo jak gdyby nikt tego nie usłyszał. A ponieważ to morderstwo zmusiło Putina do dowodzenia własnej niewinności, rzeczywiście wyrządziło jemu samemu i jego rządowi więcej szkody niż świętej pamięci Politkowska za życia.

Wypowiedź ta została tak niefortunnie sformułowana i tak dobitnie pokazywała, co Putin sądzi o dziennikarzach, że jestem skłonna uwierzyć w jej szczerść.

W dniu 11 listopada 2006 roku, zaledwie trzy tygodnie po zabójstwie Politkowskiej, Aleksander Litwinienko źle się poczuł. Biorąc pod uwagę to, że mógł zostać otruty, czym

prędzej wypił cztery litry wody, aby wypłukać ewentualną truciznę z organizmu. Na nic się to jednak zdało, a w ciągu następnych kilku godzin zaczął intensywnie wymiotować. Pojawił się również potworny ból; mężczyzna miał wrażenie, jak gdyby coś poparzyło mu gardło, przełyk i żołądek. Litwinienko nie był w stanie jeść ani pić, a wymioty wywoływały straszliwe dolegliwości. Ponieważ objawy nie ustąpiły przez trzy dni, został przyjęty do szpitala.

Tam od razu poinformował lekarzy, że mógł zostać otruty przez agentów rosyjskiego rządu, a ponieważ skierowano go w związku z tym na konsultację psychiatryczną, postanowił od tej pory zachować swoją teorię dla siebie. Lekarze poinformowali jego żonę, Marinę, że szukają nietypowej bakterii, która ich zdaniem może wywoływać tak silne objawy, i przez pewien czas kobieta im wierzyła i cierpliwie czekała, aż mąż wyzdrowieje. Po upływie dziesięciu dni zauważyła jednak, że stan Aleksandra wyraźnie się pogarsza. Zwróciła też uwagę, że na jego szpitalnej piźamie pojawiło się mnóstwo włosów. „Pogłaskałam go po głowie”, opowiadała mi później. „Miałam na ręce gumową rękawiczkę i na niej zostały jego włosy. Zapytałam: »Sasza, co to jest?«, a on odpowiedział: »Nie wiem, chyba wypadają mi włosy«. To właśnie w tym momencie po prostu wstałam i zaczęłam krzyczeć: »Czy wam nie wstyd?«. Wcześniej starałam się być cierpliwa, ale w tamtej chwili uświadomiłam sobie, że już dłużej tego nie znoję. Zaraz pojawił się przy nas lekarz prowadzący, a ja powiedziałam: »Czy pan widzi, co się dzieje? Może mi pan wyjaśnić, co się dzieje?«. Lekarze zadzwonili po kogoś z onkologii i jeszcze po innego specjalistę, po czym rozpoczęli konsultacje. Onkolog powiedział: »Wezmę go do siebie na oddział, bo wygląda jak pacjent po radioterapii«. Wziął go na oddział, ale tam też niczego nie znaleźli”.

Dopiero tydzień później lekarze Litwinienki, a także przedstawiciele brytyjskiej prasy i londyńskiej policji zaczęli wierzyć, że on rzeczywiście został otruty.

W jego moczu wykryto śladowe ilości talu, metalu ciężkiego stosowanego nie - gdyż w trutkach na szczury, ale od dawna zakazanego w krajach zachodnich. To odkrycie dało nadzieję samemu Litwinience oraz jego żonie i przyjaciółom - wystarczy antidotum i będzie zdrow. „Zdawałam sobie sprawę, że może być niepełnosprawny. Byłam na to przygotowana”, powiedziała mi Marina. „Ale nie sądziłam, że umrze. Myślałam o różnych kuracjach, którym trzeba go będzie poddać”. To odkrycie skłoniło brytyjskie media do stworzenia historii o „rosyjskim szpiegu”, jak go z uporem określali, umierającym w londyńskim szpitalu, a Scotland Yard - do rozpoczęcia przesłuchań Litwinienki. Dawny denuncjator, a obecnie słaby człowiek, niezdolny niczego przełknąć (przez cały okres pobytu w szpitalu wszelkie substancje odżywcze podawano mu przez kroplówkę) i mówiący z ogromnym trudem,

zeznawał w swoich ostatnich dniach przez około dwadzieścia godzin. Sama diagnoza budziła jednak zastrzeżenia jednego z wiodących toksykologów, którego wezwał Goldfarb. Zdaniem lekarza objawy nie wskazywały na zatrucie talem.

Na dzień czy dwa przed zapadnięciem w śpiączkę Litwinienko podyktował oświadczenie, które miało zostać opublikowane w przypadku jego śmierci. Spisał je Aleks Goldfarb. Rozpoczęło się od trzech akapitów z podziękowaniami dla lekarzy, Wielkiej Brytanii i Mariny, dalej zaś znajdowały się słowa:

Leżę tu i czuję wyraźnie obecność anioła śmierci. Nadal istnieje szansa, że zdołam mu się wymknąć, ale obawiam się, że moje nogi nie są już tak szybkie jak kiedyś. Chyba nadszedł już czas, żeby skierować kilka słów do człowieka, który ponosi odpowiedzialność za to, w jakim stanie się obecnie znajduję.

Być może zdoła Pan mnie uciszyć, ale za tę ciszę będzie musiał Pan zapłacić.

Udowodnił Pan już, że jest dokładnie tak bezwzględny barbarzyńcą, jakim przedstawiają Pana Pańscy najbardziej surowi krytycy.

Zademonstrował Pan, że nie ma żadnego poszanowania dla ludzkiego życia, wolności ani innych cywilizacyjnych wartości.

Pokazał Pan, że nie zasługuje na swoje stanowisko i że nie zasługuje na zaufanie cywilizowanych ludzi.

Być może zdoła Pan zamknąć usta jednemu człowiekowi, ale głosy protestu z całego świata będą pobrzmiwać Panu, Panie Putin, do końca Pańskich dni.

Niech Bóg Panu wybaczy to, co Pan zrobił, nie tylko mnie, ale mojej ukochanej Rosji i jej narodowi.

Na kilka godzin przed śmiercią Litwinienki lekarzom w końcu udało się zidentyfikować truciznę. Okazał się nią polon, wysoce radioaktywna substancja, która w przyrodzie występuje w bardzo niewielkich ilościach, ale którą można wyprodukować. Policja poinformowała o tym krewnych i bliskich Litwinienki krótko po jego zgonie.

Pięć lat po spotkaniu z litwinienką i udzieleniu mu pomocy w ucieczce Goldfarb rozpoczął prace nad książką na jego temat, którą tworzył we współpracy z Mariną Litwinienko. W ciągu niespełna roku dzieło ukazało się w kilku językach. Angielski tytuł brzmiał *Death of a Dissident: The Poisoning of Alexander Litvinenko and the Return of the KGB*. (W Polsce książka ukazała się pod tytułem *Śmierć dysydenta. Dlaczego zginął Aleksander Litwinienko?*). Jako naukowiec, wieloletni aktywista polityczny i urodzony sceptyk, Goldfarb zrekonstruował historię tego zabójstwa w tym bardziej przekonujący sposób, że sam nigdy do końca nie wierzył w jego zdaniem konspiracyjne teorie Litwinienki i

Politkowskiej. Tymczasem sam stworzył teorię, przy której tamte zbladły.

Równolegle do tych dwóch morderstw w Rosji dokonywała się zmiana polityki względem Czeczenii. Bez przyznawania się do porażki ani nawet bez otwartych negocjacji (Putin każdą z tych rzeczy odebrałby jako upokorzenie) Rosja wycofywała swoje oddziały, przekazując pełnię władzy oraz ogromne wsparcie finansowe mianowanemu przez siebie czeczeńskiemu liderowi Ramzanowi Kadyrowowi.

W zamian liczyła na lojalność i złudzenie pokoju i zwycięstwa. Pozostali czeczeńscy watażkowie, ci ważniejsi i ci mniej ważni, znaleźli się w trudnej sytuacji, ponieważ Kadyrow bezlitośnie zwalczał wrogów, zarówno swoich, jak i rywali. Na podstawie licznych dowodów poszlakowych oraz kilku znaczących, choć nieoficjalnych wywiadów, Goldfarb doszedł do wniosku, że Politkowską zabił właśnie jeden z tych watażków, w nadziei, że uda mu się zrzucić odpowiedzialność na Kadyrowa i w ten sposób zdyskredytować go w oczach rosyjskiego rządu. Politkowska zdecydowanie i głośno krytykowała, a nawet obrażała Kadyrowa, ale zdaniem Goldfarba za jej zabójstwo odpowiadali Czeczeni z konkurencyjnego klanu. Goldfarb sugerował również, że Putin stanął w obliczu konieczności dowiedzenia własnego braku zaangażowania w tę sprawę i że miał poczucie, że został w nią wmanewrowany. Szkopuł w tym, że po części, pod wpływem swoich doradców, doszedł do wniosku, że to nie Kadyrow go zrobił; źródeł zamieszania upatrywał w londyńskim obozie Bieriezowskiego. Zdecydowanie najbardziej aktywnym przedstawicielem tej grupy był zdrajca FSB Litwinienko, który w istocie oskarżył Putina o morderstwo dziennikarki. I właśnie dlatego Putin kazał go zabić.

Logice Goldfarba nie można niczego zarzucić. Wszyscy bohaterowie jego historii mieli motywy i środki, aby popełnić ten czyn. Jednak moim zdaniem to wszystko jest zbyt skomplikowane lub, być może, zbyt konkretne. Zamordowanie Aleksandra Litwinienki było bez wątpienia dziełem rosyjskiego rządu i zostało zatwierdzone na samej górze. Polon-210, który został wykorzystany do tego celu, wytwarzany jest wyłącznie w Rosji, jego produkcja i eksport są ściśle kontrolowane przez federalne organy odpowiedzialne za nadzór nad energią jądrową, a pozyskanie potrzebnej dawki wymaga interwencji na samej górze, i to już na wczesnym etapie procesu produkcji. Zgoda na takie działanie musiała zostać wydana w gabinecie samego prezydenta. Innymi słowy, rozkaz zabicia wyszedł od Władimira Putina.

Gdy już zidentyfikowano truciznę, brytyjska policja bez trudu wskazała podejrzanych o morderstwo. Polon, chociaż nieszkodliwy, dopóki nie zostanie wprowadzony do organizmu drogą pokarmową, pozostawia radioaktywny ślad w każdym miejscu, którego dotknie. W ten sposób policja wskazała ludzi, którzy transportowali metal do Londynu, oraz określiła

dokładnie miejsce i czas otrucia Litwinienki. Dwaj podejrzani to Andriej Ługowoj, były szef ochrony partnera biznesowego Bieriezowskiego, a następnie założyciel dobrze prosperującej prywatnej moskiewskiej firmy ochroniarskiej, oraz jego wspólnik Dmitrij Kowtun. Z nieujawnionych opinii publicznej powodów brytyjska policja wskazała Ługowoja jako podejrzanego, a Kowtuna jako świadka. Rosja odrzuciła wniosek o ekstradycję Ługowoja, który równocześnie został członkiem parlamentu, dzięki czemu uzyskał immunitet chroniący go przed wymiarem sprawiedliwości, w tym również przed ekstradycją. Wielka Brytania potraktowała jednak sprawę jako przypadek czysto kryminalny i nie formułowała politycznych żądań o wydanie Ługowoja na drodze ekstradycji.

Pośród wielu innych zabójstw dziennikarzy i polityków nie ma drugiego tak oczywistego i jednoznacznego. Rzeczywiście, nie można wykluczyć, że Anna Politkowska padła ofiarą czeczeńskiej walki klanów. Nie można wykluczyć, że Jurij Szczekoczichin został zabity przez jakiegoś biznesmena lub polityka, niezadowolonego z ujawnienia brudów. Nie można wykluczyć, że Anatolij Sobczak zmarł na atak serca. Wszystkie te wyjaśnienia wydają się jednak mało prawdopodobne, gdy rozpatruje się je z osobna, a urastają niemal do rangi absurdu, gdy się je ze sobą zestawia. Prosta i oczywista prawda jest taka, że putinowska Rosja to kraj, w którym polityczni rywale i krytycy padają często ofiarami zabójstw, przynajmniej w niektórych przypadkach dokonywanych bezpośrednio na rozkaz pochodzący z gabinetu prezydenta.

Rozdział dziesiąty

BEZGRANICZNA CHCIVOŚĆ

Gdy teraz piszę o pierwszych latach prezydentury Putina, uderzają mnie widoczne w jego działaniach szybkość i zdecydowanie. Nawet gdy relacjonowałam tę historię na żywo, wydawało mi się, że wszystko toczy się w zawrotnym tempie. Putin w krótkim czasie przeobraził kraj, wprowadzając daleko idące zmiany, które zostały przyjęte bez oporów. Można odnieść wrażenie, że w jednej chwili cofnął Rosję w jej ewolucyjnym rozwoju historycznym. Mimo to przez przerażająco długi czas wszyscy zdawali się tego nie zauważać.

Prawie wszyscy. Po wyborach parlamentarnych w grudniu 2003 roku - w których niemal połowę miejsc w parlamencie zdobyła Jedna Rosja pod wodzą Putina, a pozostałe podzieliły między siebie partia komunistyczna, nacjonaliściabsurdyści, ludzie skandalicznie i bezpodstawnie nazywający się Partią LiberalnoDemokratyczną, oraz nowa, ultranacjonalistyczna koalicja o nazwie Rodina (Ojczyzna); inne ugrupowania liberalne i demokratyczne nie uczestniczyły w podziale mandatów - Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) napisała w swoim raporcie: „Podczas wyborów (...) nie dotrzymano wielu zobowiązań wobec OBWE oraz Rady Europy, co stawia pod znakiem zapytania gotowość Rosji do przyjmowania europejskich standardów w dziedzinie wyborów demokratycznych”. „The New York Times” relacjonował te wydarzenia zupełnie inaczej. Dziennik opublikował dość protekcyjny, ale przy tym pochlebny artykuł wstępny zatytułowany Russians Inch Toward Democracy (Rosjanie małymi krokami zbliżają się do demokracji). W dniu wyborów gazeta ani słowem nie wspominała o zastrzeżeniach międzynarodowych obserwatorów, poświęciła im natomiast odrębny artykuł opublikowany następnego dnia. „The Washington Post” oraz „The Boston Globe” zupełnie pominęły opinie krytyków. „The Los Angeles Times” poszedł nawet o krok dalej. W swojej bardzo obszernej relacji zdołał przedstawić wnioski OBWE w taki sposób, że czytelnik mógł je zinterpretować sprzecznie z ich rzeczywistą istotą. Gazeta cytowała przedstawiciela OBWE, który twierdził, że „głosowanie jest dobrze zorganizowane i nie stwierdza się poważnych nieprawidłowości”. Autorzy artykułu pozytywnie oceniali zdobycie przez Putina niekwestionowanej większości w parlamencie, upatrując w tym szansy na „przepchnięcie dodatkowych reform, w tym rozprawienie się z głęboko zakorzenioną korupcją”.

Publikacje ukazujące się poza granicami Stanów Zjednoczonych zachowywały bardziej krytyczny ton. Na dzień przed wyborami kanadyjski „National Post” opublikował

materiał, którego istota została z powodzeniem zawarta już w tytule: „O miejsca w Dumie ubiegają się rasiści, zabójcy i przestępcy: wybory parlamentarne. Dwie dekady po dekadencej epoce Jelcyna Rosję gnębi korupcja”. Na miesiąc przed wyborami w artykule wstępnym „The Economist” ogłosił śmierć demokracji w Rosji, a już po głosowaniu opublikował raport specjalny, w którym określił nowy parlament mianem „koszmaru demokratów” i wskazał na rosnące wpływy ultranacjonalistów.

Tymczasem najbardziej wpływowe media świata, utrzymujące w Moskwie zdecydowanie największą grupę korespondentów, zdawały się nie zwracać na to uwagi. Dlaczego? Po części dlatego, że górę wzięła amerykańska polityka. Jesienią 2000 roku, gdy Putin nacjonalizował telewizję, amerykańskie środki masowego przekazu zajmowały się remisem między Bushem a Gore’em w wyborach prezydenckich. Właśnie wtedy podjęłam pracę dla „U.S. News & World Report”, ale przez pierwszych kilka miesięcy nie było dla mnie zajęcia; czasopismo nie miało miejsca na wiadomości z Rosji.

Gdy sprawa wyborów wewnętrznych została w końcu rozstrzygnięta, amerykańskie media musiały się zająć pokłosem pęknięcia tak zwanej bańki internetowej. Zapoczątkowało ono cięcia budżetowe i oszczędności, które miały obowiązywać jeszcze przez co najmniej dziesięć lat. Wiele mediów ograniczyło liczbę materiałów z zagranicy, w tym z Rosji - a niekiedy nawet w pierwszej kolejności z Rosji.

Historia zaczęła napędzać się sama. Amerykańskie publikatory przekonały swoich odbiorców (i same siebie), że Rosja bezpiecznie wkracza w okres politycznej i gospodarczej stabilizacji. Tym samym temat można było uznać za zamknięty i ograniczyć środki na publikację doniesień z tego kraju, tym samym rzeczywiście pozbawiając się możliwości relacjonowania tamtejszych wydarzeń. Telewizja ABC, której kilkudziesięciu pracowników zajmowało cały budynek w centrum Moskwy, zdecydowała się w ogóle zrezygnować z rosyjskiego biura. W innych mediach cięcia nie były aż tak dramatyczne, ale równie drastyczne - zamiast etatowców za biurkami pojawili się zatrudnieni na godziny wolni strzelcy. Tylko kilka gazet: „The New York Times”, „The Wall Street Journal” oraz „Los Angeles Times”, utrzymało biura w dawnym kształcie i nadal zatrudniało na stałe reporterów i kadrę wspierającą.

W czerwcu 2001 roku po raz pierwszy z Putinem spotkał się George W. Bush.

Wszyscy zapamiętali, że Bush przy tej okazji „spojrzał temu człowiekowi głęboko w oczy” i „mógł lepiej zrozumieć jego duszę”. (Chodzi tu o spotkanie na szczycie w słoweńskiej Lublanie, gdzie George W. Bush i Putin nawiązali bardzo dobre stosunki na płaszczyźnie osobistej. Putin jako pierwszy światowy przywódca skontaktował się telefonicznie z Bushem

i wyraził swoje pełne poparcie dla walki z terroryzmem po zamachach z 11 września 2001 roku. Wkrótce potem Moskwa wyraziła zgodę na ustanowienie przez USA w celu wsparcia kampanii w Afganistanie baz wojskowych w Azji Środkowej, na obszarze tradycyjnie uważanym za własną strefę wpływów.

„Do swojego domu zaprasza się tylko przyjaciół”, powiedział Bush 15 listopada 2001 roku, podejmując Putina na swoim ranczu w Teksasie. Putin był pierwszym zagranicznym przywódcą zaproszonym do teksaskiej posiadłości Busha.) Obszerne relacje prasowe raczej nie skupiały się na tym, że Putin nie tylko okazywał swojemu nowemu przyjacielowi zdecydowanie mniejszy entuzjazm, ale wręcz przestrzegł Stany Zjednoczone, że okresu wrogości zapoczątkowanego natowskimi bombardowaniami Jugosławii w 1999 roku w żadnym razie nie można uznać za zakończony. Potem nastąpiły wydarzenia z 11 września i nagle uległa przededefiniowaniu rosyjska wojna w Czeczenii, która została uznana za element walki Zachodu z terrorem islamskich fundamentalistów. Stało się tak niezależnie od wielu różnych faktów, w tym w szczególności od uchylecia przez Putina zawartego za czasów Jelcyna porozumienia⁸, na mocy którego Rosja miała zaprzestać sprzedaży broni do Iranu oraz krajów arabskich (transakcje opiewały na kilka miliardów dolarów rocznie)⁹. Geograficzny przypadek sprawił, że główne amerykańskie media zaczęły traktować Moskwę nie tyle jako stolicę Rosji, ile raczej jako obóz wypadowy dla reporterów udających się do Afganistanu, a później do Iraku. Zainteresowanie historiami wojennymi nie słabło, a problemy rosyjskie stały się tematem, którym reporterzy zajmowali się niejako przy okazji, w przerwach między naprawdę ważnymi zadaniami. W charakterze doniesień z Rosji wysyłali artykuły, które nieodmiennie potwierdzały bieżące wyobrażenia o tym kraju, ukształtowane przez ludzi kreujących wizerunek Putina jako młodego i energicznego, liberalnego reformatora.

Większość amerykańskich dziennikarzy i redaktorów niespecjalnie przejmowała się tym, że w ramach tego typu relacji niewiele można ludziom opowiedzieć. Bagatelizowano kwestię nacjonalizacji mediów, a mianowanie federalnych wysłanników dla nadzorowania władzy pochodzących z wyboru gubernatorów uznawano za próbę zapanowania nad chaosem. Ignorowano też całkowicie wycofanie się z reformy sądowej, koncentrując się w coraz większym stopniu na tematyce gospodarczej. W przeciwieństwie do Jelcyna, który w dziedzinie reform gospodarczych zdawał się wykonywać zawsze dwa kroki do przodu i jeden do tyłu, żeby uspokoić opozycję, zarówno w kancelarii Putina, jak i w rządzie za sprawy ekonomiczne odpowiadali zdeklarowani liberałowie. Na premiera Putin wyznaczył byłego ministra finansów, aparatczyka wychowanego w duchu radzieckiej tradycji biurokratycznej,

ale jednocześnie głęboko przywiązanego do idei kontynuacji reform zapoczątkowanych w latach dziewięćdziesiątych.

Putinowi bardzo odpowiadało to, że premier skupił się na tym zadaniu i nie zajmował się nadmiernie innymi sprawami rządowymi. Jeszcze przed objęciem obowiązków prezydenta - jako człowiek zaledwie namaszczony na następcę głowy państwa - Putin stworzył think tank zajmujący się planem gospodarczego rozwoju Rosji. Na jego czele postawił liberalnego ekonomistę, który niegdyś pracował dla Sobczaka. (Chodzi o Germana Grefa, a wspomniany think tank to Centr Strategiczeskich Razrabotok - Centrum Inicjatyw Strategicznych). Po wyborach szef tego zespołu został ministrem ds. rozwoju gospodarczego (stanowisko stworzono specjalnie dla niego).

Co znamienne, swoim doradcą gospodarczym Putin mianował Andrieja Iłarionowa. Iłarionow był pierwszą osobą powołaną na stanowisko przez prezydenta elekta; jego nominacja była znaczącym gestem. Wszyscy dobrze znali poglądy Iłarionowa, który w latach osiemdziesiątych należał do petersburskiego klubu ekonomistów, a następnie stał się (w pełni godnym tego miana) zdeklarowanym lewicowym liberałem. W Stanach Zjednoczonych zostałby uznany za ultrakonserwatystę (nie dziwi zatem, że w końcu objął stanowisko w Cato Institute, libertariańskim waszyngtońskim ośrodku badawczym), ale w Rosji uchodził za politycznego liberała. Iłarionow nie wierzył w globalne ocieplenie, za to wierzył w bezgraniczną zdolność wolnych rynków do samoregulacji. Słynął również z genialnego analitycznego umysłu i wybuchowego temperamentu, z powodu którego nie było mu dane aktywnie uczestniczyć w większości kluczowych wydarzeń lat dziewięćdziesiątych.

Jego nominacja zaskoczyła wszystkich, w tym również jego samego.

Po południu 28 lutego 2000 roku Iłarionow pracował w zawałonym dokumentami biurze nad sprawami swojego małego moskiewskiego think tanku. Kierowany przez niego Instytut Analiz Ekonomicznych mieścił się wprawdzie przy Starym Placu, naprzeciwko gabinetów prezydenckiej administracji, i niespełna kilometr od samego Kremla, ale trzymał się od władzy stosunkowo daleko - tak daleko, jak to tylko było możliwe, zważywszy, że Iłarionow ciągle był jeszcze na ty z ludźmi, którzy od lat kształtowali politykę gospodarczą kraju. Od czasu do czasu proszono go o wygłoszenie wykładu dla twórców tej polityki (zrobił to między innymi w przeddzień wybuchu kryzysu finansowego w 1998 roku, ostrzegając wówczas przed zbliżającą się katastrofą), ale jego rady traktowano raczej jako rozważania teoretyczne. Przez lata zdążył przywyknąć do uczucia frustracji. Cieszył się szacunkiem swoich wpływowych kolegów, ale sam nie miał na nich żadnego wpływu.

Tymczasem 28 lutego, o czwartej po południu, niecały miesiąc przed wyborami

prezydenckimi, Iłarionow odebrał telefon zapraszający go na spotkanie z Putinem, które miało się odbyć jeszcze tego samego wieczoru. Audiencja trwała trzy godziny. W pewnym momencie przerwało ją pojawienie się asystenta, który poinformował przyszłego prezydenta, że oddziały federalne zajęły właśnie czeczeńskie miasto Szatoj. „Putin był bardzo uradowany”, wspominał później Iłarionow. „Mocno gestykulował i mówił: »Pokazaliśmy im, załatwiliśmy ich«.

Ponieważ nie miałem nic do stracenia, wyłożyłem im otwarcie wszystkie moje poglądy na temat wojny w Czeczenii. Powiedziałem, że moim zdaniem rosyjskie oddziały popełniają zbrodnię na rozkaz Kremla. Putin powtarzał, że to wszystko bandyci, że on ich wykończy i że zapewni integralność Federacji Rosyjskiej.

Podczas prywatnej rozmowy ze mną posługiwał się dokładnie takimi samymi słowami jak w publicznych wypowiedziach na ten temat. Przedstawiał swoje poglądy szczerze, ja zaś nie przestawałem się upierać, że to zbrodnia”. Dyskusja toczyła się przez dwadzieścia albo trzydzieści minut, a jej temperatura ciągle rosła. Mało dyplomatyczny Iłarionow doskonale wiedział, do czego prowadzi taka wymiana zdań: już nigdy nie zostanie tutaj zaproszony. Oto sam pozbawia się kolejnej potencjalnej możliwości wywierania wpływu, a wszystko dlatego, że ze swoimi zdecydowanymi poglądami po prostu do tego towarzystwa nie pasuje.

Wtedy jednak stało się coś nadzwyczajnego. Putin na chwilę zamilkł, z jego twarzy zniknęły wszelkie oznaki rozgorączkowania; znów była to twarz pokerzysty. Powiedział: „To by było na tyle. Ty i ja nie będziemy już więcej rozmawiać o Czeczenii”. I przez kolejne dwie godziny obaj panowie rozmawiali o gospodarce, a właściwie należałoby raczej stwierdzić, że Putin cierpliwie słuchał wykładu Iłarionowa, a na pożegnanie zaproponował ponowne spotkanie następnego dnia. Iłarionow w jednej chwili popełnił dwa faux pas z rzędu - odmówił i podał przyczynę odrzucenia złożonej mu propozycji (na następny dzień zaplanował obchody rocznicy przybycia do Rosji swojej amerykańskiej żony, którą to rocznicę małżeństwo mogło obchodzić tylko raz na cztery lata, ponieważ ów pamiętny przyjazd nastąpił w roku przestępnym). Zamiast potraktować odmowę lub jej powód jako afront, Putin po prostu podał inny termin. Iłarionow przybył, ponownie wygłosił wykład na tematy ekonomiczne, a dwa tygodnie po wyborach,

12 kwietnia 2000 roku, został mianowany nowym doradcą prezydenta.

Bardzo go ujął ten gest. Przez lata twierdził, że reformy gospodarcze w Rosji przeprowadzane są w sposób niewłaściwy, a być może nawet szkodliwy, nie miał jednak żadnego wpływu na prowadzoną politykę. Teraz natomiast miał nieograniczony dostęp do głowy państwa, która zdawała się wykazywać autentyczne zainteresowanie jego opiniami - i

której nie zrażał jego styl ich przekazywania.

Podobnie jak większość z nas, Iłarionow interpretował fakt posiadania przez innych ludzi cech, których jemu samemu brakowało, jako przejaw nadzwyczajnych zdolności. Rozmawiając ze mną jedenaście lat po swojej nominacji, podkreślał, że Putin to „nadzwyczajny człowiek”. Jako główne uzasadnienie tej oceny podawał jego zdolność do panowania nad emocjami. Przeczy temu szereg dobrze znanych faktów, w tym kilka różnych publicznych wystąpień Putina. Niemniej jednak na Iłarionowie, jako na osobie z natury niezdolnej do zachowywania własnych opinii dla siebie, zdolność Putina do tak swobodnego „wyłączenia” rozmowy o Czeczenii pozostawiła niezatarte wrażenie (zdaje się, że podobny efekt wywarła powściągliwość emocjonalna). Ogólnie rzecz biorąc, do Iłarionowa nie docierało, że ktoś mógłby go systematycznie oszukiwać - i dokładnie z tego powodu przez dość długi czas pozwalał się zwodzić.

Sam fakt pojawienia się Iłarionowa i innych ekonomistów w najbliższym otoczeniu Putina został odebrany przez amerykańską prasę jako czytelny pozytywny sygnał. Generalnie wydaje się jednak, że amerykańscy dziennikarze nie dostrzegali istoty działań rosyjskiego prezydenta dlatego, że nie rozumiały jej ich podstawowe źródła (lub celowo ją ignorowały). Wielki biznes przyjął Putina z radością. Gospodarka rozwijała się w dobrym tempie, ponieważ na skutek załamania w 1998 roku rubel upadł tak nisko, że nawet skrajnie niewydajna krajowa produkcja w końcu zaczęła przynosić zyski. Na początku nowego tysiąclecia ceny ropy zaczęły rosnać, ale jeszcze nie do takiego poziomu, żeby krajowy przemysł stracił na znaczeniu (to stało się dopiero później). W rezultacie inwestorzy, którzy weszli na rosyjski rynek w momencie jego krańcowego załamania, odnotowywali teraz bardzo znaczące zyski.

Kluczowymi postaciami wśród nich byli William Browder, wnuk dawnego szefa Partii Komunistycznej USA, oraz jego rosyjska żona. Browder zaliczał się do prawdziwych ideologów - przybył do Rosji po to, aby budować kapitalizm.

Gorąco wierzył, że zarabiając pieniądze dla swoich inwestorów, przyczynia się do tworzenia świetlanej kapitalistycznej przyszłości w kraju, który z racji własnej przeszłości powinien kochać.

Stosował prostą i efektywną strategię inwestycyjną. Kupował małe, ale istotne udziały w dużych firmach, na przykład w monopolu gazowym czy w gigancie naftowym, przeprowadzał postępowanie dochodzeniowe, które nieodmiennie wykazywało nieprawidłowości w funkcjonowaniu korporacji, a następnie podejmował inicjatywę mającą na celu doprowadzenie do reformy przedsiębiorstwa. Korupcja występowała wszędzie i

można ją było bez większego problemu udowodnić. Duże firmy w większości funkcjonowały jako konglomeraty firm sprywatyzowanych w ciągu ostatnich trzech do pięciu lat, których menedżerowie działali wbrew interesom swoich przedsiębiorstw i często wykazywali otwarcie wrogie nastawienie do nowych właścicieli. Tak zwani czerwoni dyrektorzy okradali swoich pracodawców za czasów radzieckich i nie widzieli powodów, dla których teraz mieliby przestać. Również część nowych właścicieli starała się wyssać z firmy, co się da, nie licząc się z jej przyszłym losem. Odkrycia Browdera napotykały mniejszy lub większy opór, ale w większości przypadków udawało mu się wdrożyć przynajmniej niektóre planowane zmiany. W rezultacie wartość akcji, które zawsze kupował na dzień, rosła w zawrotnym tempie.

Nowa administracja wykazała aktywne zainteresowanie działalnością dochodzeniową Brytyjczyka. Jego ludzie byli wielokrotnie wzywani na Kreml, gdzie ich prezentacje w PowerPoincie nieodmiennie robiły wrażenie na odbiorcach. Browder był przekonany, że szczęście mu sprzyja. Za każdym razem, gdy udawało mu się uzyskać decyzję sądu lub organu nadzorczego, wymuszającą na rosyjskiej firmie nieco większe poszanowanie dla przepisów prawa, ludzie w biurach Hermitage Fund gratulowali sobie sukcesu. „Nigdy nie pracowałem w biurze, w którym panowałaby taka atmosfera zgodnego zaangażowania”, powiedział mi później w zadumie Browder. „Rzadko się bowiem zdarza, aby można było jednocześnie zarabiać i robić coś dobrego dla świata”. W szczytowym okresie fundusz, który zaczynał od inwestycji na poziomie 25 milionów dolarów, posiadał rosyjskie aktywa o wartości 4,5 miliarda dolarów i był największym zagranicznym inwestorem w tym kraju. Browder tak głęboko wierzył we własną strategię i w Rosję, że nawet gdy aresztowano najbogatszego człowieka w federacji (a może zwłaszcza gdy go aresztowano), uznał, że są powody do radości. W jego przekonaniu świadczyło to, że nowy prezydent nie cofnie się przed niczym, żeby ustanowić ład i porządek.

Najbogatszy człowiek w ROSJI znajdował się właśnie w podróży po kraju. Urodzony w 1963 roku Michaił Chodorkowski miał tę samą ważną cechę, która charakteryzowała Hłarionowa i Browdera, znacząco odróżniając jednocześnie wszystkich od Putina i narażając ich na jego niełaskę. Otóż wszyscy trzej byli ludźmi idei. Rodzice Chodorkowskiego, moskiewscy inżynierowie, którzy przez całe życie pracowali w fabryce urządzeń pomiarowych, postanowili nie zaszczepiać jedynekowi własnego sceptycyzmu wobec polityki. Jak wielu innych stanęli przed dylematem: otwarcie wyrażać własne przekonania na temat Związku Radzieckiego (i narażać dziecko na trudy ciągłego dwutorowego myślenia i wieloznacznych wypowiedzi) albo wychować je na spokojnego konformistę.

Rezultat wysiłków wychowawczych przeszedł jednak ich najśmielsze oczekiwania - pod boki dorastał im zagorzały komunista i radziecki patriota, godny przedstawiciel pozornie wymarłego gatunku. Po ukończeniu studiów na inżynierii chemicznej Michaił Chodorkowski postanowił pracować w Komitecie Komsomołu. Nie miał żadnych ukrytych zamiarów, ale od połowy do końca lat osiemdziesiątych jego kariera potoczyła się w taki sposób, że zaczęły mu się nadarzać półoficjalne i często nie do końca legalne okazje zaangażowania się w życie biznesowe. Jeszcze zanim zaczął na dobre zbliżać się do trzydziestki, miał okazję sprawdzić się jako handlowiec, importując do Związku Radzieckiego komputery osobiste, a co ważniejsze - również jako finansista, poszukujący sposobów na wyciśnięcie gotówki z nierentownych radzieckich molochów, funkcjonujących w ramach gospodarki planowej. Pracował jako doradca ekonomiczny przy pierwszym rządzie Jelcyna, gdy Rosja pozostawała jeszcze częścią Związku Radzieckiego. Czas nieudanego zamachu w sierpniu 1991 roku spędził na barykadach przed moskiewskim Białym Domem, aktywnie występując w obronie swojego rządu.

Innymi słowy, na początku lat dziewięćdziesiątych dawny komsomolec przeszedł radykalną przemianę. Razem z przyjacielem i współnikiem, inżynierem oprogramowania Leonidem Niewzlinem, napisał wydany w formie książki kapitalistyczny manifest zatytułowany Czełowiek s rublom. „Lenin dążył do unicestwienia bogaczy i bogactwa jako takiego. Stworzył ustrój, który wykluczał wszelką możliwość bogacenia się”, pisali autorzy, krytykując ideologię, której kiedyś Chodorkowski przyrzekał bronić. „Ludzi pragnących więcej zarabiać stawiano na równi z pospolitymi przestępcami. Najwyższy czas porzucić zasady Lenina! Naszym idolem powinien stać się pan Zysk, zdobyty w pełni zgodnie z prawem. Naszym panem jest Jego Wysokość Pieniądz, ponieważ tylko On może sprawić, że bogactwo stanie się dla nas normą. Czas porzucić utopię i zająć się biznesem, dzięki któremu możemy stać się bogaci!”. Książka ukazała się w 1992 roku. Chodorkowski miał już wówczas własny bank i podobnie jak wielu nowych przedsiębiorców kupował bony prywatyzacyjne, starając się przejąć kontrolę nad kilkoma niegdyś państwowymi firmami.

W latach 1995-1996 rosyjski rząd zwrócił się do najbogatszych ludzi w kraju o pożyczki, oferując pod zastaw akcje największych rosyjskich spółek. Zgodnie z porozumieniem, pożyczkodawcy mogli zatrzymać te akcje, gdyby rząd nie zdołał ich spłacić (a właśnie tego się spodziewano). W rezultacie Chodorkowski wszedł w posiadanie Jukosu, nowo powstałego holdingu naftowego, dysponującego jednymi z największych rezerw ropy na świecie.

Zapatrywania Chodorkowskiego zmieniły się po raz kolejny w 1998 roku.

Kryzys finansowy doprowadził do upadłości jego banku, również przedsiębiorstwo naftowe borykało się z poważnymi trudnościami. Cena ropy na światowych rynkach wynosiła 8 dolarów za baryłkę, gdy tymczasem, z uwagi na przestarzały sprzęt, Jukos szacował koszty produkcji na poziomie 12 dolarów. Firmie brakowało gotówki na wypłaty wynagrodzeń dla setek tysięcy pracowników. „Jeździłem na nasze platformy wiertnicze”, pisał Chodorkowski ponad dziesięć lat później, „a ludzie nawet na mnie nie krzydzeli. Nie strajkowali, wykazywali zrozumienie. Problem polegał na tym, że padali z głodu. Zwłaszcza młodzi, którzy mieli małe dzieci, a nie mieli własnego ogródka, w którym mogliby uprawiać warzywa. Problemem były też szpitale; wcześniej kupowaliśmy leki, w razie potrzeby wysyłaliśmy ludzi na leczenie do innych ośrodków, a teraz nie mieliśmy na to pieniędzy. Ale najgorsze były te twarze pełne zrozumienia. Ludzie mówili po prostu: »Nie oczekiwaliśmy dobrych wiadomości. Jesteśmy po prostu wdzięczni, że pan przyjechał, żeby z nami porozmawiać. Będziemy cierpliwi«,,

W wieku trzydziestu siedmiu lat jeden z najbogatszych ludzi w Rosji zapoznał się z koncepcją odpowiedzialności społecznej, mało tego, zapewne uważał, że sam tę koncepcję wymyślił. Okazało się, że kapitalizm jako taki może przynosić ludziom nie tylko bogactwo i szczęście, ale również biedę, głód i bezsilność.

Dlatego też Chodorkowski postanowił budować w Rosji społeczeństwo obywatelskie. „Do tamtego momentu”, pisał, „postrzegałem biznes jako grę. To była gra, w której chce się wygrać, ale w której trzeba się też liczyć z przegraną. Ale żeby pograć ze mną w tę grę, każdego ranka przychodziły do pracy setki tysięcy ludzi. Wieczorem ci sami ludzie wracali do swojego życia, które nie miało ze mną nic wspólnego”. Cel był to niesamowicie ambitny. Ponieważ jednak postawił! Go sobie przedstawiciel wąskiego grona ludzi, którzy zbudowali od zera gospodarkę rynkową, wcale niekoniecznie absurdalny.

Chodorkowski założył fundację, którą nazwał Otkrytaja Rossija, czyli Otwarta Rosja. Otwierał kawiarenki internetowe na prowincji, aby ludzie mogli się uczyć i ze sobą rozmawiać. Organizował szkolenia dla dziennikarzy z całego kraju i fundował stypendia dla najzdolniejszych, aby mogli przyjechać na miesiąc do Moskwy i tam doskonalić umiejętności. Tworzył szkoły z internatem dla dzieci w trudnej sytuacji; po tragedii w Biesłanie naukę w tych placówkach podjęło kilkudziesięcioro dzieci ocalonych z rąk terrorystów. W krótkim czasie zaczął przejmować inicjatywy, z których rezygnowały zachodnie fundacje i rządy (przecież Rosja została uznana za kraj o stabilnym ustroju demokratycznym).

Niektórzy twierdzili, że Chodorkowski finansuje ponad połowę wszystkich rosyjskich organizacji pozarządowych, jeszcze inni wspominali nawet o 80 procentach instytucji. W

2003 roku Jukos poinformował o przekazaniu 100 milionów dolarów w ciągu dziesięciu lat dla Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego, najlepszej tego typu uczelni w kraju. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby prywatna firma przekazała tak istotną sumę na edukację.

Chodorkowskiego zafascynowała koncepcja przekształcenia własnej firmy w prawidłowo zarządzane i transparentne przedsiębiorstwo. W celu przeprowadzenia reformy struktury zarządzania firmą zatrudnił globalnego giganta konsultingowego, firmę McKinsey & Company, oraz innego światowego giganta, Pricewaterhouse Coopers, w celu stworzenia zupełnie nowej struktury księgowości. „Zanim pojawiła się firma Pricewaterhouse, księgowi Jukosu potrafili tylko tupać nogami i po trochu okradać firmę”, powiedział mi były prawnik podatkowy

Chodorkowskiego. „Wszystkiego trzeba ich było nauczyć”¹⁷. Partnerom biznesowym nie bardzo się to wszystko podobało (najwyraźniej boss zajmował się nie tym, czym należało), ale Chodorkowski z determinacją dążył do przekształcenia Jukosu w pierwszą rosyjską korporację międzynarodową. W tym celu zatrudnił też waszyngtońską firmę PROwą. „Zorganizowaliśmy pięć wywiadów w Nowym Jorku i przez cały dzień chodziliśmy z rozmowy na rozmowę”, wspominał konsultant, który współpracował z biznesmenem. „Niewielu dyrektorów generalnych byłoby gotowych poświęcić temu tyle czasu. Trafiliśmy na okładkę magazynu »Fortune«. On [Chodorkowski - przyp. red.] stał się symbolem przemian, które ludzie mieli nadzieję obserwować w Rosji”. Wartość rynkowa Jukosu rosła w zawrotnym tempie, nie tylko dzięki wzrostowi cen ropy naftowej, ale również dzięki radykalnemu obniżeniu kosztów produkcji oraz nowej transparentności spółki. Chodorkowski był najbogatszym człowiekiem w Rosji i miał duże szanse na tytuł najbogatszego człowieka na świecie.

W dniu 2 lipca 2003 roku aresztowano jednak Płatona Lebiediewa, przewodniczącego zarządu grupy Menatiep, spółki matki Jukosu. Kilka tygodni później za kratkami znalazł się również szef ochrony Jukosu, były funkcjonariusz KGB. Ludzie dysponujący stosowną wiedzą lub po prostu posiadający zdolność logicznego przewidywania zdarzeń przestrzegali Chodorkowskiego, że i on wyląduje wkrótce za kratkami; ktoś opracował nawet listę działań, które powinien podejmować, aby uniknąć aresztowania (dokument, sporządzony przez jednego ze specjalistów od PR, nigdy nie trafił do rąk Chodorkowskiego, ponieważ inny spec od wizerunku firmy zdenerwował się i podarł go na strzępy). Tak czy owak, było zupełnie oczywiste, co powinien zrobić Chodorkowski - powinien opuścić kraj. Tak właśnie postąpił Leonid Niewzlin, jego współnik i współautor książki Czełowiek s rublom, który przeniósł się

do Izraela. Chodorkowski pojechał wprawdzie do Stanów Zjednoczonych, ale wkrótce wrócił - i wyruszył w podróż po kraju.

Już od nieco ponad roku przy różnych okazjach wygłaszał ten sam tekst.

Ja miałam okazję go wysłuchać, gdy przemawiał do grupy młodych pisarzy, którzy zebrali się na jego zaproszenie. W swym przemówieniu Chodorkowski stwierdzał, że Rosja powinna dołączyć do współczesnego świata, że firmami nie powinno się zarządzać jak średniowiecznymi lennami albo wręcz więzieniami, że gospodarka kraju powinna się opierać przede wszystkim na eksporcie wiedzy i doświadczenia, a nie ropy i gazu, że należy cenić mądrych i wykształconych ludzi (takich jak my, pisarze) i godziwie ich wynagradzać.

Chodorkowskiego nie można było nazwać wybitnym mówcą. Był raczej sztywny, a przy tym przemawiał miękkim głosem, nieco zbyt wysokim jak na człowieka jego postury i pozycji. Na jego korzyść przemawiała jednak siła przekonań oraz doskonała reputacja. Ludzie na ogół bywali zainteresowani tym, co miał im do powiedzenia.

Zamiast więc opuszczać kraj albo klękać przed Putinem (właśnie taka rada znalazła się na podartej kartce papieru), Chodorkowski postanowił zgromadzić wokół siebie ludzi zainteresowanych jego poglądami. Zatrudnił Marinę Litwinowicz, dawniej odpowiedzialną za wizerunek Putina, która teraz miała nauczyć szefa Jukosu sztuki publicznych wystąpień. Od niej dowiedział się, że ma skłonność do przesadnego rozwodzenia się nad różnymi zagadnieniami i że nie potrafi przestać o nich mówić nawet wtedy, gdy już udaje mu się przekonać publiczność do swoich racji, i że przez to wypada z rytmu. W towarzystwie kilku asystentów i ośmiu ochroniarzy Chodorkowski na kilka miesięcy praktycznie przeprowadził się do wyczarowanego odrzutowca. Jeździł po kraju i przemawiał do studentów, pracowników, raz nawet do rekrutów (choć to wydarzenie należy chyba uznać za błąd organizatorów). Litwinowicz siadywała w pierwszym rzędzie z niewielką kartką, z napisem „Rytm”, i podnosiła ją do góry, gdy najbogatszy człowiek Rosji zaczynał przesadne dygresje.

W ten weekend, na który przypadł dzień 18 października 2003 roku, zespół Chodorkowskiego znajdował się akurat w Saratowie, mieście położonym nad Wołgą. Na powierzchni ziemi, co dość nietypowe dla tej pory roku, utrzymywał się śnieg, i z jakiegoś powodu, którego nikt do końca nie potrafił wyjaśnić, a w każdym razie nie zdecydował się wyrazić tego głośno, cała grupa wyszła na dwór, żeby poszwendać się wśród białych przestrzeni. Gdy wrócili do hotelu, Chodorkowski niemal od razu pożyczył wszystkim dobrej nocy i zniknął w swoim pokoju, a reszta zespołu szybko upiła się na umór. Następnego ranka szef nakazał Litwinowicz wracać do Moskwy. Twierdził, że od tygodni nie widziała trzyletniego syna i że w następnym etapie podróży poradzi sobie bez niej.

Telefony rozdzwoniły się jeszcze przed świtem 25 października. Chodorkowski został aresztowany na lotnisku w Nowosybirsku o ósmej rano czasu lokalnego i piątej moskiewskiego. „A więc dlatego wysłał mnie do domu”, pomyślała Litwinowicz. Anton Driel, osobisty prawnik Chodorkowskiego, dostał za pośrednictwem osoby trzeciej zagadkową wiadomość. „Pan Chodorkowski polecił poinformować pana, że został aresztowany. Mówi, że pan będzie wiedział, co robić”. „Cały on”, pomyślał Driel, który nie miał pojęcia, co dalej. Wczesnym rankiem odebrał następny telefon: „Mówi Michaił Chodorkowski. Czy zechciałby pan bezzwłocznie przyjechać do biura prokuratora generalnego?”, padło typowo ceremonialne pytanie. Więzień został już przetransportowany do Moskwy. Kilka godzin później przedstawiono mu akt oskarżenia zawierający sześć zarzutów, w tym oszustwo i uchylanie się od płacenia podatków.

Półtora roku później Chodorkowski został uznany za winnego nawet nie sześciu, ale siedmiu przestępstw i skazany na dziewięć lat kolonii karnej. Jeszcze na długo przed zakończeniem odbywania tego wyroku postawiono mu kolejne zarzuty i ponownie skazano, tym razem na czternaście lat pozbawienia wolności.

W obu przypadkach na ławie oskarżonych zasiadał wraz z nim Lebiediew, jego szef zarządu. Inni przedstawiciele Jukosu, w tym były szef ochrony, prawnicy oraz szereg menedżerów (nie tylko z Jukosu, ale również z kilku spółek zależnych) otrzymali podobne, równie surowe wyroki. Dziesiątki osób uciekły z kraju. W końcu nawet Amnesty International, początkowo niezbyt skłonna, żeby zajmować się sprawą miliardera, ogłosiła Chodorkowskiego i Lebiediewa więźniami sumienia.

W pewnym momencie już nikt - jak się wydaje nawet strażnicy więzienni - nie miał wątpliwości co do tego, że biznesmen został uwięziony niesprawiedliwie.

Osiem lat po jego aresztowaniu nikt tak naprawdę dokładnie nie wiedział, co takiego zrobił Chodorkowski, że musiał za to zapłacić wolnością i majątkiem. Sam Chodorkowski (i wielu jego współpracowników) uważał, że został ukarany za ujawnianie korupcji. W lutym 2003 roku Putin zaprosił najbogatszych biznesmenów w Rosji na nietypową debatę z udziałem mediów. Chodorkowski przyniósł ze sobą prezentację w programie PowerPoint, składającą się z ośmiu slajdów.

Każdy przedstawiał fakty, które wszyscy zgromadzeni z pewnością doskonale znali, choć zdecydowanie nie chcieli się do tej wiedzy przyznać. Szósty slajd nosił tytuł „Korupcja kosztuje rosyjską gospodarkę ponad 30 miliardów dolarów rocznie” i przedstawiał wyniki czterech różnych analiz, które doprowadziły do uzyskania takiej właśnie kwoty. Na ósmym slajdzie, pod nagłówkiem: „Kształtowanie nowego pokolenia”, znajdował się wykres

porównujący trzy różne instytucje szkolnictwa wyższego: jedną kształcącą menedżerów dla branży naftowej, drugą inspektorów podatkowych i trzecią, przygotowującą do pracy w służbie cywilnej. O jedno miejsce na tej ostatniej uczelni ubiegało się ponad jedenaście osób, przyszły inspektor podatkowy walczył o indeks aż z czterema konkurentami, podczas gdy przyszły menedżer branży naftowej musiał na tym etapie pokonać niespełna dwóch konkurentów, mimo że na początku kariery w branży naftowej można było zarobić dwa do trzech razy więcej niż w sektorze publicznym. Chodorkowski podkreślał, że tak wynika z danych oficjalnych, ponieważ w rzeczywistości przyszli studenci uwzględniają w swoich planach zawodowych potencjalne przychody z korupcji.

W swojej wypowiedzi Chodorkowski wspomniał również o niedawnym połączeniu państwowego giganta naftowego, firmy Rosneft, z mniejszą, prywatną firmą z tego sektora. „Wszyscy uważają, że ta umowa ma, powiedzmy, drugie dno”, stwierdził, mając na myśli astronomicznie wysoką cenę, jaką zapłacił Rosneft za małe przedsiębiorstwo. „Jest dziś tu z nami prezes Rosneftu. Może zechciałby to skomentować”. Prezes Rosneftu nie zaszczylił zgromadzonych komentarzem, co mogło zostać odebrane jako wyraz zażenowania i publicznego przyznania się do winy.

Odpowiedzi Chodorkowskiemu udzielił natomiast sam Putin. Na jego twarzy pojawił się ten sam krzywy grymas, z którym kilka miesięcy wcześniej podczas konferencji prasowej wspominał o kastracji francuskiego dziennikarza, świadczący o tym, że prezydent z trudem panuje nad wzbierającym w nim gniewem.

„Niektóre firmy, w tym Jukos, dysponują nadzwyczajnymi rezerwami. Pojawia się pytanie, jak te firmy je zgromadziły”. Stawiając pytanie, Putin przesunął fotel w taki sposób, aby móc wykonać prawą ręką gest, dzięki któremu sprawiał wrażenie potężniejszego niż w rzeczywistości. Jednocześnie uśmiechnął się złowieszczo, dając w ten sposób jasno do zrozumienia, że to w istocie nie było pytanie, lecz groźba. „Pana firma też ma problemy z podatkami. Aby zapewnić Jukosowi wiodącą pozycję, znalazła sposób na uporządkowanie różnych spraw i załatwienie problemów z państwem. Być może to właśnie dlatego o miejsca w szkołach kształcących inspektorów podatkowych ubiega się tak wielu chętnych?”. Innymi słowy, Putin oskarżył Chodorkowskiego o wręczanie łapówek inspektorom podatkowym i zagroził przejęciem jego firmy.

Nie brakowało ludzi, którzy źródła problemów Chodorkowskiego upatrywali w sferze politycznej. Po prostu za dużo mącił. Przekazywał dotacje partiom politycznym, między innymi komunistom. Zaraz po aresztowaniu Lebiediewa, w lipcu, Chodorkowski poprosił premiera Kasjanowa, z którym łączyły go niezbyt bliskie, ale życzliwe stosunki, o ustalenie

przyczyn tego zdarzenia. „Udało się dopiero za trzecim albo czwartym podejściem”, opowiadał mi Kasjanow. „Putin twierdził, że prokuratura wie, co robi. W końcu powiedział mi, że Jukos finansował partie polityczne, i to nie tylko te [małe partie liberalne], którym Putin pozwolił przekazywać dotacje, ale również komunistów, na co nie otrzymał zgody”.

Osiem lat później Niewzlin (wspólnik, który wyjechał z kraju) utrzymywał, że firma „oczywiście” uzyskała pozwolenie Kremla na przekazywanie dotacji partii komunistycznej. Niektórzy ludzie z kręgu Chodorkowskiego zaczęli nawet mówić o „wielkim przekręcie”, ponieważ uważali, że ktoś z najbliższego otoczenia Putina zrobił go w tę całą sprawę, przekazując prezydentowi niezgodną z prawdą informację o wydaniu zgody na finansowanie komunistów. Wszystkie te dyskusje toczyły się równoległe z przygotowaniem do grudniowych wyborów parlamentarnych w 2003 roku, tych samych, które „The New York Times” określił jako „zbliżanie się małymi krokami do demokracji”.

Najprostsze wyjaśnienie losów Chodorkowskiego prezentowała trzecia grupa obserwatorów. „Na litość boską, on nie trafił do więzienia za unikanie podatków ani za kradzież ropy”, powiedział mi Hłarionow siedem i pół roku po aresztowaniu biznesmena. „Trafił do więzienia, bo był i nadal jest niezależną istotą ludzką. Ponieważ nie chciał się ugiąć. Ponieważ pozostał wolnym człowiekiem.

Tak państwo karze ludzi za niezależność”.

Gdy jednak w październiku 2003 roku podano wiadomość o aresztowaniu Chodorkowskiego, zdecydowanie nie wszyscy dostrzegali mroczny absurd tego wydarzenia. Na przykład William Browder pochwalał tę decyzję. W komentarzu opublikowanym na łamach anglojęzycznego dziennika „The Moscow Times”, kierowanego do inwestorów, napisał: „Powinniśmy (...)w pełni wspierać [Putina] w jego staraniach na rzecz odebrania oligarchom kontroli nad państwem”.

W dniu 15 listopada 2005 ROKU Browder wracał z Londynu do Moskwy. Mieszkał w Rosji już od dziewięciu lat i chociaż nie mówił po rosyjsku, czuł się w rosyjskiej stolicy jak w domu. Dysponował środkami, które zapewniały mu życie na poziomie typowym dla bogaczy z krajów produkujących ropę; od chwili wylądowania w Moskwie mógł liczyć na specjalne traktowanie i luksusowe warunki. Błyskawicznie załatwiał formalności na lotnisku i wsiadał do samochodu prowadzonego przez kierowcę, który kiedyś pracował jako milicjant i który zachował odznakę, dzięki czemu wśród bezprawia panującego na moskiewskich drogach mógł się czuć królem szos. Tym razem jednak Browder utknął na lotnisku w sali dla VIPów. Okazało się, że jego paszport został zatrzymany. Kilka godzin później do lotniskowej sali zatrzymań trafił on sam. Był to pokój bez okien wyposażony w zimne, plastikowe krzesła, w

którym oprócz Brytyjczyka znajdowały się inne osoby - kilku więźniów, których los miał się dopiero wyjaśnić. Piętnaście godzin po przybyciu do Moskwy Browder został odprowadzony na pokład samolotu lecącego do Londynu. Cofnięto mu rosyjską wizę.

Przekonany, że musiało dojść do poważnego nieporozumienia, Browder zaczął wydzwaniać do ministrów oraz pracowników Kremla, którzy niegdyś tak bardzo zachwycali się jego prezentacjami w PowerPoincie. Za każdym razem słyszał niejasne, wymijające i mało przychylne wyjaśnienia. Po wykonaniu kilku telefonów w końcu zaczęło do niego docierać, że nie ma co liczyć na szybkie załatwienie problemu z wizą. Niezależnie od swojej głębokiej wiary w dobre intencje Putina, Browder doskonale wiedział, że interesów w Rosji nie można nie pilnować, więc przystąpił do przenoszenia działalności do Londynu. Wynieśli się analitycy, fundusz niepostrzeżenie pozbył się aktywów rosyjskich firm o wartości 4,5 miliarda dolarów. Z końcem lata 2006 roku rosyjskie firmy tworzące Hermitage Fund były już tylko wydmuszkami, a do małego biura w Moskwie jedynie od czasu do czasu zaglądała sekretarz firmy.

Była akurat na miejscu, wraz z innym pracownikiem, przybyłym z Londynu, gdy dwudziestu pięciu funkcjonariuszy milicji skarbowej weszło do biura i przetrząsnęło je od podłogi do sufitu. Niedługo później tak samo duża grupa pod dowództwem tego samego pułkownika co poprzednio pojawiła się również w biurach kancelarii prawniczej obsługującej Hermitage Fund. Szukano pieczętek, pieczęci i certyfikatów trzech holdingów, za pośrednictwem których fundusz zarządzał swoimi inwestycjami. Jeden z prawników sprzeciwił się tym działaniom, wskazując na brak stosownych nakazów, więc został wyprowadzony do sali konferencyjnej i pobity.

Cztery miesiące później Browder otrzymał informację, że sąd w Petersburgu wydał wyroki nakazujące jego firmom zapłatę wielu milionów dolarów. Od czasu cofnięcia wizy Browder miał się na baczności, akcje milicji poważnie go wystraszyły, ale dalszy rozwój wypadków - nieznajdujących żadnego racjonalnego uzasadnienia - napawał go śmiertelnym przerażeniem. Po co milicji skarbowej dokumenty założycielskie, pieczęcie czy pieczętki fasadowych firm? Jak to możliwe, że wydano wyroki przeciwko tym firmom, skoro ich przedstawiciele nie poinformowano ani o wszczęciu postępowania, ani o posiedzeniach sądu? Browder zwrócił się do swoich moskiewskich prawników z prośbą o zbadanie sprawy.

Ostatecznie to nie prawnicy, ale młody księgowy dotarł po ponadrocznym dochodzeniu do sedna absurdu, który wydawał się wprost niewiarygodny, ale pozwalał na logiczne wyjaśnienie ciągu zdarzeń. Jak ustalił Siergiej Magnicki, trzy fasadowe firmy zostały ponownie zarejestrowane na inne osoby, a konkretnie na przestępców z orzeczonym

wyrokiem. Później z pozwami przeciwko nowym właścicielom wystąpiły inne firmy; ich przedstawiciele przedkładali umowy, rzekomo potwierdzające zobowiązania skradzionych spółek. Rozprawy w trybie przyśpieszonym odbyły się w trzech różnych sądach, w trzech różnych rosyjskich miastach. Na mocy wyroków dawne firmy Browdera miały zapłacić w sumie miliard dolarów (tak się złożyło, że dokładnie taki zysk wykazały łącznie te trzy firmy w poprzednim roku podatkowym). Następnie nowi właściciele złożyli w urzędach skarbowych wnioski o zwrot wszystkich zapłaconych podatków.

Zwrot im się należał, ponieważ zgodnie z dokumentacją, firmy nie wygenerowały zysków. Cała kwota, w sumie 230 milionów dolarów, została przyznana jeszcze tego samego dnia, w grudniu 2007 roku. Pieniądze przelano na stosowne konta, po czym zniknęły one z rosyjskiego systemu bankowego.

Odkrycie Magnickiego wskazywało na poważne malwersacje finansowe, w których uczestniczyli przedstawiciele władz podatkowych oraz sądy w co najmniej trzech miastach. Gdyby sędziowie nie zostali wtajemniczeni w całą sprawę, z pewnością nie zapadłyby odpowiednie wyroki - z taką łatwością i w tak krótkim czasie. Również władze podatkowe nie rozpatrzyłyby tak szybko wniosku o zwrot podatku (o ile w ogóle by to zrobiły, bo przecież prawnicy Browdera sześciokrotnie składali skargi z zawiadomieniem o kradzieży jego firm), gdyby cała sprawa nie została zaaranżowana na samej górze lub na bardzo wysokim szczeblu.

Browder, wieczny idealista, dostrzegł dla siebie szansę. Teraz był już przekonany, że decyzja o wydaleniu go z Rosji zapadła na samej górze. Chociaż nie potrafił znaleźć konkretnego powodu, przynajmniej przyjmował do wiadomości, że jeżeli nadepnął komuś na odcisk, to ten ktoś mógł uknuć intrygę mającą na celu przekonanie prezydenta lub jednej z osób w jego najbliższym otoczeniu, że Browder to persona non grata. Teraz jednak Brytyjczyk stanął przed kolejną szansą uratowania Rosji. „Nie może być mowy, że prezydent pozwoli okraść swój kraj na 230 milionów dolarów”, rozumował. „Przecież przestępstwo podatkowe to coś potwornie cynicznego. Gdyby nagłośnić sprawę, ludzie uznaliby, że to strasznie naciągana historia. Spodziewaliśmy się, że nadlecą helikoptery, a komandosi spadną z nieba i wyłapią wszystkich bandytów”.

Magnicki wystosował piętnaście różnych zażaleń, które miały doprowadzić do ujawnienia malwersacji i wszczęcia śledztwa, tymczasem, zamiast komandosów z nieba, na prawników pracujących dla Browdera spadły kłopoty z milicją. Siedmiu adwokatów z czterech różnych kancelarii otrzymało zawiadomienia, że wszczęto przeciwko nim postępowania w różnych sprawach karnych. Nauczony wcześniejszymi doświadczeniami, Browder zaproponował wszystkim swoim prawnikom azyl w Wielkiej Brytanii. „Wie pani, z

wykształcenia jestem analitykiem finansowym”, powiedział mi parę lat później, po części starając się wytłumaczyć, dlaczego potrzebował aż tyle czasu, by dostrzec grozę sytuacji. „Nie byłem żołnierzem. Nie uczono mnie, że ludzie będą musieli narażać życie. Skontaktowałem się po kolei ze wszystkimi swoimi prawnikami i powiedziałem im: »Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Nie miałem zamiaru narażać cię na fizyczną krzywdę, nie zamierzam też pozostawiać cię samego w jej obliczu, dlatego chciałbym, żebyś na mój koszt opuścił Rosję, na mój koszt przyjechał do Londynu i na mój koszt tu pozostał«. Każda z tych rozmów była trudna. Wszyscy ci ludzie mieli ponad czterdzieści lat i znajdowali się u szczytu kariery zawodowej, niektórzy nie znali po angielsku nawet słowa. Tymczasem ja ich prosiłem, żeby zrezygnowali ze swojego życia, ze swojego zawodu, żeby z dnia na dzień porzucili swoje społeczności i udali się na wygnanie, aby uchronić się przed niebezpieczeństwem”.

A jednak sześciu spośród siedmiu prawników przyjęło propozycję Browdera i przeprowadziło się do Londynu. Odmówił tylko Siergiej Magnicki, trzydziestosześcioletni księgowy, najmłodszy z całej grupy. To właśnie jego wiekiem Browder tłumaczył fakt, że Magnicki zrezygnował z oferowanej mu możliwości: „Siergiej należał do pokolenia, które wierzyło, że Rosja się zmienia. Że jest nowa Rosja, może niedoskonała, ale coraz lepsza. Że obowiązują pewne zasady prawa i sprawiedliwości; z takiego wychodził założenia. Powiedział: »To nie jest 1937 rok. Nie zrobiłem nic złego, znam prawo. Nie ma żadnych podstaw prawnych do tego, żeby ktoś miał mnie aresztować«,.

W dniu 24 listopada 2008 roku Siergieja Magnickiego zamknięto w związku z oszustwem finansowym, które usiłował zdemaskować. Podobnie jak jego klient trzy lata wcześniej, z początku wierzył, że to tylko nieporozumienie, które dzięki pomocy prawników wkrótce uda się wyjaśnić. Podczas pierwszego przesłuchania przed sądem domagał się zwolnienia z aresztu między innymi ze względu na to, że jego synek choruje na gripę. Był najwyraźniej przekonany, że cała sprawa wyjaśni się w ciągu kilku dni. Nie tylko nie został zwolniony, ale przetrzymywano go w coraz gorszych warunkach, raz po raz przenosząc z jednego moskiewskiego aresztu do drugiego. Nie pozwolono mu zobaczyć się ani z żoną, ani z matką.

Chociaż zachorował, konsekwentnie odmawiano mu udzielenia niezbędnej pomocy medycznej. W dniu 16 listopada 2009 roku Siergiej Magnicki zmarł w więzieniu, mając trzydzieści siedem lat.

Po jego śmierci rodzinie wydano notatniki, w których dokładnie zapisywał treść wszystkich złożonych skarg, apelacji oraz wniosków. Gdy uświadomił sobie, że do

aresztowania nie doszło w wyniku nieporozumienia, podjął zażartą jednostronną walkę i podczas 358 spędzonych w areszcie dni wystosował 450 dokumentów.

Stworzył kompleksowy zbiór wszystkich nadużyć, których się w stosunku do niego dopuszczono. Opisywał przepełnione cele, w których nawet jeść i pisać musiał na swoim łóżku. W jednej z cel w oknie nie było szyby, w związku z czym wewnątrz panowały bardzo niskie temperatury. W innej celi przepełniła się toaleta (a ściślej rzecz biorąc, dziura w podłodze) i nieczystości zalewały posadzkę. Wspominał, że regularnie odmawiano mu ciepłych posiłków, a pod koniec często wcale nie podawano jedzenia. Co jednak szczególnie oburzające, odmawiano mu pomocy medycznej, nawet gdy utrzymujący się ból brzucha stał się tak silny, że nie pozwalał mu spać. Nie pomogło nawet wysyłanie listów, w których szczegółowo opisywał swoje objawy, domagając się egzekwowania przysługujących mu praw w zakresie opieki zdrowotnej. Zmarł na zapalenie otrzewnej.

Z uwagi na okoliczności Browder i przedstawiciele jego funduszu inwestycyjnego ostatecznie musieli zostać żołnierzami. Uruchomili zdecydowaną, głośną i skuteczną kampanię pod hasłem „Sprawiedliwość dla Siergieja Magnickiego”.

Zgromadzili liczne dowody przeciwko ludziom powiązanim ze sprawą uwięzienia i torturowania ich kolegi oraz przeciwko uczestnikom wykrytego przezeń oszustwa finansowego. W ciągu kilku miesięcy projekty uchwał zakładające nałożenie sankcji wizowych oraz zamrożenie wszelkich miejscowych aktywów biorących w nim udział urzędników zostały przedłożone amerykańskiemu Kongresowi, Parlamentowi Europejskiemu oraz parlamentom państw członkowskich Unii Europejskiej.

W tym okresie sposób przedstawiania rosyjskiej rzeczywistości w amerykańskich mediach uległ wreszcie zmianie. Aby wymowa relacji się zmieniła, musiała minąć niemal cała kadencja Putina; „rodząca się demokracja” ustąpiła miejsca „skłonnościom autorytarnym”. Z czasem zaczął się wyłaniać obraz systemu, który w praktyce stał się przestępczą tyranią. Jeszcze w 2003 roku, gdy Chodorkowski usiłował rozmawiać z Putinem o korupcji, ogólnoświatowa organizacja Transparency International zaklasyfikowała Rosję jako kraj bardziej skorumpowany niż 64 procent państw świata. W corocznym podsumowaniu została uznana za kraj nieznacznie bardziej skorumpowany niż Mozambik i minimalnie mniej skorumpowany niż Algieria. W swoim raporcie za rok 2010 Transparency International zakwalifikowała już jednak Rosję jako kraj bardziej skorumpowany od 86 procent państw. Teraz plasowała ją między Papuą Nową Gwineą a Tadżykistanem.

Rosja wyczerpała w końcu kredyt zaufania w oczach międzynarodowego biznesu i mediów. Browder aktywnie krytykował rosyjski reżim nie tylko na forach parlamentów

krajów całego świata, ale również podczas ważnych dorocznych wydarzeń biznesowych, takich jak szczyt w szwajcarskim Davos. Andriej Iłarionow zrezygnował z zajmowanego stanowiska. „Każdy ma jakiś punkt zwrotny”, tłumaczył. „Dla mnie był to Biesłan. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że to taki modus operandi. Istniała realna szansa na uratowanie życia tych ludzi, a tymczasem on [Putin] zdecydował się zabić niewinne istoty, zabić zakładników.

Byłem wtedy w pracy, obserwowałem to i przysłuchiwałem się temu; widziałem, jak to wszystko zmierza do końca. Gdyby z akcją zbrojną wstrzymano się jeszcze kilka godzin, udałoby się uratować życie ludzi, wszystkich lub większości. Nie doszłoby do ataku i dzieci, rodzice oraz nauczyciele wyszliby z tego cało. A skoro tak się rzeczy miały, to decyzja o przeprowadzeniu szturm w tym konkretnym momencie mogła mieć tylko jedno uzasadnienie. Dla mnie wszystko stało się jasne właśnie tamtego dnia, 3 września 2004 roku”.

Iłarionow zrezygnował z bycia „szerpą” (osobistym reprezentantem Putina) podczas szczytu G8. Zapewnienie Rosji pełnego członkostwa w tej grupie to jedno z jego największych osiągnięć. „Być doradcą to jedno”, wyjaśniał. „Doradca to doradca. To ważne stanowisko, ale to nie to samo, co osobiste reprezentowanie kogoś. Powiedziałem mojemu pracodawcy, że w tych okolicznościach nie mogę już dłużej występować jako jego osobisty reprezentant”.

Pół roku później Iłarionow porzucił również stanowisko doradcy prezydenta. „To się zrobiło po prostu śmieszne. Nikt nie słuchał moich rad, ani w sprawach gospodarczych, ani w żadnych innych. Lokomotywa rosyjskiego państwa pędziła naprzód z maksymalną prędkością po zupełnie innych torach”³¹. Iłarionow napisał później serię krytycznych artykułów, w których definiował te „inne tory”.

Pisał, że Rosja stała się przeciwieństwem liberalnej gospodarki, że w kraju nie ma wolności, panuje atmosfera podżegania do wojny, a o wszystkim decydują korporacyjne kliki. Podobnie jak Browder, Iłarionow został głośnym i niestrudzonym krytykiem reżimu Putina na świecie.

Odszedł również premier Michaił Kasjanow. Dla niego punktem zwrotnym okazało się aresztowanie Chodorkowskiego. „Już wcześniej pojawiały się sygnały ostrzegawcze”, powiedział mi. „Przejęcie telewizji, sposób postępowania podczas kryzysu w teatrze, to wszystko były znaki ostrzegawcze, ale ja nie rozpatrywałem ich jako elementów konkretnego planu. Sądziłem, że to pomyłki, które można naprawić. Aż do momentu, kiedy Lebiediew i Chodorkowski zostali aresztowani, wydawało mi się, że wszystko jest w porządku. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to nie były przypadkowe błędy, że to była polityka, że on tak

się zapatrywał na życie”.

Kasjanow skrupulatnie przestrzegał zalecenia Putina i trzymał się z dala od jego podwórka, czyli od polityki. W rzeczy samej robił to tak skrupulatnie, że odwracał wzrok od życia politycznego kraju. Dlatego też, gdy latem 2003 roku dowiedział się od Putina, że oskarżenia wobec Lebiediewa i Chodorkowskiego to kara za przekazywanie pieniędzy partii komunistycznej, Kasjanow był zszokowany. „Nie mogłem uwierzyć, że legalne działania wymagają specjalnej zgody Kremla”. Konflikt Putina i jego premiera w krótkim czasie przeniósł się do sfery publicznej. Kasjanow otwarcie krytykował aresztowania biznesmenów, określając je jako działania bezzasadne i skrajne. Było oczywiste, że Putin nie zatrzyma tak bezpośredniego premiera na drugą kadencję, okazało się jednak, że cierpliwość prezydenta wyczerpała się wcześniej. W lutym 2004 roku, na miesiąc przed wyborami, gabinet Kasjanowa został zdymisjonowany.

Zwalniając premiera, Putina miał zamiar zatrzymać go przy sobie na jednym z mniej eksponowanych stanowisk. Przedstawił mu trzy propozycje, za każdym razem nalegając mocniej. Zaproponował przewodniczenie radzie bezpieczeństwa albo kierowanie nowym, powiązaniem z państwem bankiem. Tę drugą ofertę Putin sformułował dwukrotnie. Gdy Kasjanow ostatecznie odmówił, jego dawny pracodawca przeszedł od zachęt do gróźb: „Stałem już w drzwiach, gdy powiedział: »Michaile Michajłowiczu, jeżeli zdarzy ci się kiedyś mieć problemy z milicją skarbową, możesz poprosić o pomoc, ale koniecznie zwróć się z tym do mnie osobiście«,”. Kasjanow potraktował te słowa jako groźbę, ale również jako deklarację pozostawienia mu furtki do dalszej współpracy. Problemy z podatkami rzeczywiście się pojawiły. Firma konsultingowa Kasjanowa, założona zaraz po utracie urzędu premiera, została poddana kontroli. Ponieważ jednak właściciel postanowił nie prosić prezydenta o pomoc, czynności kontrolne ciągnęły się przez dwa lata (ostatecznie strony zdołały wypracować warunki ugody w sprawie skrajnie niewielkiego uchybienia, polegającego na nieprawidłowym zaksięgowaniu ryzy papieru), a sam Kasjanow stał się persona non grata rosyjskiej polityki. W kolejnych latach po utracie stanowiska usiłował nawet ubiegać się o urząd prezydenta i zarejestrować partię polityczną (podobno nawet zdołał spełnić absurdalne wymogi dotyczące liczby zgromadzonych podpisów), ale jego dokumenty zostały wielokrotnie odrzucone przez odpowiednie instytucje.

Nie mając dostępu do telewizji i dużych gazet, Kasjanow w bezprecedensowym tempie z głównego nurtu trafił na margines.

Sprawa Chodorowskiego trafiła na wokandę w połowie 2004 roku i ciągnęła się aż dziesięć miesięcy, mimo że niemal wszystkie wnioski obrony zostały odrzucone, co

dramatycznie ograniczyło liczbę świadków i czas przesłuchań w moskiewskim sądzie w dzielnicy Basmannyj. Na krótko przed ogłoszeniem wyroku Igor Szuwałow, prawnik i nowy prominentny asystent Putina, powiedział: „Proces w sprawie Jukosu miał charakter pokazowy; ma być przestrogą dla innych firm, które na różne sposoby próbują obniżyć wysokość należnych podatków. Równie dobrze jak Jukosu, sprawa mogła dotyczyć innej firmy”.

Nawet moskiewscy korespondenci prasowi, nawykli do relacjonowania poczynąń najbardziej cynicznych polityków na świecie, z wielkim zaskoczeniem przyjęli oświadczenie wygłoszone iście stalinowskim językiem i wyrażające mniej więcej to samo przekonanie, które wyznawał Stalin - że sądy istnieją po to, aby wypełniać wolę głowy państwa i aby orzekać zgodnie z jej wolą wyroki dla tych, których ona postanowiła ukarać.

W rzeczy samej zaledwie dwa spośród siedmiu zarzutów przedstawionych Chodorkowskiemu dotyczyły rzekomego uchylania się od płacenia podatków, a to, co się wydarzyło na sali moskiewskiego sądu, należałoby uznać raczej za pokaz niż proces. Obrona wezwała niewielu świadków - nie tylko dlatego, że sąd odrzucił znaczną część jej wniosków, ale również dlatego, że w obliczu słabości argumentów oskarżenia wytaczanie ciężkich działań wydawało się nieuzasadnione, tym bardziej że występowanie w charakterze świadka obrony wiązało się z istotnym ryzykiem. Dziesięciu współpracowników Jukosu, w tym dwóch prawników (dwie kobiety), zostało już aresztowanych, a dziewięciu kolejnych uciekło z kraju, aby uniknąć podobnego losu. Wkrótce te liczby miały stracić na znaczeniu, ponieważ w więzieniach znalazły się dziesiątki ludzi, a setki salwowały się ucieczką.

Zważywszy na kafkowski charakter procesu, obrona przyjęła zdecydowanie nieadekwatny styl postępowania. Gienrich Padwa, główny obrońca Chodorkowskiego, a jednocześnie bodaj najślynniejszy adwokat w kraju, wygłosił mowę końcową, która bardziej przypominała wywody nauczyciela niż pełne pasji wystąpienie uczestnika sądowego sporu. Podczas trzydniowego posiedzenia Padwa odczytał swoje argumenty, metodycznie wyszczególniając wszystkie błędy oskarżenia. Starł się w ten sposób wykazać, że prokuratorzy nie przedstawili żadnych dokumentów, które dowodziłyby jakiegokolwiek zaangażowania jego klientów w funkcjonowanie firm wymienionych w akcie oskarżenia, a w szczególności potwierdzały popełnienie przez nich zarzucanych im czynów. „Nie wspomnę nawet o tym, że zarzuty zostały oparte na przepisach, które weszły w życie w rok po rzekomym popełnieniu czynów”. W mowie obrońcy nie brakowało podobnej argumentacji, a jednak z jego tonu można było wyczytać, że nie ma złudzeń co do swoich szans na przekonanie sędziów do jakichkolwiek rozsądnych racji. Aby jednak jego mowa zapisała się

w historii i mogła zostać wykorzystana do złożenia apelacji w międzynarodowych organach sądowniczych, argumenty musiały znaleźć się w protokole. Skład sędziowski - trzy mniej więcej czterdziestoletnie kobiety z nadwagą, w błyszczących hełmach z zaczesanych włosów - siedział bez ruchu, zaciskając usta w identycznym grymasie niezadowolenia i zdając się mówić: decyzja zapadła już dawno, a przez swój upór, żeby prowadzić proces i debatę zgodnie z procedurami, tylko marnujesz czas nas wszystkich.

Chodorkowski i Lebediew zostali skazani na dziewięć lat w kolonii karnej.

Trzy miesiące później sąd apelacyjny skrócił wyrok o rok. Skazanych przewieziono do różnych kolonii, możliwie odległych i trudno dostępnych. Aby odwiedzić swojego klienta, prawnicy Chodorkowskiego musieli podróżować dziewięć godzin samolotem, a następnie piętnaście godzin pociągiem. Ponieważ rosyjskie prawo nakazywało, by osadzać skazanych w dogodnej odległości od ich miejsca zamieszkania, trzeba je było zmienić, wprowadzając przepisy o mocy wstecznej. Specjalnie na potrzeby sprawy Chodorkowskiego.

Przez pół roku po aresztowaniu Chodorkowski próbował kierować firmą z więzienia. W końcu uzmysłowił sobie, że to rozwiązanie nie sprawdzi się na dłuższą metę i przekazał swoje udziały Niewzlinowi, wspólnikowi przebywającemu w Izraelu. Niestety, wskutek znacznej liczby spraw sądowych oraz nakładania zastawów na poczet należności podatkowych, znaczna część rosyjskich aktywów firmy trafiła w ręce państwa i spółka znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. W ciągu roku od aresztowania jej szefa największa i odnosząca największe sukcesy rosyjska firma naftowa, której zobowiązania wobec państwa stanowiły niegdyś 5 procent wszystkich podatków federalnych, stanęła na krawędzi bankructwa. Na licytację wystawiono jej najbardziej atrakcyjną własność, firmę Juganskneftiegaz, będącą w posiadaniu jednej z największych rezerw ropy w Europie. Wydawało się, że do zakupu spółki przygotowuje się państwowy monopol gazowy, obecnie kierowany przez byłego petersburskiego zastępcę Putina. Aby zapobiec tej transakcji, prawnicy Jukosu złożyli wniosek o upadłość w teksaskim sądzie, a następnie wystąpili o wydanie nakazu wstrzymania sprzedaży spółki. Rosyjski Gazprom w żadnym razie nie zamierzał podporządkowywać się w tej sprawie decyzjom amerykańskiego sądu, ale tak się złożyło, że planował kupić Juganskneftiegaz za pieniądze pożyczone od amerykańskich i zachodnioeuropejskich banków. Przepływ środków wstrzymano i przez krótki czas wydawało się, że przynajmniej tymczasowo uda się uniknąć przejęcia, ale nagle i zupełnie niespodziewanie do gry wkroczyła nowo zarejestrowana firma o nazwie Bajkałfinansgrup. Dziennikarze natychmiast ustalili, że spółka została zarejestrowana w Twerze, wyludnionym mieście położonym o trzy godziny drogi od Moskwy. Okazało się, że w małym budynku

swoją oficjalną siedzibę ma 150 firm, z których chyba żadna nie posiada jakichkolwiek aktywów.

Bajkafinansgrup nie była wyjątkiem. Z dokumentów założycielskich złożonych na dwa tygodnie przed licytacją wynikało, że wartość spółki wynosi dziesięć tysięcy rubli, czyli mniej więcej 300 dolarów. Jednak tak się jakoś złożyło, że należąca do państwa firma naftowa Rosneft - ta sama, której prezes rok wcześniej odmówił udzielenia odpowiedzi na pytanie Chodorkowskiego dotyczące korupcji - pożyczyła nikomu nieznaną firmie ponad 9 miliardów dolarów na zakup Jugansknieftiegazu, kwotę stanowiącą niespełna połowę ówczesnej szacunkowej wartości nabywanej spółki. Licytacja odbyła się 19 grudnia 2004 roku i trwała nie dłużej niż dwie minuty.

Dwa dni później Putin wypowiadał się na ten temat w Niemczech. Oburzeniem zareagował na sugestię, jakoby aktywa Jukosu zostały nabyte przez nikomu nieznaną podmiot. „Znam udziałowców tej firmy, to konkretne osoby”, powiedział. „To osoby, które od dawna pracują w branży energetycznej”. Kolejne dwa dni później Bajkafinansgrup została kupiona przez Rosneft, która dzięki temu położyła łapę na aktywach Jukosu. W ten sposób Rosneft uchronił się przed potencjalnymi zarzutami o wejście w posiadanie tych aktywów w wyniku nieprawidłowo przeprowadzonej aukcji.

Niewiele ponad rok po aresztowaniu Chodorkowskiego dla wszystkich było już jasne, że Rosja ma za sobą dwa kamienie milowe: do więzienia na czas nieokreślony trafił najbogatszy człowiek w kraju, więc nikt, nawet najbardziej majątni i najpotężniejsi, nie mógł już liczyć na niezależność. Poza tym, odbierając bez ogródek aktywa największej w kraju prywatnej firmie, Putin oficjalnie został ojcem chrzestnym państwowej mafii. Podobnie jak inni capo di tutti capi, nie bardzo potrafił odróżnić swoją osobistą własność od własności swojego klanu oraz własności jego dłużników. Podobnie jak inni, gromadził majątek w drodze bezwzględnych kradzieży (jak w przypadku Jukosu), a także pobierając tak zwane należności oraz obsadzając swoimi ludźmi wszystkie stanowiska umożliwiające wysysanie z innych podmiotów pieniędzy i aktywów. Z szacunków jednego z rosyjskich ekspertów do spraw polityki (człowieka mającego rzekomo dostęp do Kremla) wynikało, że pod koniec 2007 roku wartość netto prywatnego majątku Putina wynosiła 40 miliardów dolarów.

Informacji o 40 miliardowym majątku nie da się potwierdzić, nie sposób też im zaprzeczyć, można natomiast opowiedzieć ze szczegółami inną historię. Nie tylko rzuca ona nieco światła na kwestię stanu posiadania Putina, ale przedstawia również mechanizmy jego gromadzenia. Zawdzięczam ją swojemu reporterskiemu szczęściu i odwadze pewnego dzielnego człowieka, który mi ją opowiedział.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Siergiej Kolesnikow, jak jeden z setek radzieckich naukowców, został rosyjskim biznesmenem. Kolesnikow miał doktorat z biofizyki, więc zajął się produkcją, a następnie importem sprzętu medycznego. Za czasów rządów Sobczaka wszedł w spółkę z miastem i otworzył firmę zaopatrującą petersburskie przychodnie i szpitale. Gdy Sobczak stracił urząd, Kolesnikow wykupił od miasta udziały, przejmując kontrolę nad firmą, która nadal prowadziła tę samą działalność.

Putin został wybrany na prezydenta, a do Kolesnikowa zgłosił się jego dawny wspólnik z petersburskich czasów. Przedstawił mu zarys planu: niektórzy spośród najbogatszych ludzi w Rosji prześlą pewne znaczne kwoty na zakup sprzętu medycznego dla rosyjskich placówek. Korzystając ze swojego doświadczenia w branży, Kolesnikow dostarczy ten sprzęt ze znaczną zniżką. Różnica pomiędzy wartością cennikową, która zostanie przedstawiona darczyńcy, a rzeczywistą ceną zakupu nie powinna być mniejsza niż 35 procent. Gdyby Kolesnikowowi udało się uzyskać większy rabat, dodatkowe środki miały stanowić jego zysk. Wspomniane 35 procent miało trafić na konto bankowe w jednym z krajów Europy Zachodniej, z przeznaczeniem na późniejsze dalsze inwestycje w rosyjską gospodarkę.

Kolesnikow zgodził się bez skrupułów. Podobnie jak Browder, wychodził z założenia, że zapewnia sobie godziwy byt, a jednocześnie przyczynia się do dobra Rosji. Nie ulegało wątpliwości, że ten sprzęt bardzo się przyda, a poza tym jego nowi partnerzy będą inwestować znaczne sumy w rosyjską gospodarkę. Owszem, zbierali śmietankę (ponad jedną trzecią ofiarowanych pieniędzy), ale mieli zamiar zainwestować te środki w rozwój, a nie napychać nimi własne kieszenie.

Zresztą „wiadomo było, że nie chodzi o pieniądze zarobione dzięki ciężkiej pracy. Uczciwie nie można się dorobić takich pieniędzy”.

Pierwszym darczyńcą okazał się Roman Abramowicz, tajemniczy rosyjski oligarcha i późniejszy właściciel klubu Chelsea Londyn. Przekazał on 203 miliony dolarów, z których około 140 zostało przeznaczone na zakup sprzętu dla Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu (kierowanej przez przyjaciela Putina i ministra zdrowia, który niegdyś pomógł Sobczakowi wymknąć się prokuraturze i uciec z Rosji), a ponad 40 pozostało na koncie w europejskim banku. Oprócz tej dotacji pojawiły się również kolejne, mniejsze. Do 2005 roku na wspomnianym koncie zgromadzono około 200 milionów dolarów. Kolesnikow i jego dwóch wspólników (jeden zaczynał razem z nim w Petersburgu, a drugi otworzył mu drogę do rozkręcenia nowego interesu) założyli firmę o nazwie Rosinwiest, całkowicie należąca do szwajcarskiej spółki. Ta z kolei prowadziła interesy za pośrednictwem trzeciej firmy, również

szwajcarskiej, której kapitał został podzielony na akcje na okaziciela. Innymi słowy, prawnym właścicielem tej trzeciej spółki była osoba znajdująca się w posiadaniu tych papierów. Każdy z trzech wspólników otrzymał po 2 procent akcji, pozostałe 94 procent przekazano samemu Putinowi.

Nowo powstała spółka realizowała szesnaście różnych projektów inwestycyjnych, w większości w dziedzinie produkcji przemysłowej. Starannie dobrane projekty korzystały oczywiście z różnego rodzaju przywilejów podatkowych i prawnych, przynosząc pokaźny zysk - z którego 94 procent należało do Putina.

Pośród nich znajdowała się również inicjatywa, którą Kolesnikow postrzega! Jako małą prywatę prezydenta, a mianowicie dom nad Morzem Czarnym. Budżet tego projektu opiewał na 16 milionów dolarów. „Ale stale pojawiała się coś nowego”, powiedział mi Kolesnikow. „A to winda na plażę, marina, odrębna linia wysokiego napięcia, niezależny dostęp do gazu, trzy nowe drogi prowadzące bezpośrednio do pałacu i trzy lądowiska dla helikopterów. Sam budynek też się zmieniał. Do projektu dodano amfiteatr, a potem salę teatralną. Oczywiście, całość trzeba było wyposażyć: meble, dzieła sztuki, srebra. To wszystko kosztuje!”.

Kolesnikow jeździł nad Morze Czarne dwa razy do roku, żeby nadzorować prace. Podczas swojej ostatniej wizyty, wiosną 2009 roku, stwierdził, że zamiast domu na miejscu stoi dwadzieścia budynków, a budżet projektu już dawno przekroczył miliard dolarów.

Kilka miesięcy wcześniej wydarzyło się coś jeszcze. Wspólnik Kolesnikowa poinformował go, że w związku ze światowym kryzysem finansowym Rosinwiest nie będzie dokonywał kolejnych inwestycji. Teraz ma się skupić jedynie na zakończeniu budowy pałacu nad morzem. Wprawdzie Kolesnikow nigdy specjalnie nie przejmował się prawem, ale był dumny ze swojej działalności i żywił głębokie przekonanie, że pracuje w imię dobrobytu kraju. Dlatego też informacja ta dotknęła go do żywego. Uciekł z Rosji, zabierając ze sobą dokumentację. Zapłacił waszyngtońskiej firmie prawniczej sporą sumę za przeprowadzenie analizy dostarczonych materiałów i potwierdzenie prawdziwości jego historii, a następnie poszedł z nią do mediów, które nagłośniły sprawę tak zwanego Pałacu Putina.

Chociaż moja relacja na ten temat wzbudziła w Rosji niemałe zainteresowanie, nie wywołała specjalnej reakcji strony rządowej. Rzecznik prasowy Putina najpierw zdyskredytował ją jako bzdury, ale później, gdy na łamach „Nowoj Gaziety” ukazały się przedruki niektórych kontraktów budowlanych, Kreml potwierdził istnienie czarnomorskiego projektu. wydaje się dość prawdopodobne, że pałacowa inicjatywa to zaledwie jedno z wielu podobnych przedsięwzięć mających na celu wysysanie Rosji z pieniędzy.

Pojawia się zatem pytanie o prawdziwą naturę takich przedsięwzięć, o rzeczywiste zamiary ich inicjatorów. Innymi słowy, po raz kolejny stajemy przed pytaniem: kim pan jest, panie Putin?

Znamy historię o Putiniebiurokracie, który nie brał łapówek. To tłumaczy, dlaczego ten człowiek tak bardzo zafascynował Borysa Bieriezowskiego, który przecież odegrał kluczową rolę w jego drodze do prezydenckiego fotela. Jedną z najbardziej zaskakujących historii o Putinie jako prawym człowieku opowiedział mi Julij Dubow, prawa ręka Bieriezowskiego, który od dawna przebywa na emigracji w Londynie. Na początku lat dziewięćdziesiątych Dubow nie mógł się uporać z dokumentacją dotyczącą stacji obsługi pojazdów, którą Bieriezowski otwierał właśnie w Petersburgu, ale liczył, że jeden telefon od Putina może znacząco przyśpieszyć bieg sprawy i dlatego umówił się z nim na lunch. Dubow stanął się w ratunku z pewnym wyprzedzeniem; o dziwo, również Putin zjawił się na miejscu nieco wcześniej. W oczekiwaniu na nadejście ustalonej godziny Dubow poruszył temat telefonu. Putin natychmiast się tym zajął, ale potem nie chciał już iść do restauracji: „Albo prosisz mnie o załatwienie jakiejś sprawy, albo zabierasz mnie na lunch”. Dubow zapamiętał sobie to zdanie. Putin zaprezentował się nie tylko jako niebiorący biurokrata, ale wręcz jako biurokrata przeciwny korupcji całym swoim jestestwem.

Mamy jednak historię o Putinie, za którego rządów wyparowały kontrakty warte 100 milionów dolarów (tak wynika z dokumentów przedstawionych przez Marinę Salje). W tej historii zaskakuje nie tyle sama kradzież - doskonale wiadomo, że kradzieże zdarzają się dziś w podobnych sytuacjach w całej Rosji (i właśnie dlatego odkrycia Salje nie wzbudziły wielkiej sensacji) - ile raczej to, że zniknęły wszystkie środki. Podejrzewam, że gdyby Putin zadowolił się pięcioma, dziesięcioma, dwudziestoma czy nawet trzydziestoma procentami, nie zyskałby sobie śmiertelnego wroga, którego ma teraz w osobie Salje. Zresztą pewnie Kolesnikow też nie ujawniłby afery, gdyby pałac pozostał jedynie bardzo kosztownym projektem ubocznym.

Można jednak odnieść wrażenie, że Putin nie potrafi oprzeć się pokusie i zawsze musi zgarnąć całą pulę. Wydaje mi się, że dosłownie tak było. Przy kilku różnych okazjach, w tym raz w kompromitującej sytuacji publicznej, Putin zachowywał się jak kleptomani. W czerwcu 2005 roku, podczas wizyty grupy amerykańskich biznesmenów w Petersburgu, Putin włożył sobie do kieszeni sygnet Super Bowl wysadzany 124 diamentami, należący do właściciela drużyny New England Patriots Roberta Krafta. Wyraził chęć obejrzenia pierścienia, przymierzył go, powiedział rzekomo: „Tym mógłbym kogoś zabić”, po czym wsunął go sobie do kieszeni i pośpiesznie wyszedł z sali. Amerykańska prasa podniosła wrzawę, ale kilka dni

później Kraft oświadczył, że przekazał prezydentowi sygnet w prezencie. W ten sposób udało się zapanować nad bardzo niekomfortową sytuacją.

We wrześniu 2005 roku Putin pojawił się jako gość specjalny w nowojorskim Muzeum Guggenheima. Dla podtrzymania rozmowy jeden z gospodarzy przyniósł przedmiot, który zapewne przekazał muzeum inny rosyjski gość. Była to wypełniona wódką szklana replika kałasznikowa. Ten nieco krzykliwy suvenir kosztuje w Moskwie około 300 dolarów⁴³. Putin skinął na jednego ze swoich ochroniarzy, który chwycił szklany karabin i wyniósł go z sali. Gospodarze oniemieli ze zdumienia.

Putin ujawniał szczególne przywiązanie do dóbr materialnych już w czasach studenckich, jeśli nie wcześniej. Gdy przyjął od rodziców wygrany na loterii samochód, pomimo że upłynnienie takiej nagrody mogło znacząco poprawić warunki bytowe całej rodziny, a także gdy niemal wszystkie pieniądze zarobione w okresie letnim wydał na zakup niewiarygodnie drogiego płaszcza (i tortu dla matki), prezentował zachowania zupełnie nietypowe i niemalże niedopuszczalne dla młodego człowieka z jego pokolenia i grupy społecznej. Ostentacyjne obnoszenie się z bogactwem mogło pokrzyżować jego plany dotyczące kariery w KGB, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Obrazu dopełnia relacja byłego zachodnioniemieckiego radykała - o Putinie, który podczas pobytu w Dreźnie ciągle żąda prezentów. To zupełnie nadzwyczajne zachowanie jak na człowieka, który zbijał kapitał społeczny na podporządkowywaniu się normom. Można odnieść wrażenie, że naprawdę nie potrafi się powstrzymać.

Ściśle rzecz biorąc, w tym przypadku prawdopodobnie nie powinniśmy się posługiwać popularnym określeniem „kleptomania”, ponieważ odnosi się ono do patologicznego pragnienia posiadania nieprzydatnych przedmiotów. Właściwie należałoby mówić o bardziej egzotycznej pleoneksji, czyli bezgranicznym pragnieniu posiadania tego, co zgodnie z prawem należy do innych. Odczuwaniem takiej niepoohamowanej żądzy można by wyjaśniać ewidentny rozdźwięk w jego osobowości - Putin stara się ukrywać swoją skłonność pod maską uczciwego i nieskorumpowanego państwowego urzędnika.

Andriej Iłarionow zaobserwował to w ciągu niespełna miesiąca od rozpoczęcia pracy w charakterze doradcy ekonomicznego Putina. Krótco po inauguracji prezydentury Putin podpisał dekret, na mocy którego 70 procent krajowych wytwórców alkoholu skonsolidowano w jedno przedsiębiorstwo, na którego czele stanął współpracownik Putina jeszcze z Petersburga. W tamtym czasie ceny ropy ciągle utrzymywały się na niskich poziomach i to alkohol uchodził za najbardziej lukratywną dziedzinę działalności biznesowej w kraju. Jak ustalił Iłarionow, tej decyzji nie konsultowano z żadnym z członków nowego zespołu

doradzającego prezydentowi w sprawach gospodarczych; nikogo nawet o niej nie poinformowano. W ciągu kilku kolejnych miesięcy Iłarionow przyzwyczał się do takiego sposobu załatwiania spraw. Na potrzeby dziennikarzy i opinii publicznej Putin wygłaszał pozytywne komunikaty dotyczące gospodarki, sugerując, że cały czas doradzają mu błyskotliwi liberałowie, gdy w rzeczywistości torpedował ich wysiłki, podejmując decyzje prowadzące do konsolidacji krajowych zasobów i przekazywania ich w ręce zaufanych ludzi.

Czy właśnie w tym należy upatrywać przyczyny kłopotów Chodorkowskiego?

Czy Putin kazał go zaarrestować nie z powodów politycznych i nie w związku z osobistą rywalizacją, ale dlatego, że chciał przejąć jego firmę? Nie do końca.

Putin posłał Chodorkowskiego za kratki z tego samego powodu, dla którego zabronił organizacji wyborów i kazał zabić Litwinienkę. Wszystkie te działania miały na celu przekształcenie kraju w ogromnych rozmiarów kopię KGB, a w tym modelu państwa nie było miejsca dla dysydentów ani nawet dla niezależnych graczy. Trzeba jednak pamiętać, że owi niezależni stanowili problem poniekąd dlatego, że nie godzili się na zasady obowiązujące pod rządami mafii. Z chwilą uwięzienia Chodorkowskiego pojawiła się okazja odebrania mu posiadanego majątku. Decydując się skorzystać z tej możliwości, Putin jak zwykle nie baczył na granicę oddzielającą jego osobę od państwa, którym rządzi. Chciwość nie jest być może jego najsilniejszym instynktem, ale jest z pewnością tym, któremu nigdy nie potrafi się oprzeć.

Rozdział jedenasty

POWRÓT ZSRR

W dniu 2 października 2011 roku Borys Bieriezowski chodził podekscytowany po swoim biurze. Przebywałam właśnie w Londynie, aby relacjonować proces, który oligarcha wszczął dziesięć lat po ucieczce, aby odzyskać choć część aktywów. Borys Abramowicz zaprosił mnie do siebie na niedzielę poprzedzając rozpoczęcie przesłuchań, ponieważ chciał się ze mną podzielić przemyśleniami na temat sytuacji politycznej w Rosji.

„Rozumie pani?”, zaczął. „Rosyjski reżim nie ma żadnej ideologii, żadnej partii, żadnej polityki. To nic więcej, tylko władza jednego człowieka”, kreślił obraz istnego Czarownika z krainy Oz, najwyraźniej nie zamierzając przyznawać się, że to właśnie on go wykreował. „Wystarczy tylko, żeby ktoś go zdyskredytował.

Jego osobiście”. Bieriezowski miał plan, a nawet kilka, lecz kazał mi przysiąc, że nie ujawnię szczegółów.

Wyszłam ze spotkania rozbawiona myślą, że ten człowiek nie potrafi zrezygnować z roli szarej eminencji, niemniej jednak musiałam przyznać, że poprawnie ocenia sytuację. Cała konstrukcja rosyjskiego reżimu - który w oczach świata zdążył już awansować z wykazującego „skłonności autorytarne” na „w pełni autorytarny”, a wręcz graniczący z tyranią - opierała się na osobie pojedynczego człowieka. Tego samego, którego Bieriezowski we własnym mniemaniu wybrał na lidera kilkanaście lat wcześniej. Oznaczało to, że obecny rosyjski system ma wielką słabość - aby go obalić, nie trzeba wcale podejmować walki z głęboko zakorzenioną ideologią, wystarczy jedynie pokazać, że kieruje nim kolos na glinianych nogach. Oznaczało to również, że tak samo jak w przypadku każdej innej tyranii, nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi punkt zwrotny. Być może trzeba będzie na niego poczekać jeszcze wiele miesięcy, lat, a nawet dziesięcioleci. Przyczynkiem do zmiany może się stać banalne wydarzenie, być może nawet pomyłka samego reżimu, która w jednej chwili obnaży jego słabość.

Właśnie coś takiego miałam okazję zaobserwować w Jugosławii, jedenaście lat wcześniej. Slobodan Miloszevic, który trwał przy władzy, z jednej strony dzięki rządowi terroru, a z drugiej dzięki odwoływaniu się do nacjonalistycznego zapału, rozpiął przyspieszone wybory, błędnie zakładając, że na pewno w nich zwycięży.

Tymczasem przegrał i zrozumiał, że na stłumienie rosnącej fali protestów jest już za późno. W roku 2011 przyglądaliśmy się, jak kolejne arabskie dyktatury upadają jak kostki

domina, obalane przez tłumy, które dzięki potężde słowa i płynącemu od innych przykładowi nagle przestały się bać. Problem z Rosją polega jednak na tym, że ten wielki kraj jest podzielony jak nigdy wcześniej.

Polityka Putina doprowadziła do zaniku przestrzeni publicznej jako takiej. Internet rozwinął się w Rosji w ciągu dziesięciu lat tak samo jak w innych krajach, ale powstanie szeregu informacyjnych baniek nadało mu szczególny kształt.

Amerykańscy badacze pracujący nad stworzeniem mapy światowej blogosfery doszli do wniosku, że w przeciwieństwie do blogosfery amerykańskiej (czy nawet irańskiej), w której powstają liczne, wzajemnie na siebie zachodzące kręgi, w rosyjskiej kręgi te funkcjonują w oderwaniu od siebie, bez związku z innymi.

Powstaje nieskończona liczba komór pogłosowych, zjawisko, które można by nazwać antyutopią ery informacyjnej. Dotyczy to zresztą nie tylko Internetu.

Na Kremlu ogląda się własną telewizję. Wielki biznes czyta własne gazety. Elita intelektualna zagląda na własne blogi. Żadna z tych grup nie zdaje sobie sprawy z istnienia innych rzeczywistości, co znacząco zmniejsza szanse na organizację jakiegokolwiek masowego protestu.

W wyborach w 2000 roku Putin uzyskał prawie 53 procent głosów, podczas gdy dziesięciu jego rywali zdobyło od 1 do 29 procent. Gdy w 2004 roku ubiegał się o reelekcję, poparcie było już 71-procentowe - wynik typowy dla autorytarnych reżimów - a dla pięciu innych kandydatów oscyloowało od 0,75 do 14 procent głosów. W 2007 roku, pod koniec drugiej kadencji Putina, przedstawiciele rosyjskiej klasy politycznej zastanawiali się, co dalej. Czy Putin zmieni konstytucję, aby móc pełnić urząd prezydenta więcej niż dwa razy z rzędu? A może wybierze drogę

Jelcyna i skłoni kraj do głosowania na namaszczonego przez siebie kandydata?

Przez pewien czas prezydent zdawał się darzyć szczególnymi względami ministra obrony Siergieja Iwanowa, byłego kolegę z KGB, lecz jeszcze w grudniu tego samego roku Putin zorganizował przed kamerami spotkanie z udziałem liderów czterech marionetkowych partii, którzy zgodnie orzekli, że do startu w wyborach prezydenckich chcą nominować wicepremiera Dmitrija Miedwiediewa (tak się złożyło, że Miedwiediew znajdował się w gronie uczestników tego przełomowego wydarzenia). W wyborach, które odbyły się w marcu 2008 roku, Miedwiediew zapewnił sobie 70 procent głosów, podczas gdy wyniki jego konkurentów wahały się od zera do 17 procent. Wkrótce po inauguracji prezydentury Miedwiediew mianował Putina na stanowisko premiera.

Przy czterdziestodwuletnim Miedwiediewie Putin jawił się jako charyzmatyczny

przywódca, wyższy niż w rzeczywistości, ponieważ nowy prezydent mierzy zaledwie trochę ponad pięć stóp (jego dokładny wzrost stanowi pilnie strzeżony sekret, na ten temat krążą jednak liczne plotki, a także zdjęcia Miedwiediewa siedzącego na poduszce lub stojącego przy mikrofonie na specjalnym podnóżku). Miedwiediew jest z wykształcenia prawnikiem, pracował w petersburskim ratuszu. Nigdy wcześniej nie miał okazji kierować pracami zespołu, nigdy niczym nie zarządzał, o państwie nie wspominając. Przejął robotyczny styl wypowiedzi Putina. Jedyne różnica polega na tym, że w przypadku Putina w kolejnych sylabach pobrzmiwają groźby, a głos nowego prezydenta brzmiał jak z syntezatora mowy. W przeciwieństwie do Putina, Miedwiediew nie pozwala sobie na ordynarne żarty i to - być może w połączeniu z rozpaczliwą potrzebą wiązania z kimś nadziei - wystarczyło, aby zjednać mu rosyjskich intelektualistów.

Po raz pierwszy od czasu, gdy Putin zniszczył media i ukrócił rosyjskie życie polityczne, człowiek rezydujący na Kremlu zwrócił się do myślącej części rosyjskiej opinii publicznej. Miedwiediew mówił o tym, co autorzy jego przemów nazwali „Czterema I”: o instytucjach, infrastrukturze, inwestycjach oraz innowacjach.

Publicznie pokazywał się z iPhone'em, a potem z iPadem, i starał się wplatać we własne dość sztywne słownictwo sformułowania zaczerpnięte z kultury współczesnego Zachodu. Inteligencja jadła mu z ręki. Gdy zwrócił się do aktywistów walczących o prawa człowieka, liberalnych analityków politycznych oraz różnych innych niezależnie myślących ludzi z propozycją wstąpienia do nowo tworzonego prezydenckiego ciała doradczego, wszyscy zaproszeni przyjęli ofertę, poświęcając swój czas na opracowywanie białych ksiąg, których oczywiście nikt nigdy nie przeczytał. (W marcu 2011 roku Dożd', internetowa stacja telewizyjna, zrezygnowała z nadawania programu Poet igrażdżanin w związku z emisją skeczu krytykującego Miedwiediewa. Dyrektorka generalna Natalia Sindiejewa wyjaśniała w swoim oświadczeniu, że nie miała zamiaru atakować

Miedwiediewa osobiście. Jako redaktor www.snob.ru sama zetknęłam się z kilkoma podobnymi przypadkami, gdy np. wydawca nakazał mi usunięcie odwołania do brytyjskiego artykułu prasowego, w którym Miedwiediew został nazwany „asystentem Putina”).

Jeżeli któryś z dziennikarzy opozycyjnych mediów odważył się krytykować nie tylko Putina, ale również Miedwiediewa, redaktorzy odmawiali publikacji materiału.

Gdy prezydent poinformował grupę zainteresowanych historyków, że zatwierdzi w końcu odkładany od dawna plan stworzenia muzeum dla uczczenia pamięci ofiar stalinowskiego terroru, aktywiści rzucili wszystko, czym się akurat zajmowali, żeby skupić się na tworzeniu schematów, szkiców dokumentów oraz załatwianiu różnych spraw,

teoretycznie należących do obowiązków urzędników federalnych. Dokładali wszelkich starań, aby Miedwiediew mógł podpisać stosowny dekret - on jednak nigdy tego nie zrobił. Nie wahał się natomiast wygłaszać kolejnych przemówień i pomimo braku jakichkolwiek zmian obiecywać wszczęcie walki z korupcją oraz modernizację kraju. Michaił Chodorkowski po raz drugi stanął przed sądem.

Siergiej Magnicki zmarł w więzieniu. A Władimir Putin nie tylko wybudował sobie pałac nad Morzem Czarnym, ale też w dalszym ciągu kierował Rosją.

Miedwiediewowi przypadła w udziale rola praktycznie czysto reprezentacyjna.

Mimo to, wielokrotnie zwracając się do opinii publicznej, obaj liderzy z powodzeniem stosowali taktykę „dziel i rządź”. Miedwiediew, ze swoją doskonałą dykcją, rozważaniami na temat innowacji i obietnicami walki z korupcją, zjednywał sobie niegdyś głośno wyrażającą odmienne opinie mniejszość działaczy i intelektualistów, z powodzeniem ich pacyfikując. Putin zaś serwował większości kolejne zapadające w pamięć dosadne stwierdzenia. Po dwóch tragicznych w skutkach eksplozjach w moskiewskim metrze, w marcu 2010 roku, powrócił do retoryki z roku 1999, kiedy obiecywał terrorystom, że „potopi ich w kiblu”. „Zdajemy sobie sprawę, że oni się na razie nie wychylają”, powiedział. „Ale zadanie stróżów prawa polega na tym, żeby ich wygrzebać z samego dna rynsztoka”. W lipcu 2009 roku, odnosząc się do uwagi prezydenta Baracka Obamy, jakoby „premier stał jedną nogą w starych czasach, a drugą w nowych”, Putin powiedział: „Nie rozkraczamy się”. Gdy w lipcu 2008 roku jeden z większościowych udziałowców firmy wydobywającej węgiel i metale nie stawił się na spotkaniu, podczas którego Putin miał zamiar udzielić mu reprimendy, premier powiedział: „Rozumiem, że choroba to choroba, ale radziłbym Igorowi Władimirowiczowi [Zjuzinowi] jak najszybciej wyzdrowieć. W przeciwnym razie będę musiał wysłać do niego lekarza i zająć się tym wszystkim”. W sierpniu 2010 roku Putin powiedział dziennikarzowi, że opozycyjni działacze uczestniczący w nielegalnych demonstracjach (w tamtym okresie większość opozycyjnych demonstracji odbywała się bez zgody władz) powinni się spodziewać, iż „dostaną pałką po głowie”. Te złowieszcze deklaracje stanowiły element jego nieustającej kampanii wizerunkowej, podobnie zresztą jak seria zdjęć ukazujących premiera z nagim torsem podczas kanikuły na terenie

Tuwy, a także późniejsza relacja z jego nurkowania w Morzu Czarnym, które zaowocowało wydobyciem dwóch waz z VI wieku, specjalnie umieszczonych tam wcześniej przez archeologów. (Rzecznik prasowy Putina Dmitrij Pieskow przyznał później, że wazy zostały tam specjalnie umieszczone). To była kampania godna dyktatora, który nie toleruje ani opozycji, ani krytyki i wszystko musi mieć dokładnie zaaranżowane.

Putin prowadzi! ją po to, aby nie oddawać pozycji niekwestionowanego przywódcy swojego kraju (cel ten udało mu się osiągnąć zaskakująco łatwo, zważywszy, że w fotelu prezydenckim zasiadał ktoś inny). Naturalną konsekwencją powszechnego przekonania o jego niezmiennie przywódczej roli miało być ponowne powołanie go na urząd prezydenta po zakończeniu kadencji Miedwiediewa w 2012 roku.

Warto wspomnieć, że nie minęło pół roku od objęcia urzędu głowy państwa, a Miedwiediew zaproponował, parlament zaś zatwierdził, zmiany w konstytucji, na mocy których kadencja prezydenta została wydłużona do sześciu lat. Plan najwyraźniej zakładał, że Miedwiediew, obejmujący urząd na cztery lata, przez ten czas ograniczy się do wygłaszania przyjemnych przemów, a później przekaże tron Putinowi, tym razem na dwie kolejne sześciolatek kadencje. Wszystko było jasne, a mimo to ludzie nie stracili wiary w szczerą intencję Miedwiediewa. Niektórzy liczyli też, że kilka lat w fotelu prezydenckim rozbudzi w nim rzeczywiste ambicje polityczne albo że system stworzony przez Putina po prostu się załamie, wzorem każdego systemu zamkniętego.

Największej słabości tego reżimu należy upatrywać w pleoneksji Putina i ludzi z jego najbliższego otoczenia - w bezgranicznym pragnieniu posiadania tego, co zgodnie z prawem należy do innych. To pragnienie stanowi źródło wewnętrznego nacisku na reżim. Rok za rokiem Rosja uzyskuje coraz niższe wartości Indeksu Percepcji Korupcji, wyznaczanego przez organizację Transparency International, spadając w roku 2011 na 154. spośród 178 miejsc (dane za rok 2010). W roku 2011 działacze walczący o prawa człowieka szacowali, że około 15 procent osadzonych w rosyjskich więzieniach stanowią przedsiębiorcy, którzy trafili za kratki z inicjatywy odpowiednio ustosunkowanych konkurentów i że ci konkurenci wykorzystali system sądowy do przejęcia kontroli nad ich interesami. W połowie 2010 roku blog trzydziestoczteroletniego adwokata Aleksieja Nawalnego rejestrował dziesiątki tysięcy odwiedzin dziennie (autor bloga przeszukuje strony rządowe pod kątem publicznie dostępnych dowodów potwierdzających nadużycia władzy i śledzi skandaliczne działania nieodpowiadającej przed nikim biurokracji). Region woroneski zorganizował przetarg na zakup pięciu złotych zegarków wartych 15 tysięcy dolarów. Miasto Krasnodar w południowej Rosji oferuje 400 milionów dolarów za dokumentację techniczną planowanego przejazdu przez tory. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kupuje dwa łóżka i dwa nocne stoliki zdobione 24-karatowym złotem. Nawalny nazwał ludzi rządzących Rosją „Partią Oszustów i Złodziei” i nazwa przyjęła się błyskawicznie. Jesienią 2010 roku redagowane przeze mnie czasopismo opublikowało długi wywiad z Nawalnym. W swoim tekście napisałam: „W Rosji nieoczekiwanie znalazł się prawdziwy polityk”. Podchwyciły ten temat inne media i wkrótce

przystojny blondyn zaczął trafiać na okładki, aż w końcu w kwietniu 2011 roku jego sylwetkę przedstawił na swoich łamach „The New Yorker”.

W dniu 2 lutego 2011 roku Nawalny ogłosił, że rozpoczyna jednoosobową publiczną kampanię antykorupcyjną, i zwrócił się o wsparcie finansowe dla jego nowo powstającej organizacji. W ciągu trzech godzin na jej konto trafiło pierwsze 5 tysięcy dolarów - ludzie wpłacali od pięciu kopiejek (równowartość niespełna centa) aż do kwot dających po przeliczeniu 500 dolarów. Po upływie dwudziestu czterech godzin Nawalny miał już swój pierwszy milion rubli (mniej więcej 30 tysięcy dolarów). To absolutny rekord, jeśli chodzi o tempo gromadzenia funduszy na jakąkolwiek inicjatywę w Rosji i czytelny sygnał, że Rosjanie mają dość znajdowania się w czymś posiadaniu - i że są gotowi sfinansować zmiany.

Jednocześnie nikt nie miał wątpliwości co do tego, że jako samotny rycerz Nawalny nie zdoła wprowadzić obiecywanych zmian. Przekonał się o tym nawet mistrz szachowy Garri Kasparow - w przypadku człowieka z zewnątrz pieniądze, popularność i racja to za mało, żeby dokonać wyłomu w systemie. Wstrząsnąć posadami monolitu może tylko jeden z jego przedstawicieli.

Taki człowiek objawił się w maju 2011 roku. Zaskakując wszystkich, nawet samego siebie, Michaił Prochorow, obecnie drugi najbogatszy człowiek w Rosji, ogłosił, że zamierza się zaangażować w działalność polityczną. Dotychczasowe życie czterdziestosześcioletniego Prochorowa toczyło się według tego samego scenariusza co życie innych rosyjskich bogaczy - aktywność biznesową rozpoczął jako student ostatniego roku, pierwsze pieniądze zarobił pod koniec lat osiemdziesiątych, kupując i sprzedając, co się tylko dało, w latach dziewięćdziesiątych zgromadził fortunę dzięki mądrym posunięciom w okresie prywatyzacji i dzięki inwestycjom oraz umiejętnemu przekształcaniu prywatyzowanego majątku. W przeciwieństwie do Gusińskiego, Bieriezowskiego i Chodorkowskiego, przez większość kariery zawodowej trzymał się z daleka od Kremla. Koncentrował się na działalności biznesowej, politykę pozostawiając swojemu wspólnikowi.

Wbrew własnym zapewnieniom, również i teraz zaangażował się w politykę nie do końca z własnej inicjatywy. Do objęcia sterów rozpadającej się prawicowoliberalnej partii namawiali go przedstawiciele i prezydenta, i premiera. Na tym etapie wszyscy już wiedzieli, na czym rzecz polega. W każdym roku wyborczym Kreml namaszczał jedną partię prawicową i jedną partię lewicową, putinowskiej Jednej Rosji do towarzystwa, aby wzięły udział w procedurze, który urósł już do rangi farsy wyborczej. Prawdziwym partiom politycznym, organizacjom kierowanym przez prawdziwych liderów i zabiegającym o realizację

konkretnych programów, odmawiano natomiast prawa do rejestracji list, powołując się na zawile ustawy i rozporządzenia przyjęte na początku nowego stulecia. Prochorow został więc wybrany do roli marionetkowego szefa pozostającej w uśpieniu partii prawicowej, która miała zostać na krótko przywrócona do życia na potrzeby grudniowych wyborów parlamentarnych w 2011 roku. Oczekiwano od niego, że będzie postępował według ściśle określonego scenariusza - być może rzuci kilka uwag typowych dla niewrażliwego bogacza i tym samym przyczyni się do wzrostu poparcia dla reprezentującego zwykłych ludzi Putina - a następnie we wskazanym momencie usunie się w cień.

Przypuszczałam jednak, że tym razem kremłowscy władcy marionetek nieco zbyt optymistycznie ocenili własne możliwości i popełnili brzemienne w skutkach błęd. Znałam trochę Prochorowa, ponieważ przez ostatnie trzy lata redagowałam czasopismo, którego był głównym inwestorem. Ten człowiek ze swej natury nie nadawał się na marionetkę. Co więcej, aktywnie poszukiwał nowej przestrzeni, w którą mógłby się zaangażować. W rosyjskim biznesie osiągnął już wszystko, co chciał osiągnąć, i teraz, zasmucony, przyglądał się sytuacji kraju (z przygnębieniem rozważał nawet sprzedaż swoich aktywów i przeniesienie się do Nowego Jorku, dokąd właśnie przeniósł się należący do niego zespół NBA Brooklyn Nets). Ale pojawiła się alternatywa. Zamiast opuszczać Rosję, mógłby ją naprawiać. Usiadłby do pracy i zgłębił zawilosci nowego przedsięwzięcia zupełnie tak samo, jak przyswoił sobie tajniki metalurgii i zasady zarządzania przedsiębiorstwem, gdy wszedł w posiadanie giganta Norilskij Nikiel. Szczycił się przecież gruntowną reformą tej firmy i zapewnieniem sobie poparcia pracowników dla wielu wprowadzanych zmian.

Prochorow był niesamowitym człowiekiem. Wielki, również dosłownie - z racji ponad dwóch metrów wzrostu. Wierzyłam, że ten człowiek może obalić system.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy obserwowałam dokonującą się w nim nadzwyczajną przemianę. Korzystając z rad ekspertów, zrezygnował z noszenia workowatych granatowych garniturów marki Brioni na rzecz szytych na miarę ubrań w odcieniach beżu i szarości. Wyzbył się aspergerowskiej manieri odpowiadania na pytania pełnymi, poprawnymi gramatycznie, kategorycznymi zdaniami, nauczył się wzbogacać wypowiedzi o kwalifikatory i swobodnie wplatanie słowa o charakterze atrybutywnym. Co jednak najważniejsze, zgromadził wokół siebie dziesiątki ekspertów od polityki, gospodarki i mediów, aby przy ich pomocy wypracować stanowisko w różnych skomplikowanych kwestiach związanych z rosyjskim życiem publicznym i rozpocząć budowę własnego zaplecza politycznego. Okleił największe rosyjskie miasta billboardami, na których obok jego twarzy widniały hasła typu: „Plan na twoją przyszłość”. Dysponował wystarczającymi

środkami, nie tylko aby kupić przestrzeń reklamową, ale również ponownie umieścić swoje przesłanie tam, gdzie miejscowe władze - zszokowane śmiałością jego poczynań - zdejmowały rozwieszane przez ekipę Prochorowa plakaty.

Ktokolwiek wpadł na pomysł wykorzystania Prochorowa jako alternatywy dla opozycji, z pewnością nie przewidywał, że biznesmen potraktuje zadanie tak poważnie. Władysław Surkow, jeden ze współpracowników Putina, który przez lata zdążył sobie wyrobić opinię głównego kremlowskiego władcy marionetek (zajmując miejsce Bieriezowskiego), zaczął wzywać Prochorowa na rozmowy niemal codziennie. Prochorow, nienawykły do wypełniania cudzych poleceń, mimo wszystko uczestniczył w, jego zdaniem, niecodziennym i wysoce upokarzającym rytuale. Każdego dnia zdawał szczegółową relację ze swojej aktywności, a Surkow przedstawiał mu swoje sugestie; przynajmniej raz zdarzyło się, że doradził usunięcie kogoś z partyjnych list. Biznesmen ignorował te sugestie i postępował zgodnie z własnym przekonaniem - przynajmniej do 14 września 2011 roku, kiedy to nie wpuszczono go na kongres jego własnej partii (podobnie zresztą jak wielu działaczy, których zwerbował w ciągu ostatnich trzech miesięcy).

W rezultacie zostało wybrane zupełnie nowe przywództwo przez zupełnie inną grupę ludzi. Ktokolwiek postawił Prochorowa na czele tej partii, teraz postanowił mu ją odebrać.

27 grudnia 2011 r. Władysław Surkow, dotychczasowy wiceszef kancelarii prezydenta Rosji i naczelny kremlowski ideolog, został mianowany wicepremierem ds. modernizacji i innowacji. 47-letni Surkow, uważany za szarą eminencję Kremla, jest najbardziej wpływowym Czeczenem w Rosji. W administracji prezydenta znalazł się pod koniec kadencji Borysa Jelcyna. Jest on autorem pojęcia „suwerenna demokracja”, określającego budowany przez Putina ustrój oparty na demokracji fasadowej. Powszechnie uważany za architekta putinowskiej partii Jedna Rosja i inicjatora prokremlowskiego ruchu młodzieżowego Nasi.

Jeden z najbogatszych, i najwyższych, ludzi w Rosji, zupełnie zagubiony, zdezorientowany i zdradzony, przedstawiał sobą przykry widok. Prochorow zorganizował konferencję prasową, na której oświadczył, że wykluczenie go z partii było nielegalne. Następnego dnia zwołał alternatywny kongres ugrupowania i przemawiając na nim, obiecał doprowadzić do tego, że Surkow straci stanowisko. Obiecał walczyć. Obiecał pojawić się ponownie za dziesięć dni i przedstawić szczegółowy plan politycznej kampanii.

Jednak nie tylko Surkow - o ile to rzeczywiście on rozdawał karty - niewłaściwie ocenił sytuację. Swoje możliwości zdecydowanie przecenił również Prochorow, na co dzień funkcjonujący w informacyjnej bańce ukształtowanej pod wpływem własnych doświadczeń biznesowych w bezpiecznej odległości od Kremla. W ciągu kilku dni po obu kongresach

otrzymał tyle różnych komunikatów, informujących, co może się przytrafić jemu i jego firmie, że zrezygnował z kariery politycznej. Nigdy nie przedstawił założeń planu walki, po prostu zniknął z oczu opinii publicznej. (12 grudnia 2011 r. Michaił Prochorow oświadczył, że 4 marca 2012 będzie kandydować w wyborach prezydenckich. Na swoim blogu opublikował tezy własnego programu w formie porównania: „Tak było za Putina, tak będzie za Prochorowa”)

Można odnieść wrażenie, że wyznaczając Prochorowa na konkurenta Putina, ktoś wykazał się klasycznym zadufaniem we własną nieomyślność, najwyraźniej jednak w porę zorientował się w sytuacji.

W dniu 24 września 2011 roku Jedna Rosja zorganizowała własny kongres partyjny. Do zgromadzonych tłumów zwrócił się Dmitrij Miedwiediew.

„Uważam, że należy poprzeć kandydaturę Władimira Władimirowicza Putina na prezydenta”, oświadczył. Sala odpowiedziała owacją na stojąco. Gdy ludzie w końcu umilkli, mówca bez żenady poinformował zgromadzonych, że tak ustalił to Putin, kiedy on, Miedwiediew, zostawał prezydentem. I po tym jak Władimir Władimirowicz ponownie obejmie najwyższy urząd w państwie, Miedwiediew zostanie jego premierem.

W ciągu kilku godzin w rosyjskiej blogosferze zaroilo się od postarzonych zdjęć Putina, na których do złudzenia przypominał on Leonida Breżniewa, radzieckiego przywódcę, który jako człowiek zramolały i zupełnie niepanujący nad sytuacją zmarł po osiemnastu latach sprawowania rządów. Nie sposób było nie zauważyć, że w momencie zakończenia drugiej sześciolletniej kadencji Putin będzie miał siedemdziesiąt jeden lat.

W ten sposób dokonano się przeobrażenie Rosji z powrotem w ZSRR, zgodnie z intencjami i założeniami Putina.

JEDEN GRUDNIOWY TYDZIEŃ

SOBOTA, 5 GRUDNIA 2011

Jadę z rodziną na nudną amerykańską komedię do drogiego centrum handlowego w centrum Moskwy. Śnieg się w tym roku spóźnia i miasto sprawia wrażenie pogrążonego w wiecznej mokrej ciemności; nie pomaga nawet przesadne oświetlenie Sadowego Kolca, ośmiopasmowej jezdni okalającej środek miasta. Mój wzrok przykuwa wielka, oświetlona struktura. Można by ją nazwać plakatem albo billboardem, ale żadne z tych słów nie oddaje rzeczywistych rozmiarów zjawiska.

Znajduje się ona na dachu dwukondygnacyjnego budynku z XVIII wieku i wydaje się wyższa niż on sam. Jest podświetlona i jasno oświetlona z boków, przez co trochę przypomina cyfrową ramkę do zdjęć wielkości King Konga. W ramce widnieją postacie

Putina i Miedwiediewa. Jeden ma czerwony, a drugi niebieski krawat. Obaj patrzą z determinacją przed siebie, a pod nimi widnieje gigantyczny napis:

JEDNA ROSJA. RAZEM ZWYCIĘŻYMY.

Jutro odbędą się wybory do parlamentu. W związku z powyższym, zgodnie z prawem, dzisiaj obowiązuje cisza wyborcza, co oznacza, że nie wolno prowadzić żadnej agitacji; dotyczy to również reklamy zewnętrznej. Na najbliższym skrzyżowaniu zjeżdżam więc na bok, robię telefonem zdjęcie oglądanego przed chwilą monstrem i wrzucam je na Facebooka. W ciągu godziny pod zdjęciem pojawia się siedemnaście komentarzy. Nie jest to z pewnością rekord świata, ale w sobotni wieczór nawet tego się nie spodziewałam. Co jeszcze bardziej zaskakujące, komentarze nie pochodzą od tych samych ludzi co zwykle, od grona moich politycznie zaangażowanych przyjaciół. „Świnie”, pisze jakiś menedżer do spraw marketingu. „Wydawałoby się, że widywaliśmy gorsze rzeczy, ale i tak zbiera się człowiekowi na wymioty, prawda?”, to były reporter polityczny, który czternaście lat temu zrezygnował z pracy dziennikarskiej.

Od kilkunastu lat nie biorę udziału w wyborach parlamentarnych, ponieważ prawo uchwalone przez Putina pozbawiło je jakiegokolwiek znaczenia. Partie polityczne nie mogą się zarejestrować bez zgody Kremla, członkowie parlamentu nie są już wybierani bezpośrednio... A zresztą członkowie komisji wyborczych i tak przeinaczają wyniki.

Mimo to, gdy kilka miesięcy temu grupa znanych liberalnych pisarzy, artystów i działaczy politycznych wezwała do pobrania kart do głosowania i wypisywania na nich wulgaryzmów, skrytykowałam ten pomysł w Internecie jako z góry skazany na porażkę. Argumentowałam, że rząd i tak już uczynił z wyborów farsę i że cynicznego szydercy nie da się wyszydzić. Tak naprawdę potrzebujemy konkretnej alternatywy dla szyderstwa; być może powodu, dla którego warto oddać głos. W rozważaniach prowadzonych na łamach różnych publikacji kilka osób przytoczyło rzeczowe argumenty przemawiające za udziałem w wyborach.

Po pierwsze, możemy się w ten sposób upewnić, że Partia Oszustów i Złodziei nie zagłosuje za nas. Po drugie, można zagłosować na jedną z partii nibyopozycyjnych, żeby putinowska Jedna Rosja nie uzyskała konstytucyjnej większości w parlamencie. Co zadziwiające, te nawoływania intelektualistów zyskały sobie wirusową popularność.

Moja dziewczyna, jako autorka rozprawy doktorskiej o wyborach, zawsze bierze udział w głosowaniu. Dla zasady. Niedawno obudziła się i zapytała:

- Czy mi się śniło, czy powiedziałaś, że pójdziesz głosować?
- Tak, pójdę.

- Dlaczego? - dopytywała.

- Nie potrafię tego do końca wyjaśnić - odparłam. - Ale mam przeczucie, że coś się święci.

Moja odpowiedź miała związek z faktem, że w ciągu paru ostatnich dni odbyłam kilka rozmów z przyjaciółmi, którzy również zadeklarowali zamiar udziału w głosowaniu. Zastanawialiśmy się, na którą z tak zwanych partii należałoby głosować. Tysiące ludzi, w tym wielu moich przyjaciół, zarejestrowało się i odbyło stosowne przeszkolenie, aby w ramach wolontariatu obserwować przebieg wyborów - bądź niezależnie, bądź w ramach inicjatywy ObywatelObserwator, uruchomionej przez znanego politologa Dmitrija Orieszkina (nawiasem mówiąc, ojca mojej dziewczyny). Jutrzejszy dzień spędzą w lokalach wyborczych, starając się udaremnić próby fałszowania wyników głosowania. Poza tym ludzie dyskutują o zdjęciu Putina i Miedwediewa na mojej stronie na Facebooku, zupełnie jak gdyby wszystkich zaczęło to nagle obchodzić.

NIEDZIELA, 4 GRUDNIA 2011

Za radą intelektualistów idę do lokalu wyborczego pół godziny przed jego zamknięciem, żeby złapać ewentualnych wyborczych złodziei na gorącym uczynku, jeżeli zdążyli już oddać głos w moim imieniu. Okazuje się jednak, że ani ja, ani zameldowana u mnie moja dziewięćdziesięciodziesięcioletnia babcia jeszcze nie głosowałyśmy. Nie stwierdzam też żadnych innych uchybień. Bez przeszkód dokonuję wyboru, fotografuję kartę wyborczą i zamieszczam jej zdjęcie na Facebooku jako potencjalny materiał dokumentujący naruszenie prawa podczas liczenia głosów (to kolejny pomysł intelektualistów). Po wszystkim udaję się na imprezę z okazji czterdziestych urodzin mojego byłego kolegi z pracy.

Towarzystwo jest zróżnicowane: ludzie z wydawnictw, dziennikarze, projektanci i co najmniej jeden bogaty przemysłowiec. Mój znajomy należy do ludzi, którzy zdają się znać absolutnie wszystkich. Całe towarzystwo rozmawia o wyborach. Trzydziestoparolatki na wejściu deklarują: „Pierwszy raz w życiu byłem na wyborach”. Po chwili już wiadomo, czego należy się spodziewać - każdy, kto osiągnął pełnoletniość po dojściu Putina do władzy, wypowie to zdanie w ciągu kilku minut od wejścia do środka. Kilkoro gości, którzy jako wolontariusze obserwowali wybory, uraczyło nas opowieściami o naruszeniach prawa: o młodych ludziach, którym zapłacono, aby schowali po kieszeniach wypełnione wcześniej karty do głosowania i wrzucili je do urny razem z własnymi, o członkach komisji, którzy usuwali z sali obserwatorów przed rozpoczęciem głosowania (następnego dnia dowiemy się, że wielu członków komisji wyborczych po prostu podawało fałszywy ostateczny wynik, nie bacząc na zawartość kart do głosowania).

Dla mnie czy dla Darii to żadna nowość.

Nowe jest natomiast to, że rozmawiamy o tym późno w nocy, na przyjęciu.

I to, że wszyscy głosowaliśmy. I jeszcze coś - z relacji obserwatorów wynika, że znalazł się wśród nich nauczyciel, żona biznesmena, która przyjechała do lokalu range roverem, a także inni... Inni niż my. Coś się zmieniło, i to nie tylko dla nas, ludzi uzależnionych od mediów i Facebooka.

- Jak myślicie, czego by trzeba, żeby ci wszyscy ludzie wyszli na ulice? - pyta zgromadzonych w kuchni Władimir, młody reporter z wiodącego biznesowego dziennika, członek zespołu odpowiedzialnego za relacjonowanie wydarzeń na Kremlu.

- Nie wiem - odpowiadam. - Ale mam wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

PONIEDZIAŁEK, 5 GRUDNIA 2011

Odwożąc dzieci do szkoły, słucham w radiu informacji na temat częściowych wyników wyborów. Jedna Rosja zdobyła rzekomo niecałe 50 procent głosów.

Zdaję sobie sprawę, że te liczby mogą się jeszcze zmienić, ale jest to wynik zdecydowanie niższy niż podczas poprzedniego, równie nieprawidłowego głosowania, kiedy putinowskie ugrupowanie zapewniło sobie 66-procentowe poparcie. Być może tym razem rzeczywiste wyniki są tak kiepskie, że niektórzy członkowie lokalnych komisji wyborczych nie mieli odwagi posunąć się w kłamstwie zbyt daleko. Później tego samego dnia dowiem się, że w niektórych obwodach komisje całkowicie oparły się naciskom i nie poprawiały wyników. Z relacji pięciuset obserwatorów z ramienia akcji ObywatelObserwator, przyglądających się przebiegowi głosowania w 170 obwodach moskiewskich, wynikało, że w trzydziestu sześciu z nich nie stwierdzono żadnych poważniejszych nieprawidłowości. Po podliczeniu w nich głosów okazało się, że Jedna Rosja zdobyła nieco ponad 23-procentowe poparcie i zajęła drugie miejsce za partią komunistyczną.

Zakładając, że stołeczne obwody można uznać za reprezentatywne, oficjalne wyniki ponaddwukrotnie przewyższały rzeczywistą liczbę uzyskanych głosów.

Inicjatywa ObywatelObserwator donosi również, że w głosowaniu wzięło udział 49 procent uprawnionych, czyli zdecydowanie więcej niż w którychkolwiek z ostatnich wyborów w Rosji.

Na dziś wieczór zaplanowano demonstrację; mam zamiar w niej uczestniczyć.

Nie mam na to ochoty, ponieważ manifestacje w Moskwie są zawsze ponure albo niebezpieczne, a niekiedy i ponure, i niebezpieczne. W chwili obecnej każdy, kto planuje zorganizować jakiegokolwiek publiczne zgromadzenie czy demonstrację, ma obowiązek poinformować o tym władze na dziesięć do piętnastu dni przed tym wydarzeniem. Miasto

może odmówić wydania pozwolenia albo też zgodzić się na organizację zgromadzenia w określonym miejscu i z udziałem określonej liczby osób. Jeżeli zgoda nie zostanie wydana, a demonstracja i tak się odbędzie, jej uczestnicy prawdopodobnie zostaną aresztowani, a przy okazji poturbowani. Jeżeli zgoda zostanie wydana, policja ustawi kordon, odgradzając w ten sposób miejsce dla przewidzianej liczby uczestników. Na granicach tego obszaru pojawią się wykrywacze metalu, a uczestnicy protestu zostaną poddani dość nieprzyjemnej procedurze przeszukania, aby następnie odbyć wiec w otoczeniu policjantów. W rezultacie będą mogli, dosłownie, mówić sami do siebie. Zgromadzeń legalnych nie lubię jeszcze bardziej niż nielegalnych, ale raz na kilka miesięcy pojawia się we mnie poczucie, że powinnam jednak w czymś uczestniczyć. Zupełnie jak teraz.

Dostaję wiadomość od mojej przyjaciółki Any, która cytuje artykuł z dzisiejszego „New York Timesa” na temat wyborów w Rosji. Anę poznałam w Kosowie. Przez kilka lat pracowała jako zagraniczny korespondent w Moskwie, teraz mieszka w Hadze. „»Demokracja przemówiła«, powiedział pan Miedwiediew, stojąc obok pana Putina w siedzibie sztabu wyborczego Jednej Rosji. Obaj sprawiali wrażenie nieco wstrząśniętych”. I Ana dodaje: „Gdyby to nie było taaakie smutne, byłoby nawet zabawne”.

„No tak”, odpowiadam. „Coś się święci, ale nic z tego nie będzie”.

Idę na protest. W Moskwie ciągle panują zaskakująco wysokie temperatury, w związku z czym jest chłodno i paskudnie: temperatura oscyluje wokół zera, leje deszcz. Kto będzie na tyle dzielny, aby przy takiej pogodzie podejmować beznadziejną walkę o demokrację?

Wszyscy.

A w każdym razie wszyscy moi znajomi. Wspólnie z dwójką przyjaciół, Andriejem i Maszą, kierujemy się do parku, w którym ma się odbyć demonstracja.

Po drodze do naszej małej grupy dołączają kolejne osoby. Jeden z młodszych braci Andrieja, potem drugi. Dwóch moich byłych reporterów, tych samych, którzy dziewięć lat temu na zmianę relacjonowali wydarzenia bezpośrednio przed oblężonego teatru. Jeden z nich, Anton, jest teraz radykalnym działaczem wyrażającym swoje poglądy poprzez sztukę; z powodu żartobliwych protestów spędził sporo czasu w więzieniu. Drugi, Grisza, zrezygnował niedawno z pracy dziennikarskiej z powodu kłótni o przedwyborczą cenzurę (nakazano mu usunąć krytyczne artykuły z przeglądu zagranicznych publikacji na temat Rosji). Gdy zbliżamy się do miejsca zbiórki, okazuje się, że wykrywacze metali giną w tłumie.

Potem plotka głosi, że przestrzeń otoczona kordonem już się zapełniła i że policja nie wpuści nikogo więcej. A to oznacza, że do parku przyszło co najmniej pięćset osób. Jak na

współczesne moskiewskie standardy to ogromna liczba.

Idziemy ulicą wzdłuż ogrodzenia, zaglądając przez niski płot. W parku zgromadziły się nie setki, ale tysiące ludzi. Nagle znajdujemy się w zwartej grupie, maszerującej w rzędach po dziesięć osób. Przy ulicy stoją autobusy, którymi przywieziono policjantów, oraz więźniarki. „Blokujemy ruch”, stwierdza Andriej. „Zostaniemy zatrzymani”. Policja spogląda obojętnie na kilkanaście osób, które przechodzą przez płot, żeby dołączyć do demonstrantów. Cały czas pada deszcz. Z włosów spływa mi woda, zaraz odpadną mi nogi. Chociaż przemarzałam do szpiku kości, cieszę się, że tu stoję i mogę nieustannie witać się z kolejnymi znajomymi nadchodzącymi z różnych stron.

Pojawia się mój przyjaciel fotograf, z którym w latach pięćdziesiątych jeździłam do stref ogarniętych wojną. Idzie też, osobno, jego syn, student drugiego roku, urodzony rok po upadku Związku Radzieckiego. Widzę Tatianę, moją redaktorkę sprzed ponad piętnastu lat. „Pogubiłam się, wiesz?”, mówi do mnie.

„Pamiętasz, jak w latach pięćdziesiątych liczyliśmy ludzi na demonstracjach, dzieląc w głowie tłum na ćwiartki? Już tego nie potrafię”. Ja też nie. Nie pamiętam zasady, zresztą gęsta ciżba w deszczu i ciemności zlewa się w jedną masę.

Mimo to jestem przekonana, że zgromadzenie liczy sobie ponad pięć tysięcy ludzi (niektóre szacunki mówią nawet o dziesięciu tysiącach) i że jest to największa manifestacja, jaka odbyła się w Rosji od początku lat pięćdziesiątych.

Gdy tłum zaczyna się rozchodzić, zapraszam grupę osób do siebie, do mieszkania położonego dosłownie kawałek stąd. Kobiety przyjmują zaproszenie, ale mężczyźni deklarują chęć dołączenia do marszu kierującego się pod budynek Centralnej Komisji Wyborczej. Marsz jest oczywiście nielegalny, więc obawiam się, że mogą zostać aresztowani. Rzeczywiście, tego wieczoru policja zaaresztuje około trzystu osób, dojdzie do użycia przemocy, ale również do czegoś innego.

Godzinę później, gdy ja będę gotować późną kolację, a goście przebywający w moim mieszkaniu sączyć koniak, Grisza poinformuje na Twitterze, że Andriej właśnie wyciągnął swoich dwóch braci z więźniarki za kołnierze płaszczy. Po upływie kolejnej godziny sześciu młodych mężczyzn - Grisza, Andriej z braćmi oraz dwóch nieznanych mi ludzi - pojawi się w moim mieszkaniu z potarganymi włosami i romantycznym, rewolucyjnym samozadowoleniem. Będą raz po raz opowiadać mi historię o uwolnieniu, za każdym razem wzbogacając ją o nowe elementy.

Myślę sobie: „Już to kiedyś widziałam”. To chwila, w której znika strach. Ktoś wchodzi do więźniarki, żeby uratować swoich braci, a policja w bojowym rynsztunku odsuwa

się na boki i daje wolną drogę. Krótki moment wielkiej zmiany.

Młodzi mężczyźni jedzą, po czym wyruszają na posterunki policji, gdzie zostali zatrzymani ci spośród ich kolegów, którzy nie mieli tyle szczęścia.

WTOREK, 6 GRUDNIA 2011

Wioząc dzieci do szkoły, wybieram drogę, która prowadzi obok posterunku policji, na który zabrano część zatrzymanych wczoraj osób. Przed wejściem zgromadzenie; spędziło tu wilgotną i zimną noc około stu osób, bez powodzenia domagając się wpuszczenia do środka prawników.

Na dzisiejszy wieczór zwołano kolejną nielegalną demonstrację. Przez cały dzień zastanawiam się, czy powinnam w niej uczestniczyć, ale w końcu rezygnuję. Zdarzyło mi się już brać udział w nielegalnych manifestacjach i zawsze jakoś udawało mi się jakoś wymknąć (raz prześlizgnęłam się między nogami policjanta), ale moja dziewczyna jest w siódmym miesiącu ciąży i nie wydaje mi się, aby warto ryzykować piętnaście dni administracyjnego aresztu, który czeka większość zatrzymanych.

Zajmuję się zwykłymi sprawami, ale nie mogę się pozbyć dziwnego uczucia.

Idę na siłownię, a potem do kawiarni, gdzie spotykam się z dyrektorem wydawnictwa, w którym mam w przyszłym tygodniu podjąć pracę. Kawiarnia znajduje się niedaleko placu, na którym dzisiaj wieczorem ma się odbyć proces. Zapewne to dlatego mój telefon ciągle traci zasięg; podobno władze zagłuszają sieci komórkowe. W drodze do domu przejeżdżam obok opancerzonych pojazdów i autobusów policyjnych, stojących chyba na każdym placu w centrum. Według doniesień radiowych do Moskwy ściągnięto z innych miast dziesiątki tysięcy funkcjonariuszy.

Nie pamiętam, skąd to wiem - od przyjaciela, z Facebooka czy z radia - ale wiem, że na sobotę zaplanowano kolejną, tym razem legalną, demonstrację.

W tym kontekście nagromadzenie sił policyjnych i blokada sieci komórkowych wydają się bardziej ekscytujące niż złowrogie. Poniedziałkowa manifestacja nie była tylko jednorazowym zrywem. Być może jednak coś z tego będzie.

Trochę mnie jednak martwi, że kiełkująca rewolucja nie ma jednego, jednoczącego symbolu, nie ma wyraźnego hasła. O godzinie 2.43 w nocy pracujący w reklamie Arsien Riewazow zamieszcza na Facebooku post o treści:

Śnieżna Rewolucja albo Czysta Karta.

Jeżeli kilka milionów ludzi zawiąże białą wstążkę na ramieniu lub przyczepi ją do samochodu, torebki, klapy marynarki itp., już niczego nie da się podrobić ani sfałszować. Dlatego, że wszystko stanie się jasne i wszyscy będą wiedzieli.

Zacznie padać śnieg. Całe miasto stanie się białe. Obywatele założą białe wstążki. Najpierw będzie to dziesięć procent społeczeństwa, potem trzydzieści, potem pięćdziesiąt, a jeszcze potem siedemdziesiąt pięć. Gdy będzie więcej niż trzydzieści procent, już nikt nie będzie się bał. Nagle wszyscy, no, prawie wszyscy będą z tego powodu kochać i szanować innych. (...)

Musimy wytrwać do marca. Potem zdecyduje Bóg. Jestem przekonany, że jeśli w naszym mieście kilka milionów ludzi założy białe wstążki (lub choćby papierowe serwetki), wszystko szybko i bez przemocy zmieni się na lepsze.

Okazuje się, że ten wpis w ciągu kilku godzin polubiło blisko tysiąc osób, a ponad siedemset udostępniło go innym. Okazuje się również, że parę godzin wcześniej, zupełnie niezależnie, uruchomiono też inną inicjatywę z białą wstążką.

Teraz rewolucja ma swój symbol.

Podczas nielegalnej demonstracji zostaje zatrzymanych kolejnych trzysta osób.

Jeden z moich przyjaciół zakłada na Facebooku specjalną grupę koordynującą działania na rzecz zatrzymanych. Dołączam do niej, podobnie jak kilkuset innych. Od jutra rozpoczną się regularne dostawy jedzenia, przekazywanego przez kawiarnię, w której wczoraj odbyłam spotkanie. Wszyscy zatrzymani otrzymają też zakupione dla nich śpiwory i koce, ponieważ w przeciwnym razie musieliby siedzieć na twardych ławkach lub stać. Grupa nosi nazwę POMOC dla Rewolucji.

O trzeciej nad ranem z dumą przyjmuję godność jej administratora.

ŚRODA, 7 GRUDNIA 2011

Wczoraj, jeszcze zanim położyłam się spać, liczba osób, które zadeklarowały udział w sobotniej demonstracji za pośrednictwem jej strony na Facebooku, zbliżała się do trzech tysięcy, a dzisiaj rano wynosi już ponad pięć. Osiemdziesięcioletni były prezydent Michaił Gorbaczow wezwał do powtórzenia głosowania. We wpisie na publicystycznym blogu „The International Herald Tribune”, na którym publikuję regularnie, opisuję poniedziałkowy protest, starając wyrazić słowami głębokie już obecnie przeświadczenie, że Rosja jest w punkcie zwrotnym.

Problem z radzieckim reżimem, a także z reżimem stworzonym na jego wzór przez Władimira Putina, polega na tym, że są to zamknięte systemy, których upadku nie da się przewidzieć. Nie ma oczywistej zależności przyczynowo-skutkowej między protestami ulicznymi a ostatecznym upadkiem ustroju, ponieważ nie istnieją mechanizmy wymuszające odpowiedzialność rządu względem ludzi.

Nie sprawdza się nawet najbardziej oczywiste porównanie: do pomarańczowej

rewolucji na Ukrainie na przełomie 2004 i 2005 roku, gdy doszło do próby sił między demonstrantami a rządem, który zmanipulował wynik wyborów. Konflikt został rozwiązany przez Sąd Najwyższy, który nakazał ponowne przeliczenie głosów i ponowne głosowanie. W Rosji system sądowiczy nie jest jednak niezależny od władzy wykonawczej. Co gorsza, nie sprawdziliby się ani ponowne liczenie głosów, ani ponowne głosowanie, ponieważ na mocy prawa wyborczego już od dawna o tym, jakie partie znajdują się na kartach do głosowania, decyduje Kreml.

Dlatego też ludzie protestujący przeciwko wyborczym manipulacjom w istocie domagają się rozmontowania systemu. Z uwagi na brak lepszego porównania wymusza to na nas odwołanie się do upadku Związku Radzieckiego.

Tamten proces trwał pięć lat i polegał na wykonywaniu dwóch kroków do przodu i jednego do tyłu. Zgadzano się na protesty, potem wycofywano zgodę, aby ponownie zezwolić na demonstracje. Dysydentów uwalniano, ale milicja zaraz przetrząsała ich mieszkania. Cenzura raz działała, raz nie. W szczytowym okresie protestów na ulicach demonstrowały setki tysięcy ludzi, nie zważając ani na milicję, ani nawet na czołgi. Mimo to nie sposób stwierdzić, czy ich działania miały jakiegokolwiek bezpośrednie konsekwencje. Wszystko dlatego, że - podobnie jak teraz - ludzie nie dysponują mechanizmami kontroli władzy.

Z perspektywy czasu jedno wszak jest jasne. Z chwilą rozpoczęcia protestów reżim był skazany na zagładę. Im więcej gorącego powietrza wpompowywał w bańkę, w której funkcjonował, tym gorzej znosił naciski z zewnątrz. Dokładnie to samo dzieje się teraz. Może potrwa to jeszcze wiele miesięcy, a nawet kilka lat, ale bańka Putina w końcu pęknie.

Co się wtedy stanie? Zdaje się, że Kreml wali na oślep. Wczoraj do centrum Moskwy przywieziono autobusami dziesiątki tysięcy młodych ludzi spoza stolicy, aby mogli uczestniczyć w zwycięskim wiecu Jednej Rosji. Wydano im jasne kamizelki i niebieskie werble, które po zakończeniu wydarzenia bezceremonialnie powyrzucali. Na blogach zaroilo się od zdjęć zalegających na chodnikach, powgniatanych, pobrudzonych i przemoczonych bębenków. Można je chyba uznać za doskonały symbol reżimu: dużo hałasu i wielka pompa, a później haniebne porzucenie w mokrej i zimnej ciemności. Co innego mógł zrobić rząd? Większość ludzi zatrzymanych w poniedziałek i wtorek ciągle przebywa w policyjnych celach.

Na komisariatach już brakuje miejsca, a sądy nie nadążają. Władze po prostu nie mogą sobie pozwolić na kolejne masowe aresztowania podczas sobotniego protestu. Mogą zastosować przemoc, ale wydaje się to mało prawdopodobne, ponieważ Putin, moim zdaniem, nie zdaje sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że

prezydent spróbuje uspokoić nastroje, rzucając demonstrantom jakiś ochłap. Władysław Surkow, kremlowski władca marionetek, wspominał już o powstaniu nowej partii w celu zaspokojenia potrzeb „wzburzonych społeczności miejskich”. Putin i jego otoczenie chyba nie mają pojęcia, jakie wzburzenie panuje w całym kraju, dlatego też zapewne sądzą, że umieszczenie podczas marcowych wyborów prezydenckich nazwiska starannie wybranego alternatywnego kandydata na liście pozwoli im zapanować nad sytuacją. Protesty będą musiały trwać, aż do ludzi na Kremlu dotrze, jak niewielką i wzgardzoną mniejszość stanowią - a wtedy zaatakują jak przyparte do muru zwierzę. Jakie środki znajdują się w ich ograniczonym repertuarze? Atak terrorystyczny, który stanie się pretekstem do wprowadzenia stanu wyjątkowego? Taki ruch nie uratuje reżimu, ale może o rok czy dwa opóźni jego upadek.

Wieczorem idę na spotkanie organizacji Rus' Sidajaszczaja (Ruś za kratkami), założonej kilka miesięcy temu przez Olgę Romanową, niegdyś autorkę publikacji biznesowych, która postanowiła poświęcić się działalności na rzecz więźniów wkrótce po tym, jak jej mąż przedsiębiorca został aresztowany i skazany na osiem lat więzienia za oszustwo. Gdy przekazanie łapówki nie poskutkowało, Romanowa wszczęła własne śledztwo i dotarła do dowodów na to, że jej męża skazano na podstawie sfałszowanych dokumentów, które w jej przekonaniu przedłożył władzom jego były wspólnik, od zeszłego roku zasiadający w senacie.

Romanowa dotarła do Sądu Najwyższego, który uchylił wyrok. Ponieważ jednak moskiewski sąd zlekceważył to postanowienie, kobieta ponownie zwróciła się do Sądu Najwyższego i uzyskała ponowne uchylenie. Poleciała wtedy do odległej kolonii karnej, aby odebrać męża z więzienia, w którym zdążył już spędzić trzy lata. Nagranie wideo z ich spotkania szybko rozpowszechniono w Internecie.

Spotkania Rusi Sidajaszczej odbywają się w kawiarni w centrum miasta, jednej z tych, w których kulturalni młodzi mężczyźni i kobiety rozpoczynają spotkanie od wyboru jednego z osiemnastu rodzajów wysmienitej herbaty, a potem przechodzą do spożywania nie najlepszego wina. W tych szczególnych wieczornych środowych spotkaniach uczestniczą jednak głównie kobiety, które wyglądają na księgowe lub pracownice średniego szczebla zarządzania, choć w praktyce cały swój czas poświęcają na uwolnienie z za krat swoich „więźniów biznesu”. Siedzę przy stoliku ze Swietłaną Bachiminą, taką „średniaczką” w zespole prawniczym Jukosu (spędziła w więzieniu cztery i pół roku), oraz z nieśmiałą młodą kobietą w okularach, która opowiada, że jej mąż został skazany za rzekome oszustwo.

- A oto i Iriek Murtazin! - wykrzykuje Romanowa, przysadzista

czterdziestopięciolatka z farbowanymi na rudo włosami.

W kawiarni pojawia się szczupły mężczyzna dobrze po czterdziestce. Dawniej pracował w telewizji w Tatarstanie, ale został zwolniony w październiku 2002 roku z powodu reportażu z okupacji teatru. Założył więc popularny blog i w 2009 roku został aresztowany za rzekome znieważanie prezydenta Tatarstanu. Skazano go na dwadzieścia jeden miesięcy więzienia za znieważenie oraz - jak napisał w swoim orzeczeniu sąd - za „rozbudzanie wrogości względem konkretnych grup społecznych”, zdefiniowanych jako urzędnicy rządowi.

- Mam dobrą i złą wiadomość - mówi Murtazin. - Zła jest taka, że tatarstański sędzia, który śmiertelnie potrafił młodego człowieka po pijanemu, został uniewinniony.

Zgromadzeni wydają kolektywne westchnienie. Nie pierwszy raz spotykamy się z tego typu wiadomością. Wypadki z udziałem urzędników państwowych nie należą do rzadkości, podobnie jak ich uniewinnienia.

- Dobra wiadomość jest taka - kontynuuje Murtazin - że blisko połowa sędziów mających orzekać w sprawie demonstrantów zatrzymanych w poniedziałek i we wtorek wzięła dzisiaj zwolnienie lekarskie. Osiemdziesięciu sędziów zachorowało na gripę.

No, i to się nazywa wiadomość! Okazuje się też, że z uwagi na przepełnienie cel część zatrzymanych zwalniana do domów. Władze informują ich tylko, że będą się musieli stawić na przesłuchanie w późniejszym terminie. Przed sądem postawiono dziś natomiast Aleksieja Nawalnego, działacza walczącego z korupcją. Skazano go na piętnaście dni aresztu za przywódczą rolę w organizacji nielegalnego poniedziałkowego marszu.

Jedna z kobiet uczestniczących w spotkaniu rozdaje wszystkim białe wstążki, które w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin stały się powszechnie uznawanym symbolem rewolucji.

Po powrocie do domu stwierdzam, że liczba ludzi deklarujących na Facebooku udział w sobotniej demonstracji przekroczyła dziesięć tysięcy.

CZWARTEK, 8 GRUDNIA 2011

Już ponad dwadzieścia tysięcy użytkowników Facebooka planuje uczestniczyć w sobotniej manifestacji.

Rozmawiam z osobą, która ma na co dzień kontakt z członkami prezydenckiej administracji i rządu federalnego. „Wpadli w histerię”, mówi. „Nikt nie wie, co robić. Decyzje zależą od tego, w jakim nastroju wstali danego dnia z łóżka.

Wczoraj Miedwiediew chciał wyłączyć Dozd' [niezależną rosyjską stację telewizji kablowej]. Ledwie zdołaliśmy go powstrzymać”. Kilka dni później dowiem się, że dostawcy telewizji odbierali telefony z nakazem zablokowania dostępu do Dozdia, ale nie

podporządkowali się tym zaleceniom, powołując się na zobowiązania umowne. Najbardziej zaskoczyło to właściciela i dyrektora stacji.

Tymczasem prezydent Miedwiediew przestał śledzić wpisy telewizji na Twitterze.

Miasto pośpiesznie rozpoczęło prace konserwacyjne na placu Rewolucji, gdzie ma się odbyć sobotnia manifestacja. Klasyczne posunięcie władzy, która desperacko pragnie zapobiec demonstracji.

PIĄTEK, 9 GRUDNIA 2011

Niepokoją się. Odwożąc dzieci do szkoły, słucham radia i się martwię - mimo że z doniesień radiowych wynika, że udział w sobotnich wydarzeniach zapowiedziało ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób. Trochę mi to przypomina uczucie towarzyszące początkowi romansu, gdy pewnego dnia padają dokładnie te same słowa co poprzedniego, ale ich temperatura wydaje się jakby nieco wyższa. Zostawiam dzieci w szkole i wracam do domu, żeby jeszcze trochę pospać.

Gdy budzę się kilka godzin później, rewolucja nadal trwa, a nastroje wydają się utrzymywać na optymalnym poziomie. Pojawia się kolejny problem. Otóż sobotnia manifestacja odbędzie się teoretycznie zgodnie z prawem, tyle że we wniosku złożonym dziesięć dni temu organizatorzy określili liczbę uczestników na trzysta osób; w przeszłości nieraz bywało, że nadmiar demonstrantów trafiał do aresztów.

A ponieważ policja nie będzie w stanie zapanować nad dodatkowymi tysiącami czy dziesiątkami tysięcy ludzi, istnieje ryzyko, że ucieknie się do przemocy.

Dwóch organizatorów - zawodowy polityk oraz redaktor czasopisma - udaje się do ratusza na negocjacje w tej sprawie. W godzinach popołudniowych redaktor Siergiej Parchomienko zamieszcza na swojej stronie na Facebooku informacje na temat ich wyniku: miasto zaproponowało nową lokalizację i wydłużyło czas trwania manifestacji z dwóch do czterech godzin. W najbliższym czasie zgodzi się również umożliwić swobodne przejście z placu Rewolucji na nowe miejsce (oddalone o pół godziny drogi piechotą) tym osobom, które pojawią się tam przez pomyłkę. Jedyna zła wiadomość jest taka, że zamiast na fantastycznym z racji nazwy placu Rewolucji demonstracja odbędzie się na placu Błotnym.

Jeden z moich przyjaciół, znany poeta i komentator polityczny Lew Rubinsztejn, natychmiast określa to jako „wyzwanie językowe”.

Uwielbiany w całym kraju autor bestsellerów Grigorij Czchartiszwili, który wydaje historyczne powieści detektywistyczne pod pseudonimem Borys Akunin, pisze na swoim blogu:

Nie mogłem usiedzieć w miejscu.

Dlaczego wszystko w tym kraju musi tak wyglądać? Nawet społeczeństwo obywatelskie budzi się wtedy, gdy jest to pisarzowi najmniej na rękę.

Wyjechałem do Francji na wieś, żeby spędzić trochę czasu w spokoju i wziąć się za następną powieść. Ale teraz nie mogę się skupić. Chyba wrócę do domu.

W tym celu muszę spędzić 500 kilometrów za kierownicą, a potem liczyć na to, że znajdzie się dla mnie miejsce w samolocie.

Mam nadzieję, że mi się uda i że będę miał okazję obserwować ten historyczny moment na własne oczy, a nie na YouTube.

Napisałem tego posta, ponieważ poproszono mnie, abym poinformował wszystkich, którzy jeszcze o tym nie wiedzą:

MANIFESTACJA ODBĘDZIE SIĘ NA PLACU BŁOTNYM (a nie na placu Rewolucji).

Wieczorem podczas zebrania w szkole zauważam, że wielu rodziców nosi białe wstążeczki.

Gdy kładę córkę do łóżka, pyta, czy może iść jutro ze mną na demonstrację.

- Nie, przykro mi, ale to chyba nie jest dobry pomysł, żeby zabierać dzieci.

- Ale to przecież legalna manifestacja, prawda? - Córka wie, że w przeciwnym razie mogłabym zostać zatrzymana.

Zapewniam ją, że tak i że nic złego mi się nie stanie.

- Prawdopodobnie w najbliższych miesiącach odbędzie się dużo takich demonstracji - mówię. - I prawdopodobnie nie będę cię mogła zabierać ze sobą.

Ale pójdziesz ze mną na ostatnią, kiedy będziemy świętować.

- Czyli wtedy, kiedy nie będzie już Putina? - Mała bierze głęboki oddech, jak gdyby nie do końca potrafiła to wszystko zrozumieć. Ma dziesięć lat. Urodziła się już po tym, jak Putin doszedł do władzy. Przez całe swoje życie słuchała, jak się o nim rozmawia. Gdy moje dzieci były małe, traktowały Putina jak swego rodzaju czarny charakter, jak lichy, które je dopadnie, jeśli nie będą się grzecznie zachowywać przy stole. Ukróciłam te zabawy, a w miarę jak dzieciaki dorastały, starałam się przedstawić im możliwie szczegółowy obraz życia politycznego kraju.

Mogłam jednak zapomnieć wspomnieć im o tym, że nikt nie może rządzić wiecznie...

SOBOTA, 10 GRUDNIA 2011

Wracając z dacy, gdzie zostawiłam dzieci i Darię na czas manifestacji, z pewnym niepokojem słucham radia. Co z tego, że trzydzieści pięć tysięcy osób zadeklarowało udział na Facebooku? Słyszałam o przypadkach, w których ktoś otrzymuje siedemset potwierdzeń

udziału w organizowanym przyjęciu, a na miejscu nie zjawia się dosłownie nikt. To przecież w końcu weekend. Ludziom nie będzie się chciało, będą woleli dłużej pospać albo posiedzieć na daczach. Uznają, że na demonstrację pójdzie ktoś inny.

W drodze na plac Błotny widzę nadciągających ze wszystkich stron ludzi: grupy, pary, pojedyncze osoby, młodych, starych i w średnim wieku. Mają białe wstążki, białe szaliki, białe kapelusze, a nawet białe spodnie. Niosą w dłoniach białe balony i białe goździki. Wciąż jeszcze nie spadł śnieg, więc biel na ich ubraniach i w dłoniach musi na razie wystarczyć.

Spotykam się z grupą przyjaciół, w tym z Andriejem i jego dwoma braćmi.

Policjanci obsługujący wykrywacze metali zachowują się spokojnie i grzecznie. Po wejściu do środka krzątam się po placu, wypatrując znajomych twarzy. Podczas poniedziałkowej demonstracji mogłam stwierdzić, że nikogo z nich nie brakuje, widziałam wszystkich. Dzisiaj tylko wiem, że są, bo z powodu tłumu nikogo nie mogę wypatrzeć. Nawet wysyłanie SMSów okazuje się niemożliwe, ponieważ natłok wysyłanych wiadomości doprowadził do przeciążenia moskiewskich sieci komórkowych.

Oglądamy domowej roboty transparenty, które przynieśli ze sobą ludzie.

Na jednym widnieje wykres przedstawiający oficjalne wyniki wyborów podane przez Centralną Komisję Wyborczą oraz nałożona nań krzywa dzwonowa, która niesie ze sobą zupełnie inną myśl: pokazuje, jak wyglądałby rozkład normalny poparcia dla Jednej Rosji. „Nie ufamy wam, ufamy Gaussowi”, można przeczytać na jednym z plakatów. Mowa o Carlu Friedrichu Gaussie, matematyku, który podarował światu tę interpretację danych.

„Nie głosowałem na tych dupków”, głosi napis na innym transparencie, wznoszonym w górę przez młodego mężczyznę z rudawą brodą. „Głosowałem na tych innych dupków. Żądam ponownego przeliczenia głosów”.

- Jest tu strasznie dużo ludzi! - krzyczy młody człowiek do telefonu.

- I wszyscy są normalni! Słyszałem chyba z milion dowcipów i wszystkie były zabawne!

Ktoś, kto od lat żył w przekonaniu, że jego poglądy podziela tylko nieliczne grono najbliższych przyjaciół, w towarzystwie dziesiątek tysięcy ludzi o podobnych zapatrywaniach rzeczywiście może się poczuć tak, jak gdyby usłyszał milion dobrych dowcipów.

Gdzieś w oddali znajduje się scena. Nie widzę jej i ledwo słyszę dochodzące z niej głosy. Jedna z moich przyjaciółek przypomina sobie sztuczkę z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to ludzie przynosili na wiece przenośne radia i słuchali mówców za ich pośrednictwem. Włącza więc radio w telefonie (choć sieci komórkowe są przeciążone, na placu można korzystać z darmowego bezprzewodowego Internetu) i

relacjonuje najważniejsze punkty przemówień.

Rozglądamy się wokół i od czasu do czasu wykrzykujemy:

- Nowe wybory! Wolność! Rosja bez Putina!

Wśród mówców znaleźli się Borys Akunin (udało mu się wrócić z południa Francji na czas), łubiany, ale już dawno zdjęty z anteny prezenter telewizyjny oraz liczni aktywiści. Ojciec Darii mówi o nieprawidłowościach podczas wyborów.

Na miejscu nie ma żadnego spośród teoretycznie opozycyjnych polityków, „tych innych dupków”. Jeszcze nie dotarło do nich, że Kreml powoli traci władzę. Nawalny ciągle jeszcze siedzi w areszcie, więc jeden z dziennikarzy odczytuje jego odezwę do protestujących. Michaił Prochorow, miliarder, który dwa miesiące temu zawiesił polityczną karierę, nadal milczy. W poniedziałek ogłosi zamiar ubiegania się o fotel prezydenta, ale będzie już wtedy za późno, żeby zdobyć wiarygodność w oczach rewolucyjnie nastawionego tłumu; zostanie natychmiast uznany za podstawioną przez Putina marionetkę.

Mam na sobie bieliznę termiczną, dwie kurtki i śniegowce. Nie ma takiego ubrania, które zapewni ciepło człowiekowi, który podczas rosyjskiej zimy stoi bez ruchu. Po paru godzinach wspólnie z przyjaciółmi postanawiamy opuścić demonstrację. Ciągle jednak przybywają kolejne osoby. Oddalając się od miejsca protestu, zatrzymuję się, żeby z mostu dla pieszych spojrzeć jeszcze raz na tłum.

Na placu zgromadziło znacznie więcej niż trzydzieści pięć tysięcy osób. W późniejszych szacunkach będzie mowa nawet o stu pięćdziesięciu tysiącach.

Zamawiamy duży stolik w restauracji. Podobnie jak w innych okolicznych jadłodajniach, również i tu pełno jest demonstrantów, którzy próbują się rozgrzać grzanym winem. Przyjaciele i nieznajomi przekazują sobie najnowsze wieści między stolikami. Andriej jako pierwszy odczytuje kilka zdań ze strony internetowej jednej ze stacji radiowych: „Demonstracja zbliża się do końca. Na scenę wkracza przedstawiciel policji. Mówi: »Dzisiaj postępowaliśmy, jak przystało na siły policyjne demokratycznego państwa. Dziękuję«. Ludzie klaszczą”. Przy naszym stoliku momentalnie zapada cisza. „To świetnie”, zaczynamy nagle mówić wszyscy naraz, patrząc po sobie z niedowierzaniem. „To świetnie”. Kiedy po raz ostatni wszyscy mogliśmy bez wahania stwierdzić: „To świetnie”, mając na myśli wydarzenia rozgrywające się w naszym mieście?

Moi przyjaciele zostają w restauracji, a ja udaję się z powrotem do mojej rodziny na daczę. Przejeżdżam Wielkim Mostem Kamiennym (największym na rzece Moskwie) dokładnie w momencie, gdy policja opuszcza plac Błotny. Setki funkcjonariuszy przemieszczają się chodnikiem czwórkami lub piątkami na całą długość mostu. Chyba po

raz pierwszy w życiu widok policji w rynsztunku bojowym nie wywołuje u mnie niepokoju. Utknęłam za pomarańczowym pługiem do odśnieżania. Śnieg na razie jeszcze nie pada, nie bardzo rozumiem, co ten pojazd robi na ulicy, ale po chwili dostrzegam przymocowany do skraju lemiesza biały balonik.

Demonstracje odbyły się dzisiaj w dziewięćdziesięciu dziewięciu miastach w Rosji, a także przed rosyjskimi konsulatami i ambasadami w ponad czterdziestu miastach na świecie.

Wieczorem rzecznik prasowy Putina, Dmitrij Pieskow, informuje dziennikarzy, że rząd nie komentuje demonstracji, gdyby jednak pojawił się oficjalny komunikat, obiecuje ich poinformować.

Kilka minut później telewizja NTV, którą dziesięć lat temu odebrano Władimirowi Gusińskiemu i osłabiono jej przekaz, nadaje rewelacyjny reportaż na temat protestów. Oglądam go w Internecie (od lat nie mam w domu działającego odbiornika telewizyjnego) i zauważam coś, co miałam okazję obserwować w innych krajach, gdy relacjonowałam dokonujące się tam rewolucje. Otóż nadchodzi taki dzień, gdy człowiek włącza telewizor i stwierdza, że ci sami kretyni, którzy wczoraj serwowali mu propagandę, nadal wprawdzie siedzą w tym samym studiu, na dokładnie tym samym tle co zawsze, ale nagle zaczynają przemawiać ludzkim językiem. Ten konkretny przypadek cieszy mnie szczególnie, ponieważ wciąż jeszcze pamiętam tych dziennikarzy z czasów, zanim zostali kretynami.

Pamiętam, jak kilkanaście lat temu po raz ostatni mówili po ludzku.

Zbliżam się właśnie do daczy, kiedy zaczyna padać śnieg. Do rana cała okolica utonie w bieli.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Cullenowi Murphy'emu, który zaczął namawiać mnie do napisania artykułu o Władimirze Putinie dla „Vanity Fair”. Dziękuję również mojej agentce Elyse Cheney, która zauważyła, że ten artykuł aż się prosi, żeby go przerobić na książkę. Moja redaktor Rebecca Saletan uczyniła tę książkę niepomiarze lepszą, niż byłaby bez jej zaangażowania. Pomogło mi również wiele innych osób i mam nadzieję, że już niedługo będę mogła im wszystkim oficjalnie podziękować na piśmie, bez obaw, że takie wyrazy uznania mogą im zaszkodzić.

Wy doskonale wiecie, o kim mówię. Mam nadzieję, że wiecie też, jak bardzo jestem Wam wdzięczna. O dwóch osobach nie mogę jednak nie wspomnieć. Chodzi o mojego przyjaciela i współpracownika, Ilję Kołmanowskiego, którego badania i spostrzeżenia odegrały bardzo istotną rolę na wczesnych etapach tego projektu, oraz o moją partnerkę życiową Darię Orieszkinę, dzięki której jestem szczęśliwsza i pracuję znacznie bardziej owocnie niż kiedykolwiek.